

Alicja Bober-Michałowska

W gościnnym Albionie



VARIA KOLBUSZOWSKIE

Alicja Bober-Michałowska

W gościnnym Albionie

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej
Kolbuszowa 2013

Redakcja serii *Varia Kolbuszowskie*

Andrzej Dominik Jagodziński, Wojciech Mroczka, Zbigniew Lenart,
ks. dr Sławomir Zych

Recenzja wydawnicza

Dr hab., prof UR Adrian Uliasz

Przygotował do druku i Wstęp napisał

ZBIGNIEW LENART

ISBN 978-83-60944-45-5

ISSN 1231-6393

Projekt okładki

Paweł Krzych

Wydawca

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej

ul. Piłsudskiego 7, 36-100 Kolbuszowa

Kolbuszowa 2013

ZBIGNIEW LENART**Wstęp****Obca wśród swoich. Na styku kultur**

Zwykły, a może niezwykły, przypadek sprawił, że kilkanaście lat temu spotkała się emerytowana nauczycielka krańnickiego liceum, Alicja Bober-Michałowska, z przyszłym profesorem Uniwersytetu Rzeszowskiego, dr Gustawem Ostaszem. Ona, Lwowianka, inteligentka, poetka, której dane było przeżyć gehennę Polaków zamieszkujących przed 17 września 1939 roku wschodnie rubieże Rzeczypospolitej. On, wrażliwy polonista, nauczyciel akademicki, rozkochany w polskiej literaturze, tak bardzo zrosniętej z dramatycznymi losami Polaków. Zainteresował się jej wierszami, uznał że warto je opublikować, dając świadectwo jeszcze jednemu polskiemu doświadczeniu... I gdzieś po drodze pojawiła się moja osoba, utrzymująca kontakt ze swoim profesorem oraz Andrzej Jagodziński, dyrektor Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Kolbuszowej, redaktor serii wydawniczej „*Varia Kolbuszowskie*”.

Tomik poezji Alicji Bober „*Tęsknotą pisane*” do druku przygotował i poprzedził „*Wstępem*” Gustaw Ostasz (1997). Gustaw Ostasz z Katarzyną Waszczyszyn przygotowali do druku i opatrzyli „*Posłowiem*” wspomnienia „*Życie autorem*”, wydane przez kolbuszowską oficynę w 2005 roku. Profesor Ostasz rozpoczął przygotowanie do druku kolejnego tomu wspomnień „*W gościnnym Albionie*”. Obowiązki naukowe i dydaktyczne profesora sprawiły, że ostatecznie przygotowanie ostatniego tomu wspomnień Alicji Bober-Michałowskiej spoczęło na mnie. W międzyczasie Autorka zmarła. Pozostało więc już sprawą naszego sumienia, aby wydać ostatnią Jej książkę, czego, niestety, nie udało się nam zrobić za Jej życia.

* * *

W „Balladzie prawdziwej o Janie i Marii Wyczółkowskich” Alicja Bober-Michałowska z niezwykłą prostotą nazywa szczęście swoich tułaczyczych przyjaciół, Jana i Marii:

„Szczęście
gdy
dłoń znajdzie
ciepło
bliskiej dłoni
gdy jest przy kim
skołataną
głowę skłonić...”¹

Obraz tego szczęścia – z bycia z bliskimi, w rodzinie, w domu przemierzał z autorką bezdroża emigracyjnej tułaczki, przez Syberię, Bliski Wschód, Anglię do Polski, która we wspomnieniach jest charakteryzowana niepokojem, tych którzy do niej wracali i lękiem o przyszłość tych, którzy już w niej zaczęli nowe życie. Autorka jeszcze w 1946 roku w Anglii miała wątpliwości dotyczące powrotu do kraju, chociaż, z drugiej strony, była przekonana, że „[...] wyjazd jest jedynym wyjściem z sytuacji”. Na ostateczną jednak decyzję – wśród wielu okoliczności – niewątpliwie wywarła wpływ sytuacja w tramwaju, kiedy konduktor skomentował widok wchodzących na przystanku do tramwaju polskich żołnierzy, w mundurach z naszywkami „Poland”, słowami: „Wszędzie ta przeklęta polska hołota!” Autorka tę i wiele podobnych sytuacji, z którymi niemal codziennie spotykali się polscy żołnierze na wyspach brytyjskich po 1945 roku, ocenia jednoznacznie: „I tutaj i na całym świecie będziemy już tylko tą przeklętą hołotą polską! Chcesz tego? Wytrzymasz? Myślisz, że ktoś się będzie z nami liczył?... Przecież nie jeden raz zawiedli, wykorzystali, sprzedali i na koniec chcą się nas pozbyć”.

1 Wszystkie cytowane w tekście fragmenty pochodzą ze wspomnień Alicji Bober-Michałowskiej, „W gościnnym Albionie”. Maszynopis w Archiwum Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Kolbuszowej.

Z jednej strony świadomość, że jest się już niepotrzebnym i kłopotliwym dla Anglików nakazywała jak najszybciej wracać do kraju, z drugiej – informacje docierające z Polski zdradzonej przez aliantów, bez Lwowa, z instalującą się nową władzą, obcą polskiej tradycji i demokratycznym ideałom – wstrzymywały przed podjęciem ostatecznej decyzji... o powrocie do domu, o którym wiedziała, że go nie ma. „Ja nie wrócę do domu” – dramatycznie wyznaje. „Ani do dawnego środowiska, ani do dawnego życia. Byłam uczennicą, miałam właśnie ukończonych osiemnaście lat, rodziców, którzy o mnie dbali, dwie siostry, gotowe doradzać i pomagać... A wrócę z mężem, z dzieckiem, po siedmiu latach, nie do domu, bo zabrali, nie do rodziców, bo nie przeżyli, wrócę bez zawodu w ręce, mąż też go nie ma, bez pieniędzy, bez mieszkania, wszystko na zupełnie niepewne... I co dalej?”

Jednak podjęli z mężem tę decyzję, pomimo że wielu wołało zostać w „gościnnym” Albionie. Będąc tam niepotrzebnymi i kłopotliwymi – byli bowiem tam przede wszystkim bezpieczni. Środowisko polskich żołnierzy, ich rodzin i Polaków od dawna mieszkających na wyspach brytyjskich, było bardzo skłócone, podzielone i przede wszystkim zdezorientowane, bardziej niż kiedykolwiek. Powojenny bałagan, wzmacnianie się koterii i stronnictw politycznych walczących o wpływy, sprawiały, że podjęcie jakiegokolwiek decyzji dotyczącej przyszłości stawało się bardzo trudne i wymagało wyjątkowej odwagi. Zawsze bardziej przypominało loterię niż racjonalny wybór.

Michałowscy dodatkowo – podobnie, jak wielu innych rodaków, kiedy postanowili wracać – przez część dawnych przyjaciół, zostali osądzeni o dezercję, a nawet o zdradę Polski, o którą przez siedem lat walczyli. Autorka wspomnień daje temu świetnie wyraz, przywołując m.in. wypowiedź kapitana Mazurkiewicza, który też postanowił wrócić: „... Ciężko teraz przebywać w jednostce. Nawet najlepsi koledzy uznali mnie za zdrajcę Polski, o którą przecież walczyłem! Razem z nimi! Zarzucają mi komunizm!... Jestem bojkotowany tak, że ledwie paru współmieszkańców rozmawia ze mną, ale gdy nikogo nie ma. Myślą, że nie zauważam tego... A tam przecież jest moja żona i synek, który

mnie nie zna wcale, nie może pamiętać, ale wciąż oczekuje! Jestem im potrzebny. To moja rodzina, jak mogę ich zawieść? Tyle lat o to walczyłem, abyśmy byli razem. I oszczędzałem i składałem dla nich. Przecież nawet to nie może zrekomensować tego, co tam musieli przejść przez te wszystkie lata... Nie wiem, gdzie się tulali, co przeżywali, jako rodzina oficerska, a takie prześladowano pod każdą okupacją najbardziej... Uważam, że mam obowiązek wobec rodziny! A oni mi mówią, że to jest wbrew obowiązkom wobec ojczyzny... przecież tej ojczyźnie służyłem całym życiem. A teraz czas zapewnić byt rodzinie i tam są potrzebni ludzie do pracy, a ja mogę jeszcze pracować, mam jeszcze na tyle siły... I co ja mam robić?..."

Wrócić. Michalowscy i w tym przypadku nie mieli wątpliwości. Kapitan podziękował, wdzięczny, że oni – młodzi – okazali mu więcej zrozumienia od starej gwardii, z którą tyle lat przeżył w najrozmaitszych okolicznościach.

Ten wybór, właściwie ciągle dokonywanie wyborów przez całą wojenną generację – w przypadku Autorki – zawsze dokonywany jest w szacunku do podstawowych wartości humanistycznych. I chociaż zawsze towarzyszą mu cierpienie i rozterki, to ostatecznie towarzyszy mu też przekonanie, że jednak jest jedyny i właściwy.

Polsce, jaką zastali po powrocie z Anglii, pisarka poświęciła zaledwie kilkanaście stron. Być może miała nadzieję swoje przeżycia uporządkować, znaleźć dla nich literacką formułę i spisać, dając swojemu czytelnikowi już obszerny i pełny dokumentalno – literacki zapis losu jeszcze jednej istoty z tragicznego pokolenia Kolumbów. Niestety, to się już nie stanie.

* * *

Trudno jest oceniać rzecz literacką będąca zapisem przeżyć osoby nie będącej zawodowym literatem, polskiej inteligentki, nauczycielki i poetki, napisaną po prostu... z potrzeby serca, potrzeby dania świadectwa i dokonania swoistego bilansu własnej największej życiowej za-

wieruchy, spowodowanej przez historię. Kiedy rozmawiałem z Alicją Bober-Michałowską u mnie w domu, po spotkaniu promocyjnym jej tomiku poetyckiego w kolbuszowskiej bibliotece, zastanawiałem się dlaczego pisze nie myśląc o druku, dlaczego pisze bardziej dla siebie, do szuflady?

Jej odpowiedzi były zwykle: „taką mam potrzebę, chcę to jeszcze raz zobaczyć, przemyśleć i ocenić... już z innej perspektywy, właściwie to nie wiem...” W jej delikatnym i trochę drżącym głósie była jakaś aksamitna pewność, że należy to mówić, jakby było nieznanne, jeszcze obce – „do nauczania”. I wtedy zdałem sobie sprawę, sam będąc nauczycielem, że nauczycieli jest wielu, ale ten prawdziwy nauczyciel uczy całym swoim życiem. I Ona, zmęczona, schorowana, niezwykle elegancka tym nauczycielem była. Musiała mówić... słowem, sobą. Musiała poddawać nieustającej ocenie swoje życie, jakby zawsze chciała się upewnić, że postąpiła tak, jak powinien postąpić Nauczyciel. Po to, wydaje mi się, była jej więc potrzebna ta pamiętnikarsko – literacka projekcja własnego życia, do której publikacji tak naprawdę, to myśmy ją chyba skłonili. Czy to był przypadek?

* * *

Alicja Bober-Michałowska, osoba skromna, była równocześnie wrażliwym i wnikliwym obserwatorem tego, co się wokół niej działo. Podając do druku zbeletryzowane wspomnienia, nie miała ambicji przedstawienia całokształtu życia rodaków, tułaczy i żołnierzy w Wielkiej Brytanii. Chciała zaledwie zasygnalizować życiowe rozterki i podejmowane decyzje tylko niektórych. Pisze we „Wstępie”: „Moje wspomnienia nie obejmują całokształtu bytu, stosunków i zróżnicowania egzystencji życia Polaków w Wielkiej Brytanii. Byłam tylko szarą ochotniczką Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet. Nikim ważnym, potem również studentką, zaabsorbowaną własnymi obowiązkami, na koniec młodą mężatką, zafascynowaną macierzyństwem. Wszelkie historyczne wydarzenia działy się na świecie, na frontach, w Polsce i poza nią. Nie

o wszystkim wiedziało się w moim środowisku. Opowiadałam o tym, jak przeżywałam kolejne lata, jak zanotowałam je i zapamiętałam”.

O jej pokoleniu powiedziano, że musiało szybciej dojrzeć, aby wcześniej było przygotowane do odejścia. Nie dziwi zatem u autorki bardzo racjonalne, konkretne kształtowanie terażniejszości ani odpowiedzialne myślenie o czasach, kiedy nastanie pokój i przyjdzie wiedza, mądrością oraz odwagą spełniać swoje marzenia.

Charakteryzując środowiska emigranckie, celnie pokazuje ich zalety i wady. Zarzuca swoim swarliwość, interesowność i skłonność wykorzystywania drugich przy byle jakiej okazji. Przewijają się we wspomnieniach charaktery płaskie i głębokie, mogące być wzorem zachowań. Pokazuje jako modelową solidarność żydowską, do której Polakom daleko. Mówi o podatności na prymitywną propagandę mediów.

Jej opisy są bardzo drobiazgowo, zwracają uwagę na detale, których na co dzień na ogół się nie zauważa. Można mówić o wyjątkowej pamięci autorki i upodobaniach do szczegółu, prawie fotograficznym odwzorowaniu niektórych elementów przeżywanej rzeczywistości. Konsekwencją takiego spostrzegania świata, wydaje się, jest mała ilość syntez i uogólnień, co wcale nie oznacza braku mądrości życiowej. Przy tym autorka całkowicie unika dydaktyzmu czy moralizowania.

Zwraca uwagę umiejętność, dzisiaj prawie w niektórych kręgach całkowicie porzucona, cieszenia się... zwyczajnością, drobiazgami, niekiedy mającymi wartość zaledwie symboliczną. Może dlatego we wspomnieniach jest tak dużo opisów niemal czegokolwiek, co jest koło człowieka. Towarzyszy im cisza koło bohatera, jakby dająca czas jemu i czytelnikowi na kontemplację zauważanych przedmiotów w milczeniu. Pomimo takiego spowalniania narracji, wszystko o czym opowiada Autorka, coraz bardziej absorbuje uwagę i emocje czytelnika, wciąga w lekturę.

Nie brakuje też opisu sytuacji zabawnych „aneddotycznych” powstałych na styku kultur, wynikających z obyczajów rodzinnych, narodowych, przyzwyczajaję, mentalności i nie zrozumienia języka. Tych

było oczywiście najwięcej. Nie pominęła autorka również opisu mentalności szkockiej.

Nad całością rozpościera się ocean nostalgii, nieukojoną tęsknota do kraju i do tego, co już nigdy nie wróci... i chociaż – jak chce autorka – jest się tutaj, tak naprawdę jest się Tam.

W krainie – chciałoby się, za poetami wyszeptać, „sielskiej, anielskiej..., gdzie kruszynę chleba...”

* * *

I ten rozdział ludzkiego losu został zamknięty definitywnie i na zawsze. Alicja z domu Bober Michałowska opowiedziała swoją historię nie do końca. Zostawiła tylko tyle z siebie, ile widać dane było jej zostawić, ale i to w zupełności wystarczyło, aby pozostać na zawsze w pamięci tych, którzy inspiracje do przeżycia swojego losu znajdują u tych, co odeszli i już nie wrócą. Nigdy.

„bo tak chyba
im się zdarzy
wsiądą razem
o cichej godzinie
pożegłują
w inny świat
wśród wspólnych marzeń
i tak gwarząc z sobą
zamyśleni
nie spostrzegą
że już
nie są
nie z tej ziemi
i że już los
co zna dobrze
każde życie

sam zawiesił
dla nich
gniazdo
na błękicie.”

(z: „Ballady prawdziwej o Janie i Marii Wyczółkowskich”)

Kolbuszowa Dolna, 28 stycznia 2013 r.

Od autorki

Po drugiej wojnie światowej spisałam swoje tulacze dzieje jako pamiątkę dla rodziny po sobie. Moje osobiste przeżycia – jednostki spośród setek tysięcy – nie miały wyjść poza krąg najbliższych. Podobnie jak wiersze pisane na zesłaniu; temat oficjalnie i celowo przemilczany.

Udostępniłam je w zaufaniu panu Gustawowi Ostaszowi, profesorowi WSP, który wraz z panem mgr Zbigniewem Lenartem dyrektorem Liceum w Kolbuszowej i panem mgr Andrzejem Jagodzińskim, dyrektorem Miejskiej i Powiatowej Biblioteki w Kolbuszowej zainicjował ich wydanie.

Na pierwszy rzut wyszły wiersze „Tęsknotą pisane”. Znacznie później wspomnienia, wymagające znacznego skrótu. Przychylnie recenzje zachęcały do czytania. Niektórzy nieznani mi czytelnicy, tak jak i przyjaciele, zwracali się do mnie z sugestią napisania dalszych dziejów, zainteresowani moim pobytom w Wielkiej Brytanii i wojennymi losami przebywających tam rodaków. Zaintrygowani są również tym, co skłoniło mnie do powrotu do Polski, pomimo powojennego jej ustroju.

Uległam tym zachętom i podjęłam temat.

Tak jak i w poprzednich wspomnieniach nie wprowadzałam żadnej fikcji literackiej w przekonaniu, że życie samo jest autorem tych przeżyć i zbędne wydało mi się ukazywanie rzeczywistości w innym aspekcie. Znowu mogę zapewnić, że wszystkie nazwiska, daty, nazwy miejscowości i fakty podaję autentyczne na podstawie zapisek w kalendarzykach z tamtych lat. W znacznej mierze wiele zawdzięczam korespondencji: listom własnym i siostr, szczególnie Zdzisławy Kaczyńskiej i jej męża Leona piszących z Polski (1946/47 r.) oraz Wandy, z Palestyny i Egiptu (1944 r.) oraz z Libanu (1944-1947 r.). Pozwalają poznać, jak kształtowały się ich losy w odmiennych warunkach w tych latach.

Moje wspomnienia nie obejmują całokształtu bytu, stosunków i różnicowania egzystencji życia Polaków w Wielkiej Brytanii. Byłam przecież tylko szarą ochotniczką Pomocniczej Służby Wojskowej

Kobiet. Nikim ważnym, potem również studentką, zaabsorbowaną własnymi obowiązkami, na koniec młodą mężatką, zafascynowaną macierzyństwem. Wszelakie historyczne wydarzenia działy się na świecie, na frontach, w Polsce i poza nią. Nie o wszystkim wiedziało się w moim środowisku. Opowiadam o tym tak, jak przeżywałam kolejne lata, jak zanotowałam je i zapamiętałam.

Mam nadzieję, że te moje relacje rzucają pewne światło na życiowe rozterki i podejmowane decyzje wielu wojennych tułaczy.

Gdańsk, marzec 2007 r.

W Palestynie

W Palestynie, między miastami Rehovoth a Gazą, w pobliżu miasteczka Al Mugar, Ośrodek Zapasowy Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet zajmował dość rozległy teren. Do tego obozu przywieziono nas po pożegnaniu ze Szkołą Młodszych Ochotniczek MO w Nazarecie, w dniu 3 marca 1944 roku.

Było nas dwieście dziewcząt przeznaczonych do Pomocniczej Służby Kobiet w Lotnictwie Polskim w Wielkiej Brytanii. W tym dwadzieścia z otrzymanymi właśnie po maturze świadectwami dojrzałości, pozostałe w większości po „małej maturze” (kończące czteroletnie gimnazjum). Zostały one wcześniej odkomenderowane z PWSK do Szkoły z zajmowanych poprzednio przydziałów. Najmniejszą wśród nas grupę stanowiły dziewczęta, które jako niepełnoletnie zostały przyjęte do tej szkoły o pierwotnej nazwie Szkoła Junaczek jeszcze na terenie Związku Radzieckiego, gdzie z inicjatywy generała Andersa, dzięki założonym przez niego Szkołom Junackim ratowano życie tysiącom dzieci.

Dawne junaczki po przekroczeniu osiemnastu lat automatycznie podlegały mobilizacji, zgodnie z obowiązującym regulaminem, czyli stawały się ochotniczkami tak i my, które po wyjściu ze Szkoły MO powróciły do swojego stopnia ochotniczki, najniższego w hierarchii służby kobiecej.

– Witamy nowe miejsce postoju- zawołała któraś, zeskakując z samochodu.

– Dobrze, że dziś jest piątek! Piątek, dobry początek!

– Właśnie! Skończyła się szkoła, zaczęło się prawdziwe wojsko!

– westchnęła inna.

– Hej! Nie jest tak źle! Patrzcie, po sześć łóżek w namiotach!

– Czołem! Rozlokujcie się i idźcie do kuchni. Dostaniecie herbatę do tego waszego suchego prowiantu informowała nas służbowa, z czego dość skwapliwie skorzystałyśmy.

Przed capstrzykiem meldowałyśmy komendantce przybycie.

W poniedziałek wpadła do namiotu służbowa:

– Alicja! Twoja siostra przyjechała i ciebie szuka.

– Dziękuję! – wybiegłam za nią. – Wandziu! Jak dobrze, że przyjechałaś! Wiesz, mamy szczęście. Komendantką jest tu pani Hanka Obfitowiczowa!

– Servus, Ala! Świetnie! Pójdziemy do niej! Z pewnością nam pomoże! Na pewno! To przecież nasza nauczycielka z naszego lwowskiego Nazaretu.

Pani Hanka poznała nas, pamiętała. Ucieszyła się, że Wanda zdołała przeżyć i więzienie i łagier, a ja zesłanie. Zmartwiła się wiadomością o pozostaniu rodziców i cici na nieludzkiej ziemi. Prośby naszej nie była jednak w stanie spełnić, bo przekraczała jej kompetencje.

– Macie jedyne wyjście, ale i to nie jest pewne. Zgłoście się do raportu do generała Wiatra, bo jest tutaj naszą najwyższą władzą – komendantem placu. Słyszałam jednak, że do ustalonych wykaźków rozmieszczenia ochotniczek nie będzie się już wprowadzać żadnych zmian, bo groziłoby to zamieszczeniem i wprowadzałoby chaos. Ale próbujcie!

– Zależy nam bardzo – wyjaśniała Wanda. Byłyśmy tak długo rozdzielone, a nikogo z rodziny...

Pani Kowalska pracuje tak jak ja w Piątym Szpitalu Inwalidów w Gazie, a jej córka, Krysia, która ze mną we Lwowie siedziała w „Brygidkach”, potem była gdzieś w łagrze na dalekim Sybirze i dopiero niedawno odnalazła matkę w wojsku, też chciałaby być z nią razem. Tymczasem Ala i Krysia teraz po maturze w SMO są na liście przeznaczonych do Anglii, a my z panią Kowalską zostajemy w Gazie. Gdyby można tak zamienić, aby matka była z córką, a siostra z siostrą; dwie w Palestynie dwie na transport, wszystko jedno w jakim układzie, byle razem...

– W ramach łączenia rodzin – dodałam.

– Rozumiem. Proóbujcie. Transport do Egiptu ma być wkrótce. Proóbujcie. Powodzenia! – usłyszałyśmy.

– Z pewnością pani Hanka porozmawia w tej sprawie... – miałam nadzieję.

– Tak, ale czy generał przychyli się do sugestii pani porucznik?

– Nie mamy innej szansy.

– Wiesz, Alu – mówiła Wanda – postaram się na dzień prosić generała o przepustkę, ale na wszelki wypadek niech i Krysia zapisze się do raportu. Stańcie razem. Nie wiadomo dokładnie, kiedy ma być ten wyjazd i czy uda nam się spełnienie tych planów. Cóż. Tymczasem trzeba się pożegnać, bo kto wie, czy się spotkamy... Tylko, że dzisiaj jest właśnie szóstego marca. Dwa lata od pożegnania z rodzicami. To już dwa lata. Co tam się z nimi dzieje? Jak sobie radzą? Tak trudno rozstać się właśnie w taki dzień... Mialyśmy być razem, ale wciąż nic z tego.

Tak. Dobrze pamiętałam tę datę, to pożegnanie i ten nasz wymarsz z Urdzaru do Ajaguzu. Wierzyłyśmy, że rozstajemy się na krótko i, że wstąpiwszy do Polskiego Wojska, zdołamy uratować jako -rodzinę wojskową- naszych najbliższych, żyjących w skrajnej nędzy. Po latach dowiedziałyśmy się, że nie przeżyli. Długo ludziłyśmy się nadzieją.

Bardzo zależało nam na tym, byśmy były razem.

Generał Wiatr krótko i węzłowato załatwił naszą prośbę:

– Służba nie družba. Wojna nie Wersal! Odmeldować się!

Pani Kowalska z Wandą otrzymały przepustkę i stały przy mnie, tak jak i Krysia, przy raporcie. Powtórzyły więc teraz kolejno jedna za drugą: – „ta sama sprawa” – i na tym skończyły się nasze nadzieje. Cóż? Służba nie družba! – A rozstanie nie radość – pomyślałam. I znów, jak w żołnierskiej piosence: „Dziś tu, a jutro tam”.

Wyjazd z Al Mugaru nastąpił 19 marca 1944 roku.

W Egipcie

Tym razem jazda pociągiem przez Suez trwała całą noc. Obudziliśmy się już w Egipcie. Obóz w Quassasinie witał nas namiotami na piasku, rozłożonymi na rozległej przestrzeni. Pobyt był okresem przejściowym, a życie tam toczyło się normalnie, jak w Ośrodku Zapasowym PSWK. Między dyżurami i taką czy inną służbą miałyśmy

czas wolny. Nie było trudno o przepustki do Ismaili nad Kanalem Sueskim, na zakupy (miałam w ten dzień służbę), lub do El Quantary; też nad Kanalem, lecz bardziej na północ. Tam pod namiotami mieścił się nasz Trzeci Szpital Polowy, gdzie w Oddziale Malaryków odwiedziłam Lonka Kliszewicza i spotkałam Lidkę Schramm, pracującą od czasu rezygnacji ze Szkoły MO jako przyuczona pielęgniarka, w oczekiwaniu na kurs.

Marzyła się nam wyprawa do Luksoru, chociaż kosztowna, jednak wymagała kilku dni, a nie wiadomo było, kiedy nastąpi nasz odjazd. Zorganizowano nam jednodniową wycieczkę do Kairu, 25 marca. Odpłatna, lecz kto by się jej wyrzekł! Miałyśmy te swoje, obowiązkowe, oszczędności pobierane od nas przez okres nauki w Szkole MO, które przy pożegnaniu zwrócono nam z doliczonym procentem. W Kairze zwiedziliśmy pobieżnie meczet i Cytadelę i samochodem podjechaliśmy do Gizah, mijając po drodze turystów na wielbłądach. Weszliśmy wąziutkimi schodkami do wnętrza piramidy Cheopsa, gdzie w głównym pomieszczeniu zobaczyliśmy... pusty sarkofag. Oglądałyśmy wielkiego Sfinksa z brodą podpartą worami z piaskiem (cementem?) i żalowałyśmy, że nie mamy aparatu na pamiątkowe zdjęcia i nie ma żadnych tubylczych fotografów. W Kairze wykorzystaliśmy czas dany nam do własnej dyspozycji i kupowałyśmy cywilne, dozwolone do munduru brązowe półbuciki, miękkie i wygodne, w przeciwieństwie do faszowanych, twardych i ciężkich. Ten sprawunek załatwiałam z Krysią Pilarz, z którą policzywszy nasze zasoby, zdecydowałyśmy się na ciastka w słynnej cukierni Groppiego, o których fama głosiła, że są pyszne, jak w Polsce. To był szczyt pochwały, wobec tego poszłyśmy na te ciastka kosztem obiadu. Wystarczyło na dwa!

Po powrocie do obozu zastałyśmy, przysłane z Palestyny, ochotniczki, przeznaczone na transport do Włoch. Wpadły do nas Irka Świstunowicz i Micia Dąbrowska, które po maturze wracały na swój przydział jako pielęgniarki. Bardzo ze sobą zaprzyjaźnione, cieszyłyśmy się z tych paru wspólnych, dodatkowych dni. One obie miały narzeczonych we Włoszech i bardzo były zadowolone, że jadą właśnie

tam i oczywiście wiadomo, że będą potrzebne. Żadnych pielęgniarek nie wysyłano do Anglii, wszystkie dowieziono tam, gdzie będzie front. Łatwiej było zrezygnować ze świetliczarek, kantyniarek czy pomocnic biurowych, aby sprostać zapotrzebowaniom służby lotniczej. I tak się stało.

Parę dni przed wyjazdem odwiedził mnie Mietek Szymański. To właśnie on w Guzarze spotkał Wandę i mnie, w chwili swego odjazdu do Persji tym ostatnim pociągiem pierwszej marcowej ewakuacji z Guzaru. W ostatniej chwili zdążył nas, zrozpaczone zastopowaniem naboru dziewcząt do wojska, zostawić pod opieką kapitana Nalepy, dzięki któremu mogliśmy się doczekać wznowienia rekrutacji i zostałyśmy przyjęte do Pomocniczej Służby Kobiet (PSK).

Mietek, porucznik, nie do wartowniczkii zwrócił się w sprawie spotkania ze mną, lecz wprost do komendantki i zaprosił nas obie na herbatkę do kasyna oficerskiego. Dla komendantki to chyba nie nowość, ale dla mnie cudo! Stoliki z białymi serwetkami, na nich porcelanowe, jasnogrnatowe flakoniki z nagietkami. Nagietki, jak w Polsce! I herbata podana w szklance (nie w menażce) i łyżeczka, której nie ma w naszym żołnierskim ekwipunku. Po kilku latach tak, jak kiedyś. Jak dawniej. Zawsze byłam nieśmiała i tym bardziej mnie zamurowało. Mietka widziałam drugi raz w życiu, komendantki nie znałam, zresztą one zawsze są na dystans. Jednak Mietek pytał o Wandzię (od której miał wiadomość o mnie), o Szkołę i wciągnięta do rozmowy opowiedziałam, komendantka też się interesowała i opowiadała o tym obozie w Egipcie, Mietek również towarzyszyki, i uznali, że spędziliśmy razem mile popołudnie. Miałam o czym opowiadać koleżankom.

W środę 5 kwietnia wypłacono nam żold za trzy dekady już w walucie brytyjskiej i zapowiedziano wyjazd nazajutrz.

Podróż

Dnia 6 kwietnia 1944 roku wyjechałyśmy z Quassasinu do Port Saidu który leży u wylotu Kanału Sueskiego do Morza Śródziemnego. Zaokrętowanie na wielki, kilkupokładowy okręt, pełen wojska angielskiego, żołnierzy wszystkich broni przebiegło sprawnie. Dowiedziałyśmy się, że wracają do swego kraju po trzech latach służby poza swoją ojczyzną. Snuliśmy refleksje, kiedy i my? Kiedy?

W dniu 8 kwietnia „Frankonia” odbiła od brzegu i popłynęła Morzem Śródziemnym. Już nie dookoła Afryki, jak do niedawna kierowano wszystkie transporty.

Spośród tych dwudziestu młodszych ochotniczek po maturze pamiętam koleżanki: Krysię Andrzejowską, Irmę Frączek, Jadwigę Holdalę, Damianę Kaliszczak, Danutę Kijanowską, Krysię Kowalską, Marzenę Kuczere, Danutę Niedzielską, Mieczysławę Niedzielską, Marię Parczewską, Krystynę Pilarz, Hannę Rumun, Stanisławę Spólnik i Jadwigę Zemanek, a razem ze mną jest piętnaście. Nie pamiętam pięciu z liczby dwudziestu maturzystek, a raczej absolwentek liceum.

Niedziela Wielkanocna, 9 kwietnia zaczęła się dla nas mszą odprawioną w okrętowej kaplicy. Śniadanie świąteczne nas rozczarowało: ani jajek, ani babki, ani szynki, jakieś takie zupełnie nieodsświętne. Za to morze, oglądane z naszego wysokiego pokładu, na czwartym piętrze, zachwycało wszystkimi odcieniami szmaragdów i błękitów, a widziane z góry delfiny, wyskakujące z wody, wydawały się małymi stworzeniami, pływającymi wokół okrętu specjalnie ku rozweseleniu podróżnych. „Frankonię” konwojowało sześć kontrtorpedowców, otaczających okręt w stałym szyku. Zdawały się nieduże w porównaniu z majestatyczną „Frankonią”, ale z pewnością przewyższały znacznie tamtą zapamiętaną łupinę, drobnicowiec „Żdanow”, znany mi z tej mojej pierwszej podróży morskiej, przez Morze Kaspijskie, z Krasnowodska do Pahlavi, 15-18 sierpnia 1942 roku.

Po kilka razy w dzień, a nieraz i w nocy, ogłaszano alarmy. Nośnienie kapoków było obowiązkiem. Na wszelki wypadek miałam za-

wsze w kieszeni frencza, zapiętej na guzik, metalowe płaskie pudelko, wielkości kartki pocztowej, oklejone plastrami i przyklepcami, w którym w ten sposób zabezpieczałam swoje skarby, czyli te fotografie rodzinne i fotografie przyjaciółek ze Lwowa, bardzo nieliczne, które posiadałam; jedyne pamiątki...

Po tej podróży powiedziano nam, że tylko trzy alarmy zostały wywołane sygnałami ostrzegawczymi, od konwojentów o łodziach podwodnych, stanowiących zagrożenie. Inne alarmy były alarmami ćwiczebnymi. Obserwowane przez władze nasze i angielskie, zyskałyśmy uznanie za dyscyplinę, sprawność i szybkość w działaniu.

Już pierwszego dnia podróży wybrałyśmy się na rozpoznanie kantyny. Zobaczyłam świeże, gorące bułeczki i dość nieudolną angielszczyznę poprosiłam o nie, kładąc na ladzie monetę, bez pojęcia o jej wartości. Ze zdziwieniem obserwowałam, że marynarz-kantyniarz nasypał mi ich całą furę. Aż dwanaście! Zdecydowałam się wziąć je dla koleżanek, ale przypuszczałam, że za jedną monetę należało mi się dziesięć, toteż pozostawiłam na ladzie dwie. Natychmiast znalazło się kilku chętnych do tłumaczenia, że ta moneta to szyling i zawiera dwanaście, a nie dziesięć penów, jak sądziłam. Wyłożono peny na ladę, pojedyncze i trójpeny, i sześciopenowe monетки, jako corpus delicti (dowód namacalny), a że intrygowało ich to zdziwienie Polek, którego nie mogli pominąć, dołożyli jeszcze i banknot jednofuntowy, objaśniając, że funt zawiera dwadzieścia szylingów! Uf! Co za waluta! A do szylingów dołożyli jeszcze monetę, którą nazwali pół koroną! Zabralyśmy bułeczki i rozdając je koleżankom, rozmawiałyśmy o angielskiej walucie, od czego pękała mi głowa. Miałyśmy dość czasu, aby w okresie podróży z tym się oswoić.

W wolnych chwilach siedziałyśmy na pokładzie zwykle z Eckerley'em na kolanach, aby nadrobić braki w znajomości języka angielskiego. W szkole język angielski, do nauczania którego początkowo nie było nauczyciela, a jeszcze dłużej brakło podręcznika, był także i później przez nas trochę zaniedbany, bo nie należał do przedmiotów maturalnych. Zdawałyśmy wszystkie łacinę. Z języka nowożytnego

na egzaminie pisemnym obowiązywało dłuższe wypracowanie z literatury, a na ustnym rozmowa. Zapewne byłoby to możliwe, gdybyśmy w liceum SMO mogły kontynuować naukę języka francuskiego lub niemieckiego, wyniesioną z czteroletniego gimnazjum w przedwojennej Polsce. Szkoła nasza nie znalazła jednak takich nauczycieli, wprowadzono więc do programu język angielski, bardzo potrzebny aktualnie, lecz to był początkowy etap nauczania, czyli nie wystarczał, nie spełniał odpowiednich wymagań.

Marysia Parczewska, jeszcze zanim dostała się do SMO, uczyła się w swej jednostce angielskiego i na statku sama przerabiała już czwartą część Eckersley'a. Zainteresowało to angielskiego lotnika, oficera. Wyjaśnił jej jakiś „idiom” i tak się zaczęła ta ich znajomość. Marysia miała okazję do konwersacji po angielsku, zaś Leonard, poprawiający czasem jej wymowę, mógł coraz bardziej podziwiać wykształcenie swej rozmówczynie. Nie mógł uwierzyć, że aż tyle wiadomości z różnych dziedzin ona zawdzięcza szkole średniej. Szczególnie geografia, także przyroda, ale też znajomość angielskiej literatury, a nawet historii i historii powszechnej wzbudzały w nim zdumienie i szacunek. Dla polskiej szkoły w ogóle i dla Marysi w szczególności. Nic dziwnego, w szkole Marysia należała do najlepszych; Tak czy owak angielskie programy nauczania nie dorównywały naszym. Później Leonard utrzymywał korespondencję z Marysią, odwiedził jej ciotkę, pracującą w Ambasadzie Polskiej w Londynie i oświadczył się o Marysię, zapraszając obie panie do odwiedzin swej matki. Zapewniał, że będzie zachwycona, zawsze marzyła o córce, a szczęściem byłoby mieć właśnie tę. Dziewiętnastoletnia Marysia nie zdecydowała się na to małżeństwo.

Nie uprzedzajmy zdarzeń. Płyniemy po Morzu Śródziemnym, konwojowani przez kontrtorpedowce i w towarzystwie delfinów. Trzynastego kwietnia przeżywałyśmy wspomnienia nocnego wyrwania nas z domów i wywiezienia na zesłanie. A my, Lwowianki, rozmyślałyśmy o tej podróży w pociągu, ciągnionym przez jedną i pchanym przez drugą lokomotywę, o tych pięćdziesięciu ośmiu wagonach, w których jechałyśmy, jeszcze wtedy się nie znając, o tych warunkach w zamknię-

ciu, ciasnocie i o wyladowywaniu, po dziewiętnastu dniach, w Ajaguzie. Nie wiem jak długo, trwała dalsza podróż bez naszych wagonów. Pozostale, pełne, dowieziono do Semipalatyńska, gdzie ulokowano ostatnich zesłańców. Znalazły się tam niektóre nasze koleżanki. Podolanki i wołyńianki również swe podróże zesłańcze zaczynały w tym samym dniu. To było bardzo precyzyjnie zorganizowane. Podobnie te pierwsze wywózki, z dziesiątego lutego 1940 i jedna z następnych, która obejmowała głównie nasze ziemie północne, z Wilnem na czele, skąd pochodziły nasze wilnianki, to ta z piętnastego czerwca 1941 roku, tuż przed inwazją niemiecką na Związek Radziecki. Te wszystkie wspomnienia dotyczyły wciąż bardzo bolesnych przeżyć.

Czas mimo wszystko mija i płyniemy dalej. 15 kwietnia Atlantyk zbudził nas gwałtownym kołysaniem. Na śniadanie zeszło nas niewiele, mniej niż połowa. Nasza „szefowa”, Baśka Andrzejowska, miała problem z wyznaczeniem służbowej, bo aż tyle dziewcząt się pochorowało. Żal mi się jej zrobiło, była siostrą Krysi z naszej klasy. Sama zgłosiłam się na dyżur. Huśtało solidnie i na posiłki schodziłyśmy coraz mniej licznie. Nie było sensu przebywać na pokładzie i nawet delfiny nam nie dotrzymywały towarzystwa. Dopiero na Kanale Północnym i na Morzu Irlandzkim nastąpiła ulga. Podróż przez Atlantyk osłabiła większość z nas. Najgorsze było za nami.

Dwudziestego pierwszego kwietnia zakotwiczyliśmy w Liverpoolu. Wieczór był pogodny, wszystkie pokłady pełne pasażerów. Całe wojsko, wszystkie rodzaje broni, sami Brytyjczycy. I tylko nasza, znikoma grupka dwustu Polek.

Oni już u siebie, w ojczyźnie. A my? Kiedyż wreszcie i my? Kiedy?

Zaczęli śpiewać, bardzo ładnie, na głosy, szczęśliwi, śpiewali całą noc. Czasami my dołączaliśmy do tego chóru, w wersji polskiej:

My Bonnie is over the ocean
My Bonnie is over the sea...
Bring back, bring back,

Choć dzieli ocean nas dwoje,
Choć dzieli nas szum morskich fal...
Wróć, wróć,

Bring back, my Bonnie to me, to me! Wróć do ciebie, przez fale mórz,
Bring back, my Bonnie, to me! Wróć, wróć, wróć na zawsze już!

Albo tę pieśń tak bardzo melodyjną:

We are sailing, we are sailing Żeglujemy, żeglujemy,
Storm water, cross the sea... Poprzez burze, poprzez mgły...

Śpiewaliśmy, co tylko było nam znane, albo po angielsku, albo w wersji polskiej również i tę modną piosenkę francuską, którą zaczęliśmy jednakowo: „J attendrai”, a kończyliśmy we własnym języku:

„Czekam cię! / Co noc i co dzień czekam chwili tej / Gdy wrócisz znów...”

Rozumiałyśmy ich radość, jednak dla nas wciąż jeszcze nie kończyło się „życie pełne przygód”. Owszem, doceniałyśmy tę nieoczekiwaną pomyślność, że oto znów poznamy nowy kraj, tylko że to nie ten kraj, do którego serce się wyrывa z nieposkromionej tęsknoty. Trzeba się chyba uszczypnąć – pomyślałam sobie – aby patrzeć na tę błogosławioną naszą terażniejszość z punktu widzenia przeszłości, z tamtej perspektywy, a nie zadręczać się przyszłością, że nieznaną. „Pożyjemy – zobaczymy.” I basta!

Dnia 22 kwietnia, w niedzielę, opuściliśmy gościnną „Frankonię”.

W porcie witały nas „Ejteeski” (ATS – Auxiliary Territorial Service – Pomocnicza Służba Wojskowa), czyli nasze koleżanki po fachu, angielskie pestki. Uroczyście wręczały każdej z nas paczkę papierosów i tabliczkę czekolady, o której z czasem dowiedziałyśmy się, że racjonowana.

Z portu wyruszyliśmy w dalszą podróż, mijając ciemny i ponury Liverpool.

W Szkocji

Dwudziestego trzeciego kwietnia przybyliśmy do North Berwick, położonego niedaleko Edynburga, nad zatoką Forth. Nasz Ośrodek Zapasowy mieścił się w kilku budynkach. Znowu musiałyśmy przejść kurs unitarny, którym, podobnie jak i szczepieniami, raczono nas za każdym razem po zmianie miejsca postoju, nie zwracając sobie głowy ważnością poprzednich szczepień czy terminów. Tym razem kurs rzadko był urozmaicany jakimś wykładem czy pogadanką, za to przeladowany musztrą. Nieraz prowadziła ją porucznik Zofia Bożęcka.

Koleżanki uprzedziły nas, że pani porucznik lubi ochotniczkom dawać w kość. Wkrótce miałyśmy okazję przekonać się, że szczególną uwagę pod tym względem obdarzyła nas, które nazwała plutonem maturzystek. Ironicznie, bo któraś poprawiła, że raczej kwalifikujemy się do nazwy absolwentek, co chyba stało się niedźwiedzią przysługą. Na powitanie zrobiła awanturę, że nosimy beżowe, jedwabne pończochy, zamiast fasowanych, fildekosowych, khaki. W Palestynie beżowe były dozwolone, z jednym wyjątkiem a mianowicie marszu w kolumnie. Nie wiedziałyśmy, że na wyspie nie wolno i miałyśmy po kilka beżowych par zakupionych przed wyjazdem, bo docierały wieści o odzieży na kupony; choć niedokładne, typu[:] „jedna pani powiedziała”.

W North Berwick zastałyśmy Alicję Pawlus, koleżankę z SMO, która przed nami zdawała maturę; pierwszą w naszej Szkole, w lipcu 1943 roku w Quastynie. Ona przebywając w Wielkiej Brytanii już od pół roku, pełniła obowiązki gospodyni w naszym budynku, jedno-piętrowym, o kilku pokojach, z kuchnią na parterze i z dwiema łazienkami. Wodę na kąpiel trzeba było grzać w łazienkowych piecach, co, z powodu braku opału działo się raz na tydzień. Kąpałyśmy się więc w zimnej wodzie, która bywała frajdą w gorącej Palestynie, lecz nie w zimnej Szkocji. Całe jednak imperium wiedziało, że rodzina królewska także ma racjonowany opał, a więc Alicja poinformowała nas, gdzie kupić farbki i przemalowałyśmy sobie pończochy na khaki.

W pokojach miałyśmy trzypiętrowe łóżka i ciasnotę. Jadalnia

znajdowała się w centrum tego miasteczka i na posiłki maszerowało się w szyku zwartym, razem z plutonami z sąsiednich domów. Żywność nas dość możliwie, bez nadmiaru oleju, którym zatrutowano w Palestynie każdy pokarm, lecz raczej uważaliśmy za zbyt skąpe. Kromka chleba na śniadanie i na kolację nam nie wystarczała. Ogłoszono nam od razu na powitanie, że żywność i odzież, podobnie jak i opał są racjonowane i nic z tych rzeczy nie można kupić bez specjalnych kartek. Kartki żywnościowe otrzymuje dla nas intendentura a kuchnia karmi. Nie wolno nam chodzić do sklepu żywnościowego po pieczywo, słodycze itp., gdyż to może sprawiać wrażenie żebractwa. Nawet Polacy, którzy są na wyspie od paru lat a nie przeszli przez Związek Radziecki, opowiadają, że niedawni zesłańcy, mają zwyczaj kupowania chleba i chowania go pod poduszkę. Taką opinię mogą sobie wyrobić o nas gospodarze i trzeba pamiętać, że jesteśmy bezustannie obserwowani. Dopiero pod koniec naszego pobytu w Ośrodku Zapasowym przypadkowo Baśka odkryła, że pieczywo można było kupić bez kartek, nie było racjonowane.

Kiedyś czułam się tak fatalnie, że musiałam pójść do naszego doktora, gdzie zastałam Krysię Pilarz. Oprócz recept dostałyśmy zwolnienie z musztry i ćwiczeń na trzy dni. Po drodze do apteki zanieśliśmy zwolnienia do kancelarii Ośrodka Zapasowego. W rezultacie, po raporcie, gdy kompania wyruszyła na ćwiczenia, służbowa wpadła do nas z rozkazem zameldowania się w komendzie. Dano nam rozkaz wysypania sterty węgla, okienkiem do piwnicy budynku. Gdy powołałyśmy się na zwolnienie lekarskie, porucznik Zofia oznajmiła nam uprzejmie, że zwolnienie dotyczy musztry i ćwiczeń. A rozkaz wymaga wykonania. I lepiej nie zasługiwać na raport, bo może się na tym nie skończyć. Byłam zbyt słaba, aby się sprzeciwiać. Kryśka też. Nie sądziłyśmy, że to potrwa dłużej, że nie odwołają nas i ktoś inny nie przejmie po nas roboty. Ani, że aż taka okaże się ciężka. Jak te głupie idiotki (to po lwowsku!) sypałyśmy wielkimi szuflami do piwnicy nieszczęsny węgiel. Aż w pewnym momencie pył węglowy wpadł mi do oka, Kryśka nie mogła się z tym uporać, wyjęła więc lusterko z kieszeni i potrzy-

mała je, abym sobie sama dała z tym radę.

– Hej, wy tam! Ochotniczki! – zagrzmiało z pierwszego piętra

– Macie zrobić porządek z węglem! A nie stroić się do lusterka!

To rozkaz!

– Idziemy do lekarza! Pył węglowy wbil jej się w oko! – odrzyknęła Krysia i pociągnęła mnie we właściwym kierunku.

Nie zastałyśmy już doktora w gabinecie. – Szkoda – stwierdziła pielęgniarka – zobaczyłby, jak są respektowane jego zwolnienia! Usunęła mi ciało obce spod górnej powieki.

– Idźcie się położyć do domu! – odpowiedziała na podziękowanie.

Pomaszerowałyśmy prosto do naszej kwatery. Niestety. Obie odchorowałyśmy pracę przy węglu. Koleżanki bardziej potępiały głupotę moją i Krysi, niż rozkaz, którego można się było spodziewać po osobie niecierpiącej Plutonu maturzystek. Jednak kilka podobnych pomysłów z jej strony doprowadziło do swoistego buntu, po prostu do niewykonania jakiegoś bzdurnego rozkazu.

W raporcie wyczytano nam za to karę: dwugodzinny marsz ze śpiewem! Właśnie popołudnie zaczęło się szkocką mżawką, toteż odzialiśmy się w peleryny. Dwie takie, razem spięte na własne guziki, tworzyły niezły, dwuosobowy namiocik. Do noszenia były mniej wygodne, prostokątnymi końcami znacznie dłuższymi z jednej strony, bily nas deszczem nieprzyjemnie po łydkach. Deszcz się nasilał coraz bardziej. Pani porucznik osobiście prowadziła ten nasz karny marsz, w obawie, że poza zasięgiem jej wzroku mogłybyśmy sobie pofolgować. Postanowiłyśmy jednak iść z dobrą miną do złej gry, zuchowato, tak babci na złość, niech sobie nie myśli – nikt – że przyjmujemy ten marsz za karę. Niech sobie nie myśli. Śpiewałyśmy, jak gdyby cała przyjemność była po naszej stronie! I była! Bo pani porucznik ukarała i siebie także. Zaczęłyśmy zawadiacko:

To, co się kiedyś w życiu kochało,

Teraz się tylko po nocach już śni.

I tylko jedno, co nam zostało. -Trzy, cztery!
To są wspomnienia minionych dni.
Niebieskie oczy twe,
gdziekolwiek spojrzę, widzę je – trzy, cztery!
Niebieskie oczy, pełne smutku, pełne łez.

Deptyliśmy więc tam i z powrotem przeważnie główną ulicę tego sennego, letniskowego miasteczka, rycząc do marszu dość rytmicznie i obserwując Szkotki w oknach, zdziwione takim widowiskiem podczas deszczu. Wreszcie, ochryple, po wyczerpaniu repertuaru pieśni marszowych, wojskowych i ludowych, któraś zaczęła na melodię „Podkóweczki, dajcież ognia” ryczeć śpiewnie: „Głupia Zośka! Głupia Zośka!”, a że pomysł spotkał się z aplauzem, wytrwałyśmy przy nim przez ostatni kwadrans karnego marszu. Biedna pani porucznik nie mogła zareagować, bo to byłoby przyznaniem się, że wie, o kogo chodzi. Przemoknięte, zachwycone własną bezczelnością, wściekłe i triumfujące równocześnie, wróciłyśmy do swoich pokojów, by wspominać tamte nasze musztry, ćwiczenia i pogadanki w Szkole MO, prowadzone przez nieocenioną naszą instruktorkę, panią Jasię Fuchsową. Były od-poczynkiem od wiecznego wkuwania. A pani Jasia tyle nam okazywała zrozumienia i przyjaźni, że nawet „z własnej pilności” (szkolne porzekadło) w sobotnie ranki brała od nas spis dziewcząt, planujących wyjście do miasta lub dalszy wyjazd z obozu, sama wypisywała przepustki i już zarejestrowane i zatwierdzone w kancelarii, przynosiła je natychmiast po lekcjach, bo może któraś z pośpiechu do autobusu chce od razu pędzić i zrezygnuje z obiadu. No i szkoda dziewczętom czasu na stanie w kolejce po przepustki. Czy nasza nowa pani porucznik uwierzyłaby w takie traktowanie podwładnych? I to jeszcze młodszych ochotniczek? Nigdy w życiu! Wcale! Przypominała porucznika Klara z Ośrodka Zapasowego w Guzarze na Górcie. Kompanię spóźnioną na ćwiczenia (bo nie zdążyły pobrać śniadaniowej zupy) ukarał dwugodzinnymi ćwiczeniami typu: „powstań – padnij”, w najgorszy żar, wywleczoną o parę kilometrów od obozu, aby któraś z komendantek

nie interweniowała! Chore po tych ćwiczeniach odwieziono do szpitala, ale dwie nie przeżyły.

Dnie jakoś mijaly. Trzeciego maja, po mszy, uroczysta akademія z okazji polskiego święta narodowego odbyła się w miejskiej sali teatralnej. Większość uczestników to polscy lotnicy, niedawni pancerniacы, kompanie ochotniczek. Przedstawiciele miejscowych władz także wzięli udział. Szkoci odnosili się do nas przychylnie. Jednak to my lepiej pamiętaliśmy o udziale polskich lotników w bitwie o Anglię, zaś Brytyjczycы już zawiązywali przyjaźń ze Stalinem.

O Katyniu nigdy nie było mowy, chociaż oficjalnie alianci udawali, że wierzą, iż to zrobili Niemcy.

Komendantka Hanuszowa zajęła się szykowaniem polskiego przedstawienia. Dziewczęta chętnie zgłosiły się śpiewać, te z najlepszym głosem: Baśka Wójcik, Nela Zielińska, Danusia Rodzynkiewicz i Irka Peszyńska. Do tańca ustalono tylko cztery pary, bo nie było więcej krakowskich serdaczków .

Dziewczętami do tańca zostały te niższe: Krysią Kowalską, Hanką Rumun, Nela Zilińska i Halina Jakub. Za chłopaków natomiast przebrały się wyższe, w białe koszule, piżamowe spodnie, długie buty: Iga Zemanek, Danką Niedzielską, Marzeną Kuczera i Baśką Wójcik. Byłam zbyt nieśmiała, by przyjąć propozycję występu, choćby w scenie rodzajowej, lecz tak zachwycona, że się coś ciekawego dzieje, że zrobiłam dekoracje. Pracowite i całkiem udane. Do tańców: studnia typu żuraw i parę drzew. Do scenki humoreski pt. „Modły ochotniczek do Allacha” (twórczość zbiorowa, z inicjatywy i pod kierownictwem Krysi Lubańskiej) wymalowałam morze z jednej strony, a z drugiej czarne sylwetki meczetu i minaretu, od tyłu podświetlone. Prócz tego zorganizowałam przemarsz Araba w turbanie i w prześcieradle, prowadzącego wielbłąda, utworzonego przez dwie koleżanki idące jedna za drugą pod szarym kocem, jako garby. Ta z przodu niosła drzewce z nasadzonym buciorem, niby wielbłądźią głowę. Wielbłąd cieszył się powodzeniem. Wyprodukowałam kartonikowe zaproszenia, ozdobione wizerunkami wielbłąda lub krakowianki. Byłam zadowolona. Po-

tem jednak, kiedy zapomniano o mnie (ale nie o „mojej” dekoracji!), organizując przedstawienie gdzieś poza miasteczkiem u jakiejś „lady” i gdy także nie zawołano mnie do wspólnego zdjęcia, było mi przykro. Przecież się napracowałam, poświęciłam tyle godzin.

Po ukończeniu sześciotygodniowego kursu unitarnego, w dniu 13 czerwca otrzymaliśmy zaświadczenie sygnowane przez kometantkę kompanii, Sławomirę Ostrowską. Miałyśmy więcej wolnego czasu, ponieważ traktowano to jako okres przejściowy w oczekiwaniu na przeniesienie nas do lotnictwa. Poza dyżurami czy jakąś służbą nie było obowiązkowych zajęć. Spacerowałyśmy nad morzem, skąd widać było niewielką wyspę, na której jak mówiono, żyła grupa endemicznych ptaków. Woda morska, bardzo zimna, uniemożliwiała kąpiel. Kamienny brzeg nie posiadał plaży, ale spacer przy szumie fal należały do głównych przyjemności. Przynosiły taki spokój, odprężenie i uczucie odrobiny prywatności, o którą poprzez te wszystkie nasze wędrówki i lata wcale nie bywało łatwo.

Chodziłyśmy też po mieście i zwiedzając je wstąpiłyśmy do jednego z kościołów, widząc, że otwarty. A tam – zaskoczenie! Mieściła się YMCA (Young Men’s Christian Association – Związek Męskiej Młodzieży Chrześcijańskiej), stowarzyszenie zaopatrujące żołnierzy w różne artykuły, prowadzące kantyny, tanie dożywianie i tanie noclegi. Istnieje również takie stowarzyszenie kobiece. Wypiliśmy po kubku smacznej herbaty – nie z kotła!

Gdzieś dalej nieco od śródmieścia był miejscowy Klub Żołnierza, z bufetem i muzyką, dość licznie odwiedzany przez polskich żołnierzy, którzy uhonorowali go nazwą „Mordownia”. Nasi koledzy żołnierze wytłumaczyli nam, że oprócz ścisku, jaki tam panuje, do tej nazwy przyczyniły się przemile, mimo wszystko, Szkotki. One, oszczędne, jak należy, brak racjonowanych pończoch zastępują malowaniem nóg sproszkowanym jajkiem, chociaż osiągalne jest ono też tylko na kupony. Ich malowane nogi brudziły w tańcu spodnie partnerów, których to nie zachwycało. Nawet mogło czasem zniechęcić do tańca. Szkotki nie miały zamiaru przejmować się tym. Absolutnie. A podczas tańca

wszyscy śpiewali, co naszym wojakom przypadło do gustu, gdyż nie musieli wysilać się na uciążliwe konwersacje po angielsku. Śpiewanie nie sprawiało problemu, bo jeśli nawet ktoś nie znał słów, czy mylił melodie, to w ogólnym ochoczym hałasie i tak to uchodziło. W mordowni można było wypić przyzwoitą herbatę, nie z kotła (!), zdobyć się na drożdżóweczkę czy szarpnąć się na lody. Nasze koleżanki bywały tam nieraz, poznały naszych kolegów żołnierzy, ale ja poprzestałam na zwiedzeniu i wołałam szum morza, jeśli tylko nie padało zbyt mocno. Kiedyś nasze dziewczęta zagadnięte w klubie przez Szkotki nie mogły się połapać o co one pytają, powtarzając w kółko: „walo-malo-walo-malo” i prosząc o wyjaśnienie takich niezrozumiałych słów. W końcu któraś z nich to zanuciła i okazało się, że to nasi wojacy śpiewali im piosenkę:

„Malowane koła /malowany wóz/ malowaną parę /do kościoła wiózł” bardzo im się to podobało, a że koniecznie postanowiły się tego nauczyć, było przy tym dużo śmiechu. Polski nie wydawał im się łatwym językiem i niewątpliwie miały rację.

W naszym pokoiku mieszkały młodsze koleżanki, te po małej maturze: Irka Peszyńska, Krysia Sarwianka, Tosia (?) i Renia Buczek z mamą, panią Ludwiką i młodszą siostrą, Irką. Dzięki Reni poznałam asystującego jej często Tośka Krzywonia, lotnika, którego jednostka przez dłuższy czas stacjonowała w kilku miejscach w Szkocji. Miał już swoich znajomych wśród Szkotów. Kiedyś dowiedział się, że wciąż nie mogę odnaleźć adresu moich rodziców pozostawionych w Związku Radzieckim i rozmawiał na ten temat z niejakim panem Conroy'em w Glasgow. Uczynny Mr Conroy poprosił, abym przysłała dane osobowe swoich rodziców i ciotki, z przekonaniem, że Brytyjczykowi nie odmówią takiej informacji, chociaż już nawet życzliwa Polakom i pomocna w podobnych przypadkach Ambasada Australijska w Moskwie nie odpowiadała na moje podania. Na własny koszt wysłał do Ambasady Australijskiej w Moskwie depezę, z dokładnymi danymi, z prośbą o przysłanie adresu poszukiwanych i z opłaconą odpowiedzią. Depesza wróciła bez odpowiedzi. Nie wiedzieliśmy, że po odkryciu

zbrodni w Katyniu i po zerwaniu stosunków dyplomatycznych Związku Radzieckiego z rządem polskim w Londynie Moskwa pozbawiła Ambasadę Australijską prawa pośredniczenia w sprawie Polaków. Nie wiedziałam wówczas również, że moi rodzice i ciocia już nie żyli... Wciąż jeszcze ratowałam słabe nadzieje, wciąż oczekiwałam na wiadomości od Wandy, na odpowiedzi na moje poszukiwania, wysyłane do Czerwonego Krzyża w Londynie i w Teheranie i oczekiwaniom nie było końca.

We wtorek, 23 maja, wręczono nam do wypełnienia deklaracje do lotnictwa, czyli angielski formularz na podanie o przyjęcie. Uznaliśmy, że to właściwie tylko formalność, bo przecież po to nas tutaj „zapotrzebowano” i przywieziono. Pozwolono nam wypełnić ankietę po polsku. Oprócz zwyczajnych danych personalnych kandydatki, pytania dotyczyły rodziców, czy żyją, a jeśli tak to adres, adres własny przed wybuchem wojny, imię i zawód ojca i braci, zawód przed wojną, kwalifikacje lotnicze. Dodatkowa strona przeznaczona była na wypisanie swojej historii od chwili wybuchu wojny do dnia wylądowania na wyspach brytyjskich. Odpowiedziano nam, że po prostu trzeba tu wypisać chronologicznie z możliwie dokładnymi datami swoje kolejne miejsca postoju, z uzupełnieniem wyjaśniającym konkretnie cele czy przyczyny danej zmiany.

To jakoś tak działo się na marginesie wielkich wydarzeń, gdyż niezależnie od oficjalnych wiadomości, docierały do nas wieści o walkach pod Monte Cassino. Przeżywałyśmy je bardzo. To już nie „polski żołnierz” nieznany nam i bezimienny. To byli tam nasi koledzy, ci chłopcy, z którymi pasło się owce na beznadziejnym stepie, przymarzało zimą, głodowało obok, razem szło do wojska. Tam musieli się bronić i sami zabijać, może żegnali się już z życiem, które udało się przeżyć... Albo i nie... Poległ młodzietki narzeczony Stasi. Lonek Kliszewicz dostał awans na porucznika, Włodek Schramn – *Virtuti Militari*. Ile tam musieli przeżyć, jak znieść widok konających kolegów i własną wobec tego bezsilność? Jaką okrutną rzeczywistością jest wojna! Ile wymaga bohaterstwa, a ile ofiar!... Kiedy to się skończy?

Wanda pisała. Nadal pracuje w szpitalu inwalidów, który został przeniesiony do Egiptu. Korespondencja z koleżankami, z Włoch, trochę kulala, nic dziwnego, ale nadal trwała.

Prowadziłam też poszukiwania różnych znajomych przez Czerwony Krzyż. Znalazłam obu braci Marysi Stankiewicz, o których rodzina nie miała wiadomości od czasu, gdy po najeździe bolszewików uciekli obaj do Rumunii. Juliusz był sędzią na Huculszczyźnie, Kaspepek miał szesnaście lat i dopisali mu wiek, aby mógł z bratem dostać się do wojska. Korespondowałam z Marysią po naszym wywiezieniu, aż do najazdu niemieckiego na ZSSR, czyli do czerwca 1941 roku. Od niej wiedziałam, że żona Juliusza z dwuletnią córeczką Krysią, została też wywieziona 13 kwietnia 1940 roku, jako żona sędziego, w dodatku z matką, bo u niej zamieszkała po ucieczce męża. Jeszcze jedną wiadomość mogłam im przekazać, że ich brat Jarek, tak jak wszyscy z rocznika dziewiętnastego, został wcielony wiosną 1941 roku do Armii Czerwonej, bo zajmując nasze, polskie ziemie wschodnie, narzucili wszystkim sowieckie obywatelstwo. Nie były to pomyślne wiadomości, ale innych nie miałam, poza tym, że czerwonoarmiejcy zajęli wille pp. Stankiewiczów, pozostawiając właścicielom tylko kuchnię z przyległym do niej pokojem. W wyniku korespondencji otrzymałam depeszę od Kaspra, że przyjedzie do Edynburga na dwa dni i czeka na mnie w Domu Żołnierza, przy Moray Place nr 9. Pani porucznik – o dziwo dała mi przepustkę na te dwa dni.

I zwiedzałam trochę ten prześliczny Edynburg, znany mi nieco z pobytu w pobliskim mieście, gdzie Pancerniacy przez jakiś czas stacjonowali. Opowiedzieliśmy sobie o naszych losach. Oni przeżyli wiele tarapatów zanim dotarli do Francji i dostali się do tego tworzącego się Wojska Polskiego, organizowanego na tej obcej, zdawało się przychylniej ziemi, w niezwykle trudnych warunkach, niemal od podstaw, a w każdym razie na nowych zasadach. Kapitulacja Francji to był prawdziwy szok dla Polaków, nigdy nie spodziewających się takiego braku patriotyzmu u swoich aliantów. Posiadali przecież armię z wszelkiego rodzaju uzbrojeniem, silne lotnictwo, warunki godne obrony, bez

porównania lepsze od Polski we wrześniu, która liczyła na pakt o nieagresji z Niemcami (1934 r.) i mimo rozpaczliwej i samotnej obrony, bez najmniejszego wsparcia od aliantów, wbrew zawartym układom walczyła i nie chciała się poddać. Wkroczenie Niemców do Paryża (14 czerwca 1940 r.) Polacy przyjęli jako prawdziwą klęskę. Francuzi za całą winę przypisywali Polsce i demonstracyjnie okazywali swe przekonania, pragnąc się pozbyć tych kłopotliwych przybyszów, za jakich uważano naszych rodaków. Różnymi drogami starali się Polacy przedostać do Anglii, aby tam podjąć dalszą walkę z groźnym najeźdźcą. Znowu organizowanie naszego wojska musiało przechodzić nietatwe etapy. Obaj bracia Marysi dostali się do Brygady Pancerniej generała Maczka, która z czasem przekształcona została w Dywizję Pancerną.

O wielu tak bardzo ważnych wydarzeniach w tych latach, tam, na tych odległych stepach Kazachstanu wcale się nie słyszało: o walkach Karpackiej Brygady o Narwik (1940 r.), o walkach o Tobruk (1941 r.), o bitwie o Anglię i o udziale w niej polskich lotników, o początku bombardowania Wielkiej Brytanii przez Niemcy (8 sierpnia 1940 r.) i o wielu innych historycznych zdarzeniach dowiadywaliśmy się dopiero po opuszczeniu Sowietów, z opowiadań i z polskiej prasy.

W lotnictwie

Wreszcie ogłoszono nam przeniesienie do Pomocniczej Służby Lotniczej, czyli do WAAF (Women's Auxiliary Air Force Service).

Dnia 13 lipca 1944 r. wyjechałyśmy z North Berwick pociągiem do Wimslow koło Manchesteru. Tam Ośrodek Zapasowy WAAF'u tworzył równymi szeregami baraków całe miasteczko. Przybyło nas dwieście, stanowiących niewielki procent wśród angielskich koleżanek i przydzielono nam kilkanaście baraków. Naczelnej komendantce angielskiej podlegało kilka naszych, w niższych stopniach oficerskich. Pamiętam porucznik Paszkowską, bo osobiście odbywała z każdą z nas „interview”, więc przypuszczaliśmy, że jest z Wywiadu. Miałyśmy tam

swoją plutonową, już tamtejszą, Anię Olszewską. Znowu zaczynałyśmy od kursu unitarnego! Tym razem w angielskiej wersji, z angielską musztrą, odmienną od naszej. WAAFki, jak popularnie nazywano ochotniczki w służbie lotniczej (łącznie z nami), z którymi spotykałyśmy się na terenie obozu, w baraku-jadalni, w umywalni czy kantynie, były zawsze uprzejme i chętne do udzielenia pomocy. Zawiadomiły nas natychmiast, gdy okazało się, że w magazynie można zaopatrzyć się we włóczkę, a taki zakup bez kuponów, to była rzadka okazja. Przydział osiem uncji wystarczał na zrobienie sobie swetra z długim rękawem. Kolor lotniczy można nosić do munduru. Będzie cieplejszy od fasowanego, cieniutkiego. No i własny!

Poznawałyśmy zwyczaje tych nowych koleżanek i zdarzało się nieraz, że nawzajem wprawiałyśmy siebie w zdziwienie. Na przykład w umywalni, urządzonej w długim baraku, gdzie wzdłuż jednej dłuższej ściany i przez cały środek, pod licznymi kranami znajdowała się długa rynna, poprzedzielana tak, że tworzyła szereg odrębnych pojemników. Tam prałyśmy swoją bieliznę. I to właśnie wydało się Angielkom bardzo dziwne. Pouczyły nas, że niepotrzebnie same tym się zajmujemy, skoro za parę penów można wszystko oddać do obozowej pralni, albo po prostu biorąc prysznic wyprać od razu bieliznę na sobie! Prysznice ciągnęły się wzdłuż tej drugiej długiej ściany. Poprzedzielane na boksy, zasłaniane były od umywalni kotarami z jutowych worków. O ile my dziwiłyśmy się temu ich praniu na sobie, o tyle one nam, że do kąpeli pod prysznicem całkiem się rozbieramy! Kiedyś ich plutonowa usłyszała coś na ten temat i podkreśliła swoją opinię o tym, mówiąc: – Och, to są dziewczęta ze wsi! – co też nas zaskoczyło.

W czasie wojny, wobec nasilających się problemów z brakami w zatrudnieniu, powodowanych powoływaniem kolejnych roczników mężczyzn do wojska, Brytyjczycy zaczęli męskich pracowników zastępować kobietami. Nie spotykało się już, oprócz mężczyzn poza wiekiem przydatnym do służby, ani listonoszy, ani kelnerów, w sklepach pracowała obsługa żeńska. Dziewczęta niepełnoletnie jeszcze, lub uczące się, pozostawały na swoim miejscu. Inne miały do wyboru pra-

cę w rolnictwie, kierowanym według narzuconych potrzeb, albo mobilizację do Pomocniczej Służby Wojskowej, początkowo lądowej (ATS), potem już też lotniczej (WAAF), a na ostatek także i w marynarce wojennej (WRNS – Women’s Royal Naval Service – Żeńska Królewska Służba Marynarska). Te pierwsze ochotniczki żartowały, że są poszkodowane, ponieważ te żołnierskie „babskie” nakrycia głowy jako czapki z daszkiem są tak nietwarzowe, że sam król Jerzy VI wyraził taką opinię. Szkoda, że wcześniej nie skonsultowano, bo za późno na zmianę. To samo spotkało WAAFki! I dopiero „Wrenki”, organizowane znacznie później, otrzymały do swych marynarskich mundurów zgrabne, granatowe kapelusiki.

Angielskie dziewczęta na ogół chętniej od rolnictwa wybierały służbę pomocniczą w wojsku. Wspólne koszarowe życie, perspektywa kursów dokształcających, samodzielność poza domem, dająca dość swobody i parę szylingów własnych decydowały o atrakcyjności. Wprawdzie żołd nie był wysoki, w dodatku niższy od żołnierskiego na tym samym stopniu wojskowym, ale tego nie kwestionowały, bo pierwszy raz czuły się niezależne i dowartościowane.

A nasze WAAFki zdradziły nam tajemnicę sposobu upinania włosów w obowiązującą fryzurę, bo podziwialiśmy, że im się tak świetnie trzymają. Otóż te walki na wierzch, z którymi miałyśmy codzienny kłopot, one nawijały na pończochę upiętą wokół głowy i wsuwkami wzmacniały to tak, że tej pończochy nie było widać! Włosy na kołnierzu mogły doprowadzić do karnego raportu, bo to było „against king’s regulations” – wbrew zarządzeniom królewskim! Tak samo, jak nie dość błyszczące guziki przy frenczu lub przy płaszczu. Przybory do czyszczenia ich, tak jak przybory do czyszczenia obuwia, fasowało się łącznie z sortami mundurowymi. Plastikowa podkładka, w której rowek wsuwało się od razu wszystkie guziki jednym ruchem, chroniła mundur od zawalania pastą do metalu. Po przetarciu nią, polerowało się guziki szczoteczką z kożuszką. Wypukłe herby, gryfy, na guzikach musiały lśnić, obowiązkowo. Z mundurami zielonymi w służbie lądowej nie miałyśmy jeszcze takich problemów w tym pierwszym okre-

sie, gdy guziki w nich były metalowe. Nie wymagano czyszczenia i nie dołączono do ekwipunku przyborów tego rodzaju. Później przy zielonych mundurach guziki z masy, też w kolorze khaki, nie wymagały czyszczenia. W całej tej sprawie odzwierciedla się natura brytyjska z ich drobiazgowością także w przestrzeganiu „zarządzeń królewskich”, w które święcie wierzyli.

W Wimslow powtórzyłyśmy przedstawienie opracowane w North Berwick. Dekoracja się przydała, a gdy ją w świetlicy montowałam przyjechał do mnie w odwiedziny Mietek Piątek, z którym od czasów w Kazachstanie już raz się spotkałam w Szpitalu Polskiego Czerwonego Krzyża w Teheranie, we wrześniu 1942 roku. Odwiedzał tam Zuzę Accord, która po tyfusie, przebyłym już po pożegnaniu nie-ludzkiej ziemi, biduła jeszcze lysa, leżała chora na malarię. Zobaczył tam także i mnie, walczącą też z malarią i równocześnie z amebami i tak jak i Zuzia, rozpaczliwie trzymającą się życia, z nadziejami wydo-stania najbliższych na wolność.

Teraz, gdy zobaczył jaka byłam zaabsorbowana, wziął się po mę-sku do roboty i ustawił, a nawet umocnił całą dekorację. Opowiadał mi przy tym, jak to na kursie mechaników lotniczych, w którym uczest-niczyl, szef nie docenił jego zdolności i nie pochwalił go, że zmonto-wawszy już daną mu na ćwiczeniach do rozmontowania część skrzydła, Mietek zaoszczędził przy tym ze dwa kilo śrubek! Mietek był zawsze uczynnym kolegą, bezpośrednim i z poczuciem humoru.

Jakieś mętne pogłoski docierały do nas, że podobno wybuchło Powstanie Warszawskie. Gdzieś ktoś coś mówił, ktoś gdzieś zaprze-czał, że plotki, propaganda, dywersja i w ogóle poplątanie. Czulyśmy się wyobcowane w tym brytyjskim środowisku, niedoinformowane, wprost ogłupiałe do tego stopnia, że nie przyszło nam do głowy, aby zwrócić się z tą niepewnością do swoich komendantek. Te ich gwiazd-ki na naramiennikach zdawały nam się barierą. Traktowano nas służ-bowo i nic poza tym nie wchodziło w rachubę. Gdyby właśnie wtedy był na miejscu nasz oficer oświatowy, porucznik Stopa, miałybyśmy

do kogo się zwrócić z pytaniami i z prośbą o informacje, ale właśnie go nie było. Ćwiczano nas na musztrze i marszach, ktoś wymyślił konkurs na najładniej wyczyszczone i lśniące półbuty (fasowane, z rondem nie tyle ozdobnym, jak twardym i raniącym). Ogłoszono wizytę chirurga specjalizującego się w usuwaniu nagniotków, którego wyrozumiałe władze obozowe sprowadziły na wniosek obozowego lekarza, bo miał już dosyć wypisywania zwolnień z musztry, słusznie skarżącym się na różnego rodzaju odciski dziewczętom. Chirurg spisał się na medal, co potwierdziło kilkanaście naszych ochotniczek, z Danusią Kijanowską na czele. Po zoperowaniu okropnych nagniotków na spodach obu stóp musiała przez kilka dni poleżeć, ale potem stwierdziła, że czuje się jak bohater po wygranej bitwie i maszerowała z zapalem, nawet w tych samych butach.

Na temat tego fasowanego w lotnictwie obuwia to jeszcze nie wszystko. Przez pierwsze dwa tygodnie inspekcje w naszych barakach przeprowadzała angielska sierżant. Porządek utrzymywaliśmy zgodnie z zasadami, wyłożonymi nam na powitanie przez naszą plutonową Anię. Łóżka miałyśmy trzypiętrowe, pod tym najniższym w ustalonym szyku mieściły się nasze plecaki, chlebaki i „w nogach” obuwie. Każda otrzymała trzy pary jednakowych półbutów. Podczas codziennej inspekcji, prowadząca ją pani sierżant na podszewkach naszych półbutów znaczyła kreskę kolorową kredą. Co dzień innym kolorem. Po komendzie „baczność!” tego pierwszego dnia patrzyliśmy na nią, jak na głupią, powstrzymując ze wszystkich sił wybuch śmiechu. Gdy jednak doszła do końca baraku i pozwolono nam spocząć, sama wyjaśniła wolno i dobitnie, aby każda zrozumiała, że po to każda ochotniczka dostała trzy pary obuwia, żeby co dzień nosić po kolei inną z nich. Nie wolno dzień po dniu wkładać tej samej pary! To jest niepraktyczne, nieoszczędne, szkodzi i butom i nogom! Musi się każdego dnia wkładać nie te „wczorajsze” ani „przedwczorajsze”, bo w takim układzie żywot obuwia trwa najdłużej i to sobie trzeba zapamiętać. Chyba jednak nie ufała zbyt mocno tej naszej pamięci, skoro przez dwa tygodnie ozdabiała nam buty na kolorowo, co umożliwiało jej kontrolę nad naszym posłu-

szeństwem. Przestała się temu poświęcać, gdy uznała, że powinniśmy już wdrożyć się we właściwe nawyki.

Wcześniej wypisane nasze deklaracje o przyjęcie nas do lotnictwa wręczono nam w dniu 28 sierpnia. W tym okresie odwiedziła nas grupa polskich filmowców. Wykonano kilka zdjęć podczas naszej musztry, w angielskich mundurach z naszywką „Poland” na ramieniu i w tych nie twarzowych czapkach z czarnym, lśniącem daszkiem, ale z polskim Orzelkiem ponad nim. A potem w baraku, przy wdrapywaniu się i zeskakiwaniu z tych piętrowych łóżek. Śmiałyśmy się, że odgrywamy tresowane małpy, trudno jednak było odmówić, gdy obiecano nam rychłe zademonstrowanie rezultatów. Tłumaczono, że film przeznaczony jest do dokumentacji, że to pamiątka dla przyszłości, że po wojnie...itd.!

Wobec tego zgodziłyśmy się, że występując w filmie, zdobywamy kwalifikacje filmowych gwiazd!

Nieoczekiwanie zelektryzowała nas wiadomość, którą Danusia Rodzynkiewicz otrzymała od wuja, komandora, z Londynu. Oto otwiera się dla Polek możliwość wstąpienia, ewentualnie przeniesienia do Marynarki: WRNS, do której jeszcze dotychczas Polek nie rekrutowano. A teraz właśnie zainteresowała się tym Polonia Amerykańska i ofiaruje polskim „wrenkom” finansowanie kosztów przybycia, pobytu i nauki w dwuletniej Szkole Pielęgniarskiej w Chicago. Wujek serdecznie zachęcał Danusię do skorzystania z takiej okazji, dającej szansę na zdobycie zawodu, już nie na tymczasem, w wojsku, ale już na przyszłość, także tę powojenną. Warunkom odpowiadała: co najmniej mała matura i odpowiedni wiek. Wymagano podpisania zobowiązania odpracowania przez pięć lat na stanowisku pielęgniarki w Marynarce Wojennej. Polonia zapewnia miejsca dwudziestu Polkom. Termin składania podań do dnia 15 sierpnia 1944 roku, termin wyjazdu 26 września. Bardzo nam się ta możliwość podobała. Już piętnastego lipca wysłałyśmy drogą służbową dwadzieścia podań, do Konsulatu Rzeczypospolitej Polski w Londynie kandydatek: z dużą maturą – czternaście i z małą – sześć, w tym oczywiście była Danusia. Jej wuj potwierdził wpłynięcie naszych podań. Danusia napisała o tym do mamy w Palestynie, pewna,

że pochwali pomysł wujka i decyzją córki. Nasze bezpośrednio władze nie wypowiedziały się na ten temat.

Tymczasem kierowano nas (uwzględniając nasze decyzje) na wybrane kursy szkoleniowe w lotnictwie. Niewątpliwie najtrudniejszy, najbardziej wymagający znajomości języka angielskiego, wielkiej odpowiedzialności i bardzo szybkiej orientacji był kurs dla pracowników „operation room”, czyli bazy lotniczej, kierującej lotami podczas walk powietrznych. Anglicy przekonali się, że można polegać na precyzyjnej dokładności kobiet i ufali WAAFkom przeszkolonym, Polkom tak samo jak swoim rodaczkom. W wielkiej sali na dużym stole oznaczano na mapie aktualne pozycje samolotów alianckich i wrogich, według meldunków odbieranych od lotników w akcji, oznaczano błyskawicznie wszystkie zmiany ich pozycji, o czym równocześnie informowano lotników, ostrzegano i prowadzono ich lot. Na ten kurs wybierano, oczywiście najchętniej Brytyjki, ale także dużo już naszych dziewcząt pracowało na bazie. Między innymi Krysia Bójko, z którą pracowałam w baonie saperów w Iraku jako świetliczarka (XII 1942 – II 1943r.), zanim zostałam odkomenderowana do Szkoły Młodszych Ochotniczek w Palestynie. Krysia przebywała na wyspie od dłuższego czasu, po intensywnym kursie językowym i tym specjalistycznym pracowała już w bazie od kilku miesięcy. Teraz nie ogłaszano miejsc na taki kurs.

Innym takim kursem „nie dla wszystkich” okazał się kurs oficerski dla WAAFu. Z trzech zgłoszonych chętnych kobiet wysłano tam dwie. W tajemnicy angielska sierżant powiedziała naszej instruktorce, że ta trzecia kandydatka „za mało elegancko je”. Szeptana tajemnica przypominała, że jesteśmy nieustannie obserwowane.

Mniejsze wymagania stawiano kandydatkom na kurs administracyjny, na intendenturę i do pracy biurowej. W kwestionariuszach była też rubryka do wpisania własnego hobby. Wpis do niej traktowano bardzo poważnie. Nieraz decydował o pozytywnym załatwieniu sprawy. Natknęłyśmy się na to, przy kwalifikowaniu na kurs mechaników precyzyjnych. Przyjęto dziewczęta, których hobby mogło świadczyć o zdolnościach manualnych, choćby roboty na drutach, szydelkowanie,

haft i tym podobne. Także doceniano każdy rodzaj kolekcjonerstwa, bo wymagało ono systematyczności, pogłębiania zamiłowania oraz znajomości przedmiotu.

Dowiadaliśmy się o tym nie od razu, ale po trochę, z rozmów z koleżankami lepiej zorientowanymi, trochę z obserwacji nowych warunków, na bieżąco. Trzy wybrałyśmy kurs zegarmistrzowski, wciąż mając na względzie zdobycie konkretnego zawodu: Kryisia Kowalska, Danka Kijanowska i ja.

Wkrótce zaczęły się wyjazdy na te szkolenia. Jeszcze pół dnia spędziłyśmy razem na wycieczce do Manchesteru, który wydał nam się ciemny i smutny, podobnie jak Liverpool, widziany tylko przejazdem. Dopiero spacer po parku uprzyjemnił ten wypad. Cóż, to miasto przemysłu tkackiego... I już trzeba było się zegnać, już nas rozsyłano. Taka to żołnierska dola!

W ostatni dzień pobytu wszystkich dziewcząt w Wimslow, przed wyjazdem na wybrane kursy, nadeszła wreszcie oczekiwana przez nas decyzja z Londynu. Przeczytano nam ją przy porannym raporcie. Niestety. Nie spełniła naszych oczekiwań i nadziei. Oficjalne władze nas zawiadamiały, że nie ma już wolnych miejsc, co jakoś tam motywowano, ale tego już nikt nie słuchał. Usłyszałyśmy za to, że na szczęście poprzyjmowano nas na wybrane kursy w lotnictwie, czyli mamy możliwość pracować właśnie w specjalnościach odpowiadających naszym zamiłowaniom i tym podobne pocieszenia. Trudno. Służba nie drużba. Znałyśmy już to na pamięć. I koleżanki wyjeżdżały.

Zostałyśmy we trójkę, czekające na ten kurs zegarmistrzowski, ponieważ jeszcze nie doszła wiadomość o przyjęciu nas przez właściwy ośrodek szkoleniowy. Na miejscu znaleziono dla nas zajęcia. Trzeba sprzątnąć bibliotekę. Okazało się, że polskie książki nie będą już tam nikomu potrzebne, a zajmują półki. Nie przewiduje się napływu Polek do tego Ośrodka Zapasowego. Z tymi książkami nie wiadomo co zrobić i w ogóle możemy je sobie zabrać! Ba! Dokąd? Przecież żadna z nas nie ma własnego kąta, ani nawet stałego miejsca pobytu. Szkoda, że nie rozdano tych książek po jednej, gdy było nas tutaj dwieście!

Wobec tego pakowałyśmy te książki, po parę, zaczynając od najciekawszych i wysyłałyśmy je do swoich kolegów, do Włoch. Pisali przecież, że w bardzo nielicznych chwilach wolnych ulgę przyniosłaby polska książka, ale i tego brak... Przyjmowali je z entuzjazmem, pożyczano je sobie, wymieniano... Gdyby to były lektury szkolne, pakowałybyśmy je do naszej szkoły. Te rozmaite wysyłałyśmy, dopóki nie wyczerpały się nasze oszczędności.

I właśnie wtedy nadeszła decyzja dotycząca naszego wybranego kursu. Odmowna. Kurs jest trudny i długotrwały. Nie przypuszcza się, aby ktoś poza rodowitymi Brytyjkami mógł podolać wymaganiom. Uff! Wobec tego, że proponowano zamiast tego wysłanie nas na kurs „GD” (General Duty – urzędnik do zadań ogólnych), nasze obozowe władze doszły do wniosku, że dziewczęta bądź co bądź po maturze („dużej” !) dadzą sobie radę w polskim biurze i bez tego angielskiego kursu, bo właśnie nadeszło zapotrzebowanie na trzy ochotniczki do pracy biurowej w Szefostwie Myśliwców Polskich w Stanmore pod Londynem.

Tam nas skierowano.

Przydział

Na workach wojskowych, zgodnie z rozkazem, wypisałyśmy adres docelowy i wyruszyłyśmy w trójkę pociągiem do Londynu. Dalej miałyśmy sobie same dać radę. W Londynie, na dworcu kolejowym, poinformowano nas, na którą stację metra mamy się dostać i tam pytać o dalszą drogę. Uff! Wór, plecak na plecach, chlebak przez ramię oraz ograniczona umiejętność zadawania pytań i jeszcze słabsza zdolność zrozumienia szybkich i bełkotliwych odpowiedzi sprawiły, że niespodziewane spotkanie Tośka Krzywonia u wejścia do metra przyjęłyśmy za prawdziwy cud. („Deus ex machina!” – pomyślałam z zachwytem). I rzeczywiście. Z tymi tobołami, w takim podziemnym tłoku i ruchu, z tą przesiadką i przejściem na inny peron na dole, nie byłoby nam zbyt

łatwo. Tosiek pojechał na dół z nami, przewiózł nas do tej przesiadki, tam przeprowadził na właściwy peron, wyjaśnił, jak korzystać z tablicy informacyjnej, wręczył nam kieszonkowy plan metra i pokazał, gdzie wysiąść. Pożegnaliśmy go wdzięcznym sercem i dojechały do Stanmore. Stamtąd autobusem do Bentley Priory, na nasze nowe miejsce postoju.

Zamieszkałyśmy w miłym domku, gdzie były zakwaterowane WAAFki w kilku niewielkich pokojach. Nasz, pięcioosobowy dzieliliśmy z Angielką Jin i z Walijką Dyles. Wieczorem, po raz pierwszy, słyszałyśmy przeraźliwy świst i po momencie ciszy wybuch bomby latającej „V2”, co już tam na nikim nie sprawiało wrażenia. Koleżanki Angielki opowiedziały nam o nocowaniu londyńczyków w podziemiach kolejki i wiele mówiły na aktualne tematy. Nazajutrz rano wyruszyłyśmy razem autobusem do Stanmore, bo i one pracowały w tamtejszym olbrzymim obozie służby lotniczej.

Szefostwo Myśliwców Polskich mieściło się w jednym z baraków. Dowódcą był pułkownik Jerzy Bajan, zwycięzca w „Locie Gwiazdystym” (1933 r.) i w Chellangu Europy (1934 r.), z których cieszyła się cała Polska. Pamiętałyśmy to dobrze, jako ówczesne uczennice pierwszej klasy gimnazjalnej. Akurat wtedy naszą lekturą z języka polskiego była „Szkoła Orląt” Janusza Meissnera, czytana z prawdziwym przejęciem. Teraz czułyśmy się zaszczycone takim przydziałem. Pułkownik przyjął nas przyjaźnie, na powitanie podając lewą rękę. Prawa była proste!... Mój Boże!...

Szefem naszej kancelarii był kapitan Kazimierz Rogowski, nie pamiętam nazwisk dwóch poruczników. W biurze pracował też pan Popławski i nasz rówieśnik, Janek Szydłowski. W stołówce obozowej często towarzyszył nam pan Podsiadło, mechanik lotniczy, wraz z kolegą po fachu, Czechem (nie pamiętam nazwiska), który służył w lotnictwie polskim. Rozmawiało się z nim całkiem łatwo bez tłumacza.

Pracowałyśmy jak wszyscy, od dziewiątej rano do piątej po południu, z godziną przerwą na lunch. Krysia prowadziła dokumentację

korespondencji, Danka segregowała jakieś papiery, a ja rejestrowałam ewidencją lotników. Już w Guzarze, czekając na przyjęcie do wojska pracowałam w kancelarii ewidencji, ale tam rejestrowałam tylko przybycie zgłaszających się do wojska. Tu nieraz z wielkim smutkiem musiałam dopisać: „nie wrócił z lotu” i datę. Zdarzało się jednak czasem, że po takim dopisku stawiałam nową datę i cudowne słowo: „Powrót” ! Pamiętam, że jeden lotnik odnalazł się po dwóch tygodniach, wyłowiony z Kanału La Manche przez francuskich rybaków. Cieszyliśmy się wszyscy, tym bardziej ja, która w jego rubryce „Rodzina” (domyślne: „kogo zawiadomić w razie wypadku”) widziałam zapis: „żona” i jej rocznik urodzenia – Taka młoda!

Życie toczyło się unormowanym trybem. Po pracy i posiłku w stołówce jechało się autobusem do Bentley Priory, do domu. Angielskie współlokatorki naszego i sąsiednich pokoików wprowadziły nas w swoje zwyczaje: zapalanie kuchenki pod imbryk na herbatę, zapalenie i każdorazowe gaszenie piecyka łazienkowego, sprzątanie w piątek po pracy, aby „angielską sobotę”, z pracą jedynie do lunchu, mieć wolną, na popołudnie jakieś sprawunki czy wyjście do herbaciarni w tym małym miasteczku.

Tam kelnerka przyjmując zamówienie na herbatę niezmiennie pytała: „milk and sugar?” i słyszała w odpowiedzi: „Bez cukru proszę”, czasem też: „bez mleka” i za każdym razem: „Dziękuję”. Cukier był racjonowany i do dobrego tonu należało rezygnowanie z niego. Włączyliśmy się w ten styl, oczywiście. Widocznie współmieszkanki uznały nas za odpowiednie towarzystwo, skoro nawet Jin zaprosiła nas na herbatkę do swoich teściów, gdzieś w pobliskim miasteczku. Sama pochodziła z odległego hrabstwa na północy, a jej mąż był gdzieś na froncie poza Brytanią. Wybrałyśmy się na tę wizytę z bukietami kwiatków i spędziłyśmy miłe popołudnie w angielskim domu. Zaproszono nas na następne odwiedziny, ale już nie zdążyłyśmy na nie.

Rozmawiałyśmy z naszymi współmieszkankami o zwyczajach związanych ze składaniem wizyt. Jin oznajmiła, że jej teściowie byli mile zaskoczeni tymi kwiatkami od nas i wyrażono opinię, że nie-

wątpliwie to należy do polskiego *savoir vivre*'u, bo już słyszeli o tym, że Polacy na wizytę przychodzą zawsze z kwiatami. W Anglii do obowiązków należy przede wszystkim punktualność. Nie można przyjść wcześniej ani o pięć minut, bo pani domu ma prawo jeszcze paradować w papilotach, a pan domu w kąpielówkach. Nie można absolutnie także przyjść później, niż zostało się zaproszonym. Pani domu mogła już przecież zaparzyć herbatę, albo wstawić do opiekacza chleb na grzanki, jeśli to właśnie sobie zaplanowała na sam początek spotkania. Wizyta ma być przyjemnością bez wprowadzania komuś zamieszania i dezorganizacji do domu. Na wizytę trzeba obowiązkowo wybrać się wcześniej, aby przez brak miejsca w tramwaju czy autobusie nie narazić się na spóźnienie. A jeśli dotrze się na miejsce przed czasem, można się przespacerować i poczekać na właściwy moment. Chyba, że zaproszenie dokładnie precyzuje tolerancję: Proszę przyjść po południu – to już zupełnie co innego.

Przyjęto również zapraszać na określony czas: „od godziny siedemnastej do osiemnastej trzydzieści”. To jest bardzo konkretna i uprzejma wiadomość dla gości, bo na przykład o tej godzinie gospodarzom odstawią dzieci, wyprowadzone z domu, aby nie przeszkadzały, albo właśnie odwiedzi ich teściowa czy umówiony hydraulik. A goście bez skrupowania mogą na późniejszą porę zaplanować sobie wyjście do kina czy do teatru. Jeśli zaproszenie dotyczy brydża, rzecz jasna, musi informować o tym, podobnie jak „garden party” – to ze względu na odpowiednią odzież.

W normalnych czasach zaproszenie powinno być dostarczone z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Obowiązywała odpowiedź na nie, z podziękowaniem oraz z informacją, czy się przybędzie, czy i z jakiego powodu będzie to niemożliwe. W okresie wojennym można było załatwiać to telefonicznie. Nie było tam zwyczaju wpadania bez zaproszenia, czy bez uprzedzenia. Jeśli już coś takiego się zdarzyło, że koniecznie ktoś chce odwiedzić przyjaciółkę czy przyjaciela, można w razie braku telefonu zadzwonić do drzwi, ale nie wejść, tylko zapytać, czy można przyjść za godzinę, po załatwieniu jakichś swoich (wymy-

ślonych) spraw, bo... itd. – albo umówić się na odpowiedni termin.

Do bliższych znajomych kobiety mogły przychodzić na wizytę z robótką, co wówczas i panią domu zachęcało do wyjęcia swojego szydełkowania czy drutów.

Normalnie też po poczęstunku panie pomagały zbierać ze stołu, wspólnie zmywały i wycierały naczynia, które pani domu mogła od razu wstawiać do kredensu.

Jeszcze jeden zwyczaj obowiązywał. Otóż podczas przedstawiania kogoś komuś, podawało się jakąś mini informację, na przykład: „to jest właśnie moja miła sąsiadka, która robi te oryginalne sweterki i pożycza mi nowe wzorki”, „to jest porucznik, który zaliczył już trzy kolejki lotów”, „to jest Janek, kolekcjoner znaczków pocztowych z ptakami” i tym podobne – aby ułatwić nowym znajomym nawiązanie kontaktu. Ten zwyczaj i nam bardzo się podobał. Inne różniły się od naszych polskich zwyczajów, znacznie mniej rygorystycznych. Jednak i tam wojna dopuszczała więcej tolerancji, bo jak nam nasze angielskie koleżanki tłumaczyły, niejedno przekręciło się na opak.

Dyles zwierzała nam się, dlaczego najbardziej lubi Polaków. W jej wersji charakterystyka znajomych żołnierzy wydała nam się dość zabawna. Ona twierdziła, że jest dokładna i realna. Otóż Amerykanie są zarozumiali. Potrafią dziewczynę obdarować parą amerykańskich nylonów (to była wtedy nowość, a nie tylko pończochy były na kupony, lecz także chusteczki do nosa, nawet krawat wymagał kuponu) i myślą, że będzie jego własnością. Francuzi są zmanierowani i przekraczają zasady *savoir vivre*'u. Anglicy zapraszają do kina na zasadzie „każdy płaci za siebie”, nie myśląc o tym, że ona może akurat nie mieć pieniędzy. Szkoci zamiast kina proponują spacer. A Polak płaci za kino i herbatkę, ustępuje jej miejsca w przejściu, prawi komplementy i czułości, całuje w rękę, zawsze odprowadza do domu i gotów jest uczyć się rachować po angielsku na niewinnych pocałunkach. Może też dojść do tego, że się oświadczy. Spotkała się również i z tym, że gdy dziewczyna odmówiła małżeństwa, on gotów był popełnić samobójstwo z rozpaczy! Ten przypadek wzruszał Angielki niemal aż do łez! Dotychczas to one

były tymi „starającymi się”. Młodzi Anglicy po zdobyciu zawodu wyjeżdżali do kolonii, aby w ciągu kilku lat dorobić się bez porównania szybciej niż u siebie w kraju. Wracali, gdy już zarobili na kupienie domu, bez którego nader rzadko decydowali się na małżeństwo. Dziewcząt było tam o znaczny procent więcej. Nie przygotowywano ich na ogół do pracy zawodowej, zarobkowej. Model przeciętnej angielskiej rodziny bazował na zawodowej pracy męża, żywiciela. Kobieta prowadziła dom i wychowywała dzieci. Staropanieństwo było klęską. Dopiero podczas wojny kobiety zaczęły pracować, co wcześniej zdarzało się raczej wyjątkowo. W zmienionej sytuacji podejmowały pracę w cywilu, a jeśli nie były zatrudnione, podlegały wojsku. Nauczyły się, że to jest możliwe i ma też swoje dobre strony. Poczuly się dowartościowane.

Kiedyś pojechałam do Londynu z panem Podsiadło, bo wybierał się tam do Polskiego Czerwonego Krzyża przy 34 Belgrave Square, London S W 1. Wciąż jednak te poszukiwania rodziny na zesłaniu, tkwiły w beznadziejnie martwym punkcie. Korespondencja urozmaicała nam życie; moja dość obfita. Tylko tej jednej wiadomości nie było, ani tej ze Lwowa. Tym trudniej o nie, że już tylekroć zmieniałam adres, poprzez różne kraje... Zdawało się nam, że teraz już na tym miejscu i na tym przydziale pozostaniemy długo. Może do końca wojny? Kto wie, kto wie?...

Nagle bomba! Wiadomość wprost niewiarygodna! Ciężko w nią uwierzyć... Otóż wcale Władze Naczelne nie odmówiły nam tego zwolnienia z lotnictwa, wstąpienia do WRNS ani wyjazdu do Chicago! Ani zdobycia tam zawodu pielęgniarki. Deklarowałyśmy, przyjmując warunki, pięcioletnie odpracowywanie w Marynarce Wojennej jako pielęgniarki w porcie. Zaakceptowano nasze podania! Wujek Danki Rodzynkiewicz oczekiwał nas w Liverpoolu, przekonany, że uroczyste nas pożegna przy zaokrętowaniu w dniu 26 września, skoro data została ustalona wcześniej. Nie mógł uwierzyć, że nie stawiliśmy się w porę i nie odpłyniemy wyznaczonym transportem, gdzie zarezerwowano nam miejsca. Zdołał dotelefonować się do Wimslow, zdener-

wowany, co się z nami mogło wydarzyć. Natrafił na porucznika Stopę i dopiero wszystko się wydało. To nasze, polskie komendantki w lotnictwie po prostu nas oszukały! Odczytały nam spreparowaną odpowiedź na nasze podania. I to w ostatniej chwili, przed porozysłaniem dziewcząt do różnych ośrodków szkoleniowych. Wiadomości szokujące. Dostałyśmy rozkaz natychmiastowego meldowania się w obozie w North Berwick. Powiadomiono nas o tym w biurze i musiałyśmy się pożegnać.

Wyruszyłyśmy od razu i wieczorem, późno, 9 października lądowałyśmy na miejscu, dokąd już wcześniej dotarły kolejno wszystkie kandydatki niefortunnego wyjazdu. Opowiadały, że także zostały nieoczekiwanie ściągnięte ze swoich miejsc postoju na kursach i cała sprawa nabrała rozgłosu. Wujek Danusi, jako inicjator i porucznik Stopa, nauczyciel z Poznańskiego, uzgodnili, że w North Berwick zbiorą zainteresowane osoby, aby wyjaśnić sprawę do końca. Musiały też przyjechać sprawczynie incydentu. Odprawa odbyła się w naszej obecności, z udziałem komendantki Ośrodka Zapasowego, p. Hanuszowej. Całą historię naświetlił wujek, który spotkanie zorganizował. Mętne i krótkie wyjaśnienie (wykręty) komendantek z Wimslow odłożono „ad hoc”, bo nie musiałyśmy być przy tym. Porucznik Stopa zabrał głos.

Stwierdził, że za skrzywdzenie dziewcząt, cudem przecież wydarzonych śmierci na nieludzkiej ziemi (czego nie chcą rozumieć osoby, którym to zostało oszczędzone!), należy się uczciwa rekompensata. Za taką można uznać tylko i jedynie odkomenderowanie ich na studia, na Polski Wydział Lekarski w Edynburgu. Zaznaczył, że to i tak nie rozwiązuje całego problemu, ponieważ wśród tych składających podania jest tylko sześć ochotniczek po malej maturze, więc trzeba i dla nich coś znaleźć. Pozostała czternastka ma szansę studiowania i tę szansę musi otrzymać.

Okazało się od razu, że lotnictwo nie odkomenderowuje na studia, a jedynie może ochotniczki na nie zwolnić. Wobec tego musimy wrócić do zielonych mundurów. Już rok akademicki się zaczął 1 października, więc porucznik, który wcześniej odwiedził dziekanat Pol-

skiego Wydziału Lekarskiego, poinformował, że mamy się tam zgłosić na następny dzień, z podaniami, świadectwem dojrzałości i życiorysem i dowiemy się o egzaminie wstępnym. Tak więc uczyniliśmy.

Na Polskim Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Edynburskiego

Obowiązkowe egzaminy z fizyki i chemii trochę nas przerażały. To właśnie te dwa najsłabsze przedmioty z naszej szkoły! Nauczał nas ich przypadkowy matematyk, który na powitanie oznajmił nam, że jako emerytowany kapitan artylerii dostał rozkaz nauczania i musi to wykonywać. Dodał, że fizyka i chemia to nie jego specjalność, ale ma po jednym podręczniku z tych przedmiotów (z 1922 roku!) i musimy jakoś to razem mordować. No i mordowaliśmy, nie przejmując się tym zbyt, bo w naszym humanistycznym liceum te przedmioty nie należały do maturalnych.

Egzaminów wstępnych nie udało się nam zdać więc dziekan, profesor Jurasz, polecił dać nam skrypty z obu przedmiotów, z których po dwóch tygodniach miałyśmy zdać egzaminy. Warunkowe przyjęcie nie zwalniało nas z uczestniczenia w wykładach i zajęciach przez ten czas. To docenialiśmy, jako bardzo wyrozumiałe i życzliwe podejście do nas i zabrałyśmy się do roboty z prawdziwym zapalem. W naszej palestyńskiej Szkole MO przeszliśmy dobry trening i umiałyśmy się uczyć. Mieszkałyśmy w North Berwick, skoszarowane i co dzień dojeżdżałyśmy do Edynburga. Godzina drogi autobusem. Rano miałyśmy autobus o siódmej. Zajęcia zaczynały się o dziewiątej. Wieczorem kończyłyśmy o szóstej, czasem o siódmej, a do domu wracałyśmy około dziesiątej. Musiałyśmy się żywić na własny koszt w stołówkach żołnierskich lub studenckich, w zależności od tego, gdzie było bliżej z danych zajęć czy wykładów, odbywających się w różnych budynkach. O tym nie od razu wiedziałyśmy. Z wypożyczonych skryptów uczyłyśmy się w autobusie, wieczorem bardzo słabo oświetlonym, bo obo-

wiązywało zaciemnienie, a potem, u siebie, po nocach.

Z zadziwiającą pilnością przez cały ten czas nasze władze Ośrodka Zapasowego wyszukiwały dla nas okazje do różnych dyżurów w kuchni, przy węglu, przy telefonie w nocnej zmianie, służby porządkowania terenu, najrozmaitsze obowiązki wielogodzinne, jako że nie zostałyśmy właściwie jeszcze przyjęte, tylko warunkowo, więc tym bardziej nie mamy prawa do wykręcania się od obozowych powinności. Nasze władze uznały, że musimy mieszkać w North Berwick, ponieważ w Edynburgu nie ma obozu ochotniczek, więc zgadzają się na nasze zakwaterowanie, co wiąże się z obozowymi obowiązkami i nieprzyzwoitością byłoby wymigiwanie się od nich.

Na spotkaniu z porucznikiem Stopą, który szczerze interesował się dalszym rozwojem wydarzeń, Baśka Andrzejowska zreferowała całą sytuację: nasze warunki dojazdowe, żywieniowe, obozowe, czas na przygotowanie się do egzaminu i wszelakie trudności. Baśka była, przed wywiezieniem ze Lwowa, studentką drugiego roku Akademii Handlu Zagranicznego, w North Berwick już pełniła jakieś funkcje w kancelarii Ośrodka. Jej głos się liczył. Obiecano to wszystko wziąć pod uwagę, gdy tylko już pozdamy te egzaminy. Podania o zwolnienie z lotnictwa przyjęto i w dniu 17 października wróciliśmy do służby lądowej, czyli do zielonych mundurów.

21 października zdaliśmy egzamin i zostałyśmy przyjęte na studia!

Dojeżdżaliśmy w dalszym ciągu i lekceważyliśmy wyznaczane nam służby i dyżury, nie zgłaszając się na nie. Wreszcie, namówione przez narzeczonego Marzeny Kuczery, porucznika Edwarda Kosturka, który jako oficer orientował się, że nam się uda, czyli że ze strony „babskich władz” nic nam nie może zagrażać, zaczęłyśmy poszukiwać stancji w Edynburgu. Dzięki jego pomocy, w oparciu o ogłoszenia w miejscowej prasie, dwie ostatnie z nas, Krysia Kowalska i ja, zamieszkałyśmy prywatnie pod nowym adresem, u Mrs. Mary Brown, 76 Warrender Park Road. Niedaleko znalazły się siostry Krysia i Basia Andrzejowskie (w skrócie „Baśki”). Niedzielskie wynajęły dwa pokoje razem

z Marzeną i Damianą Kaliszczak, Stasia Spólnik zamieszkała z Jagodą Hodałą, Iga Zemanek z Irmą Frączek, a Danusia Kijanowska znalazła jednoosobowy pokój dość daleko. Pamiętam, że było nas czternaście. Nie pamiętam kogo mi brakuje.... To już tyle lat... Pamiętam, że spośród nas dwudziestu po maturze, nie wybierały się do Chicago: Marysia Parczewska, Krysia Pilarz i Hanka Rumun i nie starały się także na medycynę, w przeciwieństwie do nas.

Rok akademicki zaczął się 2 października (poniedziałek), więc już nzebierało się nam zaległości do nadrabiania, z trzech tygodni. Zdążyliśmy jednak na uroczystą inaugurację roku. Otrzymałyśmy indeksy z rąk dziekana Jurasza, ze wzruszeniem wysłuchaliśmy przemówienia i z zapalem odśpiewałyśmy ze wszystkimi rocznikami „Gaudeamus igitur!”, hymn studencki, znany nam jeszcze sprzed lat, z gimnazjum. Poczulyśmy się studentkami. Wszystko potoczyło się tak nagle...

Profesor Jurasz odszedł na stanowisko dyrektora Szpitala Polskiego im. I. Paderewskiego. Nowym dziekanem naszego Wydziału został profesor Tadeusz Rogalski, anatom, który wykładał anatomię w przedwojennej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Krakowie.

Wykłady, ćwiczenia, nadrabianie zaległości, to wszystko nas wciągało w nowe życie, studenckie, lecz nie oznaczało tego, że wojskowe życie nas nie dotyczyło. Komendantka z North Berwick nie akceptowała naszego niezdiscyplinowania i o zuchwałym naszym zamieszkanui, prywatnym, zaalarmowała komendantkę w Edynburgu. W rezultacie ustalono, że tej właśnie będziemy podlegać i jej kontroli, gdyż bez tego się nie obejdzie, że osobiście każda ma się w komendzie zgłaszać po wypłatę dekadówek, czyli w ten sposób mamy dostawać żołd. Faktycznie nowa komendantka przeprowadziła kontrolę naszych stacji, w ciągu roku wpadła raz na wizytację, a gdy zachorowałam i musiałam leżeć z bronchitem, sama przyniosła mi dekadówkę. Doceńaliśmy to obdarowanie nas zaufaniem i wolnością.

O Powstaniu Warszawskim właściwie wiedzieliśmy bardzo nie-

wiele: że podobno wybuchło, że podobno trwa, że Warszawa liczy na poparcie wojsk sowieckich, bo przekroczyły naszą polską granicę w styczniu (4 I 1944 r.), co już zmusiło Niemcy do cofania się. Byliśmy jednak tak bardzo oddalone od wszelkich informacji, tak zupełnie odstawione na boczny tor dziejów, że wiadomości docierające do nas zdawały się mocno przesiane, nierealne, nieprawdopodobne i trudne do zrozumienia. Modliliśmy się o walczącą Warszawę, uczulone szczególnie porywem w obronie miasta, jako Lwowianki, od dziecka wzrastające w żywej pamięci Obrony Lwowa. Coś gdzieś słyszało się, że powstańcem zsyłana jest jakaś pomoc samolotami, ale to wszystko było pod znakiem „nic pewnego”.

Dopiero na uniwersytecie dowiedziałyśmy się o tej strasznej tragedii. Ogłoszono zebranie studentów i wszystkie poszłyśmy na nie do budynku Bratniaka, gdzie oprócz kilku pokoi, zamieszkiwanych przez naszych kolegów ze starszych lat, była sala zebrania. Dowiedziałyśmy się, że Warszawa walczyła samotnie, że za Wisłą Polskie Wojsko pod wodzą Berlinga ubezwłasnowolnione nie ruszało na pomoc, mając za sobą sowieckie bagnety, że zrzuty broni i żywności spóźnione i rozpaczliwie niewystarczające nie mogły uratować sytuacji. Samoloty wysyłane z Anglii nie uzyskiwały prawa lądowania na terytoriach zajętych przez Sowiety, a nie były przystosowane do lotu w obie strony bez lądowania. Późniejsze loty z Włoch też nie wystarczały z zaopatrzeniem w broń i żywność, a na dodatek zrzuty nie zawsze trafiały do właściwej strony. Żalobą okryła nas wiadomość o całkowitej klęsce, o pogromie Powstańców, spaleniu bohaterskiej stolicy, tysiącach poległych, rannych i tych pozostałych przy życiu, pędzonych w niewolę poza własną ojczyznę. Tyle, tyle przecierpeli, tak wytrwale walczyli do ostatka, stracili tylu najbliższych i na tym jeszcze nie koniec? Ile jeszcze trzeba ofiar do końca wojny? I do jakiego końca? I kiedy? Jak długo wciąż i wciąż? Co dalej? Głowa pękała od tych myśli i od tej beznadziei... Bez nadziei... Wstrząśnięci tymi wiadomościami, zaczęliśmy radzić nad sposobem niesienia pomocy tym nielicznym niedobitkom, którzy wbrew wszelakim zagrożeniom ukrywają się gdzieś tam w piwnicach spalonych ruin,

bo prawdopodobnie niektórym desperatem to się cudem udało.

W wyniku rozważań i dyskusji postanowiono przede wszystkim zebrać jakieś pieniądze na żywność dla tych głodujących warszawiaków. Ostatecznie ustalono, że studenci dobrowolnie zadeklarowali się na składkę po jednym funcie przez pięć miesięcy, za co żywność będzie przez kurierów przekazywana wprost do Warszawy. Prezes Bratniaka od razu zajął się listą składek. Ustalono, że kto nie ma przy sobie, może wnieść swój wkład w ciągu dwóch następnych dni.

Wracałyśmy obie z Krysią do domu, ogromnie przejęte tą naszą polską tragedią, znowu tym samotnym zmaganiem się, bez pomocy aliantów, tak gorliwie nas zapewniających o przyjaźni i w krytycznych chwilach korzystających z naszej pomocy, na którą mogli liczyć! Myślałyśmy o tych naszych głodnych i zaszczytanych bohaterach warszawskich piwnic pod gruzami i o tej naszej znikomej pomocy, na którą chcemy się zdobyć. Raz na miesiąc! I to rozwleczone na miesiące! Przecież tam liczy się każdy dzień! Im prędzej, tym lepiej, „kto daje prędko, daje dwa razy!” Tego nie wiedzą ci, którzy nie zaznali głodu. Nie poradziłybyśmy tam sobie z takim tłumaczeniem, dobrze, że chociaż zdobyli się na taką decyzję. Rachowałyśmy w domu swoje zasoby, zbierane na podręcznik z anatomii, bardzo drogi, na słownik i ewentualnie na odzież, z uwzględnieniem (nielegalnego) kupna kuponów, by w ostatecznym rozrachunku zdecydować się na wpłacenie całej kwoty od razu. Uznałyśmy, że tak musimy uczynić przynajmniej my, skoro nie mamy prawa wymagać tego od innych również.

Nazajutrz wybrałyśmy się do Bratniaka i z zadowoleniem stwierdziły, że prezes, kolega Zdziszek właśnie zbiera datki, na całkiem już sporą listę.

- Przyniosłyśmy i my swoją składkę – zaczęłam.
- I bardzo słusznie – zaakceptował.
- My, kolego, wpłacamy od razu całość: po pięć funtów – oznajmiła Krysia.
- O, świetnie, więcej takich, bogate jesteście z domu? – żartował.
- Nie, ale znamy przysłowie: „Kto daje prędko, daje dwa razy!”

– wyjaśniałam.

Zadowolone odmaszerowałyśmy, bo ktoś do Zdziszka podszedł, a i nam się spieszyło. Potem rozmawiałyśmy z koleżankami. Wszystkie powplacały tę pierwszą składkę. Oby to jak najprędzej tam dotarło!

Już w pierwszych dniach na uczelni spotkałyśmy na wykładach koleżanki z naszej palestyńskiej Szkoły, te z pierwszej matury, Alicję Pawlus, która witała nas w North Berwick po raz pierwszy. Wtedy za imponowała nam tym, że sama szyla sobie nocną koszulkę, na pożyczonej, ręcznej maszynie, skrojoną według gotowego wykroju. Mówiła, że to na ślubną wyprawę. Wyszła już za męża, gdy byłyśmy w Wimslow, w lotnictwie. Za tegoż Witka Szymkiewicza, który przed swoim służbowym przeniesieniem do Anglii przyjechał z Iraku do Rehovoth już z zezwoleniem na małżeństwo. Namawiał, aby zrezygnowała z matury na rzecz małżeństwa, ale nie zrezygnowała. Teraz się doczekał, zaś ona bez matury nie dostałaby się na studia, chociaż, co prawda, tam wówczas nie sądziłyśmy, że to w ogóle może być realne. Drugą z tej klasy była Wanda (Jakubska? – pamiętam, że z Poznania), zwana Dundą. Też już zameżna, pani Frendofer. Później od nas przybyła trzecia, Danka Oktawiec. Alicja z Dundą pokazały nam, jak wypełnić indeksy, zaprowadziły na kolejne wykłady w różnych budynkach, od nich też dowiedziałyśmy się o tej żołnierskiej stołówce.

W zakładzie chemii wspinała wykłady docenta Bolesława Skarżyńskiego cieszyły bardzo i nas i samego wykładowcę, wypisującego na tablicy różne reakcje, które przedtem uważałyśmy za czarną magię, a potem praktycznie wykonywałyśmy na ćwiczeniach w gabinecie, pod kierunkiem asystentów: docenta dra Wąsowicza i dra Leszka Działoszyńskiego. Histologię wykladał docent dr Kostowiecki (ze Lwowa) i sam też prowadził z nami ćwiczenia, demonstrując pod mikroskopem preparaty różnych tkanek, które rysowaliśmy i kolorowaliśmy oraz szybko opisywaliśmy w zeszytach, zaznaczając, czym wycinki były utrwalane i czym barwione (pamiętam rezorcynfuksynę), bo tego docent wymagał. Precyzyjnie notowało się tę dobrze poszufladkowaną

wiedzę.

Docent Śliżyński wykładał biologię, najczęściej botanikę sam, a zoologię jego asystent dr Rajski, który prowadził z nami ćwiczenia, na przedstawicielach fauny. Wykłady z fizyki, docenta dra Jabłońskiego, bardzo szanowanego za głęboką wiedzę, sprawiały nam dużo problemów. Nie nadążaliśmy ze zrozumieniem, nie były dość jasne dla nas, nieosłuchanych jeszcze z językiem nauki na tym szczeblu. Notowało się to wszystko całkiem automatycznie i uważało za chińszczyznę, z którą jakoś trzeba będzie sobie radzić, może przy pomocy jakichś podręczników czy skryptów, jeśli się je zdobędzie.

Z anatomii, która tak, jak w naszym przedwojennym programie, obowiązywała przez pierwsze dwa lata przedwojennych studiów medycznych, mieliśmy tylko ćwiczenia. Profesor Rogalski celowo nie wprowadził wykładów po polsku, aby w ten sposób zmusić nas do studiowania anatomii z angielskich podręczników. Najbardziej popularne były dwa: Cunningham „Anatomia opisowa” i Grey „Anatoma topograficzna”, którą nasz profesor preferował. Nasz Polski wydział Lekarski przez pierwsze dwa lata studiów zapewniał profesorów Polaków i wykłady po polsku. Od trzeciego roku nasi studenci dołączali już do wydziału angielskiego, z językiem angielskim, z angielskimi profesorami i wszystkimi konsekwencjami. Znajomość języka była konieczna. Po piątym roku studiów otrzymywało się dyplom ukończenia uczelni, czyli zawód lekarza z prawem wykonywania praktyki w Królestwie i w koloniach brytyjskich (jeszcze istniały). Panował tam taki zwyczaj, że już od początku piątego roku studenci starali się o otrzymanie tematu pracy doktorskiej, którą przygotowywali tak, aby dyplom lekarski otrzymać równocześnie z doktoratem.

Pamiętam parę nazwisk takich doktorantów z tego okresu.

Emilia Dudek-Lipszyc, współtowarzyszka z tego samego wagonu, wywieziona z nami ze Lwowa (13 IV 1940 roku), razem z braćmi: Jasiem, studentem już piątego roku medycyny, gdy Miła była na czwartym i z Kaziem, szesnastoletnim, „za” brata oficera. Wydostali się z Kazachstanu z Armią Andersa, Kazio w Szkole Junaków. Miła wy-

szła za męża za Franka Lipszyca, z tego samego zesłania, w Tas Bulaku, dokąd wywieziony był z matką.

Młodzi pobrali się już poza tamtą, nieludzką ziemią.

Jan Danek, ożeniony z Elą Jurkiewicz, która w 1940 roku siedziała z Wandą w więzieniu lwowskim, skąd też wysłana została do łagru gdzieś na Syberii. Elę poznałam dopiero w Edynburgu, jej młodszą siostrę Krysię, wywiezioną na zesłanie z rodziną „za” Elę, poznałam w Ajaguzie, w 1942 roku przed ewakuacją ze Związku Radzieckiego... Jej mąż kończył tutaj studia zaczęte w Polsce.

Pan Aleksander Wojciechowski, który pisał pracę z dziedziny dziedziczności, na podstawie jakichś muszek. Promotorem był docent Śliżyński, który nam o tym powiedział.

Wiedzieliśmy, że na piątym roku studiuje Wanda Piłsudska (której nie widziałam), a młodsza, Jagoda, zatrudniona w lotnictwie, latała z transportem między Wielką Brytanią a Kanadą. Krążyły pogłoski, że ich matka, mieszkająca w Londynie, otrzymuje od rządu żenująco niską rentę po mężu marszałku. Nie wiem, ile w tym było prawdy.

Oprócz nas, zwolnionych z lotnictwa ochotniczek: Alicji, Dundy i Danki Oktawiec, jeszcze jedna koleżanka nosiła mundur: Helena Hollender. Większość stanowiły koleżanki cywilne. Zapamiętałam, że były z nami:

1. Bobińska Halina
2. Filipiec Irena
3. Floręcka Irena
4. Jarosz Stefania
5. Kinel Zofia
6. Koperska Janina
7. Nowak Danuta
8. Pawłowska Irena
9. Sidorowicz (Natalia?)
10. Rembowska Halina
11. Scherer Ina

12. Schwarc Ilona – zmarła nagle na drugim roku (27 V 1946 r.), podczas obiadu z koleżankami
13. (?) Luba, Żydówka, z Wyspy, zaś Helena, Ina i Ilona były polskimi Żydówkami.

Koledzy odkomenderowani z wojska:

1. Jarema Roman – z lotnictwa myśliwskiego
2. Tetamandi Konrad – z lotnictwa bombowego – obaj po trzech kolejkach lotów.

Z Marynarki Wojennej:

1. Christ Jerzy
2. Czajkowski Zbigniew
3. Kozak Jan
4. Michałowski Adam
5. Ostrowski Leszek
6. Pawłowski Zbigniew

Służba lądowa:

1. Guzowski Bolesław
2. Mulak Stanisław
3. Sójka Stanisław

Cywilni:

1. Bentkowski Bolesław
2. Dunigiewicz Stanisław
3. Ember Stefan – zmarł na drugim roku (gruźlica)
4. Kaczmarek Marian

5. Ładziński Kazimierz
6. Paleolog Jerzy
7. (?) nie pamiętam nazwiska. To był przyjaciel Kaczmarka, obaj powstańcy warszawscy, z niemieckiej niewoli wyzwoleni przez Anglików. Dołączyli do nas na drugim roku.

Nie jest to pełna lista studentów z naszego roku z okresu: październik 1944 – czerwiec 1946. Po tylu latach tylko tyle pamiętam. Zwróciłam się do Igi Zemanek-Kabzy o pomoc w tej sprawie, lecz ona przyznaje, że nie pamiętała nawet tylu nazwisk. Poza nią nie mam kontaktu z nikim z tamtego czasu, o niektórych wiem, że już nie żyją. Teraz już jest 2007 rok – tyle lat minęło!..

Ze starszego rocznika pamiętam tylko :

Krysię Tustanowską, ochotniczkę odkomenderowaną na studia, w zielonym mundurze, jak i my.

Była tam jeszcze jedna Krysią, Marska-Kawowa – z mężem i Genek Szlamp, którego z wojska zwolniono z kategorią „E”, gdyż na Syberii stracił odmrożone palce u nóg. Z wyjątkiem Kazia Ładzińskiego, który na studia przyszedł bezpośrednio po ukończeniu angielskiej szkoły średniej i był najmłodszy, inni koledzy, cywilni, niewątpliwie zostali zwolnieni z wojska z powodu kategorii zdrowia.

Najwięcej czasu na studiach pochłaniała anatomia. Na początku zetknęliśmy się z osteologią. Zaczynało się od kręgosłupa, z łopatką i obojczykiem. Ćwiczenia z nami odbywał dr Menschik z Krakowa, a drugim asystentem profesora Rogalskiego („Dziadka”) był dr Ry-maszewki. Po zaliczonym kolokwium pisemnym i ustnym zaczęły się zajęcia w prosektorium. Wprowadził nas tam osobiście sam dziekan Rogalski, uroczyście głoścąc powagę i rangę tej pracowni naukowej. Pracownia była bardzo zimna, nieogrzewana ze względu na ekspozyty. W połowie ćwiczeń, po dwóch godzinach biegło się na górę, gdzie dyżurni zapewniali już gorącą herbatę, tudzież bułkę, na co składaliśmy się sami.

Nie zapomnę tej pierwszej pracy: abdomen, czyli powłoka jamy brzusznej. Dr Menschik skalpelem nadciął na niej skórę wzdłuż i wszerz, zademonstrował, jak się ją odpreparowuje od podłoża i powierzył dalszą czynność pierwszym z alfabetu, Andrzejowskim. Wcześniej zaopatrzyliśmy się w skalpele i pęsety, ale siostry zaimponowały nam gumowymi rękawiczkami. Nikt o tym nie pomyślał.

Ledwie zaczęły, gdy wszedł profesor.

– Nie! Tak nie wolno! To profanacja i zwłok i nauki! Proszę odrzucić te rękawice! Możecie panie, wkładać je już później, jako lekarze ginekologii, ale nigdy teraz! Teraz macie dotykiem bezpośrednim własnych rąk poznać każdą tkankę, palcami wyczuć każdy nerw, każde naczynko, każdy organ! ... – i w ten sposób dalej w ten deseń.

Biedne „Baśki”, całkiem zbite z pantaląku, kryjąc obrzydzenie, zabrały się do pracowitego ściągania skóry i oddzielania jej od podłoża z tkanki tłuszczowej. Oczy piekły nas od formaliny, zapachy otumniały. Na przerwę herbacianą wyszliśmy przed budynek, nie myśląc o podwieczorku. To jeszcze nic! Następnymi według alfabetu byłam ja, z drugiej strony Bobińska. Przypadło nam w udziale odpreparowanie bogatej tkanki tłuszczowej, z wyodrębnianiem w niej zakończeń nerwów i naczynek krwionośnych. Boże! Jak ciężko mi to szło! Przez pierwsze tygodnie cały świat widziałam poprzez bogatą tkankę tłuszczową! Jej zapach własny i formalinowy czułam w nosie, w gardle i w oczach, że ani jeść, ani spać! Tłumaczyłam sobie, że każdy początek jest trudny, że nie zawsze będzie właśnie ta bogata tkanka tłuszczowa, że osteologia przecież była taka interesująca... Aż wreszcie zezłościłam się na siebie! Postanowiłam rozliczyć się sama z sobą. Niewdzięcznica! Spotkało mnie takie szczęście i zaszczyt: studia i to prowadzące do ratowania zdrowia i życia ludzkiego, a ja wybrzydzałam! I czegoż ja jeszcze chcę? Jakim prawem? Nie jeden raz medycyna uratowała mi życie. Czy nie należy się ode mnie nic? Jakim prawem? Co się ze mną stało? Od czego były te filareckie ćwiczenia woli w harcerstwie? Czy nie na trudne sytuacje? Wzięłam się w garść i przedyskutowałam całą sprawę z Krysią. Moja współmieszkanka, niezawodna, przyjaźnie se-

kundowała tym refleksjom. Przełamałyśmy opory wewnętrzne i wdrożyłyśmy się do tych ćwiczeń prosektoryjnych.

Dr Menschik wypożyczył nam z biblioteczki Wydziału anatomie Grey'a. Ostatnią. Co dzień zadawał nam, jako przygotowanie do następnych prac prosektoryjnych, po kilkadziesiąt kartek z podręczników. Obie z Krysią błogosławiłyśmy Tośka Krzywonia za zdobycie dla nas, bardzo wówczas trudno osiągalnych, dużych słowników angielsko-polskich i polsko-angielskich Stanisławskiego. Studiując kolejny nieznaną tekst dzieliliśmy się wyszukiwaniem słówek i zapisywałyśmy je w zeszytach, starając się zapamiętać. Razem było łatwiej. Profesor wymagał znajomości nazewnictwa w języku polskim, w czym ratował nas nieraz dr Menschik, łacińskim i angielskim, co już miałyśmy w podręcznikach. Kolokwia obowiązywały ustne i pisemne, te najczęściej z rysowaniem i oznakowaniem szczegółowym, topograficznym.

Kiedys profesor wszedł do prosektorium i usłyszał, że ktoś powiedział:

– Przesuń tego trupa albo zabierz stąd te ręce i nogi!

– Jak pan śmie?! – huknął profesor – I to ma być przyszły lekarz? Tak nie wolno! Nigdy! Z uszanowaniem do człowieka, czy żywy, czy zmarły! To są ludzkie zwłoki, kolego, nie żaden trup! Tutaj się nie toleruje żadnych wulgaryzmów! Musicie to sobie zapamiętać! Lekarz musi szanować człowieka, jeśli chce na szacunek zasługiwać. I musi mieć głęboką wiedzę. Organizm ludzki jest tak bogaty, że na samą anatomie dwa lata ledwie z trudem wystarczą, aby ją poznać. I przy okazji, nie żadna ręka tu leżała czy noga, tylko kończyny.

Anatomie w prosektorium mieliśmy po sześć razy w tygodniu w pierwszym tryestrze, potem po pięć, bez soboty, tak już do końca drugiego roku studiów. Nasi koledzy z drugiego roku zajmowali salę prosektoryjną przed południem, a my po południu. Inne przedmioty, we własnych budynkach (Zakład Chemii, Zakład Histologii itp.) miały godziny zajęć dostosowane do tego harmonogramu.

Około połowy października nasza koleżanka z palestyńskiej Szkoły, Wanda Wilkówna, otrzymała telegram od matki, która pozosta-

ła na zesłaniu w Kazachstanie, gdy Wanda, jako ochotniczka przeszła ewakuację z wojskiem z Rosji do Iranu, w sierpniu 1942 roku. Bardzo nas ta wiadomość poruszyła. Nie dotarły do nas szczegóły: skąd ta depesza została wysłana; czy już z Iranu, czy z tamtego piekła (jeszcze się tak nie zdarzyło), czy może gdzieś z Indii czy z Ugandy, bo tam osiedlano Polaków wyrwanych z sowieckiej niewoli. Nie pamiętam kiedy i jakie dalsze informacje na ten temat doszły do nas, jeśli w ogóle były. Nadal czekałam z nakazaną sobie nadzieją i z tłumioną rozpaczą na jakąkolwiek odpowiedź na swoje usilne poszukiwania. Daremnie...

– Chodźcie dziewczyny do Bratniaka! Zwracają nam te wpłacone składki na Warszawę, bo nic z tego. Nie dało się zrealizować – ktoś zawołał podczas przerwy na lunch.

– Tak – myślałam – za późno, za późno. Znowu nic nie można ponoć... Ani tu, ani tam...

Poszliśmy. Kiedy już wszyscy otrzymali swoje zwroty, podeszłam z Krysią do naszego prezesa.

– My, kolego, wpłaciłyśmy po pięć funtów od razu... – zaczęła Krysia.

– Ach, miałyście ich za dużo? – zażartował, a widząc nasze poważne miny dodał: – Taaak? Nie pamiętam...

– Panie Zdziszku, wpłaciłyśmy je panu, tutaj – przypominałam.

– Nie pamiętam. Nie szkodzi. Dajcie pokwitowania.

– Jakie? Nie dostałyśmy żadnych!

– Nie? To nic. Sprawdzę na liście... – sprawdzał dwukrotnie i jeszcze raz z nami. Nie było tam nas na tej liście.

– To chyba nie jest w porządku... – zaczęła Krysia – Wpłaciłyśmy obie po pięć funtów od razu. Wszyscy wpłacali po funcie i otrzymali zwrot. Nam się też należy, skoro nie doszło do Warszawy...

– Hej, mała! A niby skąd ja mam ci zwrócić? Jak nie ma na liście, to i nie ma w kasie! Jasne? Tu coś się musiało komuś pokręcić, chyba...

– Chyba... Coś się pokręciło. ..

Odeszłyśmy z niczym. Nie! Z nauczka: trzeba wymagać po-

kwitowań, czyli dowodów wpłat, itp. Nie wierzyć samym grzecznym uśmiechom.

– To jeszcze nic, Krysiu. To tylko my jesteśmy poszkodowane. Pomyśl jednak, że tych dziesięciu funtów nie było na tej liście składek, za które miało być kupione coś dla Warszawiaków... i jak to można wytłumaczyć?... Jak to tak można?... Gorzko, jak gorzko...

Tymczasem moja siostra Wanda znalazła w jakimś monitorze informacje, że młodszymi ochotniczkami, które po odkomenderowaniu do Szkoły Młodszych Ochotniczek zostały niejako zdegradowane ze swego stopnia ochotniczki, najniższego w hierarchii w „babskim wojsku”, do stopnia młodszych ochotniczek przyznano wyrównanie do żołdu obniżonego o połowę w okresie pobytu w Szkole. Od razu napisałyśmy, jak radziła do Biura Rozrachunkowego w Glasgow podania, zaopatrzone w numer i datę właściwego rozkazu i wysłałyśmy je dnia 27 października.

Najszybciej wypłacono wyrównanie siostrze Niedzielskiej i Damianie Kaliszczak, które do Szkoły MO dostały się dopiero do drugiej licealnej, czyli były w niej tylko przez pół roku. Dokładnie pamiętam, że otrzymały po dwadzieścia sześć funtów, udało im się zaopatrzyć w kupony, z których ktoś zrezygnował i zafundowały sobie spore, ciepłe i porządne kurtki futrzane, jako że już tolerowano cywilny ubiór ochotniczek – studentek. Byłyśmy bardzo z tego zadowolone, obliczałyśmy według ich wyrównania swoje własne, z których najbardziej cieszyłyśmy się, te z nas, które zaliczyły w szkole cały rok. Między innymi i ja do nich należałam. Trzeba było jednak dość długo czekać w kolejce, a ja dostałam na ostatku, w połowie listopada, szesnaście funtów! Natychmiast wysłałam odwołanie od niesprawiedliwej decyzji, z uzasadnieniem ustawami prawnymi itd. Listy wyjaśniające krążyły w obie strony przez długi czas. Teoretycznie mogłam tam pojechać i osobiście upominać się o swoje racje. W praktyce oznaczałoby to opuszczenia dwóch dni zajęć na uniwerku i meldowanie w Biurze w Glasgow tego, co już tam czarno na białym im wysłałam. Na koniec usłyszałabym przypuszczalnie zza biurka rozkaz jakiegoś oficera: – „Odmeldować

się!” i to byłoby wszystko. Poprzestawałam w dalszym ciągu na korespondencji. Wreszcie poinformowano mnie uprzejmie, że odliczono mi koszt pobieranej w Szkole Młodszych Ochotniczek nauki (!!! – nikomu poza mną!), a na kolejne moje pismo z ponownie wypisanymi podstawami prawnymi zawiadomiono mnie ostatecznie, że być może racja była istotnie po mojej stronie, ale właśnie Biuro Rozrachunkowe już zlikwidowano! Dziwiłam się ludzkiej nieuczciwości nie pierwszy raz.

Trudno było znaleźć w normalnych sklepach papierniczych i z przyborami szkolnymi wieczne pióro. Tamto, palestyńskie, które kupiłam sobie na maturę, kiedyś mi upadło na kamienną posadzkę i przeciekało. Nosiłam więc ze sobą stale atrament i rączkę z piórem (to po Iwowsku, czyli obsadkę ze stalówką), co stawało się nieraz kłopotliwe. W dalszym ciągu nie mogłam tego znaleźć w żadnym sklepie i ucieszyłam się z wiadomości od któregoś kolegi, że w Polskim Domu Żołnierza mają na składzie zapas wiecznych piór. Kupiłam i to Parkera, czyli najdroższe, zapewniana, że wcale więcej żadnych tam nie ma i to jest ostatnie, że miałam wyjątkowe szczęście itd. Dopiero w użyciu okazało się, że z niego wycieka. Krysia pokręciła głową i orzekła, że nie wycieka, a leje. Sprzedawczyni musiała o tym wiedzieć, zbyt gorąco mi je polecała. Takie drogie! Jak mogła? Co się właściwie stało z tą normalną ludzką uczciwością? Jak to tak? Nie istnieje?...

Wanda napisała mi, że dostała skierowanie na studia. Zawdzięczała to pani Schmallowej, matce naszych młodszych koleżanek z gimnazjum SS Nazaretanek we Lwowie. Nas obie znała ze wspólnego zesłania w Tas Bułaku, dokąd została wywieziona razem z nami, z siedemnastoletnią Alą i młodszą córką Marysią. W naszym „babskim wojsku” pani Schmallowa miała stopień podporucznika i jako jedyna z komendantek wystarała się o więcej takich skierowań dla dziewcząt po maturze. Była bardzo życzliwa i całym sercem popierała stanowisko generała Andersa, który umożliwiał młodzieży polskiej studiowanie, zachęcając i zatwierdzając odkomenderowania z wojska na wyższe uczel-

nie, gdzie tylko to było możliwe w: Bejrucie, w Bolonii, w Oxfordzie, Londynie, Edynburgu. Wandzia miała swoje maturalne zaświadczenie ze Lwowa, przez przypadek zabrane przez ojca w chwili wywiezienia nas ze Lwowa. Znajdowało się za okładką Pisma Świętego, od którego tato rozpoczął pakowanie, wcale nie wiedząc o tym, że Wanda włożyła tam swój dokument...

Pani Schmallowa musiała mocno bronić swoich przekonań o konieczności kształcenia dziewcząt, wobec skrajnie przeciwnego pod tym względem stanowiska naszej naczelnej komendantki Wysłouchowej. Ta bowiem uważała, że skoro już się ktoś z tej nieludzkiej ziemi wydostał i uratował życie dzięki Polskiemu Wojsku, ma obowiązek służyć aż do ostatka, do końca wojny albo do końca życia.

W Bejrucie dwie uczelnie przyjmowały Polaków: Amerykański Uniwersytet z językiem angielskim i Francuski Uniwersytet z francuskim językiem wykładowym. Ten właśnie Wanda wybrała, dzięki znajomości języka francuskiego z gimnazjum. Dostała termin do przygotowania się do egzaminów wstępnych: z języka francuskiego i z fizyki, ponieważ zdecydowała się na stomatologię, czteroletnią. Medycyna, o której dawniej marzyła, trwała tam siedem lat. To nie na polskie możliwości w takiej niepewnej naszej sytuacji, bez wiadomych perspektyw. Z tego mojego wyrównania tym razem ja jej mogłam wreszcie, choć raz, posłać trochę pieniędzy, bo dotychczas ona nie raz zasilala moją kieszeń, gdy w SMO bazowałam na połowie żołdu i z zasady nie miałam na odpłatne wycieczki po Palestynie. Teraz ją czekał niełatwy egzamin – po przerwie w edukacji, gdyż maturę zdawała w 1938 roku.

Była jednak dobrej myśli. W Jerozolimie spotkała pana Grabiankę, którego znalazła ze świetlicy starszoharcerskiej we Lwowie. Był profesorem Politechniki Lwowskiej, szczerze zainteresowanym i czynnie patronującym studenckiemu ruchowi harcerskiemu. Ucieszył się ze spotkania, bo jeszcze we Lwowie zdążył dowiedzieć się o aresztowaniu Wandzi (8 II 1940 r.), ale nie wiedział o jej wyjściu z lagru i opuszczeniu Związku Radzieckiego. A gdy usłyszał o jej odkomenderowaniu na studia, zaproponował pomoc w przygotowaniu się do egzaminu.

Bezinteresowna pomoc i we Lwowie i w harcerstwie była rzeczą normalną, postępowaniem zrozumiałym samo przez się.

Wandzia zadowolona była ze swojej decyzji. Stomatologia to pokrewna dziedzina jej zainteresowań. Gdy bezpośrednio po maturze starała się na medycynę, odpadła przy komisji lekarskiej. W Bejrucie Polacy dostawali się na ostatnie lata, by ukończyć studia przerwane przez wojnę. Zwłaszcza ci, którzy już w wojsku pełnili obowiązki lekarzy, bo tych rozpaczliwie brakowało.

Między innymi znalazł się tam porucznik Maciej Zwierz (przyszły mąż Zosi Zemanek), którego blogosławiłam w Teheranie, gdzie leczył w Szpitalu Polskiego Czerwonego Krzyża i byłam jedną z jego pacjentek. Interesował się szczególnie medycyną tropikalną i dzięki własnemu doksztalcaniu się w tej dziedzinie i odpowiedniej terapii dosłownie wyciągnął mnie, skrajnie zagłodzoną i beznadziejnie chorą z zupełnie krytycznego stanu. Bez przesady mogę powiedzieć, że uratował mi życie .

Bardzo żałowałam, że nie mogłyśmy z Wandą być razem, na co nierychło się zanosilo. Sam jednak fakt, że i przed nią są studia, że ma tę szansę, stanowił duże pokrzepienie dla nas obu. Zamieszkała w polskim Domu Studentek, gdzie zastała już cywilne koleżanki oraz pestki, jedne już zakwaterowane, inne napływające w miarę uzyskiwanych odkomenderowań. W tym okresie Bejrut był już stolicą Libanu, który oderwał się od Syrii, będących w czasie naszej pomaturalnej wycieczki jeszcze jednolitym państwem.

Po powrocie do domu zabierałyśmy się z Krysią najpierw do anatomii, wyszukiwania i wypisywania słówek, do pisania tłumaczeń całych rozdziałów w zeszytach, na użytek w prosektorium i do powtórek przed kolokwiami. Doszłyśmy już do własnej metody wspólnej pracy i już nam to nieźle szło. Ze swymi zeszytami, księgą i słownikami siedziałyśmy, rzecz jasna, przy stole. Kiedy brałyśmy się do innych przedmiotów, według notatek z wykładów lub ćwiczeń, bez dodatkowych pomocy, przesiadałyśmy się do foteli przed kominek, w którym zazwy-

czaj gospodyni już zapalała ogień tuż przed naszym przyjściem. Podczas, gdy ja czytałam notatki, Krysia robiła sobie sweterek na drutach, z tej włóczki z lotnictwa, zapewniając, że gdy skończy, to z kolei ona będzie lektorem, a ja będę wówczas machała drutami i też zrobię sobie sweter.

Bardzo mi się podobał taki układ. Z wielkim zadowoleniem odstąpiłam jej tę pierwszą kolejkę, nie będąc zbyt pewna (a raczej będąc zbyt niepewna!) swych umiejętności w tej dziedzinie. Uczono nas wprawdzie robót na drutach, ale to było dawno, w szóstej powszechnej, i sweter nie tyle był moim dziełem wykonywanym w klasie, ile pracą mamy, odrabianą za mnie w domu, poprzedzoną nadpruciem moich szkolnych nieudolności.

Krysi robótka postępowała dość szybko. Piękny i niewątpliwie nietrawy ścieg „pawie piórka” bardzo mi zaimponował. Dopóki nie zauważyłam pomyłki na plecach. Krysia nie dała się namówić do nadprucia i nadrobienia, a szkoda, bo uważałam, że pomyłka psuła cały efekt. Krysia uparła się, że jak zrobiła, tak będzie nosić i może tak zostać. Tego wzoru nauczyła się w lwowskich „Brygidkach”, gdzie też i Wandzia robiła na „drutach” z ukradzionych w ustępie patyków z brzozywej miotły, wystruganych przez więźniarki kawaleczkiem szkła, przemycanym ze zbitej w tym celu szyby, wszystko w sekrecie przed strażą.

Dla Krysi ten sweter stał się poratowaniem w zimne, szkockie dni. Bardzo niskiego wzrostu, chyba niewiele ponad metr, wyfasowała swój wojskowy płaszcz, najmniejszy rozmiar wprawdzie, lecz długi do ziemi, co ostatecznie można by jeszcze własnym przemyśleniem skrócić, ale szeroki proporcjonalnie i z ramionami, że tylko sięgnąć i płakać. Chodziłyśmy z tym podczas południowej przerwy do różnych zakładów krawieckich, daremnie prosząc o przyjęcie tego eksponstu do przeróbki. Daremnie. W końcu doszliśmy do wniosku, że może Szkoci się boją o zapłatę, może im się wydaje, że my, przypuszczając, że wojskowym przysługuje taka przysługa, liczymy na darmo.

Wobec tego w następnym zakładzie krawieckim, demonstrując ów nieszczęsny ubiór wojskowy na żywym i zmarzniętym modelu, wy-

mownie wyjęłyśmy swe portfele, aby rozwiać ewentualne wątpliwości. Starszy pan, Szkot, nie zwracał uwagi na nasze wysiłki. Po pierwsze zapytał, kto nas do niego przysłał. Radośnie oznajmiłyśmy, że nikt, same zobaczyłyśmy szyld i od razu przyszłyśmy właśnie tutaj. Tłumaczył, że nie może przyjąć zamówienia, ponieważ kilku pracowników powołano do wojska i z tego powodu księga zamówień, wypełniona już na rok z góry, zawiera cały szereg przesuniętych terminów. Z kolei my tłumaczyłyśmy mu, jak dziecku, że Krysia w takim płaszczu nie może wcale poruszać się, same nie umiemy przerobić i nie mamy maszyny, że magazyn mundurowy nie ma odpowiedniego rozmiaru płaszcza, a przecież już jest tak zimno, że łatwo zachorować. Wyjęte portfele raczej oburzyły Szkota, zamiast go udobruchać. Z przerażeniem spostrzegłam, że Krysia gotowa się rozbeczeć, a płacz w tym kraju uważany jest za godny potępienia przejaw słabości.

Za oknem nagle lunął deszcz, jak gdyby niebiosa zesłały nam poratowanie. Kierownik tego zakładu krawieckiego pokiwał głową nad Krysią. Przyjął zamówienie i wyznaczył termin odbioru płaszcza za dwa tygodnie. Gdy tylko wziął miarę, pobiegłyśmy do tramwaju, tuż naprzeciwko, rzecz jasna, Krysia w samym frenczu, że aż czułam się zażenowana, że mam na sobie płaszcz.

W domu nasza pani Brown aż załamała ręce, na widok przemokniętej Krysi. Obiecywałyśmy nie ruszać się bez tych okropnych pelearn. Opowiedziałyśmy o tarapatkach z fasowanym płaszczem. Żalowała, że nie do niej zwróciłyśmy się w tej sprawie, ale nie przyszło nam do głowy, że to w ogóle jest jakiś problem. Mijałyśmy wcześniej zakłady krawieckie, więc zdawało nam się, że wystarczy wstąpić, uzgodnić przeróbkę i zapłacić przy odbiorze. A tu nasza gospodyni wyraża podziw dla krawca, że tak przyjął nieznaną klientki z ulicy! Nie ma takiego zwyczaju, przyjmuje się zamówienia tylko z czyjegós polecenia, niejako z referencjami od stałego klienta lub osobistego znajomego. To prawda, że pracowników cywilnych w każdym zawodzie obecnie brakuje, lecz i w normalnych czasach poręka znajomych klientów jest potrzebna, gdy zleca się fachowcom wykonanie jakiejś pracy. Takie pa-

nują w tym kraju zwyczaj. I nie płaci się przy odbiorze, lecz otrzymuje się do domu rachunek (po przyzwoitym czasie) i wpłaca się wtedy na podane konto bankowe.

Dobrze nam się mieszkalo u pani Brown. Była Irlandką, żoną Szkota, majora, który ostatni list przysłał z frontu we Włoszech, a potem bardzo długo nie miała już od niego wiadomości. Obie, z przeziębłą córeczką, Patrycją, czekały na list. Brak jego mała przyjmowała z wielką powagą i nie traciła nadziei. Uczęszczała do pierwszej klasy, odprowadzana przez matkę, od niedawna pracującą gdzieś w biurze. Lubily obie przebywać w ciepłej kuchni, ogrzewaną kuchenką gazową. Patrycja trochę czytała, potem coś rysowała, gdy matka czytała jej bajki. Bawiła się ulubioną lalką i robiła dla niej pończoszki na drutach, autentycznie, samymi prawymi oczkami i wyjaśniła nam, że mama je potem zszyje. Po kolacji i umyciu matka prowadziła Patrycję do jej pokoju i mała grzecznie mówiła „dobranoc” i szła spać. Nie zdarzało się chyba, aby spała u mamy. Usypiała szybko, przy uchylonych drzwiach i nic jej nie przeszkadzało.

Mrs. Brown, do której zwracaliśmy się w ten oficjalny sposób, wiedząc już, że nie ma tam zwyczaju mówić „pani Mary”, bo jeśli imię, to już bez „pani” (co oznaczało formę poufałą, dozwoloną jedynie na wyraźną propozycję rozmówczynie), wychodząc kiedyś z domu wcześniej od nas, pokazała nam, że w klatce schodowej przed drzwiami do mieszkania zostawia worek z bielizną do pralni, a pod nim pieniądze i rachunek za poprzednie pranie. Zachęcała, abyśmy także dołożyły i swoją bieliznę, bluzki i co tam mamy, do tego worka, spokojne, że rachunek za wypranie ich zastaniemy za tydzień w tym samym miejscu, gdy posłaniec z pralni przyjdzie po następną porcję. Oczywiście posłuchałyśmy, nie przyznając się do dręczących nas wątpliwości, czy nikt inny nie zabierze tego worka albo nie porwie tych pieniędzy spod niego. I do prania dołożyłyśmy te nasze fasowane koszule popelino-we, których właśnie nie lubiłyśmy ze względu na konieczność prasowania ich na wilgotno. Schodząc z naszego, trzeciego piętra, mijałyśmy po drodze prawie pod każdymi drzwiami takie worki tak spokojnie cze-

kające, jak butelki z mlekiem, rozwożone przez mleczarzy... Jak wspa-
niale!...

Nie tak dawno temu doświadczenie życiowe przekonało nas, że złodziej potrafi ukraść kromkę z trudem i wyrzeczeniem zaoszczędzoną, spod głowy śpiącego na niej, trzymanej zgrabiałą ręką na niepewne jutro. A także buciki, zastępujące zagłówek, gdy już nogi za-
nadto obolale zasłużyły na odpoczynek... Takich wspomnień nie opowiadałyśmy swej gospodyni, nie tylko z powodu trudności języko-
wych. To zbędne. I tak by nie zrozumiała. Tamto – to inna planeta...

Pranie zjawilo się w określonym dniu. Koszule pięknie upraso-
wane zachęcały do stałego korzystania z usług, za przyzwoitą cenę. Zo-
stawiałyśmy i my swoje rzeczy i pieniądze za poprzednie pranie, a gdy
zabrakło nam kiedyś drobnych i położyłyśmy banknot, pod workiem
znalazła się należna reszta.

Jakie to uproszczenie i ułatwianie sobie nawzajem życia! Jakie
dobre zwyczaj!...

A my znowu natknęłyśmy się na odmienne postępowanie w na-
szym, polskim środowisku. Czy to wojna tak nasz naród wykoślawiła
psychicznie? Czy ludzie, którzy tak wiele sami przeszli i stracili, któ-
rym tyle odebrano, sami teraz usiłują odbierać innym? Nie odczuli tego
na sobie?

Odwiedziliśmy Elę Jurkiewicz-Dankową, zaproszone przez jej
męża, spotkanego na uczelni. Urodził im się synek. Od Eli dowiedzia-
łyśmy się, że jej mąż, zanim przyjechał ambulans, sam w domu musiał
przyjąć dziecko i zaraz razem pojechali we troje do szpitala. Okazało
się, że to było potrzebne, bo chociaż doktorant samodzielnie poradził
sobie z najważniejszym, synkowi trzeba było jakąś błonkę ściągnąć
z siusiaka, co lepiej mógł zrobić doświadczony specjalista, w warun-
kach szpitalnych. Dziecko okazało się najpiękniejsze na świecie, go-
spodarze wspaniali, nasze skromne upominki sensowne, zostałyśmy
więc na herbatce i pogawędce. Usłyszałyśmy wiele ciekawostek, lecz
nie wszystkie budujące.

Otóż, gdy Ela spodziewała się dziecka, poinformowano ją, że jako zwolniona z wojska ochotniczka z rekrutacji w Związku Radzieckim, czyli rzecz jasna, mająca jedynie odzież fasowaną, wojskową, podlegającą zwrotowi, kwalifikowała się do otrzymania pomocy w postaci odzieży, przysyłanej na takie potrzeby przez Polonię Amerykańską do Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie. Stamtąd Ela otrzymała płaszczyk, raczej wiatrem podszyty i parę sweterków, za pokwitowaniem. Później zobaczyła u koleżanki, że ta dostała całą, kompletną wyprawkę: bieliznę osobistą i pościelową, koc, odzież wierzchnią: bluzki, spódnice, sukienki, płaszczyk i futerko dla siebie i całą wyprawkę dla dziecka Eli. Koleżanka zapewniła, że to się wszystko i jej należy, bo ma w Londynie przyjaciółkę, która ją o tym zawiadomiła. Interwencje Eli przyjęto i odpisano, że przecież swoją wyprawkę otrzymała, o czym jej własnoręcznie podpisane pokwitowanie dobitnie świadczy! Coś mi to przypomniało...

A Krysia opowiedziała o naszych upominkach, otrzymanych na powitanie w Ośrodku Zapasowym w North Berwick, jako z przesyłek polonijnych dla ochotniczek z Rosji. Zaproszone do świetlicy uroczyste poinformowane miałyśmy sobie wybierać spośród trzech możliwości, dobrane zestawy. Pamiętam, że dano nam do wyboru albo trzy ładne ściereczki, albo jedną, większą serwetkę. Następnie albo kosmetyczka, albo portfelik i na koniec albo przybornik do szycia (fasowany był mniejszy, drelichowy), albo do pisania. I dopiero w Edynburgu jakoś cudem się wydało, ŻE TE ZESTAWY ZOSTAŁY CELOWO ROZPARCELOWANE, A NALEŻAŁY SIĘ wszystkie trzy, każdej z nas... Mała rzecz, a wstyd... Machnęłyśmy ręką...

Podobna sprawa wynikała z naszym zarobkiem za plewienie marchwi, w jakimś wielkim gospodarstwie wiejskim. Szkot wynajął nas od wojska na trzy roboczodniówki, hojnie opłacane za plewienie. Pracowałyśmy uczciwie całą kompanią, zachwycone wysokością obiecanej opłaty, co przy naszych skromnych dekadówkach trafiło się, jak nie lada gratka. Kiedy jednak cała kwota została przelana na Ośrodek Zapasowy, nie zdobyłyśmy się na wyrażenie sprzeciwu, gdy w poran-

nym apelu odczytano decyzję naszych władz obozowych, naturalnie przekonanych o naszym jednomyślnym poparciu, że całość zarobków przekazujemy na ręce Polskiego Czerwonego Krzyża do wykorzystania dla Polaków osiedlonych w Ugandzie. Nikt nas wcześniej o zdanie nie pytał i rozczarowane, że nie zostawiono nam chociaż ćwierci tego zarobku, nie byliśmy zbyt pewne ani tego Czerwonego Krzyża, ani tej dalekiej Ugandy.

No cóż? Wspomnienia bywają nie tylko cudowne i wzruszające... Zdarzają się też przykre i bolesne. Ale nie mogą być zakłamate, muszą być prawdą.

Skoro już poruszam tematykę uczciwości, warto opowiedzieć o złotym zegarku, znalezionym przez Krysię na głównej ulicy, Princess Street. Piękna, rozciągnięta równoległe do parku (położonego znacznie poniżej, wzdłuż i u podnóża Góry Zamkowej), tworzącego drugą stronę ulicy, skupiała długi szereg eleganckich budynków, z eleganckimi sklepami, o odpowiednich cenach towarów. Tam właśnie Krysią, przechodząc z Adasiem, zobaczyła na trotuarze damski zegarek, podniosła i wielce zadowolona, że niedaleko przechodził policjant, podpowiedziała Adasiowi, władającemu znacznie lepiej angielskim, aby poprosił o adres Biura Znalezionych Rzeczy. Otrzymali ten adres i tam się udali. Musieli wyjaśnić, co i jak, spisano Krysi personalia i adres i podziękowano.

Na drugi dzień pani Brown zapukała do naszego pokoju z wiadomością, że mamy gości. To właścicielka zegarka przyszła podziękować Krysi. Porozmawiała z nami, korzystającymi chętnie z pomocy naszej gospodyni i na pożegnanie wyjęła pięć funtów dla Krysi, jako znaleźne. Strasznie speszona znalazczyni nie chciała absolutnie przyjąć. Tłumaczyła, jak umiała, że nie dlatego, że bała się, iż ktoś mógłby nadepnąć, że może to pamiątka, że przecież złoty...

– Tak, pamiątka, najcenniejsza z pamiątek i te dziesięć procent wartości zegarka wcale nie odpowiada jego wartości i znaczeniu dla mnie... – tłumaczyła właścicielka.

Sytuacja wyglądała już dość beznadziejnie, aż pani Brown po-

radziła, że można będzie w gazecie dać wzmiankę o wpłaceniu przez właścicielkę zegarka kwoty, równej nagrodzie za znaleźne, na Polski Czerwony Krzyż. Taka notatka znalazła się nazajutrz w „Scotsmanie”. My zaś, przejęte całym tym incydentem, dowiedziałyśmy się przy tej okazji, że jeśli ktoś odnosi znaleziony przedmiot do Biura Znalezionych Rzeczy, to z nadzieją otrzymania nagrody. Obowiązywała w wysokości dziesięciu procent wartości danej rzeczy. W przeciwnym razie trzeba było ten zegarek dla bezpieczeństwa przed zdeptaniem, położyć na najbliższym oknie wystawowym, a właścicielka, szukając z pewnością w miejscach, gdzie mogłaby go zgubić, niewątpliwie znalazłaby go sama. Tak uczyłyśmy się życia na tej wyspie ustalonych zwyczajów.

A na Princess Street i ja miałam przygodę. Szłam sobie niespiesznie w spokojny dzień, a tu zerwał się wiatr i dmuchnął mi piaskiem prosto w oko. Mrugałam, aby się pozbyć stamtąd jakiegoś natręta i... nic! Drapało i przeszkadzało i ani tędy, ani tamtędy. Trudno. Wyjęłam lusterko z lewej mundurowej kieszeni, z prawej chusteczkę, stanęłam przed wystawą i usiłowałam pozbyć się dokuczliwego ciała obcego. Szperałam różkiem chusteczki pod dolną powieką zupełnie bezskutecznie. Usiłowałam zapłakać, ale nie udało się. Co robić, to paskudztwo przeszkadza. I nagle usłyszałam:

– Let me see! (Pozwól mi zobaczyć!) i przede mną stanęła angielska pielęgniarka w służbowym stroju: popielata spódnica, popielata pelerynka, oblamowana czerwoną wypustką i taki kapelusik. Obejrzała moje oko, orzekła, że to pod górną powieką i zanim dokończyła, przewróciła mi tę powiekę, ściągnęła z niej pył i z uśmiechem poinformowała mnie, że gdybym sama własnoręcznie chciała przewrócić powiekę, będzie mi wygodniej zrobić to na zapalce. Podziękowałam, a ona powiedziała:

– Drobnostka. Udzielanie pomocy to mój obowiązek i przyjemność. Nosimy te mundury, aby ludzie widzieli, do kogo zwracać się w potrzebie!

Tak, zawód pielęgniarki jest tam wysoko ceniony i cieszy się pełnym zaufaniem.

Ulice Edynburga zadziwiały nas swoimi nazwami i nielatwo było trafić na podany adres. Nasza ulica Warrender Park Road nie miała nic wspólnego z parkiem. Równoległe do niej przebiegała Warrender Park Terrace, też nie związana z parkiem, ani z żadnym tarasem. Ale przynajmniej leżały w pobliżu. Całkiem w innej dzielnicy mogły się znaleźć Warrender Street, jeszcze w odleglejszej Warrender Lane, i zupełnie daleko Warrender Place. Tu podaję przykład, lecz jedna nazwa nie świadczyła o położeniu tych ulic, dróg, parków czy zaułków w tej samej strefie.

To wydawało nam się co najmniej nielogiczne, a w każdym razie utrudniające orientację. Do odmiennych realiów przyzwyczajone, uważaliśmy, że bardzo słusznie u nas ulica Fredry prowadziła do Placu Fredry, ulica Halicka do placu Halickiego, ulica Kościuszki przylegała do parku Kościuszki, a Zamkowa wila się długim pasmem u stóp Wysokiego Zamku. No, ale to było we Lwowie... Zaś w Edynburgu tu i ówdzie jedna strona ulicy miała zupełnie odrębną nazwę od drugiej strony tejże samej ulicy. W dodatku nazwa ulicy widniała tylko na kamienicy narożnej, na początku tej ulicy, nie powtarzano jej na tabliczkach z numerami na poszczególnych kamienicach, przeciwnie, jak u nas, co było jednak ułatwieniem. Wiele ulic zabudowywano jednakowym ciągiem domków jednorodzinnych z grządką przed i mini ogródkiem za nimi.

Dzielnice domków o nieco lepszym standardzie, już nie tak dokładnie i szablonowo jednakowych, różniły się tym, że te domki nie-raz nie poprzestawały na własnych numerach, lecz oprócz nich nad wejściowymi drzwiami wywieszały swoją nazwę, np: „Manor” (dwór), „House” (Dom), „Palace” (Pałac). Podobaly nam się w budownictwie mieszkaniowym stosowane chyba wszędzie półokrągłe wykusze, z oknami skierowanymi na trzy strony świata, zapraszającymi więcej światła i skąpo świecącego słońca do wnętrza domu.

Niewiele czasu mogłyśmy przeznaczyć na zwiedzanie Edynburga. Z tym przepięknym miastem miałam już okazję wstępnie się zetknąć, zaproszona przez Kaspra latem 1944 roku, gdy dostałam przepustkę z North Berwick. Zwiedziłam zaledwie Zamek na wysokiej

skale, śródmieście u stóp Zamku i park, ciągnący się w stronę dworca kolejowego Waverley Station, mijalam tam galerie obrazów i pomnik Waltera Scotta, olbrzymi, gotycki i ulice Starego Miasta. Potem jeszcze ZOO.

Z Krysią przeszłyśmy kiedyś jedną z najstarszych i sławną ulicą Royal Mile (Królewską Milą), podziwiając odchodzące od niej wąziuteńkie uliczki, stare, gotyckie domki i doszłyśmy aż do końca, do starego parku, otaczającego ponury Zamek Holyrood, siedzibę nieszczęśliwej Marii Stuart, Królowej Szkotów. Nie zwiedziłyśmy wnętrza zamku, bo godzina była zbyt późna.

Pani Brown upoważniła nas do korzystania z kuchni, robienia sobie tam herbaty i grzanek, na czym zwykle poprzestawaliśmy; zapewniała, że możemy częstować się mlekiem i nie tylko tym, co podawała nam na śniadanie, czy wieczorną herbatę. Zdarzyło się, że przy okazji szykowania sobie herbaty Krysią, biorąc margarynę ze spiżarki, zobaczyła obok niej smalec. Rozczuliła się na ten widok, że od niepamiętnych czasów go nie jadła i zamiast margaryną posmarować grzanek, uraczyła się kromką chleba ze smalcem. Nie poszłam w jej ślady, bo już wcześniej posmarowałam sobie grzanek ulubionym dżemem pomarańczowym ze skórką. Miałyśmy już wyjść z kuchni, z całym tym posiłkiem ułożonym obok herbaty na tacy, gdy nadeszła na to nasza gospodyni, rzuciła okiem i stanęła, jak wryta:

– O, moje biedne dziewczęta! Przecież tam w spiżarce jest świeża margaryna i dżem truskawkowy!

– A Krystyna wzięła kuchenny tłuszcz! I to na chleb, bez grzanek! Nie musicie aż tak oszczędzać u mnie! A Alicja nie widziała, że jest tam nowy słoik dżemu? I na podwieczorek wzięłaś ten śniadaniowy? O, biedaki! Nie możecie tutaj czuć się aż tak skrzepowane! Chleb z kuchennym tłuszczem!...

Nie uwierzyła, że tak wybrałyśmy sobie. No, cóż. Zupełnie inne nawyki żywieniowe.

Innym razem, gdy wyjechała na trzy dni, zachciało nam się kwa-

śnego mleka. Dopiero tego trzeciego dnia ucieszyliśmy się z Krysią, że wreszcie zsiadło i będziemy miały ucztę na kolację. Gdy wróciłyśmy po wykładach do domu, nasza pani Brown zapukała do naszego pokoju, zanim zdążyliśmy zdjąć płaszcze. Miała niezwykle poważny wyraz twarzy, na której normalnie zawsze gościł uśmiech:

– Moje drogie – zaczęła – Nie było mnie w domu przez trzy dni, ale to nie powód, aby marnować żywność...

Spojrzałyśmy przerażone jedna na drugą. Marnować? W Szkocji? Tragedia! – Co się stało?

– Tyle mleka! Tyle mleka!...

– Już jest kwaśne! Zaraz wypijemy... – zaczęłyśmy.

– Musiałam wszystko wylać! Całkiem zmarnowane! Pewnie wcale nie piłyście? Tyle się zmarnowało!..

Nie uwierzyła, że specjalnie zostawiłyśmy na kwaśno, że to się w ogóle nadaje do picia, że lubimy. Było nam przykro, że się nie dała przekonać, a jej, że musiała wylać tyle mleka!...

W stołówce żołnierskiej rodacy informowali nas, co na tabliczce wypisano, czyli jakie angielskie dania kryją się pod nieznanymi nam nazwami. Ich fantazja w nadawaniu polskich nazw wymagała czasem pewnej tolerancji, gdyż nie nadawały się do powtórzenia. Raczej nie brzmiały zachęcająco i lepiej było z takiego wyboru zrezygnować. Śliwki w klajstrze okazały się gotowanymi śliwkami suszonymi, polanymi sosem budyniowym, mocno rozrzedzonym i ledwie słodkawym. Trudności sprawiała „pie”, w wersji polskiej: „paje”. Zgodnie ze słownikiem powinien to być pasztet albo pasztecik. Jedna odmiana to było gneciuchowate ciasto, upieczone w kształcie mini miseczki, z rozciętym nadzieniem wewnątrz, z pewnością baranym, ale bez przypraw i bez smaku. Drugą odmianę, podawaną do ryżu lub do ziemniaków stanowiła rozgotowana i półpłynna masa mielonego mięsa z wodnistym sosem, również bez smaku. Na stołach w stołówce stały spodeczki z solą i butelki z gotowym sosem, raczej piekącym, niż pikantnym, do dowolnej dyspozycji stołowników. Zupy gotowe, z puszek, zawsze miały charakter rzadkiego kremu, z zapachem dominującej w niej ja-

rzyny (marchew, seler, groch). Najsmaczniejsze były kielbaski „chlebne”, z lekka podsmażane. Stołówka studencka na ogół rozporządzała podobnym asortymentem potraw.

Najbliżej Zakładu Chemii i siedziby naszego prosektorium znajdowała się na cichej, bocznej uliczce, nieduża kawiarenka, gdzie w porze lunchu można było zamówić gorące danie. Tam najczęściej wybieraliśmy frytki, kielbasę i fasolkę w pomidorowym sosie, za półtora szylinga. Taki posiłek bardzo nam odpowiadał, ale w dniach oszczędnościowych ograniczaliśmy się do samych frytek.

Już na samym początku, gdy zamieszkałyśmy z Krysią u Mrs. Brown, wręczając jej swoje kartki żywnościowe zgodziłyśmy się na śniadania, herbatkę popołudniową i wieczorną i zapewniłyśmy ją, że jesteśmy zadowolone z żywienia się w stołówkach, nie zależy nam na mięsie, jajku itp., co może wykorzystywać, bo przecież ma dziecko. Dostawaliśmy więc na śniadanie obowiązkową owsiankę (bryła ugotowana na wodzie i w talerzu polana mlekiem wprost z butelki), herbatę, mleko, cukier, grzanki i do nich masło (7dkg na tydzień) lub margarynę w podwójnej ilości i dżem. Do późniejszej herbaty (zawsze Ceylońska, najlepsza) dodawała żółty ser, herbatniki lub krakersy, wszystkie smaczne.

Parzenie herbaty celebrowała iście po angielsku, demonstrując ten rytuał nam przy Patrycji, co miało dać lekcje pokazowe dla małej, chociaż podejrzewałyśmy, że odbywało się to ku naszej chwale. Najważniejsze to zagotować świeżą wodę i wrzątkiem ogrzać czajniczek. Porcelanowy lub kamionkowy. Do ogrzanego czajniczka wsypuje się listki herbaty, po łyżeczce dla każdego oraz łyżeczkę dla czajniczka, który natychmiast stawia się na imbryku. Herbata ma się zaparzać przez cztery minuty. Dopiero wtedy jest ten właściwy moment, kiedy zdejmuje się czajniczek z imbryka, imbryk zakrywa się pokrywką, wkłada na to pikowany imbrykowy płaszczyk i już można postawić czajniczek oraz imbryk na tacę, z przygotowanymi na niej wcześniej filiżankami na spodeczkach, łyżeczkami, cukierniczką, dzbanuszkami zimnego mleka i ewentualnie talerzem herbatników lub ciastek. Teraz

można już przejść z pełną tacą do pokoju, na filiżankę herbaty.

Cała procedura szykowania herbaty, od dziecka traktowana jak narodowa tradycja, musiała podlegać tym rygorom, bo w przeciwnym razie oznaczałoby to karygodne niedbalstwo i zmarnowanie herbaty, oczywiście. Doceniałyśmy aromat i niezwykley smak herbaty, ale przypominały nam się tamte, z kotła od którego nawet ruski „kipiatok” wydawał się lepszy. I pewnie był lepszy.

Już coraz częściej rozmawiałyśmy z naszą gospodynią bez pomocy słownika, na którym zwykle pokazywałyśmy brakujące nam słowo, aby usłyszeć właściwą jego wymowę i powtórzyć za nią, „jak za panią matką” (jak w piosence z dziecięcych lat).

Wreszcie ośmielone i pewne już swych umiejętności zapytałyśmy bez słownika, gdzie znajdziemy najbliższy sklep, w którym można kupić papier. Objaśnione, że w sklepiku tuż za rogiem, pomaszerywałyśmy tam i Krysia poprosiła, bez najmniejszej tremy. Miła sprzedawczyni z uśmiechem podała jej torebkę pieprzu! Krysia zapłaciła, podziękowała i dopiero na ulicy uśmiełyśmy się z nieporozumienia i gapiostwa, że w sklepiku spożywczym szukałyśmy papieru. Pani Brown, też ubawiona, nauczyła nas wymowy obu słów „papier (paper) i pieprz (pepper)”

Drobnym sprawom życia codziennego nie pozwalaliśmy przesłaniać wewnętrznej potrzeby stałego uczenia się. To stało się naszym celem, powołaniem, pasją, ratunkiem przed poddawaniem się zmartwieniom o Najbliższych, nie pozwalało ugiąć się pod ciężarem wojny w jej najróżnorodniejszych aspektach. Trwałyśmy i wiedziałyśmy, że musimy trwać.

Zanim zdołałyśmy ustalić miejsce swojego zakwaterowania, podawałyśmy w korespondencji adres dziekanatu jako pewny, przy Potter Row i tam przychodziła nasza poczta. Pamiętam, że pierwszego grudnia 1944 r. ktoś mi w Zakładzie Fizyki podał moją paczkę listów. Naturalnie zaczęłam od listu Wandzi...

Doszła w końcu do nas ta tak bardzo długo oczekiwana wiadomość... Wiadomość o naszych Rodzicach... Przysłana przez Koło Pa-

triotów Polskich w ZSRR... O śmierci Rodziców z końcem roku 1943, w Karasu, rejon Osz, Kirgizja... Tak, ten adres podano nam w grudniu 1943 r... Oni już wówczas nie żyli... Mój Boże!.. Dopiero otrzymawszy ten adres mogliśmy wysyłać tam paczki, pisać listy... Wszystko za późno, za późno... Ani jeden list, ani jedna paczka nie zdążyła zastać ich przy życiu!... Nic, nic!... Jak beznadziejnie ciężko musieli odczuwać takie kompletne opuszczenie przez nas. I mogli myśleć, że my obie z Wandzią już nie żyjemy, skoro nie było wieści, a tam przecież każde miejsce skupiska Polaków znaczone było już nie cmentarzami, bo kto by tam zdołał nadążyć i tym się zająć, lecz tymi długimi rowami, napelnianymi, zalewanymi chlorem i napelniane zwłokami od nowa... Pamiętam, że przez cały czas zesłania martwili się o Dzikę, która była we Lwowie albo gdzieś tam na wsi, o Wandę, bo była w łagrze, ale potem dołączyła do nas, a gdy wyruszyliśmy do wojska, też martwili się o nas, bo poczta szwankowała i byliśmy daleko. Jak musieli nieustannie oczekiwać najmniejszego znaku życia od nas... Albo mogli, broń Boże, pomyśleć kiedyś, że zapomnieliśmy... Jak beznadziejnie ciężko przeżywać taką nędzę i taką tragicznie samotną, opuszczoną starość... Starość, w wieku lat pięćdziesięciu siedmiu i pięćdziesięciu ośmiu!... O cioci ani słowa, ale ona już tam, w Tas Bulaku, jesienią 1941 roku nie rokowała nadziei i nie zapowiadało się na poprawę. Nie mogę się pozbyć myśli, że jakikolwiek od nas znak życia i pamięci, byłby tak bardzo ważnym podtrzymaniem na duchu dla nich, a te paczki, jakaż to by była przynajmniej pociecha, jeśli nie istotne wsparcie i ratunek. Jak zupełnie inaczej człowiek żyje wspierany nadzieją, jak dowody pamięci stają się dosłownie deską ratunku... A tam... nic. Nic!..

Było mi bardzo ciężko, tym bardziej z powodu rozłąki z Wandą. Teraz siostry potrzebowały się nawzajem szczególnie. Ja przynajmniej miałam przy sobie Krysię. Okazywała mi bardzo dużo przyjaźni, bardzo docenianej. Jej życie z pewnością nie było łatwiejsze od mojego. Wręcz przeciwnie. Siedziała w więzieniu, siedemnastoletnia, w łagrze harowała przy wyrąbie lasu na dalekim Sybirze, ledwie odratowana, po przygnieceniu konarem zwalonego drzewa, takie małe chuchro, sil-

ne jednak duchem.

Po paru miesiącach zaczęto mnie wzywać na główną pocztę w Edynburgu, gdzie musiałam osobiście i za pokwitowaniem odbierać zwroty swoich listów wysyłanych do rodziców. Po kilku takich przypadkach poprosiłam i zostawiłam tę prośbę na piśmie, jak wymagano, aby mnie już w tej konkretnej sprawie nie wzywano, lecz te listy niszczone. Nie byłam w stanie przeżywać tego wciąż od nowa.

Grudzień przeważnie deszczowy mijał szybko, wypełniony przygotowaniami do kolokwiów z chemii i z anatomii: abdomen (powłoka brzuszna). Czasem odwiedzały nas – koleżanki pestki. Kiedyś przyszła Danusia Nowak. Była prawie taka mała, jak Krysia. Mieszkała z rodzicami, mieszkała od wylądowania w 1940 roku na wyspie w Edynburgu, uczęszczała do angielskiej szkoły, zdała angielską maturę, podobnie jak Irka Filipiec, Irka Pawłowska, Ina, Ilona i jeszcze inne cywilne koleżanki. Dobrze się orientowała w realiach życia w Edynburgu.

– Dobrze trafiło wam się to mieszkanie – zaczęła – I miły pokój i tak blisko uniwerku...

– Blisko? Prawie trzy kwadranse jedziemy szóstką!

– Cooo? A to po co? Przecież przez Meadows macie spacerkiem nieco więcej, jak kwadrans drogi!

– Coooo? Niemożliwe! Jak wychodziliśmy ten pierwszy raz na wykłady i zapytałyśmy Mrs. o drogę, to sama nam poradziła jechać tramwajem.

– I dodała, że mamy przystanek za rogiem i powiedziała, gdzie, na jakiej ulicy wysiąść.

– A lał taki deszcz, że biegliśmy do tramwaju, bo właśnie nadjeżdżał...

– No, to już wszystko jasne! Wsiadłyście do tramwaju w przeciwnym kierunku!...

– Nie! Wsiadłyśmy do szóstki, tak jak nam powiedziała i wysiadłyśmy też dobrze, całkiem blisko Uniwerku. Wszystko się zgadzało.

– Wiecie co, szóstka jeździ dookoła miasta. Gdybyście wsiadły

po drugiej stronie ulicy, jechałybyście cztery przystanki i już byłybyście na miejscu. Ale gdy skróćcie w prawo o kilkanaście kroków za tym tutaj przystankiem szóstki, to zobaczycie Meadows i prostą aleją dojdziecie do końca, tam, gdzie przy bramie wejściowej stoją na straży dwa konie na słupach. Na lewo od nich jest Szpital Królewski, taki gotycki budynek ze stożkowatymi wieżyczkami, a jak pójdziecie w prawo, dojdziecie w pobliże naszego prosektorium i już się nie zgubicie.

– Świetnie! Jutro pójdziemy przez Meadows.

– A ta wasza jazda dookoła miasta, toż to świetny przykład dodawania wektorów, o którym wczoraj wykladał fizyk! Taki żywy przykład – cieszyła się Danusia i śmiałyśmy się z naszego przydługiego podróżowania co dzień w obie strony. Uznałyśmy jednak, że Edynburg jest taki piękny, że warto było z górnego pokładu tramwaju oglądać to miasto.

Mogłyśmy też przy okazji podziwiać pracowitość pasażerów. Nie widziało się próżnujących. Kobiety wyjmowały swe roboty na drutach (najczęściej na żyłce, bo są krótkie) albo szydelkowe. Mężczyźni czytali, zwykle gazety, młodzież też czytała. Na dolnym pokładzie panował większy ruch, jechali pasażerowie na krótsze trasy. Na przystanku pasażerów do tramwaju wpuszczał konduktor, ogłaszając w drzwiach, ile osób może wsiąść i tyle z kolejki wchodziło. Jeśli okazało się, że ktoś z czekających nie może wejść razem z osobą towarzyszącą mu, zwykle przepuszczał kogoś następnego z kolejki. Nie spotkałyśmy się nigdy z zamieszaniem, targowaniem się czy brakiem zdyscyplinowania. Także nie widziałyśmy, aby pasażer, który nie zdążył wykupić biletu u konduktora, wyszedł bez zapłacenia za przejazd. Należność wrzucał do skarbonki, wiszącej na drzwiach. Konduktor wydawał bilety nakreślając na noszonej na ramieniu maszynie ich cenę, zależną od długości wybranej trasy. Tym szczegółem czułam się zaskoczona, bo we Lwie bilety nie miały ceny zróżnicowanej w zależności od ilości przystanków. Można było jechać od rogatki (np. Łyczakowskiej) do przeciwległej (np. Janowskiej) za dwadzieścia pięć groszy, tak samo jak płacić za jeden przystanek szkolny bilet, zniżkowy: 15 groszy. Przysługiwał

przy legitymacji szkolnej.

Opowiedziałyśmy Danusi o naszych obserwacjach w tramwaju. Dodała, że na górnym pokładzie nie wolno stać i konduktor stale pilnuje tego, wysyłając tam pasażerów właśnie tych na dłuższe trasy. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem dowiedziałyśmy się, że Danusia Nowak leży w szpitalu. Odwiedziłyśmy ją tam kilkakrotnie. Dzielnie się trzymała, ale miała poważne problemy z nerkami, leczenie się mocno przeciągało i przykrością musiała zrezygnować ze studiów, w każdym razie w tym roku. Bardzo jej współczuliśmy. Miała tyle zapału i planów!..

Nad naszymi trudnościami z fizyki debatowaliśmy któregoś dnia w prosektorium, gdzie te lamenty usłyszał kolega z drugiego roku, Genek Szlamp. Zaprosił nas na wykład do budynku Bratniaka i tam wyjaśnił nam nasze wątpliwości w sposób uwielbiany, lopatologiczny. Mało tego! Wszystkich zagubionych w arkanach fizyki obiecał oświecać w niedziele o stałych godzinach. Bezinteresownie. Zbieraliśmy się z wdzięcznością na tych jego wyjaśnieniach fizycznych niejasności. Był taki koleżeński, że cieszyła go możliwość pomagania nam. Fizykę zaś uważał za interesującą i taką ją nam przedstawiał.

W tym budynku, w dość dużej sali nasz Wydział urządził Czwartki Akademickie, czyli potańcówki. Podobno najliczniej przychodzili studenci drugiego roku, ale od początku zapraszano też nas, że właściwie jest to jedyna forma naszego życia towarzyskiego, sposobność poznania się i nawiązywania kontaktów koleżeńskich, ograniczających się poza tym zwykle do mijania się w przejściach do sal wykładowych czy prosektorium. Polaków na uczelni jest ograniczona liczba i powinniśmy się przynajmniej znać. Z innych, starszych roczników też nieraz ktoś przychodził, czasem paczką, w kilkoro. Zjawiają się również asystenci i wykładowca chemii. Nie miałyśmy absolutnie czasu na to przez spóźnienie, zaczynając od uzupełnienia braków. Potem, zaabsorbowane walką z trudnościami językowymi, również nie myślałyśmy o rozrywkach. I jakoś tak to się odwlekało, że wcale nie było nam w głowie bawić się. Absorbowała nas nauka. Naprawdę.

Niedziele skupiały całą Polonię w kościółku Św. Anny, polskim, przy Randolph Place – króciutkiej uliczce niedaleko od Princess Street, na końcu jej, przeciwległym do tego z pomnikiem Waltera Scotta. Msze odprawiano o dziesiątej i o jedenastej. Między jedną a drugą można było przed kościółkiem spotkać wszystkich naszych rodaków. Czasem po tej późniejszej mszy wybierała się nas cała paczka do polskiej prywatnej restauracji pana Janickiego na polskie pierogi. Bardzo smaczne i drogie. Stołówki i wiele restauracji w niedziele było nieczynnych, tak samo, jak kina w Szkocji.

Na niedzielny obiad przeznaczaliśmy z Krysia nieco więcej gotówki, aby pójść do Patrick – Thomsona albo do Bal – Moral przy Princess Str. na obiad za dwa i pół szylinga, przy dyskretnej orkiestrze. Tam dania były smaczne, nie droższe od polskich pierogów, a do domu bliżej. Po codziennych oszczędnościowych frytkach, zjadanych nieraz wprost z worka skreconego z gazety na kolację, po drodze do domu, albo po frytkach z rybą, stanowiących nieco droższy posiłek, taki obiad podany nam do stołu nakrytego serwetą, był bardzo miłą odmianą przy niedzieli. Potem wracaliśmy do domu niespiesznie, odświętnie, spacerkiem.

Nasze praktyczne koleżanki i zaradni koledzy wynajmując stancje ustalili z góry, że z wyżywieniem, o czym my niefrasobliwie, zapomnieliśmy. Oddaliśmy swe kartki żywnościowe też bez zastrzeżeń, wystarczyło nam to, co Mrs. Brown nam sama dawała, nie zależało nam na reszcie, z której zrezygnowaliśmy bezboleśnie. Tamci dostawali domowe obiady po powrocie do domu, co było w Anglii normalną obiadową porą. Gdy leżałam chora, pani Brown poczęstowała mnie obiadem, smacznym, z kalafiosem w beszamelowym sosie, co jadłam pierwszy raz i dlatego pamiętam. To był jej pomysł. Doceniłam.

Te wszystkie detale naszego bytowania nie przesłaniały nam fascynujących godzin w prosektorium, a poprzedzało je studiowanie potężnych partii materiału, zadawanych nam stale z dnia na dzień hojną ręką doktora Menschika. Wciągnęła nas ta praca, znajomość słownic-

twą ulegała poprawie, dawne opory w prosektorium malały, wciągało nas życie studenckie. Wciąż żalowałam, że mojej siostry nie ma ze mną, lecz stałą pociechę sprawiała myśl, że i ona jest na studiach. Kryśka bardzo przyjazna, budziła zaufanie, razem przeżywałyśmy radości i smutki w tym obojętnym świecie, w niesprzyjającej nam sytuacji politycznej, o której nader trudno dawało się zapomnieć. Życie toczyło się dość jednostajnie, ale nigdy nie nudnie. Miałyśmy co robić i o czym myśleć.

W naszej szatni prosektoryjnej, jak to dziewczęta, ucinałyśmy sobie nieraz pogawędki, zainteresowane losami każdej z nas, głównie zaś tych koleżanek, których drogi do Edynburga nie wiodły *via* ZSRR. Młodsze przeważnie pochodziły z rodzin oficerskich, którym udało się wydostać z Polski w 1939 roku, potem przez Węgry lub Rumunię i Francję trafiły do Anglii. Nie wstąpiły do wojska, były przy rodzicach, chodziły do angielskich szkół, zdały angielską maturę, nie traciły czasu.

Te starsze od nas to mężatki, których mężowie podlegali służbie wojskowej albo pracowali na cywilnych stanowiskach polskich lub angielskich. Studia zapewniały tym paniom zawód na przyszłość i stypendium na bieżące życie, większe, niż przeciętna pensja angielskiego nauczyciela szkoły powszechnej. Nie pamiętam, kim był mąż pani Sidorowicz, tej najstarszej z nas, o której mówiono, że przekroczyła czterdziestkę. Zawsze poważna i zrównoważona, raczej obserwowała młodzież, niż się zbliżała do niej, nigdy jednak nie odmówiła prośbom o jakąś radę. O następnej pod względem wieku wiedziało się w tajemnicy, że przyczyną jej smutku jest przebyta operacja, wykluczająca możliwość posiadania potomstwa, co u Żydów uważane jest za ciężki dopust Boży, a była Żydówką.

Kolejna, pani Irena Florecka, przed wstąpieniem na nasz Wydział, ukończyła studia prawnicze, rozpoczęte w Polsce przed wojną, i ostatnio właśnie uzyskała doktorat, zdany na Uniwersytecie Edynburskim. Mąż jej, również doktor prawa, pracował na uczelni szkockiej.

Przy pani Irenie najczęściej widziało się Helcię Hollender, początkowo jeszcze w mundurze ochotniczki, potem już zdemobilizowaną,

przed odpłynięciem do Stanów Zjednoczonych. Znaleźli ją tam jacyś sponsorzy, których nie znała, ale wśród Żydów zawsze znaleźć można było jakieś pokrewieństwo czy powinowactwo, tak byli solidarni i zawsze sobie nawzajem pomagali. Zaproszono ją tam z wielką radością, że przeżyła tak strasznie groźną zawieruchę wojenną. W listach zapewniano, iż jest pierwsza na liście z rodziny ocalałej z nieludzkiej pożogi, następnych ściągną kolejno, a na nią czeka tam możliwość kontynuowania studiów i całe środowisko przyjaciół, wyglądających jej przybycia. Opowiadała, że na jej pytania o to, co ma ze sobą przywieźć, odpisano, że szczoteczkę do zębów.

Z przysłanych już stamtąd relacji pani Irena dowiedziała się, że Helcia wprawiała w głośną wesołość całą gminę współwyznawców, gdy okazało się, że przypuszczając, iż istnieją tam braki w zaopatrzeniu w szczoteczki do zębów, nakupiła w Edynburgu spory ich zapas licząc się z tym, że może nie tylko dla siebie. Skąd mogła wiedzieć, że informatorzy mieli na myśli tylko szczoteczkę, że to powiedzonko oznacza, że nic więcej! Przygotowano jej samodzielne komfortowe mieszkanie, dwupokojowe, umeblowane, o szafach wypełnionych odzieżą wszelkiego rodzaju, bielizną pościelową, wszystko ładne, starannie dobrane i praktyczne. Pisała, że czuje się szczęśliwa. Ucieszyło nas że w tej ciężkiej epoce, w której życie ludzkie nie tylko nie miało żadnej wartości, lecz tak strasznie okrutnie było tępione, ktoś jednak cudem zdołał przeżyć i jeszcze upewnić się o ludzkim sercu wbrew tylu wrogom ludzkości.

Kiedyś natrafiłam w naszej babskiej szatni na niezwykle poruszenie. Zdarzyło się, że jedna z dziewcząt pożyczyła książkę swojemu aktualnemu narzeczonemu, tu na medycynie, a dopiero później (sądziła, że za późno) przypomniała sobie o pozostawionym w książce liście od tego poprzedniego narzeczonego, będącego we Włoszech. Zamartwiała się, że list przeczytany przez niepowołanego, doprowadzi do zerwania, nie chciała tego i bardzo się bała. Wszystkie dziewczęta dyskutowały na ten temat w przewidywaniu wynikłej afery. Byłam tak

zaskoczona, że zabrałam głos, co nie zdarzało mi się zbyt często. Tłumaczyłam z najsilniejszym przekonaniem, że nie uwierzę nigdy w to, że on (wiedziałam o kogo chodzi) mógłby przeczytać cudzy list. Bez pytania o pozwolenie? Z pewnością nie! Nie ten! Może gdzieś, ktoś, niewychowany... Żadna mnie nie poparła! Zakrzyczano mnie!

– Wiesz co, Alicja! Ty chyba z obłoków spadłaś! Na pewno przeczytała!

– Uff! dostało mi się...

Gorzej, że to nie ja miałam rację!.. List został przeczytany przez niepowołaną osobę i doszło do zerwania. Przeżyłam szok, może niewiele mniejszy od adresatki. Miałyśmy o czym dyskutować z Krysią, wracając do domu. A po latach dowiedziałam się, że ta koleżanka wyszła za mąż za autora tego właśnie listu.

Takie zwyczajne sprawy życia codziennego zdawały się tuszować dziejowe wypadki, stałe rozważania, rozczarowania polityką naszych aliantów, gdy wyrwawszy się czasem do kina oglądaliśmy w dzienniku Stalina, przy akompaniamencie pochwał płynących z ekranu i długich braw publiczności. Już Związek Radziecki był tym najważniejszym sprzymierzeńcem, już nie pamiętano Polakom Bitwy o Londyn w 1940 roku, a postawa i pojęcie polityczne społeczeństwa brytyjskiego kształtowały się dokładnie według zmiennej opinii ich codziennej prasy.

Doktor Menschik, który patronował ćwiczeniom prosektoryjnym naszej grupy, zainteresował się tymi dwoma marynarzami, którzy dołączyli do nas ostatni, późno odkomenderowani z Marynarki Wojennej, znacznie później od kolegów skierowanych z lotnictwa, potem od nas i następnych po nas marynarzach przysłanych z okrętów. Byli to: Adam z Kierownictwa Marynarki Wojennej w Londynie, z przydziałem „Clerk general duty” (urzędnik do zadań ogólnych) oraz Janek Kozak, też z jakiejś bazy. Oczywiście nie mieli żadnego podręcznika do anatomii, a przecież też musieli nadrobić braki, nawet większe niż my. Asystent dowiedział się gdzie mieszkają, a zorientowany wcześniej

w naszych zakwaterowaniach doszedł do wniosku, że najbliżej mają Krysię i mnie, którym wypożyczył Grey'a. Uznał, że nam tych dwóch kolegów podrzuci do wspólnej nauki. Oświadczył nam razem zebra- nym, że absolutnie obie strony będą zadowolone z takiego korzystnego układu, bo oni, przebywając na wyspie o parę lat dłużej, znacznie lepiej znają język od nas, a my mamy Grey'a, czyli wspaniały podręcznik to- pograficzny, wypożyczony na dwa lata, czyli do końca prac prosekto- ryjnych, aż do końcowego egzaminu z anatomii. Powiedzialiśmy kole- gom, że musimy uzgodnić ze swoją gospodynią ich wizyty.

Ósmego grudnia w święto Matki Boskiej mieliśmy wolny dzień. Anglicy tego nie obchodzą. Po mszy w naszym polskim kościółku spo- tkaliśmy Adasia z Jankiem. Zastanawialiśmy się właśnie dokąd wybrać się na obiad, do której stolówki bliżej, do studenckiej czy do żołnier- skiej, ale koledzy zaprowadzili nas do Woolworth'a. Znalaliśmy już ten najtańszy, wielki dom towarowy, ale nie wiedzialiśmy o samoobsługo- wej restauracji na najwyższym piętrze. Podobała nam się, znalazłyśmy tam duży wybór dań i nieraz potem była nam po drodze. Po lunchu poszliśmy spacerkiem do nas. Faktycznie swoją stancję mieli blisko, na najbliższej, równoległej ulicy.

Mrs. Brown nie miała nic przeciwko i dostawiła dodatkowe dwa krzesła do naszego pokoju. Miły był ten nasz pokój i jasny, z tym półkolistym wykuszem zapraszającym więcej słońca do domu! „w te szkockie, deszczowe dni” – jak w piosence. Przy oknie, a raczej przed tym półkolem stało łóżko Krysi. Moje przy ścianie. Miałyśmy jeszcze szafę, właściwie pustą, poza sortami mundurowymi, no i te dwa fotele przed kominkiem, niezbędne w każdym angielskim domu i chyba też w pokoju.

Nauka z kolegami (którzy od dłuższego czasu nie mieli z nią nic do czynienia) początkowo rozkręcała się wolno, ale ich znajomość po- tocznej angielszczyzny faktycznie się przydawała, podobnie jak nasza cierpliwość w wyszukiwaniu słówek z dziedziny naukowej. Oni towa- rzyszili nam przy książce do godziny jedenastej. W sąsiednim pokoju

spala Patrycja, której snu nie zakłócały nasze głosy, chociaż w dalszym ciągu matka pozostawiała uchylone drzwi do pokoju małej. Po wyjściu kolegów zabierałyśmy się z Krysią do notatek z innych przedmiotów, starając się uporać z tym do północy, aby się jednak wyspać przed następnym dniem.

W początkowym okresie, gdy raz w tygodniu nie dorzucano nam żadnego wykładu po ćwiczeniach prosektoryjnych, korzystałyśmy z milej propozycji Towarzystwa Szkocko – Polskiego i we trójkę: Krysia Kowalska, Danka Kijanowska i ja uczęszczałyśmy na lekcje angielskiego. Bardzo nam na nich zależało, chociaż Miss Smith kładła główny nacisk na zaznajomienie nas z różnego rodzaju idiomami angielskimi, w oparciu o pożyczony nam podręcznik, a nieco mniej na naszą zdolność komunikowania się, czyli o szybkie rozumienie i właściwe odpowiadanie, o co nam bardziej chodziło. Jednak te lekcje pomagały w pokonywaniu wciąż jeszcze aktualnej bariery językowej i ceniłyśmy je, jak zasługiwały na to. Przygotowywałyśmy się do tych półtoragodzinnych spotkań, co stanowiło o dodatkowym walorze. Miałyśmy okazję cieszyć się tymi lekcjami przez pierwszy trymestr.

W tych samych godzinach swoje spotkania organizował studencki męski chór naszego Wydziału. Nie pamiętam już, kto z naszych kolegów należał do tego chóru, poza Adasiem. Miał dobry głos i przyjemnie się go słuchało. Podobnie jednak, jak my z naszych lekcji, musiał zrezygnować z prób chóru i ze spotkań z pieśnią. A szkoda. Mieli dobry wybór popularnych wówczas tam pieśni i piosenek, których melodie wspominam i niektóre teksty, jak tej ulubionej Adasia:

Pamiętasz dom swój rodzinny; pamiętasz stary sad?
I zabaw tych dzieciennych zaczarowany świat?
Ty byłeś wodzem Indian, w koronie z orlich piór
Na twierdzą starej gruszy zacięty wiodłeś bój,
Aż wszystkie chwasty padły wokół,

Pamiętasz, bracie mój?
A gdyś pobiwszy już wroga, syt chwały wracał w dom,
Mateczka twa u progu czekała z piosnką tą:

Czas do domu, czas!
Już wołają nas:
Dzwonek z wieży do pacierzy
Matka z progu do wieczery
Czas do domu, czas!

Niedola nas macosza rzuciła w obcy świat
I dom nasz opustoszał, chwastami zarósł sad.
I tylko w każdy wieczór mateczka twa u drzwi
Czeka, aż wrócisz z szablą w dłoni,

Jak za dawnych dni
Czas do domu, czas!...

Z repertuaru Adama Kowalskiego i Feliksa Konarskiego

* * *

O, Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
Wołamy z cudzych stron do Ciebie,
O polski dach i polską broń.
O, Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj
Do wolnej Polski nam powrócić daj!
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz dom.
O, usłysz, Panie, skargi nasze,
O, usłysz nasz tulaczy śpiew!
Znad Warty, Wisły, Sanu, Bugu

Męczeńska do Cię woła krew!
O, Boże, skrusz ten miecz!...

* * *

Panienczko szkocka, szkocka, szkocka,
Nie rób do mnie oczka, nie rób, nie!
Skusić mnie nie uda ci się,
Bo ja w Polsce mam Marysię,
Za Marysią, Marysieńką,
Tęsknię całe dnie.
Panienczko ruda, ruda, ruda,
Nie bierz mnie na cuda, nie bierz mnie!
Jeszcze mnie zawiodą losy
Do dziewczyny jasnówłosej,
Do Marysi, Marysieńki,
Co wygląda mnie!

* * *

Polskie serce w angielskim mundurze,
To najprostsze, najszczerze, bez wad,
Drga najsilniej i wierzy najdłużej,
Promieniując przykładem na świat!
Umie znieść nawałnice i burze,
Jego przykład miliony jest wart.
Polskie serce w angielskim mundurze,
To odwaga, to męstwo, to hart!

Z repertuaru Chóru studenckiego

„Marynarskie tango”

To marynarskie tango nie ma być przebojem,
To bardzo prosta piosnka, gdzieś słyszana raz,

To marynarskie tango idzie wraz z konwojem
I nie wiadomo dokąd zaprowadzi nas.
To marynarskie tango, na akordeonie
Graj, bracie, niech przypomni ci się Stryjski Park,
Lub na o-e-r-likonie,
Kiedy nam szwabskie bomby sypią się na kark.

Marynarz mówi często: – Niech cholera bierze!
A w duszy szepcze: – Boże, Ty mnie strzeż!
Marynarz mówi: – Kocham, niech mi panna wierzy!
A w duszy myśli: – Jeszcze jedna też!
Marynarz mówi: – Kraj, to dla mnie morze
A w duszy myśli: – Wilno, Lwów i Łódź
I już mu nawet prawda nie pomoże,
Wiec tą piosenką serce jego zbudź.

To marynarskie tango było już w Murmańsku,
Na Malcie było, pod Narwikiem było też.
To marynarskie tango będzie w polskim Gdańsku,
Na Helu i w Szczecinie zaśpiewamy, wierz!...

Z „Lwowskiej Fali”

Hej, naprzód, śmiało, niech piosnka wesoło brzmi!
Co nam zostało w te szkockie, deszczowe dni?
Troska? – To mało! zwątpienia z niej pada cień...
Trzeba piosnkę mieć, by śmiało
Przeżyć dzisiaj dzień!

Po mlecznej drodze myśli moje mkną
I może teraz nad Warszawą są,
I może zatrzymały swój szaleńczy bieg
I patrzą na piaszczysty Wisły brzeg?

Po mlecznej drodze myśli pędzą w świat.
I szybsze są i śmielsze są niż wiatr
I może niosą wam tych kilka słów,
Że my wrócimy do was znów!

Grudzień... Jeszcze trwała wojna paraliżująca normalne życie. A jednak zbliżające się Boże Narodzenie już sygnalizowały sklepy wprowadzaniem niecodziennego nastroju. Wystawy zdobne, w Santa Claus, zachęcały do odwiedzin, oczywiście nie bezinteresownych. Ten ich Święty Mikołaj reklamował wszystko, co tylko było do sprzedania i do kupienia. Miał postać wielkiego, czerwonego karła, zupełnie jak tamten bolszewicki Dziadek Mróz! Gdzie mu tam do naszego Mikołaja, temu anglosaskiemu! Nie katolicki przecież! Ani na sobie ornatu nie miał, ani nie otulała go uroczysta kapa, ani siwej głowy nie zdobila infuła, ani pastoral nie wystukiwał rytmicznie jego kroków. I wcale nie odwiedzał dzieci w dzień szóstego grudnia, czyli w dzień swojego święta, tylko przychodził w noc wigilijną. Wkładał im do skarpet zawieszanych w tym celu na dziecięcych łóżeczkach, jakieś słodczyce i zabawki. Dorosłym kładł upominki przy nakryciu do śniadania, chyba że w danym domu mieli choinkę, w takim razie prezenty znajdowano pod choinką, ale choinki należały w owych czasach do rzadkości. Otwieranie paczek z prezentami lub wybieranie ich z mikołajowych skarpet odbywało się w angielskich domach w świąteczny poranek. Często w noc wigilijną urządzano bale, chyba na wzór amerykański, ale cieszące się dość dużym powodzeniem.

Miałyśmy z Krysią trudności w znalezieniu odpowiedniego pomysłu na upominek naszej Mrs. Brown. Nie mogło być nic z odzieży, co i tak byłoby kłopotliwe, bo jak dobrać na nią, w jej guście. Ale nawet chociażby szalik, jako najbardziej uniwersalny, nie wchodził w rachubę, bo wymagał kuponów. Ani dla niej, ani dla Patrycji nie mogłyśmy kupić słodczych, skoro oddałyśmy swoje kartki żywnościowe z zapewnieniem, że wystarcza nam to, co dostajemy od gospodyni na śniadanie, podwieczorek i wieczorną herbatę. Dla małej oprócz jakiejś maskotki

znalazłyśmy kolorowe wydanie „Alicji w Krainie Czarów”. Ostatecznie, nie mogąc natrafić na cokolwiek, co miałoby choćby pozory jakiejś przydatności dla pani Brown, zdobyłyśmy się na modne perfumy „Soir de Paris”, dość drogie, więc na spółkę – „fifty – fifty”.

Tymczasem nasze umundurowane koleżanki już po kolei zdążyły wypełznąć z mundurów, głównie dzięki owym wyrównaniom za pobyt w naszej Szkole MO. Obie z Krysią zaoszczędziłyśmy już dość sporo, ale wszystkie plany zakupowe brały w łeb, wobec braku kuponów. Jako ochotniczki otrzymywałyśmy dwanaście ich rocznie, tak samo, jak wszystkie Brytyjki we wszystkich formacjach wojskowych. Nie było to zbyt wiele. Na przykład szlafrok, tak jak i sukienka wymagał ośmiu kuponów, komplet bielizny dziennej – czterech, a one mogły to mieć z domu, podczas, gdy my nie miałyśmy nic, fasowaną odzieżą wojskową i tych półbucików, kupionych jeszcze w Kairze. Dwie pary pończoch, to już trzy kupony, a pończochy lubią puszczać oczka! Łapałam je w niedzielne przedpołudnie, jedyne wolne, stojąc przy oknie, gdzie najlepsze światło. Przy okazji brałam też pończochy Krysi, bo na Środkowym Wschodzie chorowała na jaskrę. Nawiasem mówiąc stosowano leczenie maścią, po której ślicznie rosły i ciemniały rzęsy.

Debatując nas na ten kłopotliwy temat kuponowy usłyszał kolega z naszego roku, pan Stefan Ember. Sam zaproponował, że może nam przynieść trochę kuponów do domu. Miał legalną książeczkę kuponową, taką samą, jaką rodowici mieszkańcy wyspy co roku dostawali. Odwiedził nas i wyjaśnił, że mu na kuponach nie zależy, ma odzieży dość, bo kupował już to wtedy, kiedy jeszcze nie reglamentowano odzieży, następnie już miał kupony, a teraz po raz pierwszy zainteresował się ich sprzedażą, gdyż zależy mu na tym, aby dołożyć coś do swoich oszczędności. Założył już dawniej konto bankowe z myślą o powrocie do kraju, po wojnie. Ma tam (jeśli się nie mylę w Tarnowie) żonę i dwoje dzieci, były całkiem małe, gdy się żegnał, idąc na wojnę... Oczywiście policzył nam taniej, tak po koleżeńsku. I może z nami chodzić na zakupy (abyśmy nie wpadły w tarapaty), jako właściciel książeczki, bo to jest dość rygorystycznie przestrzegane. Z wielką wdzięcznością

dokonałyśmy transakcji.

Kupiliśmy sobie cywilną odzież! Krysia miała z tym bardzo dużo problemów, bo na jej wzrost wszędzie podawano garderobę dziecięcą. Z wielką trudnością wreszcie, obchodząc kilka sklepów, udało się skompletować coś odpowiedniego i w dobranych kolorach brązu i brudnego różu. Moje zakupy przebiegały całkowicie bezboleśnie i pod względem rozmiarów (przeciętne) i koloru. Zdecydowałam się na wszystko czarne. Wspominałam bowiem mamę, która po śmierci babci przyznała się, że jest jej przykro dodatkowo, z powodu braku czarnej odzieży, noszonej zgodnie ze zwyczajem po śmierci kogoś z najbliższych na znak „żałoby”. Był to rok 1940 i w Kazachstanie nie było takich możliwości. Ja jednak mogłam... Nabyłam płaszcz (za czternaście funtów, bardzo elegancki), sukienkę wełnianą (pięć funtów!), szalik, rękawiczki ocieplane, meszty, czapkę i jeszcze cztery pary pończoch! Luksus! Krysia także wybierała najlepsze gatunki, wystarczyło jej jeszcze na wełniany, przytulny szlafrok. Taka to była ta nasza pierwsza cywilna odzież – a pod nią bielizna fasowana, bo już na prywatną nam nie wystarczyło!

W całym tym przedsięwziętym handlowym ruchu ze zdziwieniem zauważyłyśmy, że choinek jest w sprzedaży naprawdę bardzo niewiele, a postanowiłyśmy wreszcie, po tylu latach tulaczach, koniecznie mieć choinkę. Prawdziwą! Nie sztuczną i nie własnego wyrobu, co zrealizowałam u saperów, z patyka, drutu i bibułki, niestety niebieskiej, bo zielonej nie było. Kiedyś nawet, wracając z wykładów natknęłyśmy się na sprzedawcę choinek na ulicy i chciałyśmy jedną kupić. Niedużą, lecz „żywą”. Nie pozwolili nam nasi mili koledzy, Adaś i Romek Jarma, z którymi uzgodniłyśmy spędzenie wspólnego wieczoru w wigilię. Zakrzyczeli nas, że przyniosą sami, bo gdzieżby pozwolili nam z nią do tramwaju się wybierać, a sami szli w przeciwną stronę.

Pani Brown wyjeżdżając z Patrycją na święta do matki złożyła nam życzenia, obdarowała kremem Ponda na dzień i na noc, i upoważniła nas do korzystania z kuchni ze wszystkim, co nam będzie potrzebne i do przyjęcia gości w salonie. Wręczyłyśmy jej też te swoje prezenciki, które postanowiła według tradycji rozpakować dopiero razem

z innymi w dzień świąteczny.

Do nas na wigilię nie szykował się Janek Kozak, który wyjeżdżał do swej Angielki, do New Castel, ani Danka Kijanowska (która zamieszkała w pobliżu i nieraz przychodziła z nami się pouczyć), bo zdecydowała się na wigilię w Bratniaku, gdzie już parę razy była na „Czwartku”. Miał natomiast przybyć nowy gość, sympatia Krysi, Mietek Banaszek Kozłowski, którego nie znalazłam dotychczas. Jego jednostka macierzysta stacjonowała dość daleko. Adaś z Romkiem przybyli z pokornymi minami. Bez choinki! Przepraszali i tłumaczyli się, że nigdzie jej już nie znaleźli... – Co było do przewidzenia – pomyślałam, a Krysia spojrzała na mnie wystarczająco wymownie. Za to wręczyli nam butelkę wina, co mnie, żyjącą wciąż w myśl zasad harcerskich, wcale nie zachwyciło i ledwie powstrzymałam się od reprimendy, aby nie psuć nastroju.

Krysia pobiegła do przedpokoju na dzwonek Mietka i po niedługiej chwili weszła z nim, przedstawiając nam swojego narzeczonego. Zaskoczyła nawet mnie, z którą na ogół dzieliła wszystkie tajemnice. Adaś i Romek gratulowali im i ja też, obserwując narzeczonego swej przyjaciółki, który zdawał się tłumić ziewanie. Gdy w kuchni krzątaliśmy się przy herbacie, grzankach i jakimś świątecznym gotowym wypieku, okazało się, że zdrożony podróżny faktycznie usnął w fotelu. Ocknął się mocno zażenowany, że to niezły popis, jak na pierwszy raz, ale był po nocnej służbie i po podróży w przepelnionym pociągu. Od razu zrobiło się wesoło i swojsko. Tylko ja wymknęłam się przy składaniu imieninowych życzeń Adasiowi. Wcześniej prosiłam Krysię, aby to zatuszowała, bo obawiałam się, że nie zdobędę się na nie, gdyż mój ojciec był Adamem, a otrzymana wiadomość jest wciąż tak bardzo świeża i bez tego przy oplatku ciężko będzie „trzymać fason” (to po lwowsku). To była już moja trzecia wigilia od czasu pożegnania z rodzicami. I piąta od wyrwania nas ze Lwowa...

W święta polskie kolędy rozbrzmiewały pod szkockim niebem i nie potrafiłam nie wracać myślami do tych poprzednich świąt i polskich kolęd z tych różnych obcych stron.

Szkoci też świętowali odwiedzając swoje kościoła i zbory, cze-

go nie widziało się w zwyczajne niedziele aż w takim stopniu. Wycho-
dzili z domu gromadnie, a potem nierzadko rozchodzili się, i kolejno
każdy szedł do tego zboru, który reprezentował jego odmianę prote-
stantyzmu, wyniesioną z rodzinnego domu. Obchodzili tylko pierwszy
dzień Bożego Narodzenia i tak samo Wielkanocy. Jednak i ten drugi
dzień świąt stał się dniem wolnym od pracy, od czasu, gdy banki w te
dni przestały urzędować. Sklepy nie mogły wpłacać tam wtedy swo-
ich utargów, czyli też nie funkcjonowały i tak ustalono „bank holiday”
(święto bankowe), jako dzień wypoczynku.

Ulice wyglądały odświętnie. Na wejściowych drzwiach domów
od dnia wigilii do Nowego Roku wieszano wieńce z gałęzi zielonego
ostrokrzewu, zdobne czasem gałązkami świerkowymi, jemiolą, czer-
wonymi wstążkami, złotymi dzwoneczkami. W oknach domów widziało
się „gwiazdę betlejemską” – poinsecję, która również zdobiła wystawy
sklepowe. Ulice małych, prywatnych domków, szeregówek, w okresie
świętecznym wyróżniały się szczególnie starannie czyszczonymi szero-
kami, metalowymi obiciami progów przed drzwiami wejściowymi, któ-
re skrętne gospodynie domowe doprowadzały do lśniącego blasku.

Obserwowaliśmy, czasem podziwialiśmy, niekiedy tylko dziwili-
śmy się, nadal odczuwając wewnętrzne wyobcowanie. Przeżywaliśmy
ten odmienny od codzienności okres po swojemu. Nieraz, bezradnie
wciąż licząc lata tułacze, przeżywaliśmy niepokoje o te przyszłe lata,
gdzie nas zastaną i jak i z kim? A przede wszystkim kiedy w końcu
Tam?

„Tam, gdzie Wisła bije falami o brzeg..”, „Tam, gdzie Wysoki
Zamek stoi...”, jak w tych pełnych tęsknoty piosenkach. Takie jakieś,
jak mi się zdawało, dwutorowe życie... Niby tu, a wciąż tam...

Po Świątach wracało się do codzienności. I lepiej! Za dużo było
czasu do prywatnego zadumania! Nauka absorbowała, przyjaźnie
wspierały i pomagały na co dzień i od święta również. Korespondencja
łączyła z tymi, z którymi dzieliła nas przestrzeń i umożliwiała utrzymy-
wanie kontaktów, które bardzo się liczyły, skoro wojna tak nas wszyst-
kich porzrzuciła po obcych krajach. Taki los..

Tak właśnie wyglądała ta nasza młodość. Może wypadła nie w porę? A może wprost przeciwnie?

Właśnie: młodość... Kto to powiedział, że młodość ma swoje prawa?.. Chyba słusznie...

Latami karmione literaturą piękną, poezją, romantyzmem, pojęciem ideałów i sentymentów przymierzałyśmy takie pojęcia do siebie, osobiście. Już nie tkwiłyśmy – w skoszarowanej szkole, wolne wprawdzie duchem, ale związane pod innymi względami. Czulyśmy się całkiem dorosłe i niezależne. Słusznie, nasze postępowanie zależało już tylko od nas samych, od naszych decyzji i wyboru.

I coraz częściej któraś informowała nas, że ma swoją sympatię, niejedna przyznawała się do miłości.

Irma zaręczyła się z Adamem Kowalskim. Nie tym kapitanem, autorem Modlitwy „O, Boże, któryś jest na Niebie”, a zbieżność z nazwiskiem naszej Krysi też przypadkowa. To był młody porucznik, który we Włoszech został ranny w piętę. Irma żartowała, że on „w piętę goni”, ale więcej miał szczęścia od Achillesa, z tą jego piętą achillesową. Twierdziła przekonywująco, że jej to wcale nie przeszkadza, bo i tak jest najbardziej reprezentacyjny ze wszystkich na świecie i jest jej, co jest najważniejsze. Krysi Kowalskiej narzeczony przed wojną studiował politechnikę, której nie zdążył skończyć. Był poznaniakiem. Narzeczony Baśki Andrzejowskiej, Jaś (?), też porucznik, ze studiami przerwany wojną, był na przydziale w Londynie. Rzadko mógł ją odwiedzać, lecz zapowiedział; że zaprosi ją razem z Krysią na Wielkanoc do Londynu. Obie siostry cieszyły się z tych planów. Stasi młodziutki narzeczony poległ we Włoszech. Tutaj jednak, widziałyśmy, że asystował jej wytrwale jeden z kolegów. Marzena była zaręczona z Edkiem Kosturkiem, który nam pomagał przenieść się do Edynburga z North Berwick, a tam jeszcze służył w swojej jednostce Jurek Kabza, przyszły mąż Igusi. Któraś podsumowała, że po prostu jest czas na miłość.

Nie ominęła i mnie... Adaś.

Uczyliśmy się razem, spotykaliśmy w drodze na wykłady, często chodził z nami na lunch w przerwie południowej. Potem parę razy po-

rywał mnie na spacer, gdy do Krysi przyjechał Mietek. Zaprzyjaźniliśmy się, opowiadali o przeżyciach z dzieciństwa. Pochodził ze Stanisławowa. To też ta ziemia nękana dwiema okupacjami, tą bolszewicką powtórnie. Nie ukończył jeszcze dwudziestu lat, gdy w 1939 roku został złapany na granicy rumuńskiej, którą chciał przekroczyć z nadzieją dołączenia do Wojska Sikorskiego we Francji. Rosjanie przetrzymali uciekinierów w Skolem, a w samą wigilię wieźli ich przez jego rodzinny Stanisławów. Gdy tam na dworcu pociąg bydlęcy z więźniami zatrzymał się na chwilę, Adaś zdążył przez to mini okienko poprosić kolejarza o zawołanie ojca, zawiadowcy warsztatów kolejowych, który tam pracował. Zdążył podejść i podać synowi swoje śniadanie, chleb ze smalcem i na nieśmiałą prośbę więźnia, także papierosy. Zaraz potem pociąg odjechał. I tylko tyle wiedzieli o nim rodzice od tamtej pory. Nie mogli nawet wiedzieć czy żyje, bo z więzienia nie wolno było pisać, a siedział w Winnicy, skąd nie było żadnej nadziei chociażby na grypsy, co na polskich terenach mogło się czasem udać.

Po napaści Niemców na Sowiety, więźniów z Winnicy pędzono piechotą na wschód. Pilnowanych przez konnych konwojentów w szalonej ucieczce przed nalotami, bombami i obstrzałem nacierających, pędzono całe więzienie coraz dalej i dalej. Każdy, kto nie miał już sił, potknął się i upadł, dostawał strzał w tył głowy, nie mówiąc już o tych, którzy padali z wycieńczenia. Adaś, bez butów, na tym ostatnim odcinku drogi, kiedy już zdarły się nie tylko szmaty, owijające początkowo nogi, lecz kolejno i skóra niemal do kości, przeżył dzięki starym rosyjskim więźniarkom, zaplątanym w tym bezładnym tłumie, które ulitowały się nad takim młodym chłopcem i dociągnęły go do tego więzienia w Poltawie, gdzie ich wszystkich upchano.

Zwolniony we wrześniu na podstawie umowy Sikorski – Majski (30 sierpnia 1941 r.), wyruszył stamtąd z nadzieją dotarcia do Polskiego Wojska pod komendą generała Andersa. Wielu takich zapaleńców władze sowieckie zatrzymywały, kierując ich do sowchozów i kolchozów, skąd tubylców zabierano na front. Obdarowani wolnością Polacy zimowali w lepiankach o chłodzie i głodzie, czasem posilając się jakąś

zdobyczą w postaci psa lub kota, kradzionego z narażaniem życia. Dopiero późną wiosną udało się tym skazańcom wyrwać stamtąd i dojechać (też niebyłe sprytem) do Uzbekistanu, gdzie trafili do miejscowości Kermine i dostali się do Siódmej Dywizji. Zdażyli na tę drugą ewakuację, sierpniową, do Iranu. Przez jakiś czas przebywał w porcie nad Morzem Kaspijskim, Pahlavi. Leczył się z kurzej ślepoty i z tasiemca, bo właśnie to wywiózł z Kraju Rad. Potem umieszczony w kompanii uzdrowieńców (czyli rekonwalescentów) zgłosił się na ochotnika do lotnictwa i wyjechał z przyjaznego nam i gościnnego Iranu w grudniu 1942 roku, transportem z Basry, przez Zatokę Perską, dookoła Afryki. Po kilku dniach podróży Polakom zlecono pilnowanie jeńców niemieckich, co uważali za dyshonor, ale w wojsku... „służba nie drużba” ... Szemrając nasi żołnierze jeszcze stosowali się do narzuconych sobie zaleceń. Gdy okręt zatrzymał się w Durbanie, pozwolono im na zwiedzanie miasta. Gdy jednak zgłosili protest przeciwko pełnieniu obowiązków straży nad jeńcami, ukarano ich zakazem opuszczenia okrętu, który zatrzymał się w Kapsztadzie. Do końca podróży już nie było mowy o służbie strażniczej nad jeńcami.

W Anglii w tym okresie nie werbowano naszych żołnierzy do lotnictwa, tylko do Marynarki Wojennej, na ochotnika. Adaś zgłosił się od razu, przeszedł wstępne przeszkolenie w obozie w Plymouth i został skierowany do podchorążówki na wyspy Orkneje. Stacjonowali tam na wyspie Scapa Flow, na Morzu Północnym, wśród mgieł, wicheru i mrozu. Warunki wojenne, żołnierskie, służba na okręcie bojowym. Między innymi i stamtąd wysyłano polskie transporty z brytyjską i amerykańską bronią do Murmańska. Po wykryciu Katynia polscy marynarze odmówili uczestnictwa w tych wyprawach, co zachodni alianci zatuszowali i nie zlecano już tego Polakom.

Nie pamiętam już, jak to się stało, że Adaś znalazł się w Kierownictwie Polskiej Marynarki wojennej, jako „siła biurowa” i pracował tam przeszło rok, aż do odkomenderowania na studia. Spóźnił się na nie, bo nie mógł stamtąd odejść, dopóki nie znaleziono zastępstwa na jego miejsce. W Londynie mieszkał w Polskim Domu Żołnierza,

w najbliższym sąsiedztwie polskiego kościoła przy Devonian Road.

Te przejścia Adasia na nieludzkiej ziemi niewątpliwie zbliżyły nas do siebie. Rozumieliśmy się „jak te łyse konie”, jedno słowo, czasem gest, wystarczyło, aby wiedzieć o co chodzi, czego nie zrozumiałby nikt, kto nie miał takich życiowych doświadczeń, komu trzeba by dopiero tłumaczyć od A do Z. Niezależnie jednak od tych przejść, uważałam, że jest świetnym kolegą, nieraz pomocną dłonią, co po Iwowsku określało się jako „swoją chłop”.

Nie pamiętam już przy jakiej to okazji Krysia zainicjowała niedzielną przejażdżkę dla nas trojga do North Berwick. W decydującym momencie wycofała się, tłumacząc coś całkiem realnego, że naprawdę nie może się wybrać, mimo wielkiej ochoty, ale nie pozwoli nam zrezygnować. Przypuszczalnie chodziło o przyjazd Mietka, bo inaczej nie dałabym się namówić. Pojechaliśmy sami. Początek marca nie grzeszy piękną pogodą, lecz jak na Szkocję okazała się całkiem możliwa, z krótkotrwałym, przelotnym deszczykiem, padającym od niechcienia. Spacer po miasteczku, gdy się przetarło, zastąpiliśmy przechadzką wzdłuż wybrzeża. Bardzo lubiłam ten szum fal, taki jednostajny, kojący. Rozmawialiśmy jak zwykle, tematów nam nie brakło. Aż nagle mój towarzysz podróży przerwał, przystanął, przyjrzał mi się uważnie i wyskoczył z nieoczekiwanym pytaniem:

– Ty chyba nie myślałaś, bo Janek mi tak mówił, że tak pilnie przychodzę do was ze względu na Krysie? Powiedz!

Zaskoczył mnie całkowicie. Też pytanie! Tym bardziej, że właśnie tak myślałam. Więcej, byłam przekonana. Zresztą on także. Nawet stwierdziła, że dobrze się stało, iż wie już o jej zaręczynach z Mietkiem, toteż oszczędzi mu to ewentualnego rozczarowania.

– Dlaczego mnie pytasz? – wykrztusiłam, niepewna co z tym fantem zrobić.

– Och, Alicja, Alicja!..

– Ręczę, że mam głupią minę – pomyślałam głęboko o tym przekonana, ale bez zachwyty.

– A jak ci się podoba: „Alicja Michałowska”? – zapytał.

Zatkalo mnie w pierwszej chwili. Cóż, zawsze mam spóźniony refleks... Musiałam się „ocknąć”... Mój Boże! A więc to tak? Nie przypuszczałam, nie spodziewałam się, nie przyszło mi na myśl...

– No, i jak?...

– Poczekaj... Wiesz, tak, podoba mi się to... – wykrztusiłam i nagle ucieszyłam się z tego...

Ze zdziwieniem, ale ucieszyłam...

I nie tylko ja!

Krysi powiedzieliśmy, z zastrzeżeniem, że nie ogłaszamy nikomu. To wyłącznie nasza sprawa, za wcześnie na wywoływanie sensacji. Ona była zachwycona. Krysia cieszyła się, a umiała się cieszyć, chyba jak nikt. I już snuła plany. Zасыpywała mnie nimi, gdy zostałyśmy same. Że trzeba zamówić u pana Stefana kupony na nasze nowe potrzeby, że na wakacjach, że muszą być kostiumy, aby można i po ślubie je nosić, przecież nie można poświęcić kuponów na jednorazową białą suknię i potem nie mieć nic! Słowem cały tom życzeń i planów na niedaleką przyszłość. Mnie się jeszcze tak nie śpieszyło. Uważałam, że przez przynajmniej rok, można by się lepiej i poznać i przygotować. Nie przerywałam jej marzeń, dopóki nie przeholowała, snując plany na przyjazd mamy w lecie na jej ślub i nie pomijając mojej siostry. Musiałam namawiać Krysię do powrotu do rzeczywistości!

Miłość, narzeczeństwo i małżeństwo coraz częściej stawały się tematem naszych babskich rozmów, prowadzonych głównie w szatni, dokąd niejedna wybierała się na papierosa, aby od prosektoryjnych zapachów odetchnąć wonią tytoniu. Naszym interesującym rozmowom przysłuchiwała się raz Halusia, od jakiegoś czasu już rozwiedziona. Któraś zapytała ją, dlaczego się na to zdecydowała.

– Wicie co, moje panny, wy macie o małżeństwie takie pojęcie, jak ślepy o kolorach! Wam się zdaje, że małżeństwo to nieustająca randka. Wyobrażacie sobie małżeństwo na podstawie przemilego narzeczeństwa, a to całkiem co innego! Ja też tak dałam się nabrać. Przychodził zapraszany na herbatkę, przynosił kwiaty dla mamusi i czekoladki dla mnie, racjonowane przecież, grzecznie zabierał mnie do kina,

nawet na księżycowy spacer... Ale mąż, to jest nieustanny lokator w twoim pokoju. I w twoim łóżku! A nie zawsze bardzo dobrze wychowany. Nie ma już przy tym mojej mamusi, więc może już być sobą. On jest panem, ma swoje przyzwyczajenia, swoje nawyki, do których i ty musisz się dostosować i przyzwyczać. I ma wymagania, bo to jest normalne. Po to się żenił. Nie jesteś już sobą. Już nie „ja”, tylko „my”, co oznacza, że on decyduje, a ty się do tego stosujesz, on może wszystko, niczego nie musi. Wręcz przeciwnie, jak ty... Też byłam zakochana, lecz to już był nie ten człowiek!... E, co tam! Próbujcie same... I niech wam się to lepiej uda! – zakończyła.

A te wyznania, to był przysłowiowy kij w mrowisko. Poruszyła wszystkie. I te zainteresowane niejako czynnie i te interesujące się teoretycznie. Każda jednak, z tych zdecydowanych pewna, że ten jej wybrany to ten jedyny, najważniejszy i niepowtarzalny.

Danusia, która ucząc się ostatnio z nami nie mogła nie zorientować się w naszej sytuacji, zwróciła się teraz do mnie:

– No, i co Alu? Zbiła cię z pantalyku? Bo nie sądzę, żebyście z Adasiem do siebie pasowali, całkiem inna natura, inny temperament, to się nie nadaje... – zaczęła.

– No, wiesz? Sama przecież przyznasz, że Adaś jest wyjątkowy! – odpałam, z zadowoleniem. Niech sobie nie myśli! Niech sobie nie myśli!

Siedzieliśmy przy prosektoryjnym stole, konfrontując nasze notatki i tłumaczenia z preparatem, gdy podszedł do nas Janek Kozak, z zapewnieniem, że musi nam koniecznie powiedzieć coś milego, aby się podlizać Krysi, bo ma do niej prośbę.

– O, to aż takie masz wyobrażenie o dziewczętach, że je można nabierać na miłe słówka? – nie wytrzymałam, bo nie posądzałam go o taką błyskotliwość.

– A to musi być intrygująca sprawa, skoro zaczynasz tak dyplomatycznie -dorzuciła Danusia.

– Muszę, bo tylko na koleżanki można liczyć, kiedy koledzy

to sami egoiści, nieużytki i sknery. Ani jeden nie chciał poczęstować mnie papierosem, tacy skąpi!

– O to ci chodzi? Robi się – zaczęła Krysia, sprawdzając kieszenie chałata.

– Krysiu, przed chwilą wyrzuciłaś pustą paczkę – przypomniałam.

– Faktycznie. Wiesz co – zwróciła się do Janka – pójdz do szatni. Mój płaszcz znajdziesz, mniejszego niestety tam nie ma. W kieszeni mam nową paczkę, kupiłam po drodze, to ją przynieś.

– Tak jest! – i odmaszerował, dość prędko zjawił się z powrotem, wręczył Krysi paczkę, sam poczęstował się dwoma papierosami – To już od razu tak na zapas, aby ci znowu nie zawracać głowy – wyjaśnił uprzejmie i stał nadal nad nami, jak gdyby na coś czekał.

– Kolego, co masz taką głupią minę, jak głupi Jasio? – zapytałam przymilnie, bo nam przeszkadzał i gapił się, a miałyśmy zamiar skończyć wyznaczoną sobie porcję materiału. Krysia spojrziała na mnie zdziwiona, a Danka chichotała.

– Cóż, nie wiedziałem, że to coś dziwnego i że miewam czasem mądre miny! Ale już nie będę wam przeszkadzał. Domyślałam się, że chcecie to skończyć – i odszedł.

Kiedy wychodząc po ćwiczeniach wkładaliśmy płaszcze, Krysia z przerażeniem zawołała:

– Popatrz! Ale narobiłam! Skandal! Sama posłałam Janka do swojego płaszcza, a ten cudak musiał trafić do niewłaściwej kieszeni! – i wyjęła z niej paczkę z podpaską, którą w żeńskiej toalecie nabyła z automatu, chwając takie urządzenie i wygodę. Ta paczka nie różniła się wielkością od paczki papierosów.

– Ależ ze mnie gapa! Całkiem zapomniałam, bo mi się nie przydała...! sama go posłałam do swojej kieszeni!... – nie mogła się nadziwić, tak zirytowana, że aż się zaczerwieniła.

Ale koleżanki ryknęły śmiechem i uznały, że my możemy nie mieć poczucia humoru, lecz kolegom go nie zabraknie. I z miejsca odstawiły rodzajową scenkę, jak to, wykluczając dyskrecję Janka, koledzy

będą się upewniać o której Krysia mowa:

– Która Krysia, która? Ta od tych papierosów w kieszeni?... a już nie: „ta mała!”.

Wreszcie i ta mała musiała uznać komizm sytuacji, jednak z głębokim przeświadczeniem i poważnym zastrzeżeniem, że już nigdy żadnego kolegi nie pośle do swojej kieszeni. Słusznie!

Nie pamiętam, nie jestem pewna, czy ta data wybrana na dzień naszych zaręczyn to była sugestia Krysi, pomysł Adasia czy mój (wątpię). W każdym razie zaczęły się już ferie międzysemestralne i wielkanocne zarazem i postanowiliśmy 26 marca znów odwiedzić North Berwick. Wypadło to w Wielki Poniedziałek. Parę dni wcześniej obchodziłam kolejno sklepy, w których spodziewałam się znaleźć jakiegoś słonika „na szczęście”, jako upominek dla Adasia, bo dosłownie niczego innego ani mądrzejszego nie mogłam wymyślić. Po wielu rozczarowaniach znalazłam. Był jeden jedyny, wprawdzie z opuszczoną trąbą, lecz solidny i nie za duży słoń. Krysia nie zdradziła, bo to miała być niespodzianka. Choć przynajmniej taka. Zdradziła jednak Adasiowi, jakie to ja miałam marzenie: otóż znaczek akademicki naszej uczelni. Znaczek Uniwersytetu Edynburskiego był w zupełnie umiarkowanej cenie, lecz dla nas raczej trudno osiągalny. Polski Wydział Lekarski miał swój herb i ten figurował na tym naszym polskim znaczku, uhonorowanym Orzełkiem w koronie, na malej tarczy pośrodku. Do herbu uniwersyteckiego dodano w otoku napis: Polski Wydział Lekarski 1941 w dwóch językach. Cena była bardzo wysoka. Adaś planował kupienie mi pierścionka zaręczynowego, o czym nie wiedziałam, ale Krysia została wtajemniczona. Gdy dowiedział się o tym znaczku, postanowił właśnie to wybrać dla mnie, aczkolwiek cena przekraczała wartość chyba z trzech pierścionków.

Otrzymałam ten prezent uroczyście, na spacerze wzdłuż ulubionego wybrzeża i bardzo się wzruszyłam. Moje słoniątko wydało mi się zbyt skromne, ale symboliczne. Żyje, jako pamiątka, do dziś. Znaczek, pamiątka tamtego dnia i tamtych lat, też przeżywał z nami liczne, póź-

niejsze zmiany adresów i jest żywym dowodem polskiej placówki naukowej zainicjowanej na ziemi przyjaciół czasów wojny i „lojalności ich” wobec nas, po jej zakończeniu. Piękny znaczek – smutna pamiątka... Podczas studiów nosiłam go na klapie płaszcza, mimo że musiałam w tym celu wykroić w niej butonierkę i zastanawiałam się, czy nie mógłby mieć innego zapięcia czy uchwytu, tylko takie „męskie” i kłopotliwe.

W North Berwick spotkaliśmy Krzysztofę Gabańską, która z Palestyny przybyła jednym z niedawnych transportów. Obie ucieszyłyśmy się z tego spotkania po roku i z chęcią dałam jej nasz adres, bo z Krysią Kowalską też się lubiły. Wiedziałam, że łatwiej dostanie przepustkę teraz, póki nie ma przydziału. Wpadała do nas od czasu do czasu, bo dość długo przebywała tam w Ośrodku Zapasowym. Zobaczyła sweterek Krysi i gdy usłyszała, że i ja mam włóczkę, porwała ją z wielkim zadowoleniem, że zrobi mi sweter, gdyż poza służbą czy dorywczymi dyżurami nie ma właściwie tam co robić, a szkocka pogoda nie zawsze zachęca do spacerów. Dodała ze śmiechem, że skoro będzie robiła sweter dla koleżanki w Edynburgu, będzie to stałym punktem zaczeplenia, jako przyczyna wyjazdów, aby uzgodnić nieraz co i jak.

Wielkanoc porwała nam Krysię do jednostki Mietka i zostaliśmy sami. Nie miałam jajka do święcenia. Krępowalam się poprosić o nie gospodynię, bo u nich nie ma takiego zwyczaju, a my od początku powiedziałyśmy, żeby zostawiała to nasze jedno na tydzień jajko dla Patrycji lub siebie. Protestanci nie świętują Wielkanocy tak, jak my, o czym mogłyśmy się przekonać płynąc do Anglii przed rokiem. To już rok! Która to już Wielkanoc?... Wciąż te uparte pytania...

Po powrocie Krysi zaliczałyśmy kolejne kolokwia, a szara codzienność została urozmaicona następnymi konszachtami w sprawie kuponów od uczynnego kolegi. Tym razem zaczęłyśmy obie z Krysią szykować sobie „choć coś” na wielkie wydarzenie. Wystarczyło na białą bluzkę, jeden komplet bielizny dziennej i jedną nocną koszulkę. Czulałam się już bogata. To jest już moje własne. Krysia też tak się czuła, planując, że do wakacji uszłada więcej. Sama myślałam o dłuższym ter-

minie i przez ten czas uzbieranej dodatkowej garderobie.

Dzisiaj trudno to sobie nawet wyobrazić, ale przecież opuszczając tę pierwszą w naszej tułaczce ziemię obcą, nie miałyśmy nic własnego z ubioru. Moje posiadanie rzeczy niemundurowych i niefasowanych ograniczało się do jedynej chusteczki do nosa, od Wandzi, która ją uszyła w lwowskim więzieniu, igłą z rybiej ości i nicią, wyprutą ze skróconego prześcieradła, bo było to na samym początku, gdy jeszcze prześcieradła dawano. W upalne lato (1940 r.) w przepelnionej celi, jeszcze wyposażonej w łóżka, na których spały po dwie więźniarki i pod łóżkiem, kto się zmieścił, wepchano tym „politycznym i kontrrewolucjonistkom” do towarzystwa i do upchania na gęsto, jeszcze złodziejki i prostytutki. Miały już niektóre z nich swoje doświadczenie więzienne. Poradziły, że można wykorzystać płótno z prześcieradeł, skracając je i zwężając, dzięki czemu ilość ich zgadza się przy kontroli z dokumentacją. Poszyły sobie z tych skrawków staniki, bo za gorąco było w bluzkach, chusteczki i szmatki toaletowe – to, co najpilniej potrzebne. Prześcieradła, już obrębione, nie wzbudziły podejrzeń. A cała ta akcja odbywała się w ukryciu, gdyż była zakazana, jak choćby posiadanie igły. Ile to sprytu wymagało wobec nieustannych rewizji i podejrzeń... Ratowały się jak mogły.

Drugą moją prywatną własność wywiezioną z Kraju Rad stanowił woreczek na cukier, który postanowiłam uzbierać dla mamy, w nadziei, że spotkanie dojdzie do skutku... Dostawałyśmy w obozie na Górcze w Guzarze (Uzbekistan) cukier w niedziele. Przy rozdzielaniu, skrupulatnie sprawiedliwym, wypadła łyżka cukru na ochotniczkę. Mój woreczek był gęściutko uszyty wspaniałą igłą, wyfasowaną w przyborniku do szycia, zawierającym kilka takich gładziutkich igieł. Wysłałam mamie dwie takie w liście i doszły. Te rosyjskie igły, chropowate i tępe nie ułatwiały szycia. Mój woreczek był wielkości połowy kartki korespondencyjnej, bo nie miałam większej szmatki. Zdołałam przez okres pobytu w Ośrodku Zapasowym napelnić go prawie do połowy. Dużo mnie ominęło przez te tygodnie leżenia kolejnego w dwóch szpitalach. Byłam zadowolona, że przynajmniej tyle udało mi się uzbierać. Nie

wiedziałam, że nie będę miała okazji tego dać, ani podać przez kogośkolwiek, ani posłać – bo nie wolno... Został woreczek na pamiątkę... A cukier miał smak gorzkiego zawodu... Sama gorycz...

Tak wspomnienia wciąż się łączą jedne z drugimi... Teraźniejszość splata się z przeszłością, stale narzucają się jakieś skojarzenia. Życie wcale nie jest jednolite. Trudno. Zapomnieć trudno. A te smutne wspomnienia mimo wszystko nie są bez wartości. To już nie udręka, to już tylko porównania, że nie jest, jak bywało. I ulga, że inaczej. I tym trzeba żyć. I umieć to doceniać, bo warto!

Czasem komuś (i mnie też!) się zdaje, że wszystko co jest tak, jak mniej więcej powinno być, to jest zwyczajne, normalne i nie może być inaczej... Niestety! Zawsze może być!... Warto zdawać sobie z tego sprawę, wiedzieć. Jeśli nawet są jakieś kłopoty, takie zwyczajne, to trzeba doceniać je takimi, jakie są. Że nie są nadzwyczajne...

Zaliczyliśmy kolejne kolokwia pisemne i ustne. Pisemne z anatomii tym razem z kończyny górnej, oprócz części opisowej zawierało rysowanie przekrojów i szczegółowe oznakowanie ich. Na przykład „Przekrój poprzeczny ramienia na wysokości jednej trzeciej poniżej stawu barkowego”. Takie wymaganie łatwiejsze było dla tych przygotowujących się z tego topograficznego podręcznika, pełnego kolorowych ilustracji mnóstwa przekrojów. Siadałam podczas takiego kolokwium najczęściej w pierwszym, ogólnie omijanym rzędzie, bo nie uznawałam żadnego ściągania, a dzięki wybitnie wzrokowej pamięci nie trudno było mi zapamiętać to, co już w domu, przygotowując się do kolokwium, rysowałam.

Gorzej bywało z fizyką, z zoologią, na której ćwiczenia polegały na preparowaniu Bogu ducha winnych stworzeń, uśmiercanych w celach naukowych. Był gołąb i płaszczka i żaba i nie pałałam zapalem przy poznawaniu ich przewodów pokarmowych czy dróg oddechowych. Chemia „pod protektoratem” docenta Skarżyńskiego dała się polubić, ale nie była zbyt łatwa z tą bezkresną płataniną wzorów i trze-

ba było poświęcać jej dużo czasu, co kolidowało z wymogami anatomii. Jednak wszystko szło.

Życie prywatne, poza tymi miejscowymi kontaktami, przynosiło w dalszym ciągu korespondencję z Palestyny, także już z Bejrutu i najwięcej z Włoch. Nie tryskały już te listy przekorną nadzieją na szybki powrót nasz do Wilna, Lwowa i do kraju.

Lutowa Krymska Konferencja Trzech w Jalcie (4-11 luty 1945 r.) podcięła wszystkim nam skrzydła. Jeszcze nadrabiało się miną, jeszcze pragnienia podawało za nadzieję, że „na wojnie, jak na wojnie”, czyli dużo może się zmienić, że do najostateczniejszej chwili nie wiadomo tak na pewno, ale już nabierało się zbyt wiele dowodów na zabieganie Roosvelta i Churchilla o łaskawość Stalina. Ameryka bała się narazić Rosji ze strachu przed Japonią. Wielka Brytania zaś obawiała się, że Stalin, który w sierpniu 1939 roku zawarł układ z Hitlerem, może znów to powtórzyć, jeśli tylko coś mu się nie będzie podobało, a to zagroziłoby pokojowi Zachodu. Bez żadnych skrupułów poświęcili Polskę. Już nie pamiętali całego wkładu naszego narodu w walkę z Niemcami ani tego, że na przykład nasz okręt „Garland” między innymi odbywał rejsy z transportami broni od aliantów dla Związku Radzieckiego do Murmańska. Teraz liczył się Stalin i to on dyktował warunki.

Polska Marynarka Wojenna miała duży wkład w walki, chociaż nie byliśmy krajem morskim przed wojną, i flota nasza nie była duża. Już jednak w 1939 roku dwa nasze okręty „Wicher” i „Gryf”, które zginęły w bitwie morskiej, zdążyły uszkodzić poważnie dwa kontrtorpedowce niemieckie. We wrześniu 1939 roku do Anglii przybyły nasze okręty: „Wilk” i „Orzeł”, ten po brawurowej ucieczce z Tallina, gdzie został uwięziony. W kolejnych latach podnoszą banderę okręty polskie: „Piorun” i „Ścigacz” w 1941 roku oraz „Krakowiak”, „Kujawiak” i „Paderewski” (ku czci Ignacego Paderewskiego, zmarłego 30 VI 1941 roku), a „Sokół” zatapia niemiecki krażownik. W 1942 roku Polska Marynarka Wojenna obejmuje okręty: „Ślązak”, „Orkan”, „Jastrząb”. W 1943 roku tonie „Orkan”, a „Dzik” zatapia statek niemiecki z wojakiem. Nasz „Orzeł”, który w 1940 roku zatopił niemiecki kontrtor-

pedowiec „Rio de Janeiro”, sam został zatopiony w 1942 roku, tak jak i „Jastrząb”, a „Grom” w 1940 roku.

Adaś był zaokrętowany na „Dragonie” i zostało po nim parę pamiątek. W 1944 roku do akcji wchodzi „Ścigacz II”. Udział Polskiej Marynarki Wojennej był doceniany tak jak i lotnictwa i wojsk lądowych: mianowicie na bieżąco... Tylko! Od zarania dziejów nie umieliśmy wykorzystywać swoich zwycięstw...

Już w ostatnim dniu grudnia 1942 roku polscy lotnicy mieli na swym koncie pięćsetny i pięćsetny pierwszy zestrzelone samoloty niemieckie. Z pełną dokumentacją, oczywiście. A loty bojowe z ich udziałem wciąż trwały. Gdy w 1940 roku Anglicy, rozporządzając świetną bazą i wyposażeniem lotniczym nie dysponowali wystarczającą liczbą personelu i musieli dopiero uczyć swoich lotników, a Polacy obronili Londyn, Churchill, rozumiejąc, że mieli nóż na gardle, zdobył się na wyrażenie pochwały. Ale to już przeszłość. Ku czci Stalina pomija się polskie zasługi, aby go nie urazić.

Upredzając fakty i wbrew chronologii wspomnę, że w pierwszą rocznicę zdobycia Monte Cassino (przez Polaków!) czytaliśmy w angielskiej gazecie, że do zdobycia przyczynili się Amerykanie, Anglicy, Australijczycy i kolejno wymieniano wojska sprzymierzonych, a na samym końcu dodano: „a także Polacy” (!!!). Rzecz jasna, że przeciętny obywatel Wyspy nie fatygował się zapamiętywaniem przebiegu walk, poprzestawał na wiadomościach radiowych i prasowych, polegając na nich. To już jednak nie podtrzymywało dawnej do Polaków sympatii. Nadal jeszcze w stosunkach prywatnych nie odczuwało się ochłodzenia. Poza tym jednak spotykana uprzejmość była nawykiem, sposobem bycia, a zdawkowe uśmiechy po prostu formą przyswojoną sobie raz na zawsze. Nasi wojacy twierdzili, że to już jest taka ich kupiecka maska. Podpora w interesach, a interes przede wszystkim.

Tak to nasze osobiste życie prywatne oplątywały sprawy wyższej rangi, w mniejszym lub większym stopniu wiążąc je z wydarzeniami wojennej rzeczywistości, której podlegaliśmy od kilku długich i zbyt dłużeńych się lat.

Czasami zdawało się, że to wszystko, co jest poza nami, nie w domu i nie na uczelni, nie dotyczy nas, przynajmniej nie do tego stopnia, aby się człowiek wygrzebał z tej skorupki własnego bytu, swojego egocentryzmu. Ostatecznie życie ma się tylko jedno jedyne, jak przekonywała nas Krysia, według Danki skłonna do filozoficznych rozważań. No, więc trzeba się było tym życiem zająć na tyle, ile w takiej a nie innej terażniejszości to możliwe. A ta domagała się od nas już nie tylko poświęcania się samemu wkuwaniu, lecz także rozważania planów, osnutych na nieoczekiwaniu budzących się uczuciach. Ze zdziwieniem odkrywałyśmy w sobie zmiany w sposobie myślenia na niektóre tematy, poddawanie się wzruszeniom i zarówno Krysia, jak i ja, przeżywałyśmy, każda na swój sposób oczarowanie, zdziwienie i aprobatę. Teraz już składałyśmy na ten kostium, nadający się również i na potem, odrzucając sugestie niektórych, niepraktycznych koleżanek, namawiających koniecznie do prawdziwej białej sukni ślubnej, jak i tych drugich, oszczędnych i patriotycznych, głosujących za ślubem w mundurach obojga narzeczonych i z bukietem biało-czerwonych kwiatów.

Nasze mundury, noszone przez cały rok, nie przedstawiały się zbyt reprezentacyjnie. Adaś w swym marynarskim również. Mietek Krysi mógł w swoim oficerskim wystąpić. A my obie cieszyłyśmy się, że niezawodny pan Stefan i tym razem przyjdzie nam z pomocą. Miałyśmy dość czasu do zakończenia tego trzeciego trymestru, na co liczyła Krysia, a ja na razie jeszcze się zastanawiałam. Wakacje miały trwać od lipca do października. A życie toczyło się nierównym tempem, raz wolno, to szybko.

W maju okropny wypadek dotknął naszą koleżankę, panią Irenę Floręcką, tę z doktoratem prawa. Jej mąż, spiesząc się rano do pracy, wybiegł z domu i tuż za rogiem swej uliczki wpadł pod nadjeżdżający tramwaj. Nie przeżył. Zrozpaczona wdowa nie była w stanie wrócić tam, gdzie przez prawie pięć lat mieszkała z mężem. Przeniosła się do koleżanki. Gdy zdołała uporządkować myśli i pozbierać się psychicznie, pani Irena zdecydowała się za radą przyjaciółki przenieść

do niej na stałe.

Kiedyś zobaczyłam, że dłuższą chwilę rozmawiała z Adasiem i zaraz podeszła do mnie.

– Wiem, że się kochacie, zaręczyliście się i chciałam się dowiedzieć, czy planujecie raczej nie zwlekać ze ślubem – oznajmiła.

Byłam zaskoczona: – Dlaczego pani pyta? – dziwiłam się.

– Wiesz, zwalniam mieszkanie. Nie samodzielne wprawdzie, ale bez szkockiej gospodyni, które trafiają się różne. Zajmowaliśmy tam z mężem trzy pokoje oraz wspólne: kuchnię, łazienkę i ogródek, z polskim małżeństwem. Ludzie kulturalni i życzliwi, mniej więcej w naszym wieku, około trzydziestki. Państwo Wyczółkowscy oboje studiują. Z pewnością przyjęliby was do siebie, jeśli się zdecydujecie. Tylko jest jeden warunek. Otóż nie jestem w stanie posprzątać po sobie, a okropnie tam nabalaganiałam po tym wszystkim... Przeniosłam się do przyjaciółki. Nie potrafię się zmusić do powrotu tam... Dokumenty i pamiętki zabrałam. A trzeba jeszcze oprócz doprowadzenia mieszkania do porządku spakować moje rzeczy do zabrania... Naradzicie się ze sobą. Poczekam kilka dni... Jeśli się zdecydujecie, porozmawiam ze współlokatorami na temat waszego zamieszkania z nimi i pójdziecie zobaczyć... Czynsz zapłacony za maj... Czy mogą liczyć na czerwiec?...

– Dziękujemy... To zaskakująca propozycja. Musimy się naradzić...

Tymczasem jeszcze był maj.

Ten pamiętny maj, historyczny, 1945 roku...

Nie pamiętam już w szczegółach, jak i gdzie dowiedzieliśmy się o zakończeniu działań wojennych.

Najprawdopodobniej w domu, rano, od Mrs. Brown, słuchającej porannych wiadomości radiowych. I jednego jestem pewna, że podano je w dniu dziewiątego maja i ten dzień w pierwszym, powojennym okresie obchodzono jako rocznicę zakończenia Drugiej Wojny Światowej i podpisania pokoju.

Najbardziej utkwił mi w pamięci ten majowy wieczór, gdy wracaliśmy do domu ulicami Edynburga, który dosłownie oszalał z ra-

dości. Tłumy ludzi na oświetlonych już ulicach, że ani się przecisnąć, a mimo to tańczą, śpiewają, wykrzykują, ściskają się i całują wszyscy ze wszystkimi, wznoszą toasty butelkami piwa i śmieją się i krzyczą. Wszędzie pełno światła! Latarnie obudzone z zaćmienia i okna domów już bez „Blackoutów”! Jakże inaczej! Inaczej, niż było jeszcze dopiero co wczoraj. Otwarte okna, jasne, machające niektóre zbytecznymi już zasłonami. Na działkach warzywnych, w jakie pozamieniano przedwojenne trawniki, teraz wybuchają petardy i ognie sztuczne sypią się w niebo, z którego nie grożą już naloty. Wprawdzie Edynburg ich nie zaznał, ale południowe tereny Wyspy wiele ucierpiały...

Dzieci tu i ówdzie biegnące przy dorosłych, zdezorientowane albo wołające coś radośnie, dzieci noszone „na barana” albo na kołnierzu, albo już śpiące w objęciach, chroniących je przed możliwym stratowaniem przez tłum, także uczestniczą w tym tłumie. Bary, jak opisywały nazajutrz gazety, otwarte przez całą noc, opróżniały beczki z piwem i półki z butelek. Wbrew zwyczajom, gdyż normalnie Szkoci nad tą swoją jedyną halbą (po lwowsku: kufel) piwa siedzieli przez całe popołudnie, aż do dzwonka i światełka nad drzwiami, co oznaczało godzinę jedenastą i zamknięcie baru. A teraz wszyscy i śmieją się i płaczą z emocji: koniec wojny! Koniec wojny! Nawet jeśli ktoś stracił tych najbliższych, to już na tym koniec! Nie będzie więcej takich strat! Ani śmierci, ani rannych!

Szliśmy, raczej przeciskaliśmy się przez te zatłoczone ulice... Rozumieliśmy ich radość... Ale to jeszcze nie nasza... Przymierzamy ją do siebie, ale jeszcze nie dla nas... My „nietutejsi”. Obcość odczuwaliśmy silniej, niż kiedykolwiek dotychczas. Co teraz? Co dalej? Co z nami, Polakami? Z Polską?... Wreszcie już koniec tej najbardziej nieludzkiej i okrutnej wojny. Wreszcie... doczekaliśmy się... Tylko... że nie wszyscy!... Nie o taki pokój walczył nasz naród. Nie o taka Polskę. Pewnie, że nie będzie już tego zabijania, mordowania takiego planowanego i okrutnego wyniszczania naszego narodu. Nie będzie już tych bombardowań, tej pożogi, tego wrywania ludności i wywózek z ziemi rodzinnej na dwie strony świata, tych obozów śmier-

ci na wschodzie i zachodzie, poza Polską. Taaaak...Tylko: jaka będzie teraz ta nasza Polska? Po tych Konferencjach: w Teheranie (grudzień 1943 r.), po Konferencji w Jalcie (luty 1945 r.)? Po tym odkryciu zbrodni, popełnionej w Katyniu (w kwietniu 1940 r.), odkrytej w kwietniu 1943 roku i zakamuflowanej bardzo zgodnie przez naszych „sprzymierzeńców”? Co czeka tych naszych rodaków, porywanych na daleką niewolę, jeśli zdolali aż dotychczas ją przeżyć? Te tysiące na poniewierce na różnych ziemiach obcych, poza ojczyzną? Tych umęczonych tulaczką, beznadziejnością? Te tysiące zdekompletowanych polskich rodzin? Wysadzonych z siodła... I tych wszystkich naszych żołnierzy, którzy walczyli o Polskę, o wolność, w kraju, w podziemiu i na wszystkich frontach i we wszystkich rodzajach broni? O Warszawę, o Lwów, Wilno, o każde polskie miasto i o każdą wieś i o każdą piędź ziemi. I nie tylko. O Londyn, Narwik, Tobruk, o Lenino, Monte Cassino, Ankonę, Arnhem, o Polskę i o honor. Przecież stawiali swoje życie za te cele. Czy te tysiące poległych daremnie oddawały życie? A te tysiące rannych, a te całe obozy zagłady, tysiące zbiorowych grobów zesłańców, te wszystkie ofiary życia... I ci bez dachu nad głową, ci bez możliwości powrotu, czy to wszystko nic nie znaczy? Jest sprawiedliwe? Możliwe... Gorzka to dla nas ta radość z zakończenia wojny. My nie o takie zwycięstwo walczyliśmy całym narodem. Nie było nasze. Nie było pełne. Ani pewne. Niosło rozczarowanie. Bezlitosne.

Nie wiedzieliśmy też, co będzie z nami tutaj na tej Wyspie. Jak bardzo źle, że rozłączono nas: mnie z Wandą, Krysię z matką, porozdzielane zostały nawet te resztki rodzin... Nie było nam łatwo. Tak właśnie witalo nas to zwycięstwo. Tak i my witaliśmy je, pełni wątpliwości, zastrzeżeń i uzasadnionych obaw. Tak przeżywaliśmy w Wielkiej Brytanii ten historyczny dzień majowy 1945 roku.

Niepewne, bo niepewne życie, ale toczyło się dalej.

Rozważaliśmy propozycję pani Ireny, sami i z Krysią, jako że takie mieszkanie było szansą nie do pogardzenia. Faktycznie wyjątkowa okazja. Wahalam się jeszcze, bo i tak szybko i to, że pani Irena straciła

męża... Tłumaczyli mi, że przecież zwróciła się do nas o pomoc, tak bardzo jej potrzebną. I ofiarowała nam to mieszkanie, pełne wspomnień, do których nie miała siły wracać. I liczyła na nas, bo kto jej pomoże?... Rozważaliśmy za i przeciw. Adaś uznał, że skoro wojna już się skończyła, to nie ma na co czekać, tym bardziej, że już nie zanoszą się na żadne rozkazy powrotu do czynnej służby, co oznaczałoby rozłąkę na niewiadome. Uważał, że powinniśmy się pobrać i zdecydować na to mieszkanie, trafiające się nam bez uciążliwych poszukiwań, starań i czekania. Krysia popierała takie stanowisko i po swoim tłumaczyła mi słuszność takiej decyzji. W rezultacie wszystkich przemyśleń wybraliśmy się do polskiego kościoła i ustaliliśmy datę ślubu na dzień moich imienin, 21 czerwca 1945 r., w czwartek. Nie chciałam w niedzielę, chciałam, aby to był cichy ślub, nasza prywatna uroczystość, jak najskromniejsza, bo przecież nikogo z rodziny nie mieliśmy obok siebie.

Pani Irena z ulgą przyjęła naszą decyzję, a państwo Wyczółkowscy zaprosili nas na herbatkę i zgodzili się na nasze tam zamieszkanie. Sami zajmowali duży salon na tym naszym wspólnym pierwszym piętrze oraz dwa pokoje na górze. Wieczorami, po ćwiczeniach prosektoryjnych przychodziliśmy sprzątać te nasze trzy pokoje: jadalnię, sypialnię i malutki pokoić gościnny. Bałagan faktycznie w nich panował, najtrudniej jednak szło nam pakowanie osobistych rzeczy pani Ireny, które chciała zabrać. Gromadziliśmy też różnego rodzaju przedmioty wszelakiego dobra, którymi miała zamiar nas obdarować, lecz odmówiliśmy przyjęcia, bo chcieliśmy od początku dorabiać się sami. Państwo Floreńcy mieszkali tam od czasu wylądowania na wyspie w 1940 roku. Wtedy jeszcze można było kupować wszystko bez ograniczeń, toteż nagromadzili kompletne wyposażenie domu w sporą liczbę rzeczy, potrzebnych w domu, jak to normalnie przed wojną bywało. Po naszej odmowie właścicielka zdecydowała się przekazać to Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi, dla potrzebujących. Zajęły sporą bagażówkę.

Krysia nieraz uczyła się z Danką, ale grymasiła, że wracałam dopiero około jedenastej. Zależało nam jednak, aby wreszcie uporać się z tą robotą i dzięki temu przygotowaliśmy sobie lokum na czas. Musie-

liśmy zameldować swoje planowane małżeństwo w Urzędzie Stanu Cywilnego. Wywieszono zapowiedź o tym w gablocie przed budynkiem.

Napisałam do Wandzi... Tylko o niej wiedziałam, że żyje i gdzie jest. Adaś o nikim z rodziny nie wiedział nic. Tak samo jak i oni o nim, od tamtego spotkania z ojcem w wigilię 1939 roku.

Opiekunem naszego roku był nasz dziekan, profesor Rogalski. Wybraliśmy się we dwoje i zaprosiliśmy na nasz ślub w kościółku polskim, na Randolph Place, na tę naszą skromną uroczystość.

– O, dzieci, a ja nic nie wiedziałem! – wzruszył się Dziadek bardzo i przetarł okulary, ale gdy usłyszał, że to w czwartek, uprzedził, że ma wtedy sesję w Rektoracie i nie będzie mógł przyjść.

Ogłosiliśmy naszą nowinę, koleżankom i kolegom. One rzuciły się do nas z gratulacjami, pytaniami i radami, posprzeczały się przy okazji o ślubny bukiet, czy z róż, czy z goździków, czy białe, czy biało-czerwone, każda inaczej radziła. Koledzy po gratulacjach zgłaszali pretensje, że kto to widział tak o świecie, o ósmej rano, przecież jest okres przedegzaminacyjny, wolny od wykładów, można się wreszcie porządnie wyspać.

A Jurek Paleolog, nakazując ciszę, wołał:

– Chłopaki! Oficerowie swoim nowożeńcom robią szpaler przed kościołem i baldachim z szabel. A my zrobimy im z kości udowych i ramieniowych, fajno?

– Ty, Jurek! Nie wystarczy ci, że chodzisz o kulach? Chcesz, żeby ci Adaśko połamał te twoje rodzone kości udowe i ramieniowe? Co? – ryczał Sójka.

– Lepiej ty się Staszek uspokój, bo się wszyscy domyślą, że to zazdrość cię gnębi, bo to nie ty wymyśliłeś taki ceremoniał, tylko ja! – odciął się napadnięty.

– Słuchajcie, słuchajcie, jak to nasi dżentelmeni mają okazję do ulubionych wyglupów! – zawołała Irma i zrobiło się wesoło wszystkim.

A ta wczesna godzina była sugestią księdza, gdy prosiłam o ślub cichy i skromny, ponieważ nie będzie nikogo z rodziny i nie wiemy

o najbliższych nic pewnego. Odpowiadała mi też taka wczesna pora, bo byłam niezbyt silna i wołałam nie być zbyt długo na czczo, co obowiązywało przed komunią świętą.

Do modniarki zaprowadziła mnie pani Marysia Wyczółkowska i do wybranego kapelusza, pierwszego w życiu (po bereciku szkolnym i wojskowych czapkach) dobrała woalkę, też granatową. Kostium był nieco jaśniejszy. Meszty musiały być czarne, bo oprócz nich sprzedawano tego dnia tylko brązowe, a granatowe i wiśniowe zapowiedziano za trzy dni. Wystarczyło mi jeszcze na cienkie, granatowe jedwabne rękawiczki. Zabrakło na torebkę, lecz żakiet miał kieszenie. Po kwiaty poszłam z Adasiem. Marzyły mi się kalie, ale to nie był ich sezon. Wybrałam białe piwonie, bo mi przypominały nasz ogród, i dom i sypianie kwiatków w dzieciństwie. Nie pozwoliłam kwieciarce wbijać drutów w lodygi piwonii. Chciała je tak żywcem usztywniać, koniecznie! Brrr! W domu pani Marysia z własnej pilności (szkolne porzekadło!) ułożyła je na liściach paproci, zerwanych w ogródku. I jeszcze skróciła mi za długą spódniczkę. Potem poinformowała nas, że pan Janek ma wyznaczone przyjęcie do szpitala właśnie na dzień 21 czerwca. Ma mieć operację dwunastnicy, a ona sama pójdzie na ten czas do swojej przyjaciółki; oboje jednak, jak obiecali, będą naszymi świadkami ślubu. Bardzo byli przyjacielscy.

Do kościoła pojechaliśmy we czworo, tramwajem, pani Marysia z tym bukietem. Oprócz koleżeństwa oczekiwał nas tam też doktor Menschik. Byłam wzruszona niespodzianką. Ksiądz Zdzisław Oberptyński naprzód udzielił nam ślubu, by następnie odprawić Mszę Rzymską, ze specjalnymi błogosławieństwami dla nowożeńców. Uroczystość cicha, bez organów i śpiewów, jak chciałam, rozczarowała niektórych. Myślałam o tych, których tak bardzo chciałabym mieć przy sobie w takim dniu... Poprzedniego wieczora przyszła depesza od Wandzi. Po angielsku. „Niech Bóg błogosławi waszej miłości”. To był jedyny znak od jedynej osoby z obu naszych rodzin. O nikim więcej nic nie wiedzieliśmy... A w Bejrucie nie przyjęto depeszy po polsku, bo za trudny

język i „poprzekręcają tu albo tam?”. Słusznie...

Po wyjściu z kościoła i życzeniach doktor Menschik przekazał nam upominek od profesora Rogalskiego: „Lato leśnych ludzi” Rodziewiczówny, z przemiłą dedykacją. Pogawędziliśmy chwilę i poszliśmy zaprowadzeni przez świadków do eleganckiego fotografa. Zrobił nam kilka ujęć, zamówiliśmy zdjęcia półpocztówkowe, z myślą, że najlepsze damy powiększyć. Następnym celem naszego spaceru okazała się elegancka restauracja, dokąd nasi współmieszkańcy zaprosili nas na śniadanie. Tam pani Marysia zamówiła dla siebie i dla mojego męża prawdziwe angielskie śniadaniowe danie: grzanki, trzeba przyznać, że robili świetne, z jajkiem na bekonie, a pan Janek i ja, jajecznicę z jajka w proszku. Oprócz tego proponowano nam tylko owsiankę, na którą nikt nie miał ochoty. Wybór był taki ograniczony, bo i dzień był powszedni i wcześniejszych zamówień nie złożyliśmy. No i dobrze, byłam zadowolona, że tak skromnie. Następnie państwo Wyczółkowscy namówili nas na spacer piechotą do domu, zabrali bukiet i tramwajem odjechali do domu sami. A to wszystko po to, aby nas na progu witać chlebem i solą i symboliczną lampką wina, na szczęście. Cieszyli się naszym wzruszeniem. Pani Marysia, twierdząc, że na prezent ślubny nic nie wymyślili, zamiast tego obdarowali nas „namiastką wyprawy”. Hoj-na! Koldra, taka jaką można było znaleźć w sklepach, rypsowa, z pierza, zabawnie kwadratowa i przykrótka. Służyła nam przez długie lata. Dostałam też koszulkę nocną, jedwabną, długą, bez rękawów i do tego jeszcze lizeskę, piękne własnoręczne dzieło pani Marysi. To wszystko wymagało wyrzeczenia się kuponów! Byliśmy bardzo wzruszeni okazaną nam przyjaźnią.

Nasza podróż poślubna, jednodniowa, zawiodła nas oczywiście do tego ulubionego North Berwick. Dla mnie osobiście była to niejako rekompensata za tamtejsze życie obozowe, nie zapewniające miłych wspomnień. Dzień był słoneczny, spacer wzdłuż wybrzeża po kamienistej drodze w akompaniamencie szumu fal zaprowadził nas na najdalsze, nieznanne mi tereny. Tam zobaczyliśmy małą kafejkę i wstąpiliśmy do niej. Adaś stanął w niewielkiej kolejce, a do mnie przysiadła się

jakaś miła starsza pani. Nie zauważyłam, że obserwowala moje przyglądanie się obrączce, a ona z uśmiechem zapytała, jak dawno jesteśmy po ślubie.

– Odbył się o ósmej rano...

– O? W którym kościele? Nie widziała anonsu...

– W Edynburgu...

– Jak to miło! Zawsze, ile razy tu przyjdę, będę wspominała panią i to mile spotkanie i będę życzyła wam dużo szczęścia...

– A ja zawsze wspominając ten dzień będę z wdzięcznością wspominała panią i te życzenia. Dziękuję, to takie mile z pani strony odpowiedziałam bez wielkiej tremy i chyba bez błędów, milej Szkotce, a mój mąż już podszedł z lodami bakaliowymi, jakich w życiu nie jadłam. Świetne!

Wieczorem w domu, oprócz bukietów piwonii w różnych kolorach, zastaliśmy kartkę od pani Marysi, przy talerzyku, ustawionym na naszym miejscu w kuchni. To sąsiadka z parteru, Szkotka, przyniosła dla nas kwiaty i upominek w postaci kolacji: dwa jajka i dwa pomidory! Oznaczało to, że państwo Rossi oboje wyrzekli się tego swojego jajka, otrzymywanego raz na tydzień i tych pomidorów, które jako nowalijka rozdzielane były oszczędnie i sprawiedliwie stałym klientem po kolei. Doceniliśmy jako znajomi ledwie z widzenia i z miejsca poszliśmy podziękować. I tak poznaliśmy się ze szkockimi sąsiadami osobiście. Poczęstowali nas obowiązkową lampką wina.

Wchodząc do domu myślałam, że oto równocześnie wkraczam w życie małżeńskie... Z ufnością, ale nie bez tremy... I co dalej? Jaka będzie ta nasza wspólna przyszłość, na którą się decydujemy? Co nas czeka i gdzie? Czy sama miłość wystarczy? Oby tylko razem, bo to najważniejsze chyba...

Adaś o swoich najbliższych nie wiedział nic, od chwili aresztowania na granicy rumuńskiej, czyli od 1939 roku. Spotkał po latach paru kolegów już na medycynie. Genek Szlamp chodził do gimnazjum z Adasia młodszym o dwa lata bratem, Zdziszkiem. Staszek

Dunigiewicz był w innej klasie, lecz też się znali. Oni jednak, wywiezieni do Kazachstanu w kwietniu 1940 roku, też żadnych wiadomości ze Stanisławowa nie mieli. Stamtąd pochodziła również Stasia Spólnik, ale młodsza o parę lat, była tam uczennicą żeńskiego gimnazjum, a męskie były oddzielne i tam się nie znali.

Rodzice Adasia mieszkali na obrzeżu miasta, we własnym domu. Ojciec pracował na kolei, matka nie pracowała zawodowo. Staszek, najmłodszy z trójki, był o pięć lat młodszy od Adasia. Co się tam działo przez te wszystkie lata, nie wiadomo. Te kolejne okupacje, a jeszcze coś się słyszało o wrogich wystąpieniach Ukraińców. Dokładniej nie wiadomo gdzie, ani w jakich rozmiarach nie wiadomo, co tam teraz i co dalej...

Po ślubie kościelnym byliśmy zobowiązani z otrzymaną tam metryką ślubu zgłosić się w Urzędzie Stanu Cywilnego. Tam, gdy rejestrowaliśmy się wcześniej, też musieliśmy przedstawić wojskowe zezwolenia nasze na ślub, bo oboje podlegaliśmy służbie wojskowej. Teraz otrzymaliśmy angielskie świadectwo ślubu, bo ślub kościelny był respektowany, gdy ktoś życzył sobie zawarcie takiego.

W polskiej metryce ślubu, w rubrykach figurowały imiona, nazwiska i zawód małżonka i małżonki, daty i miejsce urodzenia oraz nazwiska rodziców obojga. Rubryka świadków zawierała ich imiona, nazwiska, zawód i adres:

Adam Michałowski, stud. Kier Mar. Woj., Jan Wyczółkowski, por. Br. Panc.

Alicja Bober, stud. ochotn. PSWK, Maria Wyczółkowska, studentka

Angielskie świadectwo ślubu oprócz tego rejestrowało zawód ojca obojga małżonków.

Po dwóch tygodniach odebraliśmy swoje ślubne zdjęcia, pięknie wykonane i zawrotnie drogie, właściwie małe portreciki. Przekraczały znacznie nasze zamówienie i potrzeby, o czym fotograf doskonale wiedział, ale tłumaczył się, że nie rozumiał. Zapłaciliśmy z ulgą, że mieli-

śmy tyle przy sobie, chociaż byliśmy przekonani, że na naszym miejscu Szkot nie dalby się nabrać. Cóż, takie fotografie zdarzają się raz w życiu...

Ze zdrowiem miałam problemy i mimo odkładania dałam się namówić wreszcie na wizytę lekarską u naszego docenta Tomaszewskiego, który był naszym lekarzem Wydziału. Dostałam jakieś leki, toniki i skierowanie na przebadanie do szpitala. Stamtąd wyszłam z zaleceniem całej serii zastrzyków, dostawałam je trzy razy w tygodniu. Nie umiły mi życia, ale pozwoliły na jakieś przygotowywanie się do egzaminów. Wlokły się przez całe lato: czwartego lipca biologia, jedenastego września chemia i fizyka pierwszego października.

A już nazajutrz był początek roku akademickiego! I w dzień następny pierwszy wykład z embriologii z samym dziekanem Rogalskim. Wiedzieliśmy już, że zdecydował się na powrót do kraju za rok, gdy doprowadzi nas do końcowego egzaminu z anatomii, której w dalszym ciągu nie wykladał, abyśmy samodzielnie studiując z podręczników opanowali jak najlepiej język angielski. Planował nasze egzaminy zorganizować zaraz z początkiem czerwca 1946 roku i natychmiast zdążyć jeszcze na sesję egzaminacyjną do Krakowa, gdzie już miał zapewnioną profesurę na Akademii Jagiellońskiej. Przez cały czas pracował wytrwale przygotowując potężny akademicki podręcznik do anatomii. Wiedział przecież, że w Polsce po tych okropnych wojennych latach wszelkich zniszczeń podręczniki naukowe będą bardzo potrzebne. Nie był w tym osamotniony, bo pamiętam, że także docent Sliżyński pracował nad biologią, a w Słownik Lekarski angielsko-polski i polsko-angielski docenta Tomaszewskiego nawet zdążyliśmy się zaopatrzyć.

Zaczelśmy ten drugi rok, ja już pod nowym nazwiskiem, co mnie przemieściło w alfabetycznej kolejce do ćwiczeń. Krysia Kowalska, obecnie już Banaszek-Kozłowska, zmieniła stancję, bo nie mogła przecież sama płacić za nasz dwuosobowy pokój u Mrs Brown. Zajął jednoosobowy po Romku Jaremie, który sobie upatrzył coś in-

nego. Byliśmy z Krysią bardzo zżyte i tym bardziej było mi przykro, że nie mogliśmy być na jej ślubie, który odbył się w jednostce Mietka. Nikt z naszego roku nie mógł się tam wtedy wybrać, nie pamiętam już dlaczego, niezależnie od faktu, że odległość i długa podróż też nie pozostawały bez znaczenia. Rzecz jasna, że wbrew marzeniom Krysi, jej mama także nie mogła przybyć z Egiptu.

Krysia paliła w dalszym ciągu. Nie mogła sobie dać rady z tym nalogiem, nabytym w lagrze, gdzie normalnie wolno było odpocząć tylko przy papierosie, choćby z byle jakiej trawy, ale tylko i jedynie palaczom. Nikt z niepalących nie miał żadnego prawa oddechu podczas gdy inni palili, jeśli sam nie uczestniczył w tym czynnie. Dozwolona była tylko „prykurka”! W taki sposób większość naszych kobiet i dziewcząt zawdzięczała palenie więzieniom, lagrom i zesłaniom do Związku Radzieckiego. Podczas morderczej pracy ciężko było nie wykorzystać okazji na chwilę wytchnienia.

Czasem, gdy Krysia wymykała się z prosektorium na papierosa do szatni, zjawiałam się tam także, bo wiedziałam, że czuje się bardzo samotna, Mietek musiał pozostać w swojej jednostce, a Krysi zależało na kontynuowaniu studiów. Po wykładach wracała teraz do pustych ścian, a ze mną lepiej było nam się uczyć razem i poza tym zawsze miałyśmy tyle wspólnych tematów i podobnych doświadczeń życiowych... Krysia pisała wiersze. Piękne, głębokie, przeważnie refleksyjne. Miała ich spory zeszyt, ale nie pokazywała nikomu. Ja swoich też – tylko jej. Różniły się formą i tematyką. I my też różniłyśmy się jedna od drugiej, ale rozumiałyśmy się, nieraz bez słów. Żał mi było Krysi, że jej mąż mógł ją odwiedzać bardzo rzadko. Był powołany do zadań organizacyjnych nowego planu skomasowania Polaków.

Wszyscy śledziliśmy wiadomości z tej dziedziny, krążące w zdezorientowanym społeczeństwie polskim. Nie od razu można było zrozumieć, co właściwie mają zamiar z nami zrobić. Brytyjskie władze pozbyłyby się najchętniej nas i to jak najszybciej. Jednak różne okoliczności sprawiały, że zaczęto kolejno przenosić naszych żołnierzy z Włoch do Wielkiej Brytanii. Rozgoryczeni, w ogromnej masie, wła-

śnie ci ze wschodnich ziem polskich wyrwani na nieprzyjazny wschód, ledwie uratowani od tamtejszej zagłady, nie mieli już gdzie wracać, ani do czego, skoro tę ich część ojczyzny nasi przyjaźni alianci hojnie darowali Sowiecom, obdarowując za to Polskę ruinami dotychczasowych ziem niemieckich, powracających po wiekach do macierzy. Pod względem obszaru te „Ziemie Odzyskane” w żaden możliwy sposób nie dorównywały tamtym ziemiom zrabowanym. W Wielkiej Brytanii robiło się za gęsto od „Polusów”!

Dowiadaliśmy się o tworzeniu Obozów Przystosobienia do Życia Cywilnego dla polskich żołnierzy, których celowo nie demobilizowano. Celem tego przedsięwzięcia miało na celu danie zawodu w ręce tym wszystkim żołnierzom, którzy go nie mieli. Do Polskiego Wojska w czasie wojny zgłaszali się masowo na ochotnika młodzi chłopcy, którzy jeszcze nie dorosli do pracy zawodowej. Często ledwie ukończyli szkołę średnią albo i to nie, bo nie zdążyli. Drugi Korpus pod wodzą generała Andersa, tworzyli przeważnie ci młodzi, których zwolniono z łagrów, zesłańcy z Kazachstanu, wywożeni całymi rodzinami. Oni po umowie Sikorski – Majski (sierpień 1941 r.) zgłaszali się do wojska albo do junaków, mobilizowanych dopiero po dojściu do pełnoletności. Przed wojną byli uczniami. W wojsku zdobyli umiejętność walczenia, po przebytych szkoleniach żołnierskich i późniejszej służbie w walkach frontowych. Po wojnie nie były to umiejętności potrzebne. Chyba, że ktoś chciał pozostać w wojsku...

Tacy imigranci to prawdziwy problem. Wyspa jak najprędzej chciałaby się tego pozbyć. Propaganda angielska na równi z propagandą komunistycznej Polski namawiała do powrotu do kraju. Bardzo trudno było na to zdecydować się tym, którym udało się wydostać ze szponów komunizmu. Za dużo wiedzieli. Zbyt wiele przeszli. Nie mogli zapomnieć. Pamiętali. Wszystko pamiętali...

Dla takich opornych ten obóz był jedyną propozycją. Trudno gdziekolwiek znaleźć sponsora i otrzymać prawo imigracji bez zawodu. Musi zapewniać pracę. Z tego trzeba żyć. Wszystkie te niepewności i rozterki nie dawały ludziom spokoju. To były trudne czasy. Ciężkie.

Jedynie studia podtrzymywały nas na duchu. Ufni, że pozwolą nam je ukończyć, żalowaliśmy tych chętnych, którzy już nie mieli takiej szansy, skoro pierwszego roku nie dano naszemu Polskiemu Wydziałowi otworzyć. Wierzyliśmy, że mamy to szczęście i szkoda, że ostatni, ale ukończymy na Uniwersytecie Edynburskim studia lekarskie, co da nam drogę do przyszłości. To znaczyło tak wiele. Bądź co bądź, po tylu przejściach... Droga na całe życie!...

Na drugim roku przybyła nam fizjologia z wykładami profesora Feglera i z asystą docenta Missiuro, który na kolejnym etapie naszych ćwiczeń patronował naszym doświadczeniom z żabami. Sprowadzono je specjalnie dla Akademii Medycznej z Francji, toteż docenialiśmy, że i nasz Wydział otrzymał je w wystarczającej liczbie. Koledzy oczywiście ogłaszali wdzięczność „żabojadom” za rezygnację z ulubionego przysmaku i dodawali wspaniałomyślnie, że zgłaszają gotowość odesłania im resztek, pozostałych po doświadczeniach.

Anatomia wzbogaciła się o embriologię i antropologię, częściowo ułatwioną dzięki wprowadzeniom do tematyki przez naszego dziekana. Poza tym nadal korzystało się z tych samych podręczników, zamiast wykładów i przygotowywało się obszerne partie materiału na każdy dzień w prosektorium. Sobotnie popołudnie mieliśmy wolne. Chemię organiczną wykladał nieoceniony docent Skarżyński, zawsze z jednakową pasją naukową, dzieląc się ze słuchaczami zapalem do odkrywania tajemnic chemii. Skrzętnie notowaliśmy te wykłady i powtarzaliśmy je, uzupełniając swe notatki od razu po powrocie do domu, na świeżo, bo to były faktycznie interesujące wiadomości. Anatomia też już nie wypompowywała nas ze wszystkich sił, słownictwo powtarzające się w podręczniku często ułatwiała tłumaczenie i w sumie nie wymagało już aż tak dużo czasu. Dobrze nam się uczyło we dwoje i z satysfakcją myśleliśmy o przyszłych kolokwiach.

Dobrze też mieszkało nam się z państwem Wyczółkowskimi. Domyślałam się, że pani Marysia jest około dziesięciu lat starsza ode mnie, czyli w wieku mojej najstarszej siostry, Dzikki. Powiedziała kie-

dyś, że mąż jest od niej starszy o osiem lat. Sama studiowała w Krakowie filologię polską, a w Edynburgu psychologię. Właśnie pisała pracę dyplomową na temat rozwoju mowy dziecka. Pan Janek, zwolniony z kategorią „E”, studiował Handel. Po operacji, którą przeszedł w czerwcu, nadal przestrzegał diety, co pani Marysia uważała za naczelną zasadę podczas planowania i przygotowywania posiłków. Z otrzymywanych racji żywnościowych trzeba było kombinować, aby temu sprostać. Nasze kontakty i pogaduszki najczęściej odbywały się w tej wspólnej kuchni, dość dużej, wyposażonej w kuchenkę gazową z piekarnikiem, zlewozmywak i spizarkę dość chłodną. Lodówek chyba jeszcze nie było, w każdym razie nie natrafiłam na nie w żadnym znanym mi tam mieszkaniu. Na środku kuchni panował duży stół, krzesła, z boku niski, długi kredens, świetne stanowisko pracy przy różnych czynnościach. Naczynia kuchenne i stołowe oraz komplet sztućców należały do wyposażenia. Było tego dość dużo, wystarczająco także na przyjęcie gości. W spizarni były też szczotki, śmieciarki, ręczny odkurzacz i podobne przedmioty domowego użytku.

Pokoje były umeblowane, przeważnie tak je odnajmowano.

W naszej sypialni oba łóżka posiadały materace, zagłówki oraz po jednym kocu. Zobaczyliśmy to sprzątając mieszkanie przed wprowadzeniem się i wobec braku prześcieradeł, Adaś napisał do kolegi w podchorążówce z zapytaniem, czy korzystając z prawa zaopatrywania się w messie oficerskiej może tam zakupić prześcieradła bez kuponów. Wkrótce otrzymał cztery prześcieradła, które Kazik Jeleński przysłał i odwrotną pocztą odesłał mu niewielką należność. Bardzo nas to ucieszyło, bo zdążyły na czas. Poczuliśmy się o tyle bogatsi! A po ślubie, dzięki informacjom pani Marysi, otrzymaliśmy od Urzędu Stanu Cywilnego „Priority dockets”, przyznawane nowożeńcom i za nie kupiliśmy jeszcze dwa prześcieradła i piękny, puchaty i lekki biały wełniany koc. Luksus!

Wandzia otrzymała nasze ślubne zdjęcie. Cieszyła się, że ładne, że mam ten wymarzony kapeluszek i koniecznie chciała się dowiedzieć, jaką już posiadam cywilną odzież. Nie było tego zbyt dużo do pisania,

toteż wyliczyłam wszystko, zgodnie ze stanem faktycznym, zaczynając od prywatnej bielizny dziennej (ślubnej): jedna zmiana dziennej, dwie koszulki nocne, jedna lizeska. Czarne: płaszcz, sukienka wełniana, beret, rękawiczki ocieplane i dwie pary mesztów (typu „czólenka”), kostium ślubny, kolor podobny do lotniczego, granatowy kapelusz i jedwabne rękawiczki. Bluzki z długim rękawem: biała i niebieska. Spódniczka, jasny brąz. Aż tyle! Już przecież coś wisiało w szafie i coś leżało w komodzie, oprócz tych wojskowych fasowanych sort mundurowych!

W odpowiedzi moja kochana siostra wyraziła zdziwienie, że tylko tyle (!!!) i uprzedziła, że wysłała mi paczkę, którą mogę przyjąć jako prezent ślubny, żeby mi nie przyszedł głupi pomysł do głowy, że trzeba za to zapłacić. Paczka dotarła do mnie 29 sierpnia. Długo płynęła. Zawierała materiały na dwie sukienki: niebieski i kolorową korę jedwabną w brązach i odcieniach, na białą bluzkę z kolorowymi paseczkami, pulower i kilka chusteczek. Wanda zapewniała, że ma kilka sukienek, bo gotowe są niedrogie, kilka par sandałków, żadne kupony nie są tam potrzebne i dużo spotyka się w Bejrucie taniej amerykańskiej odzieży. Sądziła, że praktyczniejsze dla mnie okażą się materiały, bo dam sobie uszyć na swoją miarę, o czym jej na ślepo decydować trudno. Materiały bardzo mi się podobały, ale nie miałam krawczyni i nie było komu uszyć mi z nich cokolwiek. Odłożyłam, musiały poczekać, aż zdobędę jakąś informację. We wrześniu mąż kupił mi elegancki, długi szlafrok tego typu, jaki podziwiałam u Krysi. Był wełniany, ciepły, „mięsiasty” i przytulny w kolorze wiśniowym. Bardzo go lubiłam, służył mi długie lata i jeszcze później zasilił garderobę moich córeczek, którym zdołałam wykroić z niego kubraczki i dorabiałam do nich rękawy i lamówki na drutach. Bardzo się udały. Zanim do tego doszło, cieszyłam się z tego pięknego koloru, jako że tyle lat ciągle w tym mdłym khaki, i świętemu by się uprzykrzyło: To niechybnie strasznie babska cecha, ale czegoż innego można się spodziewać?!

Jak już zdażyłam się przyzwyczaić, tym razem znowu pani Marysia okazała się dobrą wróżką. Zdobyła dla mnie adres krawczyni. Polskiej! Okazało się, że pani Marska, matka naszej koleżanki ze starszego

roku, Krysi Kawowej, była sąsiadką koleżeństwa pani Marysi, z którymi przyjaźniła się przez wspólne lata studiów. Poznałam ich na Seton Plac, gdy odwiedzili państwa Wyczółkowskich dokładnie w dzień przed moim ślubem i przedstawiłam się ostatni raz swoim panieńskim nazwiskiem. Byli to: pani Danusia Dubieńska, Iwowianka, wdowa po oficerze Polskiej Marynarki Handlowej, pani Ziuta Zielonka i pan Staszek Maj, przedwojenni nauczyciele. Mieszkali u Szkotów, wynajmujących pokoje i najczęściej razem się uczyli. Państwo Wyczółkowsky nazywali ich „rodzinką”. Pani Marska opiekowała się małą córeczką Krysi, Basią, ale przyjmowała trochę szycia, którym przed urodzeniem wnuczki z powodzeniem się zajmowała.

Zgodziła się uszyć mi, co tam uzgodniłam, wyznaczyła dość odległy termin przymiarki i następnie drugi, do odebrania. Wtedy zapytałam o należność i musiałam tęgo nadrabiać miną, bo nie miałam pojęcia, że ceny są aż takie wysokie. Za takie drogie funty miałabym dwukrotnie więcej sukienek i bluzek, łącznie z opłaceniem kuponów na nie. Takie jednak były ceny za usługi. A sukienki rzeczywiście uszyte zostały bardzo ładnie i bluzka również, i czułam się w nich „podobna do ludzi”, a nie „jak ta biedna pestka”! Adaś dostał od kolegi adres dobrego krawca, z upoważnieniem powołania się na niego. I dodał w sekrecie, że to jest osiadły w Edynburgu, od wielu lat, polski Żyd, który wtajemniczonym uszyje ubranie doliczając kwotę za dostarczone przez niego kupony. Ubranie marengo uszyte było na medal, mój mąż bardzo elegancko w nim wyglądał, więc przy odbiorze umówił od razu kolejkę na następne i zaczęliśmy po trochę odkładać na to drugie ubranie. Takie to sprawy absorbowały nas poza nauką, z którą żyliśmy w zgodzie na bieżąco. Od czasu do czasu Krysia cieszyła się z przyjazdu Mietka. Opowiadała, że do niego wybiera się na Święta. A ja coraz więcej miałam problemów ze zdrowiem, nowe serie zastrzyków mijaly bez echa.

Dość często odwiedzały nas Baški, czasem zapraszały do siebie. Mieszkały u szkockiej pielęgniarki, samotnej, trochę despotycznej, ale w dobrej komitywie. Czasem ktoś do nas wpadał z odwiedzinami, chociaż na ogół już się raczej przyjął zwyczaj szanowany przez Anglików,

że należy uprzedzić gospodarzy, jeśli się ma ochotę wybrać do nich w myśl zasady, że „My home is my castle” (Mój dom to mój zamek – w znaczeniu twierdzy, ze wstępem tylko dla zaproszonych!).

Raz niezapowiedzianą wizytą zaskoczyły nas siostry Nidzielskie: Mietka i Danka, razem ze współmieszkankami, Marzeną i Damianą Kaliszczak. I ze Staszkiem Dunigiewiczem, asystującym stale Dance. Był to dzień wolny od zajęć i sama gotowałam obiad w domu, gdy Adaś miał jakieś sprawy do załatwienia w mieście. Zaplanowałam sobie polski obiad, nawet trochę pracowity, lecz raz tak na odmianę. Na drugie danie zrobiłam paluszki z gotowanych ziemniaków, ale gdy je gotowałam, doszłam do wniosku, że za dużo tego ciasta. Nie było nikogo w kuchni, czyli nikomu nie przeszkadzałam, więc pomyślałam sobie, że mogę wykorzystać piekarnik. Dosypałam do tego ziemniaczanego ciasta parę łyżek cukru, wyrobiłam, rozwałkowałam, wykrawałam szklanką herbatniki, w nich mini kieliszkiem środki i upiekłam tego trzy blachy. Złociste, posypane cukrem i dość ładne, wypełniły trzy duże talerze, które z wielkim zadowoleniem zaniiosłam do jadalni, bo przydadzą się nazajutrz, gdyż zapowiedział się Romek z wizytą. I na to właśnie wpadło nieoczekiwanie to towarzystwo. Równocześnie z Adasiem, który zaprosił gości do jadalni. Okrzykami radości powitali te herbatniki, które ledwie zdążyłam skosztować. Zakręciłam się w kuchni, Adaś wniósł herbatę i przy milej pogawędce płynął czas. Siostry zgodnie chwaliły moje wypieki, toteż skromnie zauważyłam, że herbatniki wyszły mi trochę za twarde. Prawdę mówiąc nie tak bardzo, trochę przesadziłam, w nadziei usłyszenia zaprzeczeń, ale niewątpliwie smakowały, bo nie został ani jeden! Chwaląc głośno przyjęcie i mieszkanie, bo przyszli je obejrzeć, pożegnali się po paru godzinach i poszli.

Po kilku tygodniach Wanda napisała mi, że właśnie wybrała się z Bejrutu do Jerozolimy i tam spotkała się z panią Niedzielską (znały się jeszcze z Guzaru). Rozmawiały, spędziły jakiś czas ze sobą i opowiadały sobie wiadomości z Edynburga, o Mietce z Danką i o mnie. I pisze mi siostra, że córki napisały do pani Niedzielskiej o odwiedzi-

nach „U Adasiów”, że to bardzo mile małżeństwo, mają bardzo ładne mieszkanie, ale Ala piecze za twarde ciastka!... Wobec tego, zanim zaczęły się ćwiczenia w prosektorium, podeszłam do stołu, przy którym pracowały te moje mile koleżanki i odczytałam im fragment tego listu, dodając swój komentarz. Śmiech był tak głośny, że od razu szersze towarzystwo zainteresowało się, co się dzieje. Na koniec Irma podsumowała: Oto koleżanki wpadły bez uprzedzenia, czyli nieproszone (!), zjadły do czysta, co było nie dla nich przygotowane (!) i z Wyspy, z Europy do Azji wysłały oszczercze plotki, że koleżanka, która je ugościła, nie umie zrobić dobrych ciastek! A wiadomość bumerangiem wróciła! Do tej skrytykowanej! Humoru nam nie brak, zawsze lubimy się pośmiać. Irma zaś знаła tyle kawałów, że kiedyś, gdy niespodziewanie nie zjawił się nasz wykładowca, ona przez całą godzinę, prawie bez czyjejś pomocy zabawiała nas kawałami, że brakowało nam już sił od nieustannego śmiechu. Szkoda, że nie mogę tu przytoczyć paru na okrasę. Nie mam głowy do kawałów. Wcale.

Z końcem listopada kupiliśmy dla mnie płaszcz (za trzy funty i piętnaście szylingów) ciemnoniebieski, bo Adaś upierał się, że czarny. „To taka żaloba”. Sukienek nie mogłam nosić, bo letnie, chodziłam więc w spódnicy i bluzce, noszonych w zmiennym układzie, bo miałam już po dwie, gdyż jedną z wojskowych dałam ufarbować na ciemny brąz, całkiem ładny. Kostium nosiłam zawsze w komplecie, nigdy osobno spódnica i osobno żakiet. W dni wypłaty dekadówki wkładałam mundur.

Znacznie się ochłodziło i przydawał się sweterek, zrobiony mi przez Krzysztofę. Gdzieś już została przeniesiona z North Berwick i kontakt nam się urwał.

Widziałam, że pani Krysia robi na drutach, w dodatku miała różne wzorki z opisem i z ilustracją. Poprułam wielki marynarski sweter Adasia, bo go nie lubił i nie nosił i robiłam sobie, według kupionego wzoru. Pamiętałam, jak się robi oczka prawe, wstydziłam pytać o te nieszczęsne lewe, z których Krysia tak się śmiała i podpatrzyłam je u Jagody Hodaly, mieszkającej ze Stasią Spólnik, gdy nas

kiedyś zaprosiły na herbatkę. Skoro już jakoś tymi drutami władałam, nie krępowalam się zapytać pani Marysi o skróty i symbole stosowane we wzorkach angielskich. Następnie, po ukończeniu tego granatowego swetra z Adasiowego, który był bardzo gruby i ciepły, a więc świetny dla mnie – zmarzlucha, kupiłam włóczkę średniej grubości w kolorze posiadanej jasnobrązowej spódniczki. Zaznaczyłam w kalendarzyku dzień rozpoczęcia roboty. W miesiąc potem, już w tym sweterku poszłam na wykłady, bardzo zadowolona, bo zrobiony dokładnie według instrukcji, faktycznie świetnie się udał. Koleżanki od razu zauważyły! Z Krysią na czele!

Na Świętego Mikołaja i równocześnie dzień urodzin Adasia szarpnęłam się na dość drogi prezent: pędzel do golenia, prawdziwy z bobrowego włosia, bo słyszałam, gdy mężczyźni rozmawiali, że tylko taki jest najlepszy. Tamten stary był na wykończeniu. Dodalam też mydelko do golenia, pełna uznania dla siebie, że jestem taka praktyczna! Mój mąż zaskoczył mnie prawdziwą niespodzianką: bilety do teatru na balet! Opowiadałam mu, że uwielbiam teatr, co wszyscy Iwowanie mają we krwi. I to tak dalece, że kiedy „za nieboszczki Austrii” rząd autonomicznej Galicji dał miastu do wyboru budowę kanału poprzez Bug i Dniestr: drogę od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego albo budowę dużego teatru (parę małych już było), Lwów wybrał w pierwszej kolejności właśnie wielki teatr, odkładając budowę kanału „na drugi raz”. Nie pomogły rządowe tłumaczenia i obliczenia wszelakich korzyści z planowanego kanału. I w roku 1905, o pięć lat później od Teatru im. Słowackiego w Krakowie, stanął we Lwowie Wielki Teatr, piękny, znacznie większy od Słowackiego. Od dziecka bywałam w teatrze, Wielkim albo Fredry, grywano dużo dla dzieci. Nieraz zabierała nas do teatru babcia, która pouczała, że do teatru się nie chodzi, trzeba koniecznie jechać fiakrem, bo to taka uroczystość i „jak stać na juszkę, to i stać na pietruszkę”. Babcia tłumaczyła mi, że jako właścicielka „realności”, to znaczy domu z ogrodem, jest obywatelką miasta Lwowa, co sobie bardzo ceniła. Od kilkudziesięciu lat była wdową po mistrzu kominiarskim, który miał swój warsztat i zatrudniał czeladników.

Kiedy już uczęszczałam do gimnazjum, teatr grywał dla młodzieży szkół średnich popołudniówki, prezentując dramaturgię polską i obcą na scenie. Obowiązywało nas co miesiąc uczestniczenie w nich, co młodzież naprawdę bardzo ceniła i lubiła, przeżywając żywe słowo znacznie głębiej, niż ograniczane do samych lektur. To było coś wspólnego!

Balet! I wyjście do teatru! Cieszyłam się bardzo, bo rozumienie mowy ze sceny byłoby z pewnością trudne. Repertuar lansował wówczas Szekspira, wiadomo, że znało się jego dramaty, ale jednak język szesnastowiecznej Anglii, byłby bardzo ciężki w odbiorze. Co innego balet! Dla mnie to był niezapomniany wieczór. Podejrzewałam po cichu, że sam Adaś wolalby film kowbojski i to jeszcze bardziej mnie wzruszyło. W dodatku, między innymi scenami, na przykład „Czerwony kapturek”, oglądałam po raz pierwszy „Jezioro łabędzie”. Przepiękne.

Bilety mój mąż nabył o parę dni wcześniej. Nie stosowano tego w kinach. Seanse kinowe zaczynały się o wczesnych godzinach popołudniowych i szły jedno za drugim, bez oznaczania początków kolejnych seansów, podobnie jak w przedwojennej Polsce. Przychodziło się do kina, zajmowało się miejsce, na które doprowadzała dyżurna, oświetlając sobie latarką drogę poprzez ciemną widownię, bo seans trwał. Dopiero po zakończeniu filmu oświetlano widownię i wtedy, gdy ktoś zajmował nie swoje, numerowane miejsce, przesiadał się, zgodnie z wykupionym biletem. Tak było we Lwowie i stałe godziny dwóch seansów w dni powszednie oraz trzech w niedziele, z przestrzeganiem i wprowadzaniem na nie o wyznaczonych godzinach, pamiętam w kinie „PAX”, prowadzonym przez franciszkanów, tuż przy ich kościele, na szczycie ulicy Franciszkańskiej. Wybudowali małe kino wyświetlające filmy szczególnie dla młodzieży i najtańsze w mieście bilety zachęcały tam do przyjsia, a dla młodzieży zniżkowe, za pół ceny.

W Edynburgu kina zaskoczyły mnie swoją wielkością, zwykle z trzema balkonami, jak nasze teatry i bardzo obszernym parterem. Miały jednak, według mnie, wielką wadę. Otóż na co drugim krześle,

na jego oparciu, po tylnej stronie umocowane były popielniczki, z których widzowie najczęściej chętnie korzystali. Najgorzej, gdy się trafiło na amatora fajki. Ostro mdły zapach wwiercał się do niemożliwości do samych płuc chyba. Momentalnie doprowadzał mnie do bólu głowy i niejedną raz musiałam z tego powodu wyjść z kina.

A z dostaniem się do kina nie było łatwo. Stało się w kolejce i jak do tramwaju wchodziło tyle osób, ile ogłaszała dyżurna w drzwiach. Ona bowiem otrzymywała meldunki o ilości zwalnianych miejsc. Dopiero po wejściu do kina nabywało się bilety w kasie, gdzie już wiedziano, gdzie i które to miejsca się zwolniły. Na „Przeminęło z wiatrem” staliśmy po bilety ponad dwie i pół godziny. Można było trafić na film w trakcie jego trwania, albo na końcu i wtedy poczekać na jego początek i kontynuować oglądanie nawet i do końca. Wyświetlano za jednym zamachem dwa filmy, chyba że się zdarzył taki długi jak „Przeminęło...” Z tych dwóch, główny był tym dłuższym, ten drugi dodany, krótszy i zawsze różnił się nastrojem i treścią. Oprócz tego podawano aktualne Wiadomości. Tych nie lubiliśmy, ponieważ coraz częściej gloryfikowano Związek Radziecki – nieocenionego alianta, Stalina witała publiczność brawami.

Na ekrany wchodziła w owym czasie Ingrid Bergman, Jenifer Jones, często dawano bez troskie filmy z Dean Durbin o dziewczęcym wdzięku i ślicznym głosie znaną nam już sprzed wojny. Lubiałam je. Adaś zachwycał się Errolem Flynnem w kostiumowych filmach, Garym Cooperem i Scotem w filmach kowbojskich, lubiliśmy Allana Lada w wojennych. Elisabeth Taylor, wówczas jedenastoletnia występowała w filmie „Lassie wróć”, w innym została zwyciężczynią konnych wyścigów, była świetna. Zdarzały się jeszcze filmy z małą, niezrównaną Shirley Temple, z okresu „Wielkiego kryzysu” i odgórnie lansowanej bez troski, ale gdy Shirleyka wystąpiła w wieku już szesnastu lat, poradzono jej, aby zrezygnowała, bo w jej sytuacji nie wypada, stać się jedną z wielu. Charlie Chaplin grywał już nie tylko komedie, rozśmieszające Amerykanów rzucaniem tortu w czyjąś twarz. Jego kreacje nieszczęsnego nieudacznika o gołęmbim sercu, dzielącego się ostatnią kromką chleba,

zawsze wzruszały. Był jeszcze Tylor Power, Don Amanche, Mały Mickey Roney, śpiewający i stepujący, mistrz stepowania Fred Astair, z partnerką Carmen Mirandą, ognistą i rudą Ginger Rogers, blondynki Betty Davis i Alicja Fay... Jak to dawno... kto ich jeszcze pamięta?...

Pogoda bywała typowo szkocka, deszcz mniejszy lub większy albo mżawka. Ochłodzenie dawało się odczuwać. Na wystawach sklepowych reklamowano upominki świąteczne, Mikołaj w domach towarowych przechadzał się z wielkim workiem lub ze skarpetą godną olbrzyma, coraz więcej domów strojono w świąteczne wieńce. To już drugie Święta w Edynburgu...

Pani Marysia opowiedziała, że ich trójka przyjaciół, (czyli rodzinka) nabyła kamienice z demobilu, czyli zwolnioną przez wojsko, stacjonującą tam w ciągu ostatnich, wojennych lat. Była niewiarygodnie tania i wymagała kapitalnego remontu, do którego osobiście i własnoręcznie właśnie się zabrali. Trzy pokoje i kuchnię na parterze w pierwszej kolejności szykowali dla siebie, aby już mieszkając na miejscu kolejno szykować pokoje do odnajmowania przyszłym lokatorom. Bardzo korzystna inwestycja, licząc na umeblowanie tanimi nabytkami z licytacji. Mogli się już tym zająć, skoro ukończyli studia. Już im nie przysługiwało stypendium. Pani Ziuta zdecydowała się na przyjęcie stałej posady jako kierowniczką Polskiego Domu Dziecka, gdzie dotychczas studiując dorabiała w niepełnym wymiarze godzin. Teraz, gdy już swój pokój miała urządzony, mogła po pracy pomagać współpracownikom w ich czynnościach. Państwo Wyczółkowscy zostali tam zaproszeni na wigilię. Krysia wyjeżdżała na Święta do Mietka, gdzie cały obóz świętował je zgodnie z polską tradycją. Danka zapisała się do Bratniaka. My zaś swoją pierwszą małżeńską wigilię zaplanowaliśmy z Baškami. Została pieczolowicie przygotowana. Wypadła w poniedziałek, toteż już w niedzielę razem z Adasiem piekłam sernik i murzynka, na święta robiliśmy gołąbki i nadziewali kurę. W dzień wigilijny poprosiłam w sklepie warzywnym, gdzie zawsze zaopatrywaliśmy się, o buraki i mak. Maku nie było, usłyszałam, że tylko w sklepie z nasionami, w torebeczkach, jak nasiona.

– A co do buraków, to świetnie pani trafiła, bo właśnie je już odcedziłam – ucieszyła się sprzedawczyni i już chciała od razu ważyć mi je.

– O nie, proszę o surowe... – zaczęłam.

– Ależ cena jest taka sama! Ma pani już gotowe, tylko obrać, pokroić, skropić octem, posolić i sałatka gotowa w kilka minut! Można dodać odrobinę cukru. Kto by to gotował? Specjalnie to robimy dla stałych klientów – zachęcała.

– Ach, dziękuję, to faktycznie wspaniale, ale na dzisiaj są mi potrzebne surowe, na zupe.

– Zupa z buraków? Nigdy nie słyszałam Jak ją pani robi? – zainteresowała się Szkotka.

– No, to wpadłam! – pomyślałam – Jak nauczyć ją jak się robi barszcz? Trudno. Tłumaczyłam od A do Z, także o wywarze z grzybów (uznają jedynie pieczarki!), nawet nie pominęłam uszek, mocno wątpiąc, czy się na nie zdobędzie. Miła sprzedawczyni wysłuchała, wezwwała do pomocy współpracownicę z magazynu, musiałam od początku wszystko powtórzyć i wysłuchać, czy zapamiętały. A na ostatek ta starsza palnęła:

– Pewnie to jest dobre, ale po co zadawać sobie aż tak dużo roboty?

– Ach, bo to już u nas taka odwieczna tradycja – odpowiedziałam z miłym uśmiechem, bo faktycznie śmiać mi się chciało z własnej naiwności, że aż tyle czasu poświęciłam daremnie.

– Ach, tradycja! Rozumiem. Widzisz, pani pochodzi z kraju, który ma swoje tradycje!

Krysia Andrzejowska zapowiedziała wcześniejsze przybycie i razem lepiliśmy uszka z suszonych i świeżych pieczarek, trochę pierogów z ziemniakami i z serem. Adaś smażył rybę, Baśka pomagała i uroczysta wieczerza odbyła się w naszej jadalni, gdzie na stoliku stała prawdziwa choinka, bo dopilnowałam, aby jej nie brakowało, jak przed rokiem. Przystroiłam ją na biało i srebrzyście, nawet w cukierki, zawijane

w frędzlowate bibułki i staniole błyszczące, tak jak się to praktykowało w domu, we Lwowie. Zrobiłam też łańcuch ze srebrnej pozłotki, ale klej nie trzymał i całość znalazłam nazajutrz rozsypaną pod drzewkiem, w pojedyncze, rozwarłe ogniwa. Na gwiazdkę dostałam od małżonka irchowe pantofle domowe, na słupkowym obcasie, wiśniowe jak szlafrok. Miał chyba jednak zbyt wielkie wyobrażenie o mnie: były o dwa numery za duże! Z nosami mocno wywatowanymi. służyły mi ładnych kilka lat. Ode mnie dostał kosmetyki i krawat, za jedyne, ostatniego kupona. Z Baškami też wymieniliśmy upominki bezkuponowe i podobne mieliśmy dla państwa Wyczółkowskich. Pani Marysia była niezrównana i obdarzyła nas niewielką, lecz praktyczną „Polską książką kucharską” napisaną po angielsku dla angielskich żon Polaków. Było to owocem koła Przyjaźni Szkocko-Polskiej, gdzie nasza rodaczka prowadziła kurs gotowania polskich posiłków. Słyszałam, jak jedna Szkotka chwaliła się swojej koleżance, że dzięki temu kursowi potrafi nawet sama zrobić w domu makaron! Książka, choć bardzo już sfatygowana, jeszcze ma swoje miejsce wśród skarbów sprzed lat... Tak samo, jak ten gwiazdkowy prezent z naszej pierwszej wigilii, mianowicie fotografia mojego męża w szkockim stroju, czarno-biała, bo kolorowych nie było jeszcze. Wspomniałam mu kiedyś, że w domu mieliśmy fotografię – tata w stroju góralskim, z Zakopanego, sprzed pierwszej wojny...

Na pasterkę wybraliśmy się do kaplicy uniwersyteckiej, co zapisałam w ówczesnym kalendarzyku.

Sylwestra i powitanie Nowego Roku obchodziliśmy z państwem Wyczółkowskimi i rodziną. Zaraz po Nowym Roku zaprosiły nas Baški, a na Trzech Króli trójka przyjaciół, na New Heaven, gdzie już cały parter został bardzo porządnie wyremontowany, odmalowany i umeblowany wygodnie i praktycznie. Bardzo się tam napracowali i po zasłużonym wypoczynku świątecznym szykowali piętra tak, aby można było już zacząć odnajmowanie pokojów, zasilające fundusze.

Z początkiem stycznia Adaś otrzymał od Polskiego Czerwonego Krzyża pierwszą wiadomość o swojej rodzinie w Polsce. Podano mu

adres kuzyna, Ryszarda Krzysia. Był to siostrzeniec jego matki. Adres w Krakowie. Ostatnich parę przedwojennych lat rodzina Krzysiów mieszkała w Stanisławowie. Napisał natychmiast na ten adres, zdając krótkie relacje o sobie i dołączając całą litanię pytań o swoich najbliższych i o bliskich krewnych. Cieszyliśmy się z tej możliwości nawiązania kontaktu, z nadzieją na wiadomość o rodzicach i braciach Adasia przede wszystkim. A ja, upewniona o działalność Biura Poszukiwań PCK, wypatrywałam wieści o Dzidce z Leonem i o krewnych z naszego domu, przy Sieniawskiej we Lwowie. Spośród znajomych nikt nie miał dotychczas kontaktu z Polską.

Na studiach już ósmego stycznia zaczął się drugi trymestr. Na anatomii zajmowała nas zawartość klatki piersiowej. Na mnie wypadło wypreparowanie z płuca całego bogactwa przewodu oddechowego, od tchawicy, oskrzela, do najmniejszych oskrzelików i z ulgą sama siebie obserwowałam, że mi to wychodzi, że zupełnie dobrze sobie z tym radzę, niewątpliwie dzięki temu, że nie miałam już nic do czynienia z żadną tkanką tłuszczową. Gąbczasta i zrazikowata tkanka płucna nie sprawiała trudności w oddzielaniu jej od oskrzelików. Na fizjologii wojowaliśmy z żabami, na chemii cieszyły nas udane reakcje, a na histologii śliczne, kolorowe przekroje komórek pod mikroskopem. Suma summarum studia absorbowały nas należycie, z pełnią satysfakcji.

Tylko z moim zdrowiem nie było w porządku. Czulałam się fatalnie, chudłam, byłam słaba. Adaś zamawiał mi wizyty lekarskie, dostawałam lekarstwa i nadzieję na poprawę, ale właściwie nie postawiono diagnozy, nie było wiadome, co mi jest i tak to się ciągnęło. Traciłam cierpliwość sama do siebie, byłam bezradna i załamana.

Sytuacja Polaków na Wyspie stawała się trudna. Gospodarze już właściwie nie kryli się z faktem, że mają nas dość, chociaż jeszcze tego jawnie nie ogłaszali, raczej dawali do zrozumienia. Sami Polacy też między sobą niezbyt dochodzili do porozumienia. Ci, którzy decydowali się na powrót do kraju, najczęściej ze względów rodzinnych, do żony z dziećmi, do rodziców starych, do odnalezionej rodziny lub

pozostałych z niej resztek, narażali się na traktowanie, jak zdrajców. Bojkotowani jako komuniści, którymi wcale nie musieli istotnie być, stali się wyobcowani spośród grupy przyjaciół, nawet tych frontowych, z którymi wzajemnie ratowali się w najgroźniejszych opresjach. Czekanie na miejsce w transporcie do Polski, trwające miesiącami, to musiał być dla oczekujących bardzo ciężki okres przykrych doświadczeń, w tym i tak niełatwym życiu. Transporty z Wielkiej Brytanii odbywały się przez sześć miesięcy „ciepłych” normalnie. Przez sześć „zimnych”, z wielkimi ograniczeniami, z powodu statków nieprzystosowanych do rejsów przez Morze Północne o tej porze roku. Były to statki nieduże, o ograniczonych możliwościach załadowniczych.

Obozy Przysposobienia do Życia Cywilnego zaczęły wchodzić w początki organizacyjne, co nie było sprawą prostą ani dokładnie rozpracowaną. Wciąż jeszcze na ulicach miast wdziało się grupy polskich żołnierzy, nie witanych już życzliwymi uśmiechami. Czas nie działał na naszą korzyść.

Pierwszy list z Polski otrzymał Adaś w ostatnim dniu lutego. Od Janki Krzyś, w odpowiedzi na ten, wysłany przez Adasia czwartego stycznia. Tak długo! Pierwszy list z Polski, bo o żadnym jeszcze nie słyszeliśmy. Nie napisał dotychczas nikt z tych, którzy stąd do Polski wyjechali, chociaż solennie obiecywali, że zaraz napiszą. Janka odpisywała za Ryśka, bo wyjechał. Wiadomości podawała dość lakoniczne, ostrożnie, wyważonymi słowami. Napisała, że rodzice Adasia są jeszcze na Zosinej Woli. To była ulica w Stanisławowie, gdzie mieli dom. Nie użyła nazwy miasta, bo zostało po stronie sowieckiej. Brat Adasia, Staszek był w Krakowie, o Zdziszku na razie nie wiedzą, adres jego, gdy dostaną i rodziców, gdy zmienią, przyślą nam. Ich rodzina mieszka w Krakowie, o innych krewnych też przyślą wiadomości, kiedy je otrzymają. Wojnę przeżyli. Wysłaliśmy tam zaraz paczkę, list i nasze ślubne zdjęcie. Cieszyliśmy się, że rodzina przeżyła wojnę w komplecie, jakie to szczęście, niewiele było takich rodzin! Następną paczkę wysłaliśmy też na adres cioci Krzysiowej, z zaznaczeniem, że to dla Stasia.

Również odzieżowa, i też niewielka. Był w niej oprócz bielizny jeden bucik, bo ktoś ostrzegał, że buty giną. Drugi poszedł nierychło, w następnej paczce. Tam były kontrolowane. Dowiedzieliśmy się, że w liście poleconym można wysyłać paczkę papierosów, które podobno w Polsce są drogie i łatwo się je sprzedaje. Wobec tego już do każdego listu, poleconego, dołączaliśmy paczkę „Playersów”, dwadzieścia, jedno z droższych. Wkrótce dokładaliśmy wykupione na poczcie kupony na odpowiedź, aby nie musieli wydawać na znaczki. Cały czas pamiętałam własne, potrzeby i oczekiwania na korespondencję i paczki podczas tamtych lat na zesłaniu w Kazachstanie i starałam się według tego pomagać rodzinie w powojennym okresie, rodzinie, wyrzuconej przecież z własnych domów i miast, po latach wojennego biedowania i nie wiadomo z czym, co pozwolono im ze sobą zabrać, a co musieli stracić. To były dopiero początki.

Jeszcze z początkiem 1945 roku Kasper napisał ze swojego „miejsca postoju”, bo nie wolno było wymieniać nazw miejscowości w korespondencji, (a jeśli się to zdarzyło, cenzor taką informację wycinał) z zapytaniem, czy może przysyłać na mój adres czeki bankowe, z prośbą, abym je realizowała w banku i gotówkę składała u siebie. Wyjaśniał, że obaj z bratem właściwie prawie nie wydają pieniędzy, brat jako oficer ma już spore oszczędności, a nie mają żadnego zabezpieczenia na nie. Orientowałam się, że byli w Holandii.

O tych czekach, które można było przysyłać w listach, gdy poczta nie przyjmowała przesyłek pieniężnych, już wcześniej wiedziałam od Wandzi. Napisała mi kiedyś, że dostała taki czek o wartości pięciu funtów od Zdziszka Szmala z wyjaśnieniem, że to na paczkę dla naszych rodziców w Sowietach. Nie miałyśmy wówczas ich adresu i Wanda przeznaczyła te pieniądze na poszukiwania. Zdziszek, którego poznała jeszcze we Lwowie, był gimnazjalnym kolegą Lolka Sawkiewicza, z którym znała się z drużyny starszoharcerskiej. Lwów, najpierwsza kolebka harcerstwa w Polsce, początkowo o nazwie skautingu, był siedzibą chorągwi harcerskiej, której podlegały hufce i drużyny trzech południowo-wschodnich województw, bardzo poważnie traktował te

najbardziej powszechną i lubianą organizację młodzieżową, kształtującą pełną poczucia odpowiedzialności osobowość i patriotyzm.

Zdziszek, który niespodziewanie spotkał Wandę w wojsku, wiedział, że przeszła lagier, rodzina została wywieziona na zesłanie i dobrze rozumiał, co to znaczy, bo sam z trudem wydostał się stamtąd z Armią Andersa. Wojna stwarzała także okazje i do bohaterstwa i do dobrych czynów, wbrew wszelakim ludzkim podłościom. Wdzięczne byliśmy Zdziszkowi za taką przyjazną pomoc i zrozumienie.

Nie znalazł naszych rodziców, ale miał serce... Wymieniłam z nim kilka listów, jak gdybyśmy się znali. Po wielu latach Wanda ponownie przypadkowo spotkała się z nim w kraju. Nawiązany kontakt podtrzymywała korespondencja, niezbyt częsta, ale przyjazna, jak dawniej.

Wracam jednak do sprawy Kaspra. Otrzymywane czekić natomiast wymieniałam w banku, informowałam o tym właściciela i składałam, jak prosił. Potem napisał mi, że odnaleźli swojego wujka, wyzwolonego z niemieckiego oflagu. Ucieszyła mnie ta wiadomość, chociaż tego wujka nie znałam. Pisał, że bardzo się postarzał, ogromnie wolno przychodzi do siebie, ale strasznie dużo pali i błaga o papierosy, o co z kolei oni proszą mnie. Zaczęłam więc wysyłać „Playersy”, zgodnie z zamówieniami, w listach poleconych albo paczką, początkowo czerpiąc z tej złożonej u mnie ich gotówki, potem dodatkowo przysyłał mi na to. Wzruszała mnie ta dbałość siostrzeńców o byłego więźnia i notując dokładnie całą tę buchalterię, z zadowoleniem myślałam o tym, że przynajmniej w taki sposób mogę trochę komuś pomagać. Sumka oszczędności znacznie przekroczyła setkę, gdy już po zakończeniu wojny Kasper upoważnił mnie do wykorzystania całej lub części tej kwoty na dokonanie jakiejś inwestycji. Sugerował kupno małego sklepiku albo kamienicy z demobilu, na moje nazwisko, do ewentualnego uzgodnienia sprawy, po przybyciu braci na Wyspę, bo na to czekają, gdyż kolejno wojsko jest zbierane w Wielkiej Brytanii. Te propozycje otrzymałam już jako mężatka i po naradzie z mężem odpisałam, że pieniądze czekają na nich w gotówce, gdyż my nie mamy

czasu zając się właściwym ulokowaniem ich, zwłaszcza, że nie znamy się na tym i nie możemy ich oszczędności wpakować w jakiś niepewny interes i narazić na straty. Rozumiałam, że nie planowali powrotu do Polski komunistycznej i doceniałam ich zapobiegliwość planującą jakąś podstawę życia na Wyspie.

W marcu 1946 roku odwiedził nas pan Juliusz. Ucieszyłam się, że się pozbędę tej cudzej gotówki zadowolona, że pomagałam, jak mogłam, a reszta już należy do właścicieli. Gawędząc przy herbatce zapytałam o zdrowie tego ocalonego wuja. Pan Juliusz w pierwszej chwili zdawał się zaskoczony. Po chwili jednak wyjaśnił. Otóż Kasper zorientował się, że żołnierze handlują papierosami i postanowił też w ten sposób trochę zarobić, jako że jego dekadówka starszego strzelca niewiele wynosiła. Nie mógł mi przecież w liście napisać, że to na handel, nielegalny i tępony. Listy cenzurowano. Wobec tego wymyślił sobie wujka (!!!). Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać, więc szybko poszłam nastawić jeszcze imbryk na herbatę. Gdy wróciłam do pokoju, panowie rozmawiali o kamienicach z demobilu i pan Juliusz proponował Adasiowi pożyczkę albo spółkę i widać było, że był nieźle zorientowany w różnych możliwościach. Podziękowaliśmy za ofertę i wyjaśniliśmy, że jesteśmy zdecydowani na ukończenie studiów, które nie licząc obecnego, drugiego roku, wymagają jeszcze trzech lat bardzo czasochłonnej pracy i nie możemy odrywać się od niej, gdyż ma nam zapewnić przyszłość. Rozstaliśmy się, życząc sobie nawzajem powodzenia w realizacji wszystkich planów życiowych... Uff!

W kilka dni później nasi współmieszkańcy zaprosili nas na wspólną naradę do swojego salonu. Przy milej herbatce poinformowali nas, że mają zamiar kupić upatrzoną już kamienicę z demobilu, tak samo, jak rodzinka, już rozmawiali z agentką i w tym tygodniu mają obejrzeć obiekt. Proponują nam spółkę, jeśli nie „fifty – fifty” (pół na pół), to w dowolnym wymiarze. Szczerze nam doradzali przystąpienie do spółki, bo dobrze nam się razem mieszka, zaprzyjaźniliśmy się i zdążyli poznać. Połączenie wspólne naszych oszczędności znacznie ułatwi sprawę, trzeba jednak działać bardzo szybko, jak najszyb-

ciej, bo coraz więcej Polaków decyduje się na taki nabytek i ceny nieznacznie jeszcze, lecz w porównaniu z zakupioną kamienicą przy New Heaven, już idą w górę. Niestety musieliśmy się przyznać do braku jakichkolwiek oszczędności. Początkowo przez kilka miesięcy Adaś miał o pięć funtów mniej ode mnie, ponieważ, tak jak wszyscy marynarze, pobierał całe stypendium i dekadówki, a gdy się ta sprawa wyjaśniła, musieli wszyscy tę nadpłatę, pobieraną z dwóch źródeł, ratami spłacać. Następnie zaczęliśmy się trochę zaopatrywać w odzież cywilną i niezbędne na to kupony, coś tam dokupiło się do spania i ostatecznie wydawało się cały majątek na bieżąco. Pan Janek był nie tylko zdziwiony. Miał za złe. Pani Marysia, zauważywszy, że szkoda, wyraziła nadzieję, że zaczniemy już teraz coś odkładać, na wszelki wypadek, bo nigdy nic nie wiadomo, co może się nagle zdarzyć. Oboje mieli „słuszną rację” (to po lwowsku) i wstydziłam się naszej bez troski.

Po niedługim czasie pani Marysia poinformowała nas, że zdecydowali się na kamienicę przy Bonnington Terrace, dokładnie vis a vis rodzinki, mieszkającej przy New Heaven, bo tak odmiennie nazywają się obie strony właściwie jednej ulicy. Zadowoleni są, że będą w pobliżu przyjaciół. Teraz Adaś musi towarzyszyć pani Marysi, która wybiera się do agentki tego mieszkania, przy Seton Place, które razem wynajmujemy, aby zgłosić swoją rezygnację i zaproponować następców na miejsce państwa Wyczółkowskich. Zdecydowaliśmy się na siostry Andrzejowskie, bardzo tym uradowane. Zgłoszenie agentce obowiązywało z miesięcznym wyprzedzeniem. Przez okres tego rezerwowego miesiąca jeździli już rankiem na Bonnington, do tej nabytej kamienicy, aby sobie jak najrychlej wyszykować na pierwszy rzut pokój z kuchnią na parterze i już tam zamieszkać na miejscu, by remontować, przerabiać, czyścić, malować od parteru po drugie piętro i już zawczasu gromadzić meble z licytacji, wylapując co najtańsze, praktyczne i przydatne do skompletowania urządzeń poszczególnych pokoi. Była to oczywiście nadludzka harówka, tym bardziej, że tylko na cztery ręce, w tym bardzo chorowity pan Janek. Rodzinie poszło szybciej we troje, z dużo młodszym panem Staszkiem.

Agentka przyjęła zgłoszenie państwa Wyczółkówskich i Adasia, i wyznaczyła termin, w którym trzeba się było zgłosić po decyzję właścicielki mieszkania i ewentualne podpisanie nowej umowy. Stara bowiem opiewała na cenę z początku roku 1940, podczas gdy obecne ceny wzrosły kilkakrotnie. Ostatecznie nowa umowa, podpisana przez Adasia i Baśkę, zawierała symboliczną podwyżkę, ale też zastrzeżenie, co do terminu wypowiedzenia, gdyż właścicielka przewidywała remont generalny, czyli wypowiedzenie dla nas. Musieliśmy się zgodzić na te warunki, znowu skazani na tymczasowość i czekaliśmy na dalszy bieg losu, korzystając nadal z wygodnego lokum.

List od Stasia z Krakowa nadszedł wreszcie na moje urodziny, celebrowane przez Adasia równocześnie z rocznicą zaręczyn. Dostałam od niego „Alicję w Krainie Czarów” w oryginale. On ode mnie papierośnicę. Dla Stasia Adaś zaczął już coś odkładać ze swoich marynarskich rzeczy, o czym opowiadaliśmy rodzinie, do której wpadliśmy przy okazji odwiedzin pani Marysi z panem Jankiem, aby podzielić się tym listem z Polski. To były te pierwsze jaskółki i adresaci przekazywali wiadomości otrzymane stamtąd wszystkim zainteresowanym, którzy jeszcze nie zdołali odszukać swoich bliskich w kraju, o przemieszczanej ludności i nie mieli jeszcze łączności z nikim. Pani Danka oznajmiła nam, że dzięki swoim kontaktom ze znajomymi marynarzami z bylej załogi męża, ma powiązania z tymi podróżującymi do kraju i może zapewnić dostarczenie paczki, a nawet worka rzeczy do samego Krakowa. I oprócz tego także gotówkę, koniecznie w dolarach, bo tam są chętnie wymieniane na złotówki, w przeciwieństwie do brytyjskich funtów. Naszykowaliśmy spory worek rzeczy i dowieźli w oznaczonym terminie, w tym buty Adasia dla ojca, aby Staś mu dostarczył, gdy przyjedzie z Zosinej Woli; już oba buty razem, bez obawy, że zginą i dodaliśmy także dolary. Wszystko doszło w najlepszym porządku i Staś obiecał przekazać rodzicom, co przeznaczone było dla nich. Miedzy innymi ten gruby granatowy sweter, który przerobiłam z marynarskiego, posłaliśmy matce, bo bardzo ciepły i z pewnością się

przyda. Przecież przez ten wojenny czas nie mieli możliwości kupowania odzieży, a noszona latami musiała być już w bardzo marnym stanie. I nie wiadomo, co w ogóle będą mogli ze sobą z domu zabrać. Cała ta terażniejszość jest nam nieznana i przyszłość też nie nastraja optymizmem. Jakie może być zdrowie ludzi po przebytych takich kolejnych okupacjach, jakie siły? Jak sobie dawali radę tam u siebie, a co i jak czeka ich teraz, nie wiadomo gdzie?

Pierwszy tydzień kwietnia mieliśmy ferie uniwersyteckie. Baśki zamieszkały już z nami. Wybierały się do Londynu, na zaproszenie Jasia, co już dawniej ustalili. Namówiły nas, abyśmy skorzystali z jego propozycji i dołączyli, gdyż jego gospodyni, odnajmująca pokoje studentom, którzy również wyjeżdżają na ferie, może nam udostępnić pokój po normalnej, studenckiejniżce. Z wielkim zapalem wyszykowaliśmy się do wyjazdu. Bardzo zadowolona, że miałam już trochę tej własnej, cywilnej garderoby, wybrałam się w kostiumie i tym ciemnoniebieskim płaszczu, bo kwiecień bywa chłodny. I do tego wzięłam półbuciki, które dostałam od pani Danusi, gdy byliśmy na New Heaven, zachwyconej, że wreszcie znalazła kogoś z tak dużymi stopami, że nada się komuś ten amerykański dar, który dostała, chybiony. Przymierzyłam, dość wygodne i granatowe! Marzyłam o granatowych do kostiumu, ale miałam trochę wątpliwości, bo obcas, wprawdzie stabilny, ale bardzo wysoki, chyba ze dwanaście centymetrów, jak nic!

– To nie szkodzi. Noga się przyzwyczai, a jak elegancko wygląda! – zachęcała pani Danka, przy akompaniamencie pani Marysi i pani Ziuty.

Podziękowałam i wzięłam.

Londyn! Czy tak naprawdę kiedyś ośmieliłam się marzyć o zwiedzaniu tej stolicy? Naszej własnej polskiej nie znalazłam... Przed wojną zwiedziłam Kraków ze szkolną wycieczką, a następną, jaką również babcia zafundowała Wandzi i mnie, miałyśmy do Krzemieńca, Wilna i Białowieży. Zwiedzałyśmy także z Nazaretankami Karpaty Wschodnie, bo zakonnice organizowały dla nas najchętniej wyprawy tam, gdzie też Nazaretanki miały swoje klasztory i szkoły z internatami, czyli nie

było problemu z noclegami. Do Warszawy zaplanowana wycieczka nie doszła do skutku, została przełożona na następny rok, ale wybuchła wojna.

A potem, podczas tej wojennej tułaczki, zwiedziłam stolicę Uzbekistanu,

Taszkent, Teheran, Bagdad, Jerozolimę, Bejrut i Damaszek, na ostatku Kair. W jednych mogłam wiele zobaczyć, jak w Teheranie i Jerozolimie, w innych było się przejazdem, z jednodniowym oglądaniem, pod hasłem: „Prędeży, proszę wycieczki!”. Wszystko nieprzewidziane, nieplanowane... nazbierało się. Tylko Warszawy nie zobaczyłam i takiej, jaka była, nie zobaczę nigdy i nie wiadomo, czy kiedykolwiek tam będę... W ogóle nic nie wiadomo, nawet trudno myśleć o przyszłości...

Pierwszego kwietnia, w poniedziałek, mój mąż pobrał swój żold i stypendium i wieczorem z Krysią, która też czekała na żold swój i Baśki, wsiedliśmy do „latającego Szkota”, by dojechać do Londynu, dokąd Baśka wyjechała już w sobotę. Miejsca w przedziale znaleźliśmy bez trudu, czym się bardzo ucieszyłam, pamiętając zbyt dobrze naszą podróż do Londynu w czerwcu. Zdecydowaliśmy się na nią tylko z powodu gapiostwa, a może złośliwości, moich babskich, wojskowych władz. Nie przysłano mi oficjalnego zezwolenia na małżeństwo! Adam otrzymał swoje z marynarki dosłownie odwrotną pocztą. Termin był tak napięty, że faktycznie zachodziła obawa, że zezwolenie nie zdąży i ksiądz może mieć problemy z udzieleniem nam ślubu. „Służba nie druźba”, rygory obowiązywały również kapelana. Wtedy ta podróż do Londynu była tak okropna, w niesamowitej ciasnocie, że nawet stanie na korytarzu, wobec stale przepychających się podróżnych tam i z powrotem, było udręką.

W mojej komendzie zapewniono nas, że zezwolenie mi przyznano (!) i właśnie zostało wysłane. Z gratulacjami i z uśmiechem zauważono, że nie musieliśmy się sami osobiście fatygować, bo takie sprawy załatwia się życzliwie i od ręki. Po cichu myślałam, że bardzo trudno

w to uwierzyć.

Droga powrotna stała się istną makabrą, chociaż Adaś zadbał o mnie, stojąc murem oddzielającym mnie siedzącą na podłodze wyłożonej gazetą, od łazików, przeciskających się korytarzem, aby mnie nie zdeptali. Taka jazda noc po nocy wcale nie zachęcała do podróżowania. To jednak działo się w czerwcu, tuż po zakończeniu wojny, gdy panowało nasilone przemieszczanie się ludności. Do kwietnia pociągi uporały się już z tym gwałtownym ruchem pasażerskim w tamtym trudnym okresie.

Po spokojnej drzemce w podróży zajechaliśmy do gospodyni Jasia, powitani przez niego i Baškę. Dostaliśmy pokój i, odświeżeni, śniadanie. Wybraliśmy się do miasta, w którym Adaś świetnie się orientował i prowadził mnie, abym zdołała zobaczyć jak najwięcej zabytków i miejsc, najbardziej zasługujących do zwiedzania. Lubię chodzić po mieście, cieszyć się niepowtarzalnymi widokami, oglądać zabytki, budynki, kościoły, teatry, pałace, sklepy, pomniki i ludzi. Wszystko to bardzo lubię... tylko nie w takich eleganckich butach na taaakim obcasie! Co za próżność mnie do tego skłoniła? Szczyt głupoty! Na dodatek ten deszczowy, mglisty i znany z mżawki Londyn zaskoczył wszystkich niespodziewaną pogodą; błyszczał w słońcu, które zupełnie pomyłone zaczęło przypiekać o takiej niewłaściwej porze roku. Moje eleganckie buty złośliwie dawały mi nauczkę, że nie są stworzone do całodziennego deptania bruków, choćby to były bruki samej stolicy. Mój mąż uznał, że dobrze będzie odpocząć w ogrodzie botanicznym.

– Z pewnością będzie ci się podobało. Posiedzimy, odpoczniemy i będziemy mogli ruszyć dalej.

Wobec tego posiedzieliśmy, jak wielu innych na trawie, aby rozprostować nogi i odpoczywaliśmy. Posłuchałam następnej dobrej rady i jak niejedna z odpoczywających tam kobiet, zdjęłam to wspaniałe obuwie, aby i ono i nogi wypoczęły i ochłodziły się, dla nabrania animuszu do dalszych wyczynów. Uff! I rzeczywiście: nabrały tyle animuszu, że się już wcale nie dały wcisnąć na właściwe miejsce z powrotem!

Mój pomyslowy małżonek uznał, że do wyjścia z parku mogę przespa-cerować się bez butów, które on poniesie, wobec tego zdjęłam pończochy, aby ich nie stracić i powędrowaliśmy do wyjścia trawnikami. Znalazł taksówkę i na kwaterę dojechałam bosa! Dobrze mi tak! Kto to widział aż tak zepsuć, tak wspaniale zapowiadający się urlop w Londynie!? Sama sobie nie mogłam się nadziwić, że nie wzięłam którejś drugiej pary mesztów, skoro miałam przecież aż dwie! Słowem, głupiego robota. Tylko, że chciałam zaprezentować się porządnie, bo Adaś przewidywał odwiedziny u swoich znajomych. I tam właśnie wybraliśmy się na drugi dzień, do Domu Polskiego Żołnierza, gdzie mieszkał pracując w Kierownictwie Marynarki Wojennej przy New Cavendish Street. Odwiedziliśmy też kierowniczkę tego Domu, panią Marcińcową, która bylego mieszkańca przy Devonia Road powitała jak syna. Musiał opowiedzieć o sobie, o nas i o rodzinie w Polsce. A na ostatek, gdy usłyszała o moich kłopotach z nieszczęsnym obuwiem, podpowiedziała mu, kto może odstąpić tych osiem kuponów na sandały dla mnie. I to nas uratowało – później. Będąc tuż przy kościele polskim zaszedliśmy tam i do księdza dziekana Staniszewskiego, dla którego ten kościółek był dosłownie oczkiem w głowie. Oprowadzał nas, pokazywał Adasiowi nowe witraże, których za jego czasów nie było. Zdobił ten kościół, aby po Polakach została taka trwała pamiątka. Można już było sobie na to pozwolić, gdy wreszcie już nie groziły miastu żadne naloty, żadne bomby latające.

– Jakie to szczęście, że doczekaliśmy się pokoju!...

Zwiedzaliśmy, co tylko wymagało nie za dużo chodzenia, bo po sandalki trzeba było rankiem stanąć wcześniej przed otwarciem sklepu, który nam doradziła gospodyni. Znalazły się śliczne i bardzo wygodne granatowe lakierki. Zwiedzanie zostało uratowane. Oglądałam pałace, kościoły, wstąpiliśmy do katolickiej katedry Westminster, gdzie leżał Sikorski przed pogrzebem. Od księdza Staniszewskiego Adaś dostał fotografię z trumną Sikorskiego i obecnymi przy niej: wdowy oraz Churchilla z żoną i premiera Edena. A w Gabinecie Figur Woskowych między posągami królewskiej rodziny, Jerzego VI z małżonką królo-

wą Elżbietą, bardzo przez londyńczyków kochaną za postawę podczas wojny, oraz ich córek: Elżbiety (następczyni tronu po ojcu) i Małgorzaty, w sąsiedztwie podobizn: Churchilla, Roosvelta, Stalina, de Gaulle'a, zobaczyliśmy także posąg naszego Sikorskiego. Byliśmy w Planetarium, zwiedziliśmy Ogród Zoologiczny. Kolacje jadalśmy u Layensa w wielkiej, narożnej, samoobsługowej restauracji, gdzie wykupiwszy bilet, każdy mógł sobie wybrać jedną porcję mięsa i następnie, przesuując się z tacą wzdłuż bardzo długiego stołu, nakładać sobie dowolną ilość wybranych sałatek, których długi szereg półmisków ciągnął się do samego końca. Pieczywo też pozostawiono do wyboru. Miałam okazję podziwiać, jakie potężne fury jedzenia potrafilি mężczyźni zmiatać z wielkich, kopiatych talerzy. Przychodziło tam wielu żołnierzy, szczególnie licznie przybywali marynarze.

Wyprawa była wspaniała. Moje zdrowie znacznie mniej. Do tego stopnia, że musieliśmy parę razy czas planowany na zwiedzanie lub chociaż spacer po mieście, zmarnować w kinie, bo się tak źle czułam, że po prostu nie mogłam chodzić. Nawet w tych wspaniale wygodnych sandałkach! Brałam lekarstwa i z żalem sama do siebie zastanawiałam się, co właściwie mogłabym zrobić, aby do reszty nie popsuć mężowi tego urlopu. Z trudem nadrabiałam miną i postanawiałam po powrocie pójść do lekarza, bo bardzo potrzebowałam jego pomocy. A słońce straciło zupełnie orientację w czasie. Zdarzało się, że dzień zapowiadał się zupełnie chłodny. Jako zmarzluch nawlekałam na siebie płaszcz, a potem nagle robił się upał gorszy niż latem i trzeba było ściągać z siebie ten nadmiar odzieży i nosić ją osobno. Nigdy nie podejrzewałam takiego upału w Londynie. Gospodyni Jasia twierdziła, że taka aura sprawiła ludziom prawdziwą niespodziankę. Pobyt dobiegał końca. Adaś zaopatrzył nas w żywność na podróż i w niedzielę rano wyruszyliśmy pociągiem, by wieczorem wylądować w domu. Bardzo było mi to potrzebne. „Wszędzie dobrze, a w domu...”. Wracaliśmy do swych codziennych zajęć, do studiowania, a kontakt nawiązany z rodziną urozmaicał naszą codzienność.

Któregoś dnia zawitał na Seton Place kapitan Mazurkiewicz, przyjaciel pana Janka. Zналиśmy go, gdy przez jakiś czas korzystał z drugiego pokoju naszych współmieszkańców, na górze, gdy ze swej jednostki przyjechałam w celu załatwienia jakichś spraw. Był z pewnością starszy od pana Janka, energiczny i przyjacielski. Nie był pewny, czy zastanie państwa Wyczółkowskich jeszcze pod tym adresem, wiedział, że planują jakąś zmianę, ale będąc w pobliżu zaszedł, licząc jeśli nie na spotkanie, to na wiadomości. Opowiedzieliśmy o nabytej przez przyjaciół kamienicy, podaliśmy adres.

– O, Bonnington Terrace, New Heaven? Toż to są stare dzielnice portowe, daleko od śródmieścia... Czy będzie tam łatwo o lokatorów? – zmartwił się.

– Wszystko będzie zależało od cen... – zaczął Aadaś i dysputowali, gdy poszłam zaparzać herbatę, rozmyślając o losie kapitana, znanym mi trochę z opowiadań pani Marysi.

Zapytałam więc o kontakt z rodziną. Tak, żona i synek przeżyli wojnę i czekają na jego powrót. Powiedział nam to z niejakim wysiłkiem, bardzo zafrasowany.

– I co? Zdecydował się pan? – nie wytrzymałam.

– Taaak... Staralem się różnymi sposobami dowiedzieć, w jaki sposób można by tutaj rodzinę sprowadzić. Przecież wielu kolegów już to dokonało... Okazało się jednak, że te wszystkie przypadki dotyczyły tych rodzin, które zostały wyzwolone przez Amerykanów lub Anglików, po ich wkroczeniu do Niemiec. To przede wszystkim te rzesze przypędzone po Powstaniu Warszawskim, albo ci wywożeni na przymusowe roboty. Co do więźniów, wyzwolonych z obozów zagłady, to głównie odsyłano ich do Szwecji na ratowanie życia... Resztek życia...

– A z Polski nie da się tutaj nikogo ściągnąć?

– Nie ma mowy – oficjalnie. Miałem okazje, porozumieć się z żoną przez zaufanego przyjaciela. Jedyna możliwość to nielegalna ucieczka przez zieloną granicę, bo nawet morzem jest niemożliwa. Żona się na to nie zdecyduje. Sama – to co innego, ale z synkiem – nigdy! Tak odpowiedziała...

– A synek miał roczek, gdy pan ich zęgnal? – upewniałam się, bo już o tym słyszałam.

– Tak! Jaki on już teraz jest duży! O, proszę, mam ich fotografię!

Obejrzałam. Przystojna blondynka w biedniutkiej sukieneczynie i bystrooki chłopaczek, poważnie patrzący do obiektywu. Jak on musi oczekiwać nieznanego ojca?...

– No, więc kiedy pan jedzie? – zapytał mój mąż.

– Już wkrótce. Jestem zapisany na ten najbliższy transport... Ciężko teraz przebywać w jednostce. Nawet najlepsi koledzy uznali mnie za zdrajcę Polski, o którą przecież walczyłem! Razem z nimi! Zarzucają mi komunizm!... Jestem bojkotowany tak, że ledwie paru współmieszkańców rozmawia ze mną, ale gdy nikogo nie ma. Myślą, że nie zauważam tego... A tam przecież jest moja żona i synek, który mnie nie zna wcale, nie może pamiętać, ale wciąż oczekuje! Jestem im potrzebny. To moja rodzina, jak mogę ich zawieść? Tyle lat o to walczyłem, abyśmy byli razem. I oszczędzałem i składałem dla nich. Przecież nawet to nie może zrekompensować tego, co tam musieli przejść przez te wszystkie lata... Nie wiem, gdzie się tułali, co przeżywali, jako rodzina oficerska, a takie prześladowano pod każdą okupacją najbardziej... Uważam, że mam obowiązek wobec rodziny! A oni mi mówią, że to jest wbrew obowiązkowi wobec ojczyzny... przecież tej ojczyźnie służyłem całym życiem.

A teraz czas zapewnić byt rodzinie i tam są potrzebni ludzie do pracy, a ja mogę pracować, mam jeszcze na tyle siły... I co ja mam robić? ... – dzielił się swoją udręką, aż żal było człowieka, bo jakie znaczenie może mieć tu nasza rada? – myślałam.

– Oczywiście, jechać do żony! Oni też by tak postąpili na pana miejscu. Jechać! To szczęście, że przeżyła i że się znalazła! Niejeden zresztą nie jedzie, bo już się tutaj wygodnie urządził. Albo nie odnalazł rodziny. Albo dostał wiadomość, że jego żona ma już kogoś innego! – dorzucił Adaś.

– Tak, to możliwe... A jednak ciężko... – westchnął udręczony.

Dyskutowaliśmy na te tematy po jego odejściu, gdy wybrał się

na Bonnington, do tych najbliższych przyjaciół. To dobrze. Na pewno okazali mu całkowite zrozumienie i zdolali pokrzepić, bo taki zdawał się przygnębiony i załamany. Goryczą napawała go ta bezwzględna krytyka i bojkot. Z wdzięcznością napomknął, że młodzi (to znaczy my!) okazują więcej zrozumienia od starej gwardii, z którą tyle lat się przeżyło, w najrozmaitszych okolicznościach.

Potem, przy okazji rozmawiałam z panią Marysią. Opowiadała, że kapitan żył dosłownie pogrążony w tęsknocie za rodziną i od samego początku wciąż coś odkładał i zbierał, aby wrócić do domu z całym zapasem tego, co tylko mógł nagromadzić. Na początku nikt nie przewidywał, że to będzie tak długotrwała ta rozłąka, całymi latami. Od początku pijał herbatę bez cukru, który odkładał, a jego herbatka miała słomkowy kolor, też z oszczędności. Póki jeszcze nie wprowadzono kuponów na odzież i materiały, również magazynował i to, a ostatnio, gdy już rodzinę odnalazł, z jednego z tych materiałów własnoręcznie uszył dla synka ubranie, na pożyczonej maszynie. Skroił też sam, według gotowych form, zakupionych dla ośmioletniego chłopca, uszczęśliwiony, że mu wystarczyło na to tego aksamitu, nabytego jeszcze przed erą kuponową. Żona nie mogła się nadziwić, że sam tego dokonał i prosiła, aby się więcej nie fatygował, bo szkoda trudu, chłopak ma nie te wymiary i lepiej sobie poradzą z materiałem, niż z przeróbkami. Oszczędność kapitana mogła przekształcić się w skąpstwo, bo siebie tutaj chyba tak traktował. Zastanawialiśmy się z panią Marysią, jak tej rodzinie ułoży się życie po tylu latach rozłąki.

– Obawiam się, że może nie być słodko, nawet z tymi kilogramami cukru... Zbrylonego!... – westchnęła pani Marysia, jednak miałam nadzieję, że miłość przezwycięży wszystkie drobnostki.

– Tak, ale życie składa się z tylu drobnostek, i dobrych i złych, a wszystkie mają wpływ na życie. Czasem dość znaczny, może i decydujący...

– Ileż ta wojna narobiła szkody! I tyle żywotów pochłonęła i tyle wyniszczeń dokonała, także w życiu rodzinnym i społecznym i w psychice jednostek...Jaki ogrom zła ...

– A żyć trzeba...
I życie toczyło się dalej.

Danka kiedyś rozgadała się o Czwartku w Bratniaku i namawiała nas, abyśmy też się tam choć czasem zjawiali i nie bojkutowali. Że impreza bywa na poziomie, dużo osób ze starszego od nas roku; także przychodzą i ci koledzy i koleżanki z wyższych lat, że nieraz po prostu łatwiej odnaleźć się tam z kimś z innego rocznika, że jest miła atmosfera i właściwie dlaczego nie dołączyć. Na zachętę dodała, że Adaś ma przecież już drugie eleganckie ubranie (to szyte na miarę, jeszcze lepsze od tego pierwszego i odpowiednio droższe!), czyli może się świetnie zaprezentować i wspólnie bawić, póki na to jest czas za młodu. Moja czarna sukienka też była elegancka. Brałam więc pod uwagę Danusi sugestie i czekałam, co z tego wyniknie. Trajkotała nadal dość wytrwale.

– Wiesz co, Danusiu, my nie mamy ochoty – odezwał się mój małżonek.

– Tak? Macie aż tak dużo rozrywek?

– Tak! Często chodzimy do kina. I bardzo dobrze, bo to wzbogaca nasz język angielski – odpalił.

– Tak? Ty nie masz ochoty? A może Alicja ma? Nie chciałaby pojechać? Przecież nam młodość tak poplątano, że nie byliśmy w życiu na żadnej zabawie, nie mówiąc nawet o balu, przed ukończeniem gimnazjum. Nie myślisz, że i nam się coś od życia należy? Sama harówka, wojsko, wkuwanie i już nic? A tam jest tak fajnie. Wszyscy tańczą ze wszystkimi, muzyka dobra, można się raz oderwać od kłopotów! No, nie?...

– Zawracanie głowy!..

– Czekaj, zapytaj, co twoja żona na to. Nie poszłabyś choć raz zobaczyć, Alu? – zaatakowała.

– Właściwie, czemu nie? Można się przekonać, czy nam się to podoba...

– Daj spokój! To bez sensu! – oburzył się. – Zresztą ja nie umiem

tańczyć! – przyznał.

– Świetnie! To masz okazję się nauczyć! Czy ci się zdaje, że tam wszyscy wspaniale tańczą? Najwyższy czas teraz! Chcesz z tym czekać do starości? – entuzjasmowała się zwolenniczka Czwartków:

– Idziemy! – orzekła.

I rzeczywiście, wybraliśmy się. Próbowałam wcześniej w domu z Adasiem choć tango. Marnie szło... A tam nie podobało mu się, że jego żonę proszono do tańca... Byliśmy jedyny raz „na Czwartku”. Nie wybraliśmy się więcej.

Ale już Danusia nie mogła powiedzieć, że nie byliśmy ani razu!

Krysia Kowalska, a właściwie Banaszek-Kozłowska spodziewała się dziecka. Znosiła dość dobrze odmienny stan i opowiadała mi, że jest tym zachwycona. Szykowała wyprawkę dla synka, bo spodziewała się, że to będzie potomek płci męskiej. Wybrała już imię: Krzysztof. Pięknego. Odwiedzili nas oboje z Mietkiem, zawiadamiając o rychłym wyjeździe, lecz Krysia do końca pobytu w Edynburgu uczestniczyła w zajęciach uniwersyteckich, na razie nie ogłaszając swojej nowiny.

Pewnego dnia do prosektorium wszedł dziekan, bardzo podniecony i niósł w rękach sporą tacę, z uroczystym namaszczeniem i wołał już od progu:

– Chodźcie, państwo, chodźcie! To coś niezwykłego! Profesor szkocki przysłał nam łóżysko! Z kliniki. Całkiem świeże! Można by się spodziewać, że niemal jeszcze ciepłe – entuzjasmował się – Tak, tak, patrzcie, jak to wygląda, bo będę objaśniał! – cieszył się jak dziecko.

Tymczasem, prawdę mówiąc, wyglądało okropnie! Krysia zbłądziła w jednej chwili, zrobiło jej się niedobrze, więc ją szybko wyprowadziłam, bo i mnie ogarnęły mdłości. „Dziadek” był tak zaabsorbowany, że na szczęście nie zauważył naszego wymknięcia się do szatni, co pewnie miałby nam za złe. Ba! Byłby bardzo oburzony: taka nadzwyczajna okazja! Prezentował to studentom długo i szczegółowo, zdolałyśmy się jakoś trochę pozbierać przez ten czas. To były ostatnie zajęcia tego dnia, więc Krysia już nie czekała i zapewniając mnie, że już jest wszystko w porządku, sama poszła do tramwaju, aby do domu po-

jechać. Czekałam na Adasia, nie ośmieliłam się wrócić do sali, bo wtedy wydałaby się moja nieobecność. Miałam nadzieję, że nam się upiekło. Niestety! Jedyne Krysi: do niej o to wyjście nikt nie miał żadnych pretensji. Nie mogłam i ja się tym pochwalić, chociaż nie poczuwałam się wcale do winy.

– Jak mogłaś? Kryśka to co innego. Ona jest w ciąży, ale po co ty zaraz za nią musiałaś wyjść? – Mój mąż naprawdę się oburzał, chociaż nie podejrzewałam, że tak zareaguje.

– Wiem, że to okazja, że Dziadek objaśniał, że mogłam się narazić, tylko że mnie się także zrobiło okropnie niedobrze. Nie rozumiesz?...

Nie, nie rozumiał! Doszłam do inteligentnego wniosku, że miał do mnie o to pretensje. Niesłusznie! Trudno... Cóż, to tylko mężczyzna...

Zaproszeni do Krysi na pożegnalną herbatę wybraliśmy się z jakimiś grzechotkami i drobiazgami, bo znowu nie mieliśmy kuponów. Ani jednego, chociaż na uncję niemowlęcej włóczki dla potomka. Zabrałam przynajmniej swoje druty, krótkie, komplet do robienia skarpet, nabyty kiedyś razem z parą długich drutów. Nie wiem, co mnie tak natchnęło, ale dobrze trafiłam, bo właśnie Kryśka ślęczała nad angielskim wzorkiem niemowlęcych buciczków i narzekała, że nie może rozgryźć tego wzorku z obrazka, który wybrała. Rzut oka na opis zorientował mnie, że znam wszystkie nazwy, symbole i skróty, więc wyjęłam swoje druty i zaproponowałam Krysi, aby z jednego kłęбка pozwoliła mnie, a z drugiego sama robiła pod moje dyktando. Zanim mężowie zdecydowali się zająć herbatą i przynieść ją z kuchni, my dochodziłyśmy do końca robótki. Ślicznie nam wyszły buciczki, zdobne w dość skomplikowany wzorek. Kryśka aż mnie uściskała z radości, a szczególnie za wtajemniczenia w te wszystkie symbole i skróty, dzięki którym będzie mogła korzystać ze wszystkich wzorków. A ja z wielką satysfakcją oznajmiłam swojej przyjaciółce, że to jest rewanż za te wysmiane przez nią nieszczęsne moje lewe oczka!

– Ha! Dzięki temu ambicja zmobilizowała cię do nauczenia się robót na drutach! – i śmiałyśmy się bardzo zadowolone... Ale przyszliśmy się pożegnać... Przykro się rozstawać. Przykro... Żal...

Bardzo cieszyłam się przyszłym macierzyństwem Krysi. Bra-kowało mi jej. Zawsze miałyśmy tyle do omówienia ze sobą. Nieraz, u pani Brown rozmawiałyśmy na różne tematy, ostatnio na te zajmujące tak wiele dziewczęcych rozmyślań. Kiedyś krytykując niektóre koleżanki, Krysią rzuciła uwagę, że one wychodzą za mąż najczęściej: „Za piękne oczy albo za stanowisko przysłego męża, albo za jego męską postawę czy elegancki wygląd, albo pieniądze”, a potem doznają zawodu!

– A ty, Krysiu, ty? Dlaczego wybrałaś właśnie Mietka? Wiem, że asystowało ci też paru innych... Przecież jest nas dziewcząt o wiele mniej od chłopaków czy kolegów, czy panów i każda, prawdę mówiąc może mieć szansę wyboru, bo Polacy na ogół wybierają nas, rodaczki. Dotychczas tak było, teraz to się może zmienić, jeśli żeniąc się z Brytyjkami zechcą urządzić się tutaj. Jednak normalnie wołają nas, bo tu-tejsze dziewczęta są inne, to całkiem inne zwyczaje, odmienna psychika, usposobienie... Ale ty... Dlaczego wybrałaś Mietka? Nie znam go na tyle, żeby sama mogła się domyślać...

– Dlaczego? Przecież on będzie dobrym ojcem dla naszych dzieci! Wiesz? To jest najważniejsze! Już na tyle go poznałam, a ja się znam na ludziach, mówię ci! Wszystko inne jest nieważne. Najważniejsze są dzieci!...

Tak. Najważniejsze są dzieci. Doskonale to rozumiem i zgadzam się z tym przekonaniem. Dzieci!

Chorowałam. Szukano przyczyny i zostałam skierowana na przebadanie do Szpitala Imienia Paderewskiego, na internę. Do różnych badań dołożono mi sondę żołądka. Znam liczne przyjemniejsze rozrywki, ale czego się nie robi dla zdrowia? Przeżyłam i to. Stwierdzono między anemią i nerwicą jeszcze niedokwasotę żołądka, dostałam całą aptekę do polykania i kwas solny do popijania, zupełnie smaczny

i dalej nie stwierdzano poprawy. Skierowana na ginekologię przeżyłam badanie znacznie gorsze. A najgorsza okazała się diagnoza. Lekarz oznajmił mi, że mogę sobie wybić z głowy możliwość zajścia w ciążę, a jeżeli jakimś cudem by się to zdarzyło, będę musiała bezwarunkowo ją usunąć. To już dosłownie mnie dobiło. Nie zamierzałam starać się o to już, nie planowałam przerwania studiów, jak Krysia. Nie miałam też takich warunków, jak córka pani Marskiej, Krysia Kawowa,

Jednak taki wyrok, że nigdy, to był dla mnie szok! To cios.

Zawsze kochałam dzieci. Może dlatego, że byłam w domu najmłodsza z nas trzech i nie miałam młodszej siostry. Zawsze otaczała mnie gromada dzieciarni. Z naszej ulicy, gdzie dzieci bawiły się puszczać papierowe łódki rynsztokiem, zabierałam je ze sobą „na górę”, do naszego ogrodu, co już nawet srogi wujek tolerował, mimo że nieraz zostawiały ślady na grządkach, przeskakiwanych mniej udolnie. Dzieci są najważniejsze, Krysia ma rację! Po co wychodzi się za mąż, jeśli nie mają być dzieci? Uzgodniliśmy wcześniej, że będą! Byłam załamana. Nadal chudłam, wyglądałam jak półtora nieszczęścia, aż sam dziekan zwrócił na to uwagę i zapytał mojego męża, co się ze mną dzieje. Adaś opowiedział o diagnozie doktora Zielińskiego. Profesor wyraził współczucie i poradził udać się do profesora Fahmy’ego, bo jako studentom medycyny przysługuje nam opieka profesora. Polecił powołać się na niego, który przy okazji wspomni o nas i przekonamy się, że wszystko weźmie dobry obrót. Jakże bardzo serdecznie do nas podszedł. Ile dobroci okazał! Oby więcej takich!..

Adaś znalazł numer telefonu w książce telefonicznej i umówił mnie na wizytę. Profesor przyjął nas bardzo życzliwie. Badanie spokojne i bardzo dyskretne w niczym nie przypominało tamtego okropnego. Dostałam jakieś lekarstwa i mocne, zdecydowane zapewnienie, że wszystko zapowiada się jak najlepiej, lekarstwo pomoże, a czas zrobi swoje, bo organizm musi się przystosować do nowych warunków. Żadnego niebezpieczeństwa nie ma. Wyznaczył termin następnej wizyty, a już wiedzieliśmy, że honorarium przesyła się na ręce sekretarki. Odetchnęłam z nadzieją. Tylko, że nie tak prędko mogłam się pozbyć

nerwicy... Jeszcze dręczyły mnie napady zwątpienia i psychicznie czułam się okropnie rozdygotana. Męczyła mnie zhora tamtej strasznej diagnozy, do której się nie przyznawałam, lecz nie potrafiłam zapomnieć, wciąż pamiętałam, z udręką. Moje najbardziej osobiste problemy toczyły się odrębnym, podziemnym nurtem, z czym borykałam się, z poczuciem osamotnienia, mimo psychicznego podparcia, jakim mąż usiłował mnie uspokoić. Czułam się bezradna...

Kontakty z krajem zakreśliły szerszy krąg. Janka, kuzynka Adasia, który w listach nazywał mnie Aleńką, nie znając jeszcze mojego panińskiego nazwiska (nie wiem, jak to się stało), dała ogłoszenie do najpoczytniejszej gazety, że poszukuję siostry Zdzisławy Kaczyńskiej z rodziną i podpisała: „Aleńka”. Podala swój krakowski adres. Zaraz po ogłoszeniu przybiegła do Krzysiów Ala Dawidowicz, moja przedwojenna przyjaciółka ze Lwowa, pewna, że tam mieszkam. Dowiedziała się, co się ze mną dzieje, dostała mój adres w Edynburgu i napisała list, pełen entuzjazmu, że możemy nawiązać kontakt. Jeszcze we Lwowie dowiedziała się od Dwidki, że ona dostała ode mnie list wysłany z Teheranu, w 1942 roku, na blankiecie Czerwonego Krzyża, który w dwudziestu pięciu słowach pozwalał na podanie wiadomości i dochodził do adresata pod okupacją niemiecką. Donosiłam, że obie z Wandą jesteśmy razem (czyli wiadomość, że zwolniona z lagru), tęsknimy za rodzicami (czyli nie jesteśmy razem). Pieczętka pocztowa sygnalizowała, że jesteśmy w Teheranie. To była dla rodziny pierwsza i bardzo ważna wiadomość, bo zależało mi na tym, aby wiadomo o pozostaniu rodziców na nieludzkiej ziemi, gdyż nie mogłam przewidzieć czy uda się ich stamtąd wydobyć nam, czy w zmienionej (nie wiadomo jakiej) sytuacji, właśnie Kaczyńscy w kraju będą mieli taką możliwość.

Ala napisała, że jest z rodzicami w Krakowie. To znaczy, że ojciec, który we wrześniu, jako kapitan zawodowy został zmobilizowany i wyruszył na wojnę, a do czerwca 1941 roku nie dawał o sobie znaku życia rodzinie we Lwowie, przeżył, wrócił do kraju i że odnaleźli się

razem w Krakowie. Dalej Ala pisze, że spotykała we Lwowie Dzikę z córeczką Ewunią, ale nie wiedziała, gdzie znajdowali się obecnie razem z mężem Dzikki, który wojnę przeżył. To były dobre wieści bardzo mnie cieszyły, choć nie całkiem aktualne.

Następne wiadomości o Dzikce z mężem i Ewunią nadeszły z Rzeszowa, od naszych przedwojennych sąsiadów, którzy się tam przenieśli. Dali mi znać, że widzieli się z Dzikką przed rokiem (czyli w 1945), kiedy opuszczali Lwów, ale ona wtedy nie chciała wyjechać, lecz wkrótce będzie to konieczne i zaraz dadzą mi znać o tym. Również wysłali ten list do Krakowa, na adres podany przez Jankę, sądząc, że tam zamieszkałam. List był z maja 1946 roku, czyli Kaczyńscy powinni już opuścić Lwów. Janka odesłała mi ten od państwa Graziadiów, a równocześnie z nim przyszedł list Wandy, z dnia 8 czerwca, o Kaczyńskich. Od Wacka Blacharskiego, jednego z przyjaciół Leona dostała Wanda, wiadomość, że są w Kraśniku Lubelskim z czteroletnią Ewunią i prawie rocznym Bolciem. Stamtąd pochodził Leon i po tak zwanej „Repatriacji” pojechał tam, bo ma tam siostry i braci. Wacka, którego znała z drużyny starszoharcerskiej, Wanda spotkała w wojsku i utrzymywali kontakt. On domyślił się, że Leon nie zechce osiedlić się na „Ziemiach Odzyskanych” i zakotwiczy w rodzinnym miasteczku. Te wiadomości, pierwsze po pięciu latach (to okropnie długo!), uważałam za prawdziwie pocieszające. Wreszcie coś konkretnego. Był wprawdzie list spod okupacji niemieckiej, taki na blankiecie o dozwolonej liczbie dwudziestu pięciu słów, ale nie mógł przynieść żadnego pocieszenia, ponieważ był po prostu niezrozumiały. Gorzej nawet, bo zawierał takie zwroty, jak: „Dzikka chorowała” – co w konspiracyjnej mowie oznaczało uwięzienie. Następnie: ... „umierała” – co oznaczało wyrok śmierci – a pismo było Dzikki i jeszcze parę niezrozumiałych zwrotów i w dodatku bez podpisu. Gubiłyśmy się z Wandzią w domysłach. Tym bardziej, że tam nie było ani słowa o Leonie. Wyobrażała sobie, że wystarczy nam sugestia, skoro pisała niby w jego imieniu. Nie byłyśmy jednak takie domyślne, a ja nie przyznawałam się do najczarniejszych obaw, aby nie podsuwać ich Wandzi. No, ale teraz wreszcie już wiado-

mo, że żyją! To najlepsza wiadomość. Przeżyli ten koszmar wojenny! Żyją!

Koniec maja przyniósł nowe wiadomości z Krakowa. Następna ciotka Adasia miała przyjechać ze Stanisławowa, skąd przenoszono Polaków wyrugowanych ze swej ziemi. Oczywiście list nie zawierał takich sformułowań, wystarczała nazwa ulicy, z której ktoś się „przeprowadzał”, miasta nie trzeba było wymieniać, rodzina rozumiała, nie byliśmy tylko pewni co do cenzury korespondencji w kraju. Janka pisze, że właśnie doszedł do nich ten pierwszy pakunek. Sprawdziliśmy: wysłany był w marcu, czyli długo szedł, pewnie niczego tam nie brakowało, skoro nic na ten temat, a wcześniej w liście podaliśmy jego zawartość. Naszykowaliśmy więc paczkę dla rodziców, odzieżową i z witaminami. Zapisałam w kalendarzyku wysokość opłaty pocztowej za wysyłkę: trzy funty i jedenaście szylingów, to raczej dość dużo, ale cieszyliśmy się, że wysyłanie czegokolwiek jest możliwe.

Popołudniowe doświadczenia i ćwiczenia z chemii trwały dwie godziny. Asystent, doktor Działoszyński, rozdał tematy doświadczeń do samodzielnego i indywidualnego przeprowadzenia. Czulałam się tak strasznie fatalnie, że najwyższym wysiłkiem woli z trudem zmusiłam się do doprowadzenia swojego zadania do rezultatu, a ponieważ do końca zajęć mieliśmy jeszcze pół godziny, poszeptałam z Adasiem, który był zajęty swoim doświadczeniem i wymknęłam się z pracowni, aby się dowlec jak najprędzej do domu, wziąć lekarstwo i położyć. Naprawdę nie miałam siły prosić asystenta o zwolnienie, zwłaszcza, że wymagałby omówienia tego, co tam opracowałam. Na nieszczęście zauważył, że zwiałam i zrobił Adasiowi awanturę. Mój mąż stanął w mojej obronie, pokazał, że pracę dokończyłam, a wiadomo było, że musiałam to zrobić samodzielnie, bo przykłady były tak wymierzone, że nie dało się ich skrócić w czasie ani odrabiać za kogoś. Interwencja Adasia pogorszyła sytuację, asystent orzekł, że nie pozwoli sobie na takie lekceważenie i oczekiwał ode mnie przeprosin. Musiałam więc sama

pójść i tłumaczyć się, a przy tym opisać to nieszczęsne doświadczenie. Wyglądałam rzeczywiście nie kwitnąco i zdrowo i chyba zapobiegło to dodatkowym emocjom na następny raz. A to już był czerwiec i nadchodziła pora egzaminów.

Życie upływało nam pod znakiem studiów, nawiązywania kontaktów z rodzinami w kraju i do tego doszła konieczność przeprowadzki. Wygasł termin ustalony przez właścicielkę mieszkania na Seton Place i chociaż żalowaliśmy, że musimy z tego zrezygnować, nie było innego wyjścia. Takie realia codziennego życia zmuszały do czynu, a szukanie mieszkania wymagało niemałej energii. Z pomocą już nie po raz pierwszy, przyszła nam pani Danusia Dubieńska. Dała nam adres męża kolegi z marynarki. Wiedziała, że od kilku lat posiadał kamienicę i wynajmował w niej mieszkania albo pokoje, jak się trafiło, najczęściej Polakom. To właśnie za jego przykładem zdecydowała się na tę kamienicę z demobilu. Już zapelniono ją, co do ostatniego pokoju.

Adaś udał się tam z Baską na rekonesans, świetnie się złożyło, bo właśnie całe drugie piętro było wolne i na drugi dzień wybraliśmy się tam już we czworo, bo i Krysia i ja chciałyśmy również to mieszkanie obejrzeć. Miało swe zalety, ale i wady, lecz nie mieliśmy czasu na poszukiwania czegoś lepszego, więc zdecydowaliśmy się na to.

Przeprowadzka do kamienicy państwa Michalskich odbyła się 18 czerwca 1946 roku. Wynajęliśmy tam na spółkę, z siostrami Andrzejowskimi, Baską i Krysią całe drugie piętro: trzy pokoje, kuchenkę i łazienkę. Wybraliśmy po jednym pokoju na nasze sypialnie, a ten trzeci uznaliśmy za wspólną jadalnię, pełniącą okazjonalnie rolę saloniku. Najgorzej przedstawiała się kuchnia, przerobiona z dawnej łazienki, bez okna, ponieważ nowe prawo lokalowe wymagało usytuowania łazienki w pomieszczeniu z oknem, którego w tej małej i ciasnej obecnej kuchence nie było. Trzeba było oświetać ją prądem. Była tak mała i ciasna, że ledwie mieściła kuchenkę gazową, z piekarnikiem, nieduży stolik i dwa stołki pod nim, bo nie było miejsca na nie obok. Brak wyposażenia w naczynia musieliśmy sami uzupełnić. Zapisałam te wydatki w kalendarzyku: patelnia – trzy szylingi i dziesięć penów, parę garnków

i żelazko elektryczne za trzydzieści dwa szylingi i sześć penów (czyli ponad półtora funta, to dużo!). Przy okazji od razu zaopatrzyliśmy się w mały komplet do kawy (za dwa funty i piec szylingów), już na prezent dla państwa Wyczółkowskich, bo pamiętaliśmy, że będą obchodzili szesnastego lipca rocznicę ślubu. Dziesiątą!

W tej nowej łazience, przerobionej z dość obszernej, kwadratowej kuchni, była wanna, umywalka i ustęp. I mnóstwo miejsca na środku, że chyba dość do tańca. Jako kuchnia musiało to pomieszczenie być wygodne. Oprócz kuchenki i zlewozmywaka niewątpliwie wzdłuż ścian stał kredens i szafki stojące, z pulpitemi nadającymi się do przygotowywania posiłków, z półkami na naczynia i na prowiant. Na środku było dość miejsca na stół i krzesła. Szkoda, że nie mogło tak zostać. Okno, wychodzące na podwórko dostarczało dość światła. Ta obecna ciemna kuchenka nadawała się może na spiżarkę, ale z przerobieniem najmniejszego pokoju na kuchnię, co miałoby sens, było za dużo problemów i kosztów.

Nasz pokój miał szerokie okno, wychodzące na ulicę. Za oknem był taras, półkolisty, wznoszący się na wykuszu, który od parteru do przedostatniego, naszego piętra, trzema oknami, skierowanymi na trzy strony świata szkockim zwyczajem zapraszał słońce do pokoju. Nasze, najwyższe piętro tego wykuszu nie posiadało, tylko za płaską ścianą ten zasklepiający poniższy wykusz półokrągły taras! Okno nie otwierało się na boki, lecz jednolitą klapą, dołem na zewnątrz. Do tego tarasu nie wiodły żadne drzwi! Udało mi się raz przecisnąć przez to okno uchylone raczej skąpo i wydostać na ten taras! Stamtąd oglądałam cały szereg podobnych kamienic, z podobnymi tarasami, również bez prowadzących do nich drzwi! Nikt tam nie bywał! Po co je budowano? Dla kogo? Czy nie byłby lepszy ten wykusz, pociągnięty o to piętro wyżej, z tymi trzema oknami na to szkockie, pochmurne niebo? Czy może szkocka oszczędność zadecydowała o tarasach dla... nikogo?

W tym mieszkaniu na Coates Gardens wypadła nasza pierwsza rocznica ślubu. Obchodziliśmy ją uroczyście: Mszą o ósmej rano i pre-

zencikami: Adaś ode mnie dostał kupony na trzewiki i kupiłam doniczkę z czerwoną pelargonią, a ja dostałam od niego misia. Na herbatkę państwo Wyczółkowscy przyszedli z kwiatami i z prezentem w postaci sześciu talerzyków deserowych, a Basia z Krysią kupiły nam elektryczny piecyk do ogrzewania pokoju, bo żadnego innego ogrzewania tam nie było.

W tym czasie Adaś dostał pieniądze z Marynarki, a że już kupony na obuwiu miał, kupił sobie półbuciki za dwa funty i osiemnaście szylingów. Mnie udało się w sklepie z resztkami materiałów bezkuponowych wyszukać parę kawalców jedwabiu na koszulkę nocną, za dziesięć szylingów i jeszcze woal w kratkę czarno-popielato-czerwoną, też w dwóch kawalcach, wystarczających na spódniczkę.

Nadeszła pora egzaminów rocznych, rozpoczęta przyśpieszonym terminem z anatomii, o czym dawno zostaliśmy uprzedzeni. Bezboleśnie zdałam pisemny, co zawsze szło mi lepiej od ustnych i nieźle poszedł mi egzamin praktyczny: odpreparowanie i opisywanie stawu skokowego; do pełnego egzaminu została mi tylko embriologia, przewidziana na drugi dzień. Dostałam temat: „Rozwój zęba”. Zaczęłam spokojnie, że ząb rozwija się ze środkowego listka zarodkowego, mezodermy. Tylko to jedno zdanie. I na tym koniec. Za nic na świecie nie mogłam sobie nic a nic przypomnieć. Zupełnie ciemna masa. Nawet wyobraźnia zawiodła. I pamięć wzrokowa również, chociaż usiłowałam ze wszystkich sił przypomnieć sobie cokolwiek. Nic nie przychodziło mi do głowy. Rozbeczałam się okropnie i wyszłam z sali, modląc się po drodze, aby nie upaść. A egzamin odbywał się przy asyście całego roku! Po chwili mąż przyszedł za mną do szatni z wiadomością, że dziekan poprosi mnie po tych osobach, które, wyznaczone na dziś, przepytą. Abym odpoczęła. Nie byłam w stanie. Zalałam się dokumentnie. Ani na drugi dzień, ani na trzeci, mimo że profesor ze świętą cierpliwością odsyłał mojego męża, zgłaszającego się do egzaminu z embriologii, aby przyszedł ze mną. Nie zdobyłam się na to. Napisałam podanie o przełożenie mi egzaminów na sesję jesienną i poparłam to zaświadczeniem lekarskim od docenta Tomaszewskiego, który nie

mógł nie stwierdzić u mnie depresji. Nie mogłam się pozbierać. Byłam wykończona. Namawiałam gorąco Adasia, aby nie licząc na mnie sam przygotowywał się i zdawał egzaminy i przyznał mi rację. A ja chyba przez tydzień odsypiałam ten – mój popis na embriologii, przypuszczalnie nie bez wpływu lekarstw otrzymanych i polykanych posłusznie według zaleceń.

Spałam dniami i nocami i niewiele myślałam, niewiele też docierało do mnie, poza uciążliwym utrapieniem.

Wreszcie zauważyłam, że w domu jest coś do roboty, nie można zaniedbywać codziennych małych czynności, bo urosną na górę zaległości do odrabiania i rzuciłam się w wir tych zajęć domowych, zwłaszcza odkładanych z braku czasu. Nazbierało się dość: gotowanie, pranie, cerowanie męzowskich skarpet (których blisko trzydzieści par do cerowania wniósł w posagu: czarne i granatowe, pomieszane – ale nie pozwoliłam wyrzucić!) i moich pończoch. A potem pożyczyłam od pani Michalskiej ręczną maszynę do szycia i uszyłam sobie, według gotowych form tę koszulkę nocną i spódniczkę, tak przyzwoicie, że mogłam je nosić. To była duża oszczędność.

Od Dzidki nadeszły dwa listy. Zasypywała mnie pytaniami o rodziców, ciocię Izę, a także o Wandę, której lakoniczny list tłumaczył jej brak czasu przed egzaminem, ale nie zawierał wiele wiadomości. Odpisałam dużo i dokładnie na te pytania. I zasypałam, ich swoimi problemami, o rezygnacji z egzaminów i przerwaniu studiów, na razie. Odpisali z wielką wyrozumiałością i podnosili mnie na duchu. Pamiętałam, że Wandzia bardzo nalegała, abym koniecznie studia kończyła...

Tymczasem uniwersyteckie władze w Edynburgu już oficjalnie zawiadomiły nasz Polski Wydział Lekarski, że nie tylko w tym roku, również tak jak i w poprzednim, nie będzie naboru na pierwszy rok studiów, ale po prostu cały na PWL zostaje ostatecznie zlikwidowany. Studenci tego kolejnego trzeciego roku (to znaczy właśnie my) już nie będą mogli tu kontynuować, wbrew temu, że tak dotychczas było, że automatycznie przechodzili do ich uczelni, na wspólne ze szkockimi

wykłady, ćwiczenia, zajęcia i praktykę kliniczną. Już nie można na to liczyć. Wyjaśniono to dość dobitnie: „Nasi chłopcy, nasi studenci wrócili z wojny i należy im się powrót na studia”. Polacy zajmowali jakieś budynki czy sale, a teraz to wszystko jest potrzebne dla swoich! Trzeba zwolnić. Koniec. Kropka... Na tym trzecim i na następnych latach Polacy nie zajmowali sami żadnych sal, tylko dołączyli do szkockich studentów... Ale to już bez znaczenia... Murzyn zrobił swoje...

Z naszego drugiego roku na ten trzeci tylko troje studentów zostało przyjętych: Krysia Andrzejowska, Romek Jarema i Staszek Duniiewicz. Wszystkim polecono pisać podania do Uniwersytetów innych miast na terenie całego Królestwa Brytyjskiego, z życzliwym zapewnieniem, że każdy uniwersytet może po kilkoro studentów przyjąć. Już nam się robiło żal, że się tak porozstajemy... Wszystkie podania załatwiano odmownie. Nawet te na stomatologię, na którą parę osób się decydowało, z nadzieją, że na nią będzie łatwiej się dostać. Nic z tego!

Nie wiedzieliśmy co dalej, co z sobą zrobić.

Wobec faktu nawiązania już kontaktów z rodzinami w kraju mąż decydował się na powrót do Polski. To mną wstrząsnęło. Nie mogłam uwierzyć:

– Co? Serio? Pomysł wart śmiechu! – skwitowałam.

– Mówię całkiem serio.

– Co? Ty? Do tej komuny, w której tyle przeszedłeś? Nie chcę! Nie zgadzam się!

– Dobrze się zastanów...

– Niemożliwe! Czy wiesz, co nas tam czeka?

– A co tutaj? Ten Obóz Przysposobienia? Na dwa lata! To po to pobraliśmy się, aby teraz nas rozdzielono? Przecież obozy męskie organizują na wyspach Szkocji. Dziękuję! Byłem na Scapa Flow. Wystarczy! A obozy kobiece jak najdalej. I nie ma mowy o łączeniu rodzin! Celowo. I jak nas tutaj traktują gościnni gospodarze!

– A jak tam, w komunie? Nie pamiętasz?...

– A nasi tutaj też, przypomnij sobie: Biuro Rozrachunkowe, two-

je komendantki , z tym waszym wyjazdem do Chicago... A dary amerykańskie przez nasz PCK – to wszystko uczciwość?

– Ale do czego chcesz wracać? Lwowa nie ma, domu nie ma, Stanisławowa też, a nasze rodziny wygnane, nie u siebie i gdzie się podziać?

– Ale jak by nie było, to jest Polska! Będziemy w swoim kraju, a nie tu, gdzie nas nie chcą!

– A czy wiesz, jak tam teraz jest? Rodzinne listy są nader ostrożne. Ani jedna osoba, dosłownie nikt z tych, którzy stąd wyjechali, nikt nie napisał ani słowa. Ani nie przysłał depeszy, mimo solennych obietnic. Może już są w Kazachstanie na „wolnej zsyłce” albo na Syberii w lagrach? Albo w więzieniu? Skąd możesz wiedzieć? Nie mam siły ani ochoty przekonać się osobiście!

– Czy musisz przewidywać najgorsze?

– Czy możesz ręczyć, mało, udowodnić, że tak nie jest?

– Ale nie możesz udowodnić, że tak jest! Właśnie! A tam skończymy studia. Jeśli nie razem, to po kolei pójdziemy na medycynę. Przecież sama pomyśl, jak bardzo tam potrzeba lekarzy! Tylu ich zginęło, to musi się jak najprędzej zastąpić nowymi...

I tak się zaczęły nasze ciągle dyskusje, doprowadzające mnie do łez. Niepewność dręczyła.

Rocznica państwa Wyczółkowskich, bardzo uroczyście rozpoczęta mszą w naszym kościółku świętej Anny zgromadziła na Bonnington Terrace tę rodzinę z New Heaven i nas i nie tylko. Już wiedzieliśmy od pani Marysi wcześniej, że nosiła się z zamiarem adoptowania dziecka. Potem dowiedzieliśmy się, że już zdecydowała się na córeczkę. Pisząc pracę dyplomową na temat rozwoju mowy dziecka, odwiedzała oprócz szkockiego także i Polski Dom Dziecka, w którym pracowała pani Ziuta. I tam zwróciła uwagę na roczną dziewczynkę, zwaną Józefinką. Znalaziono ją na dworcu kolejowym Waverley w Edynburgu, paromiesięczną, zadbaną, zaopatrzoną w kartkę z napisem: „Ojciec był Polakiem”. Dlatego trafiła do polskiej placówki i dlatego nazwa-

no ją Józefiną, bo w Szkocji dzieci podrzuczone oddawano pod opiekę świętego Józefa, opiekuna rodzin. W tym Domu Dziecka były też półsieroty, umieszczane tam przez ojców owdowiałych, często żołnierzy w służbie czynnej, którzy starali się zapewnić dziecku najlepsze warunki. I takie tam panowały. Pani Marysia, lubiąca dzieci, zaprzyjaźniła się z małą Józefinką tak, że gdy mała zaczęła już mówić, to właśnie do pani Marysi wołała: „mama!” Kiedy pierwszy raz pani Marysia namówiła męża na wspólną wizytę, po prostu został z miejsca oczarowany. Mała była ruda, tak samo jak jego rodzona matka i miała oczy tak samo intensywnie niebieskie jak niezapominajki, jak i pani Marysia i pan Janek. A gdy „mama” wzięła małą na ręce i przedstawiając Józefince: „to jest tata”, dziecko z zachwytem powtórzyło i wyciągając do niego rączki, przytuliło się z całej siły.

Starania o adopcję ciągnęły się bardzo długo. Przyszli rodzice nazywali ją Inką i bardzo często oficjalnie zapraszali do siebie, a mniej oficjalnie zatrzymywali na dłuższe okresy, gdy nie spodziewano się w Domu Dziecka miejscowej wizytacji, ponieważ na to trzeba było specjalnego zezwolenia. Sprawa wlokła się z tego powodu, że półkrwi Brytyjka mogła zostać adoptowana przez obcokrajowca tylko w takim wypadku, gdyby nie znalazła chętnych rodziców brytyjskich. Tymczasem Ineczka rozumiała już coraz więcej i pokochała już bardzo serdecznie swoich przybranych rodziców, którzy wszelkimi sposobami starali się udowodnić kompetentnym władzom, że już się czują rodziną. Wzięli świetnego, miejscowego adwokata i nie rezygnowali. Dziecko było faktycznie przemile i oddawane od czasu do czasu z konieczności na obowiązujący je pobyt w Domu Dziecka, ogromnie tęskniło. Gdy ją poznaliśmy na tym dziesięcioleciu ślubu, Ineczka miała przeszło dwa lata. W jakiś czas potem zgłosiła się tam jej rodzona matka, aby pierwszy raz dowiedzieć się o losach dziecka. Z wielką ulgą dowiedziała się, że ktoś chce się dzieckiem zaopiekować i oznajmiła, że z chęcią podpisze zgodę na adopcję dziecka przez ludzi, którzy już okazali tyle serca. Przyznała się, że właśnie wrócił jej mąż z wojny, pogodził się z faktem i wyraził zadowolenie, że dziecko trafiło w dobre ręce. Wówczas ad-

opcję uprawomocniono. Na chrście, oczywiście katolickim, otrzymała imiona Halina, jak siostra pani Marysi i Józefina.

Pani Halina była młodsza od pani Marysi o dwa lata. W 1939 roku, gdy pan Janek spędzał lato na poligonie, żona jego, ze swoją siostrą, podobnie jak rodziny wielu innych oficerów, wybrały się z nimi w Karpaty na letni wypoczynek, gdzie znalazły kwatery u miejscowej ludności. Lato było upalne, rodziny wojskowe znajome, wypoczynek udany. Poligon zaplanowany był do połowy września. Nagły wybuch wojny w krótkim czasie przyniósł tam rozkaz ewakuacji do Węgier. Pani Marysia z siostrą, tak jak wszystkie te rodziny towarzyszące, zdecydowały się również na Węgry. Panie zapakowały dwie walizki, w jednej sukienki, bluzki, spódniczki i sweterki, w drugiej bieliznę dzienną, nocną i pościelową i uważały się za przygotowane do podróży. Ordynans własnym sumptem wpadł do Krakowa i załadował jeszcze jedną walizkę rzeczy, które uważał za najkonieczniejsze. Nie zmieściło się do niej zimowe futerko (ale i tak je zabrał) pani „Porucznikowej”, jak tytułował szefa żonę. Dojechał i wyruszyli razem ze wszystkimi. Dotarli do granicy, przekroczyli ją bez przeszkód. Na miejscu okazało się, że zginęły dwie większe walizki, została tylko ta z bielizną i futerko. Panie miały poza tym tylko te sukienki, co na sobie, pan Janek – mundur.

Wkrótce wszystkich zamknięto w obozie internowanych. Ciężko tam było, odczuwało się różne braki. Panowie bezrobotni, aby wypełnić ciągnący się czas, zorganizowali sobie kurs administracyjny i prawa, bo nie znaleźli innych możliwości. Panie, praktyczniejsze, urządziły pralnię, własnoręcznie opierając tych bardzo licznych oficerów samotnych. Potem okazało się, że przydawała się również pomoc pań przy utrzymaniu garderoby męskiej w całości, więc cerowały, łątały i naprawiały co tylko się dało, za tanie forinty. Tajne ucieczki do Francji organizowano z trudem, według aktualnych możliwości. Gdy przyszła kolejka na państwa Wyczółkowskich, w najostatniejszej chwili zabrakło miejsca dla pani Halki. Nie pozwoliła im zrezygnować, obiecując, że zdaży za nimi na drugi raz. Jednak tego drugiego razu już nie było. Niemcy już sami położyli łapę na tym obozie internowanych. To było

ciężkim przeżyciem dla pani Marysi. Dla pani Halki też. Poszukiwania sióstr trwały przez te wszystkie lata i odnalazły się dopiero po wojnie. Pani Halka wyszła za mąż za towarzysza niedoli i wrócili do Krakowa. Tam mieli nadzieję zamieszkać w domu państwa Wyczółkowskich, którzy natychmiast wysłali im notarialnie poświadczony zrzeczenie się tej własności, zapisując dom na panią Halke. Nic z tego. Dom już był zajęty, jako „bezpieczny” przyznany ważnej osobistości, której nie można się było narazić bez odwetu. Znaleźli więc pracę i lokum w Katowicach.

Bardzo dobrze rozumiałam rozgoryczenie właścicieli, a właściwe już byłych właścicieli, zgnębionych utratą domu. Był już splacony, a to trwale przecież ileś lat oszczędzania, może i wyrzeczeń. Także te wybrane, wymarzone, drogie meble, na które po rozważaniach zdecydowali się, bo to już na całe życie, zostały tuż przed wrześniem splacone co do złotówki. I nawet o to nie mogła się siostra upomnieć. Rozumiem, jak bardzo im tego szkoda. To był ich wieloletni dorobek... Nawet gdyby wrócili, nie mogliby tego odzyskać. Własność prywatna, w dodatku oficera!... Tak musiało być im żal, jak nam tego naszego domu z ogrodem, we Lwowie i całego naszego Lwowa!... Tego się z serca nie wyrwie... Nigdy...

To wszystko jednak pozostawało obecnie na uboczu. Za dużo, zbyt silnie pochłaniała nas codzienność w takiej nieprzewidywalnej rzeczywistości. Jak się z nią uporać? Jak sobie radzić? Na co się decydować, aby nie żałować potem, nie robić sobie wyrzutów? Gdzie jest ten sens i logika? Co robić? Co? Jaki wpływ możemy mieć na swój dalszy los, który sobie igrał z nami bez naszej decyzji, poza naszym przewidywaniem, jak byśmy byli pionkami na szachownicy...

Jakie najrozmaitsze koleje życia przechodzili Polacy w ciągu tych lat... Na przykład pani Danka, żona oficera Marynarki Handlowej. Towarzyszyła mu w rejsie, na którym, jako zastępca kapitana był „Drugim po Bogu”. Wojna zaskoczyła ich poza Polską i znaleźli się w Anglii. Natychmiast, gdy tylko dopłynęli i zakotwiczyli na wyspie, cała załoga statku zgłosiła się do służby na okrętach bojowych. Marynarze bez

dystynkcji zostali przyjęci. To samo zaproponowano oficerom: służbę bez jakichkolwiek stopni, tym bardziej oficerskich. Odczuli to jako jawną dyskryminację i niesprawiedliwość. Jak gdyby nie mieli odpowiedniego wykształcenia, odbytych lat służby na morzu i reprezentowali całkowity brak przydatności w marynarce. Polska Marynarka Wojenna nie powinna demonstrować braku szacunku dla Polskiej Marynarki Handlowej, a tak ten afront odebrali. Wobec tego starali się zaciągnąć do Brytyjskiej Marynarki Królewskiej. Nic z tego! Szukając wszelakich możliwości pozostawali na wyspie, jako bezrobotni uchodźcy z Polski. Z goryczą w sercach.

To przymusowe i beznadziejne bezrobocie trwało rok. Przez ten czas pani Danka zarabiała robieniem na drutach skarpet dla marynarzy. Musiały być czarne albo granatowe. Włóczka nie była jeszcze reglamentowana i łatwo dostępna, można było kupować w dowolnej ilości, toteż domorośla produkcja rosła i ułatwiała bytowanie. Mąż pani Danki, pan Józef, poza nieustannym poszukiwaniem właściwego zatrudnienia, wobec beznadziejności popołudniami zaczynał poddawać się apatii po rankach wydeptanych, po odsyłaniu z miejsca na miejsce. Aż nagle wpadł na pomysł, że żona jego powinna i jego nauczyć roboty na drutach. Skarpety na początek były za trudne, toteż uradzili, że znacznie od robienia czegoś prostszego, a że nie zapalił się do wykonania szalika, uradzili, że żonie najbardziej potrzebna jest spódnica.

Pani Danka z humorem opowiadała, jak to jej mąż pół siedząc, pół leżąc w fotelu, godzinami dyktował sobie cierpliwie, aby się nie pomylić: „pra-we, le-we, pra-we, le-we”, gdyż uparł się, że całość musi być zrobiona ryżem. A kiedy po przerwaniu roboty powracał do niej zawsze prosił o wyjaśnienie, który drut ma wziąć do prawej, a który do lewej ręki! Wytrwale siedział z drutami przez popołudnia i wieczory prawie całego roku. Zrobił jednak żonie cały, bardzo udany kostium, ryżem. Popielaty, służył przez długie lata. Przez ten czas pani Danusia wyprodukowała sto siedemdziesiąt trzy pary skarpet! (Dobrze pamiętam tę ilość, bo ta sama liczba odnosiła się do tych kilometrów, przebytych w zimie 1942 roku z Wandzią, piechotą z Urdżaru do naj-

bliższej stacji kolejowej Ajaguz, w Kazachstanie, w naszej wędrowce do Polskiego Wojska. Te kilometry przeszliśmy razem z ochotnikami do wojska, w ciągu pięciu dni i jednej nocy... Nie mogę tego nie pamiętać...). Po roku starań Szwecja zatrudniła polskich oficerów Marynarki Handlowej. Ten pierwszy rejs do Ameryki Południowej zakończył się katastrofą. Statek został storpedowany i nikt się nie uratował. Szwedzki rząd, oprócz wypłaty odszkodowania rodzinom poległych, zaproponował przyznanie obywatelstwa szwedzkiego i rentę wdowią w wysokości stu dwudziestu marek miesięcznie, wystarczających w owym czasie na spokojne życie w Szwecji. Tymczasem pani Danusia już zaczęła studiować psychologię na Uniwersytecie Edynburskim, którą wybrała zgodnie z zainteresowaniem, gdyż przed wojną była nauczycielką. Woliała pozostać na miejscu, już w środowisku polskim. Zawsze bardzo dzielna, nie czuła się jednak na siłach, aby zaczynać samotnie życie od nowa, w nieznanym warunkach. Kapitał przelano jej na bank, a renta szwedzka, w przeliczeniu na walutę brytyjską wynosiła pięć funtów, czyli nader skromnie, a doliczając czynsz, to raczej niewystarczająco. Jednak była już studentką, czyli otrzymywała stypendium od polskiego rządu, jak wszyscy polscy studenci, łącznie z tymi odkomenderowanymi z wojska, które dzieliło koszty. Po paru latach pani Danka wykorzystała ten swój kapitał jako podstawę, do kupienia na spółkę z przyjaciółmi tej kamienicy z demobilu. To taki jeszcze jeden przykład dziejów polskich tułaczy...

Na naszym wydziale nowe sensacje. Podobno profesor Jurasz wyjechał do Warszawy w celu rozpatrzenia możliwości przeniesienia Polskiego Szpitala imienia Paderewskiego do Bytomia z równoczesnym przeniesieniem tam naszego Wydziału Lekarskiego. Domysłem i dyskusjom nie było końca. Jedni z nadzieją popierali ten projekt, inni wyszukiwali całą masę przeszkód i właściwie nikt nic nie mógł powiedzieć pewnego na ten temat. Takie ważne i zasadnicze, sprawy toczyły się poza zasięgiem naszej informacji. A były to sprawy, które właśnie nas dotyczyły jak najbardziej. I można było, parafrazując decyzje historyczne, powiedzieć, że właśnie „wszystko o nas bez nas!”.

Lato trwało dość pogodnie jak na Szkocję, z wolna przychodziłam do jakiejś takiej równowagi psychicznej i otrząsnąwszy się z załamania godziłam się sama z sobą, starając się wyzbyć tej udręki wyrzutów sumienia za tę embriologię. Pocięchą mi było zaliczenie drugiego roku studiów: przynajmniej tyle. Nie wszystko zmarnowałam. Mam prawo do składania egzaminów, to już się liczy. Absorbowało mnie wysyłanie paczek, a częściej listów do Polski, do których stale wkładaliśmy papierosy i kupony na odzież, mimo protestów tych obdarowywanych, stale pamiętając własną nędzę i te wszelakiego rodzaju braki w komunie, chociaż zdawaliśmy sobie sprawę z różnicy, skoro twierdzili, że naprawdę, zabrali swoje rzeczy ze sobą, czym my nie mogliśmy się pocieszać.

Którejś niedzieli spotkałam w kościele Zuzię Accord. Wyszła za mąż za Jurka Parylewicza, którego poznała w Palestynie, gdzie i mnie go przedstawiła, kiedy byliśmy jeszcze obie w Szkole Młodszych Ochotniczek. Opowiedziała mi, że już od jakiegoś czasu mieszkają w Edynburgu i mają córeczkę, Grażynkę. Odwiedziliśmy się nawzajem. Córeczka była wzruszająca. Jurek przywiózł z Włoch dość dużo apaszek gazowych, tam bardzo tanich, a na Wyspie bardzo poszukiwanych, bo kolorowe, ładne i modne się stały, bez kuponów, lakomy kasek. Odkupiliśmy chyba kilkanaście, bo nadawały się świetnie do wysyłania w listach do kraju, gdzie przypuszczalnie będą mogli na nich zarobić. Pokazałam je pani Marysi i od razu wzięła kilka chustek, aby je podsunąć znajomym. Wyceniła je trochę drożej niż Jurek, który od nas wziął z minimalnym zarobkiem (bo do Polski) i ten zysk z chęcią przekazaliśmy Zuzie.

Apaszki zrobiły furorę w Krakowie, wysłane dla Janki i jej siostry Irki. Potem wysłałam też Dwidce, a myśląca zawsze o sobie samej na ostatku, odpisała ze wzruszeniem, że te piękne rzeczy: apaszkę i ręcznik frotte wykorzystali na prezent ślubny dla brata Leona, Lutka i jego żony Krystyny, co wybawiło ich z kłopotu, bo się mocno zastanawiali, co na taki prezent wykombinować. Podejrzewałam, że może nie tyle chodziło o to „co?”, ile „za co?”. W każdym razie, skoro to uszczę-

śliwilo moją siostrę, nie mogę na nią buceć. Wysłałam następną apaszkę, z zaznaczeniem, że ta już koniecznie jest dla niej, bo nawet kolory kwiatów tak dobierałam, aby nadawały się do różnych możliwości i pasowały do niejednej kombinacji ożywiając to, co tam ma do włożenia.

Wanda też od siebie wysyłała, co tam mogła. Dzikka pisała, że w dwóch listach od niej dostała po dolarze i to doszło. Wysyłała także odzież kupowaną z tych amerykańskich. Zrobiła dla Dzikki bardzo ładny, ciepły i gruby sweter, w kolorach niebieskim i granatowym i cieszyła się, że świetnie się udał. Nawiasem mówiąc miała zdolności do robót i wszystko jej się nadzwyczajnie udawało. Niestety tej paczki wcale nie otrzymali, a tym bardziej szkoda, że tam jeszcze były jakieś buciki dla Dzikki. Pewnie paczka była zbyt wartościowa i cenzura się nią zaopiekowała, w całości. Innym razem Leon dostał list od przyjaciela, którego wojna zagnała aż do Ameryki. W tym liście wymienił wszystko, co mu wysłał w paczce, między innymi prawie nowe półbuciki. Paczka doszła i wszystko, oprócz tych oczekiwanych półbucików, w niej było, tylko one zostały podmienione na ówczesną okropną polską tandetę, a na dodatek były podarte! Nasze dochodziły w porządku wszystkie i cieszyliśmy się z tego. Wiedzieliśmy, że z Wyspy nie pozwalano na wysyłanie nowego obuwia. Gdy już moje wojskowe półbuciki były tak sfatygowane, że przysługiwała mi wymiana ich, starałam się w magazynie mundurowym otrzymać mniejszy numer, odpowiedni dla Dzikki. Nie było i nie zanosilo się już w ogóle na nowe dostawy. Wzięłam więc ten swój rozmiar i w dzień deszczowy i ponury (jak we lwowskiej piosence) włożyłam je i wyszurałam na spacerze podeszwy tak, że już nie można ich było potraktować jak nowe. Ubolewałam tylko nad tym, że Dzikka nosiła o dwa numery mniejsze obuwie ode mnie. Na wszelki wypadek, wybierając te fasowane półbuty, znalazłam parę gładką, bez takiego krojonego randa, które nam haniebnie raniło stopy. Wspominałam przy tym naszego lwowskiego szewca, robiącego nam sandalki i buciki na miarę, że on poradziłby sobie z tymi półbucikami i zmniejszył je, czego w Edynburgu nie tylko nikt by nie potrafił, ale pewnie i nie uwierzono by, że to w ogóle da się zrobić! Nic nie mo-

głam poradzić. Pocieszałam się, że może im się uda tę parę sprzedać i za to kupić odpowiednie, aczkolwiek wiedziałam, że raczej wykazują antytalent kupiecki. Ucieszyła mnie bardzo wiadomość, że kraśniczki „kamasznik”, czyli mówiąc po ludzku szewc dokonał zmniejszenia ich do właściwego rozmiaru. Cieszyłam się, bo były solidne, skórzane, brązowe, na słupku, słowem do noszenia i nie tak rychło do zdarcia. Udało się! A w Szkocji nawet o szewca-latajbuta trudno.

Lato sączyło się dość wolno, pogoda już mniej sprzyjała, czas upływał i sprawa przeniesienia Wydziału do Bytomia ucichła. Studia dla nas też nie zapowiadały się w Polsce. Przeciwnie. Profesorowie nasi, nawet ci, którzy sami się tam przenieśli, nie zachęcali nas do powrotu do kraju. Tłumaczyli, że powinniśmy koniecznie starać się o przyjęcie na studia w Królestwie, aby w Polsce nie zajmować miejsca naszym kolegom, którzy tam przeszli gehennę okupacyjną. Słowem, nie było miejsca dla nas i tam. A może za dużo wiedzieli o tamtejszych warunkach i w taki sposób nas ostrzegali, podczas gdy ich własne szanse wyglądały zupełnie inaczej... Nadal żyliśmy w zawieszaniu. Z przykrością myślałam, że od chwili opuszczenia Lwowa, a raczej wydarcia nas stamtąd z korzeniami, człowiek żyje bez pojęcia, co przyniesie jutrzejszy dzień i następne dni, w stałej tymczasowości, która zdawało mi się, że mnie dławi. Szpital Paderewskiego nie przenosił się jeszcze, nie wiadomo było kiedy, na razie nie było tam odpowiednich warunków.

Kreśliłam się po domu, wychodziliśmy często razem i spotykaliśmy się nieraz z właścicielami kamienicy, bo właśnie gospodarze zajmowali zwykle parter, gdyż z kuchni prowadziły drzwi do ogrodu tak w domkach jednorodzinnych, jak i w kamienicach. Pani Michalska przyszła kiedyś do mnie z prośbą o małą przysługę. Otóż starsza córka, Basia, prosiła o urządzenie jej przyjęcia urodzinowego, tak jak to obchodzi się w Szkocji, bo sama już była na takich urodzinach u koleżanek. Zgodnie więc ze zwyczajem na swoje dziesiąte urodziny zaprosiła dziesięć koleżanek. Matka szykowała to przyjęcie i chciała je uświetnić polskimi kanapkami. Szkockie kanapki zrobione z połówki bułki, poprzestają na przyklepionym do margaryny plasterku szynki albo wę-

dzonej konserwy z wołowiny i listku sałaty. Zrobiliśmy więc ogromną tacę polskich kanapek. Pani Michalska upiekła też kruche placki na tort i zajęta czymś innym podrzuciła mi do zrobienia masę marcepanową. Składniki jej przygotowała według przepisu zamieszczonego w angielskim babskim czasopiśmie: margaryna, mączka sojowa, cukier i esencja migdałowa. Roztopić margarynę, dodać resztę składników, rozmieszać na gładko i wyłożyć na tort. Robota niemal błyskawiczna. Lukier z piany białka i cukru, z cukrem waniliowym, zagotowany w wodnej kąpie-li, też udał się wspaniale, tort wyszedł imponujący i dziewczynki były bardzo zadowolone. O polskich „sandwichach” opowiadały swoim szkockim matkom, aż te gratulowały takiego sukcesu pani Michalskiej i pytały ile czasu musiała na to poświęcić.

Zdarzyło mi się, że zostałam kiedyś zaproszona na kolację do angielskiego domu. To była bardzo uroczysta kolacja i sąsiadka pani domu w tajemnicy szepnęła mi, że gospodyni poświęciła ponad godzinę, aby to wszystko aż tak pięknie i obficie przygotować. Oczywiście w całej pełni to doceniłam i wyraziłam to, dziękując za wspaniałe przyjęcie. Pieczeń wołowa niewątpliwie była własnoręcznym i popisowym numerem pani domu oraz sam dobór i sposób podania rozmaitych przekąsek, z wielu konserw, gotowych słoiczków z piklami, owocami, potem ciastka, herbatniki itd., w sumie zajęły ten czas i tyle inwencji twórczej. Przypominały mi się jednak nasze polskie, przedwojenne przygotowania przedświąteczne... I zapytanie szkockiej sprzedawczyni ze sklepu warzywnego: „Po co sobie zadawać aż tyle roboty”... na przygotowanie jedzenia. Nie przywiązują do tego takiej wagi.

Gdy tam kręciłam się po kuchni jako pomocnica kuchenna, młodsza córka państwa Michalskich, pięcioletnia Zosia, pilnie mi asystowała. Była trochę rozżalona, że nie weźmie udziału w tym przyjęciu, lecz nadrabiając miną tłumaczyła mi, że taki jest szkocki zwyczaj i że Basia też nie będzie uczestniczyła w jej urodzinowym balu. Rozmawialiśmy poważnie i przyjaźnie i Zosia zwierzyła mi się, że marzy o pikniku, bo bardzo dawno rodzice nie urządzali. Ciągłe są okropnie zapracowani, a lato już mija i pewnie w tym roku wcale się pikniku nie

urzędzi... Aż szkoda lata. Obiecałam, że możemy wybrać się razem, bo oboje z mężem bardzo chętnie pojedziemy z nią na piknik. Zosia była uszczęśliwiona.

Pani Michalska z wielkim zapalem doradziła nam wyprawę autobusem do Quinsferry. Ferry, czyli prom przewoził od wieków pasażerów na drugi brzeg zatoki. Sensację wzbudziło urodzenie dziecka na promie, o czym rozpisywał się „Scotsman”, gratulując matce i synkowi, który otrzymał od zarządu promu dożywotni bilet na bezpłatne przejazdy. Zosia ze swoim koszykiem czekała na nas ogromnie przejęta, że będzie z nami na takim dorosłym pikniku. Pouczyła mnie wcześniej, że oprócz koszyka ze smakołykami trzeba koniecznie wziąć koczek do rozłożenia na trawie i można wziąć piłkę i skakankę, ale to już zabrała sama. Adaś niósł koczek, my obie swoje koszyki i zachwyteni pogodą pojechaliśmy nad zatokę. Podziwialiśmy imponujący most nad zatoką, Adaś robił zdjęcia swym aparatem, biegał z Zosią za piłką, odpoczywał, gdy wyjęła skakankę i delektowaliśmy się zawartością koszyków, trochę i ja biegałam z Zosią i w pewnym momencie, gdy stanęła na wzgórku, urywającym się nade mną stromo i wyciągnęłam do niej rękę, Adaś się zerwał i nieoczekiwanie mnie wyprzedził:

– Nie! Nie! Ty nie dźwigaj! – zawołał, a ja się zamieniłam w słup soli.

– Dlaczego?.. Coś ty..? – zdziwiłam się zaskoczona.

– Żeby ci nie zaszkodziło! Musisz uważać!...

– Cooo? Czy ty myślisz...?

– Tak. Może tak być. Jutro cię umówię na wizytę lekarską... – zdecydował.

A mnie już się chciało płakać. Pewnie się ludzi... Znowu...

Zosia biegała i szczebiotała, uradowana taka, że tak było przyjemnie i tyle będzie miała do opowiadania i zdjęcia i pogoda dopisała. A ja nagle zaczęłam mieć nadzieję, że jestem przy nadziei i smakowałam ten zwrot. I perswadowałam sobie, że po co się ludzić, że powinnam się uszczypnąć, aby oprzytomnieć, bo się zawiodę. Mój małżonek zaczął wylizywać, że trzy miesiące...

– Nie pierwszy raz – przyznałam z przykrością.
– Ale lepiej się czujesz...
– To niczego nie dowodzi, a kobiety normalnie w takim stanie czują się właśnie gorzej...
– Lepiej sypiasz...
– Przecież biorę lekarstwa, pewnie i jedno i drugie dzięki temu...
– Ale jesz! Masz apetyt! Dawno tak nie było!...
– To kwas solny! Wreszcie mi coś pomaga! No i już odpadły nerwy i emocje egzaminacyjne... – tłumaczyłam jak dziecku (także i sobie), aby się nie ludzić daremnie. Rozczarowanie boli.

– Dobrze już, dobrze, a wizytę zamówię, tak na wszelki wypadek.

Rozśpiewaną Zosię odprowadziliśmy i oddaliśmy w ręce mamy, a sami poszliśmy na to swoje drugie piętro nieco zamyśleni. Przypomniało mi się, że to 26 sierpnia, Matki Boskiej Jasnogórskiej... Może rzeczywiście naprawdę?...

Tymczasem Baśki powiedziały, że znalazły mieszkanie, które lepiej im się nadaje, półtora pokoju, czyli mówiąc po ludzku, pokój z niszą, ze swobodną używalnością kuchni i łazienki, na dole, w suterenie. Będzie tam mógł nocować Jaś, gdy przyjedzie odwiedzić narzeczoną, co właśnie zapowiedział. Mieszkanie jest przy Leopold Place, naprzeciw dużego skweru. Pani Michalska zapytała po ich przeprowadzce, czy nam zależy na tym drugim pokoju, który pełnił rolę wspólnej z Baśkami jadalni i zaproponowała obniżkę ceny, gdy zrezygnowaliśmy. Teraz do tych zwolnionych dwóch pokoiów właściciele przyjęli dwie rodziny i w związku z tym, wstawili nam do pokoju kuchenkę elektryczną z piekarnikiem, abyśmy nie musieli korzystać z tej mini kuchni i pozostawili ją do dyspozycji nowych lokatorów. Zgodziliśmy się i na to, mimo takiej niedogodności, że wodę trzeba było brać z łazienki i tam myć naczynia. Jednak nie potrafiliśmy odmówić, bo obie te rodziny to warszawiacy, wyzwoleni z obozu niemieckiego, do którego zapędzono ich po Powstaniu Warszawskim, takie rodziny, które udało się sprowadzić na Wyspę, o czym opowiadał pan Mazurkiewicz. Panią Dybasiową

z córką Bożenką sprowadził do Edynburga major, który stacjonował ze swoją jednostką w pobliskim miasteczku. Ich siedemnastoletni syn poległ w Powstaniu. Bożenka, już szesnastoletnia, miała stale, poważne kłopoty ze zdrowiem, ciągnące się od czasów okupacji. Przeżywały je w oplakanych warunkach, a Powstanie i niewola dokonały reszty. Ciężkie przeżycia nie pozwalały matce otrząsnąć się z bólu po stracie syna, Jędrusia, chociaż starała się dzielnie trzymać, choćby ze względu na Bożenkę.

Ten drugi pokój zajmował pułkownik Prygier (Pregier?) z żoną, małżeństwo bezdzietne. Mieszkali tam razem, on miał przydział w samym Edynburgu. Ani jedni, ani drudzy lokatorzy nie planowali powrotu do kraju, do komunizmu i ruin swojego miasta, podlegającego nowemu ustrojowi. Sąsiedztwo było spokojne, przyjazne i mieszkało nam się nadal nieźle, mimo pewnych niewygód przy korzystaniu ze wspólnej łazienki. Jednak i oni i my przeszliśmy już takie rozmaite niewygody, że to nie było czymś najważniejszym.

Spotkałam kiedyś Danusię. Słyszałam, że odnalazł się jej ojciec, podobno w Warszawie, ale nie wiedziałam czy to prawda ani jak o to zapytać. Przed wojną był dziennikarzem i mój ojciec znalazł go i wyraził się o nim, że „to godny człowiek”. Danusia wydała mi się jakaś markotna, co się na ogół nie zdarzało.

– Jak się czujesz, Danusiu? Co u ciebie, co zamierzasz wobec tej likwidacji Wydziału?

– Sama nie wiem, co robić. Ojciec znalazł się w Polsce, ale z jego listu trudno odgadnąć, o co mu chodzi, co chce mi powiedzieć. Oznajmił, że właściwie nie może mi niczego radzić...

– A sama, co masz w planie?

– Nie mam pojęcia... A wiesz, że Marzena wyszła za Edka?

– Tak. Zapraszała na ślub, ale byłam chora...

– Na Irmy ślubie też nie byłaś. Pięknie wyglądała, w ślubnej sukni, białej i długiej. Tylko ona jedna mogła sobie na to pozwolić, bo dostała ją od rodziców. Cóż, ojciec pułkownik, matka też w wojsku.

A potem było wesele, w hotelu. Ile naszych koleżanek powychodziło już za mężł...

– Tak, Micia była pierwsza, w lutym 1945 roku, potem Irka Świstunowicz, też we Włoszech, a tutaj Alicja Pawlus, potem Dunda Jakubska...

– I ty i Krysia Kowalska...

– I Baśka się szykuje.

– No, sama pomyśl: ty, to taka zawsze byłaś, jak to mówią: „siedź w kącie, znajdą cię” ... I jak to się stało? A ja nie opuściłam żadnego czwartku akademickiego, od drugiego trymestru począwszy!... Ale się za to wytańczyłam! A teraz jest taka sytuacja, że człowiek nie wie co ze sobą zrobić. I z tą swoją samotnością... – rozżaliła się, ale co tu można poradzić? Znalam ją jeszcze z zesłania, z Tas Bulaku, gdzie była z mamą i młodszą siostrą.

– A co z twoją mamą i z Ewą?

– Ewa napisała, że mama leczy się w szpitalu psychiatrycznym, a ona sama chyba wstąpi do klasztoru... Czy ja wiem? Teheran jest tak daleko... Przecież nie ma sposobu, abym tam mogła pojechać, bo i jak?

– Tak, rzeczywiście to trudna sprawa.

– Miałam tutaj i ja wyjść za mężł... A teraz on się przyznał, że musi najprzód załatwić powrót do swojego prawdziwego nazwiska, bo cały czas używał pseudonimu, aby nie narażać rodziny pod okupacją niemiecką, bo to Ślązacy...

– I co? Postanowiłaś czekać? Czy jesteś pewna swoich uczuć? Wiesz, jedna z koleżanek pytała mnie, już jako mężatkę, co ja myślę o wyjściu za mężł bez miłości. Absolutnie myślę, że nie warto.

– Nie wiem sama... Nie znasz go... nie jestem pewna, czy to miłość, czy tylko strach przed samotnością w takiej niepewnej sytuacji. I co z nami zrobią? Zdemobilizują pestki czy wpakują do obozów przysposobienia? A co wy zrobicie? Zostajecie? Wracacie do komuny? Aż płakać się chce. Albo jeszcze gorzej, wyć i kłać z wściekłości!

Szłyśmy tak zagadane, że znalazłyśmy się pod domem.

– Chodź, Danusiu, wejdz! Zrobie herbatkę, pogadamy, wkrótce

pewnie Adaś wróci.

– O, nie! Popatrz, która godzina! Jestem umówiona, zapomniałam. Leceę. Zrobiło się późno. Do zobaczenia. Wpadnę innym razem. Na pewno wpadnę! Miło było się spotkać, pa! – i z pośpiechem odeszła. Nie wiem, czy w tę swoją samotność, czy w tę beznadziejną nadzieję.

– Bądź zdrowa – zawołałam za nią. Nie wiem, czy usłyszała. Nie zatrzymała się, nie obejrzała.

Opowiedziałam Adasiowi o tym spotkaniu, o rozterkach i przynębieniu Danusi.

– Tak, słyszałem coś na ten temat. Ten pan z pseudonimem podobno w kraju ma żonę i dziecko. I nie ma zamiaru tam wracać, tylko kombinuje, jakby się tutaj najwygodniej urządzić.

– A czy Danusia wie? Czy coś podejrzewa albo się domyśla?

– Możliwe. Może dlatego nie chciała wstąpić do nas, z obawy, że ja coś słyszałem na ten temat.

Milczałam. Nigdy się nie przyznałam, że ona odradzała mi gorąco małżeństwo z Adasiem. Że nie pasujemy do siebie pod żadnym względem, ani temperamentem, ani usposobieniem, ani zainteresowaniami i że popełniam wielką pomyłkę... Odpowiedziałam jej, że jak sobie pościele, tak się wyśpię, bo czułam się urażona. Może głupio jej było, bo pamiętała i sądziła, że powtórzyłam to Adasiowi...

Po naszym pikniku Adaś zadzwonił do profesora Fahmy'ego, aby zamówić wizytę dla mnie. Sekretarka przyjęła telefon. Poinformowała, że profesor wyjechał na urlop, wróci za dwa tygodnie, ale w razie potrzeby prosił o zastępstwo kolegę, u którego zapisała mnie na wizytę na piątego września. Czekałam cierpliwie, ale bez złudzeń w obawie przed ponownym rozczarowaniem.

Wreszcie nadszedł dzień oczekiwanej wizyty lekarskiej. Doktor Mc Gregory powitał nas w drzwiach osobiście, przeprowadził przez elegancką poczekalnię, gdzie zatrzymał się Adaś, a mnie przebadał równie dyskretnie, jak profesor Fahmy. Tego koniecznie powinni nauczyć

się nasi ginekolodzy pomyślałam, wspominając tę moją pierwszą wizytę u specjalisty i makabryczne ogłoszenie diagnozy. Teraz czekałam na wyrok, zamieniona chyba w olbrzymi znak zapytania, z gardłem ściśniętym z emocji. Nie wydaje mi się, że mógłby zrozumieć mnie ktoś, kto tego sam nie doświadczył.

– Jest pani w ciąży, myślę – usłyszałam ten stosowany przez Szkotów zwrot, z tym „myślę, że” na końcu zdania. – I bądź tu mądra – pomyślałam – czy to oznacza przypuszczenie?

– Czy to jest pewne? – ośmieliłam się.

– Tak sędzę – odpowiedział, a ja nadal nie wiedziałam, co o tym sądzić, czy mu się zdaje, czy mnie zapewnia we właściwym im stylu. Może się boi, że wpadnę w rozpacz, bo nie chcę? Jak się dogadać?

– Cieszę się, jeśli tak jest... – zaczęłam.

– Tak. Wiem. Mam pani historię choroby. Wszystko w porządku – powiedział, więc poprosiłam, aby powtórzył to mojemu mężowi.

Ten uwierzył bez wahania. A ja nadal miałam wątpliwości. Wypytałam je na jego głowę już na ulicy i nagle przypomniało mi się, że przecież nie otrzymałam zaświadczenia lekarskiego, upoważniającego do dodatkowych racji żywnościowych. To jest dowód, że nic z tego.

– Wracamy! Należy ci się! – zawyrokował mój mąż i zadzwoniliśmy do drzwi.

– Och, przepraszam, bardzo przepraszam. Pierwszy raz mi się to zdarzyło, bo pani okazała takie zaskoczenie... Oczywiście te zwiększone racje powinna pani mieć już od dwóch miesięcy... tłumaczył, wypisując zaświadczenie na formularzu.

– No, teraz już mogę uwierzyć. Szkot nie dałby dodatkowych racji żywnościowych, to znaczy tego drugiego jajka na tydzień, gdyby mi się nie należało! – oznajmiłam z triumfem i z ochotą odtańczenia zwycięskiego tańca na ulicy.

– Celebруемy! Idziemy do kina! – oznajmił mój dzielny małżonek i wybraliśmy piękny, sentymentalny film, z ulubioną Bergmanką, jeszcze nam nieznany. A ten drugi, dodatkowy, okazał się makabrą z Frankensteinem, przemieniającym się w wampira. Okropność!

Ale mnie śmieszyła, ponieważ pływałam w promieniach uroczystej szczęśliwości i życzyłam jej całemu światu, z oczekującymi matkami na czele. Po drodze do domu mijaliśmy owocarnię i dostałam piękną kisć słodkich winogron, rzadko kupowanych, bo były drogie i za taką kwotę dostawało się torbę jabłek. Ale to była uroczystość!

Na naszym piętrze spotkałam panią Dybasiową i pochwaliłam się naszą nowiną, tudzież celebrowania jej w kinie. Była wzruszona, gratulowała, ale gdy usłyszała o wampirze, wystraszyła się, że to mi może zaszkodzić i jako doświadczona matka, nie szczędziła dobrych rad.

Na drugi dzień, co można było przewidzieć, wybraliśmy się do państwa Wyczółkowskich, podzielić się wiadomościami, o czym napisałam sążnisty list do Dzikki, aby wysłać po drodze. Pani Marysia uznała, że trzeba natychmiast zameldować się w Szpitalu Polskim, bo muszę zarezerwować miejsce, o czym nie mieliśmy pojęcia. Ofiarowała się pójść z Adasiem do szpitala w tej sprawie, gdyż znalazła niejedyną przypadłość zapewniania sobie miejsca z koniecznym wyprzedzeniem. Polski Szpital Paderewskiego miał już pełny komplet rezerwacji na ten termin, wyznaczony mi na dwudziestego szóstego marca, właśnie dokładnie w dzień moich urodzin. Zaczęły się wędrówki po szpitalach, wszędzie za późno!

– Przecież to jeszcze pół roku, to niby kiedy mieliśmy zgłaszać rezerwację – zirytował się mój mąż w ostatnim z odwiedzanych szpitali, gdy ostatnia nadzieja zawiodła.

– Trzeba było o tym pomyśleć o trzy miesiące wcześniej! – poczyła go recepcjonistka, Szkotka.

– I co teraz będzie? Czy w decydującym momencie pogotowie nie znajdzie nigdzie miejsca?

– Nie liczyłabym na to! – padła decydująca odpowiedź.

Sprawa utknęła w martwym punkcie. Nie cierpiałam polskiego niefrasobliwego „jakoś to będzie”, ale ostatecznie do tego już doszło. Przynajmniej tak mi się zdawało. Myliłam się!

– Sama widzisz: nie ma dla nas miejsca na studiach, na żadnym uniwersytecie. Nie ma miejsca dla ciebie na poród. Na co my właściwie

mamy czekać? – zagadnął mój mąż, a mnie aż ciarki przeszły w przewidywaniu dalszej wypowiedzi i słusznie:

– Jedziemy do kraju! – stwierdził autorytatywnie.

– Nie! Nie zgadzam się! Z dzieckiem? Za jaką pokutę? – strzeliłam oburzona.

– Tym bardziej, że z dzieckiem. Do mamy! Tam jest rodzina. Znajdzie się miejsce i dla nas.

– Tej rodzinie powinniśmy pomagać, a nie zwać się na głowę. Żyli tyle lat pod okupacją, pod niejedną, nie myślisz o tym? Nie chcę. Nie wracam. To nie jest żaden powrót: to nie do Lwowa! – i rozbeczałam się, bo jak można tak głupio decydować i jak mam wytłumaczyć, że to bez sensu?

– No, nie płacz, to trzeba przemyśleć...

Nie byłam zdolna do przemyślenia. Nie chciałam. Myślałam tylko o tym, jak obronić nas przed taką życiową pomyłką. Byłam pewna, że jedyne wyjście, to pozostać i przeczekać. Przecież coś w końcu musi się wyklarować, coś odmienić. Nie wolno nam narażać się na ryzyko. I to z dzieckiem! Nikt z całego grona znajomych tego nie robi. No, z wyjątkiem paru naszych profesorów, ale oni jadą na ustalone już warunki i są profesorami, a to kolosalna różnica. Chyba nam do tego daleko. I właśnie ci profesorowie nie są z naszych wschodnich stron. Wracają do siebie i na odpowiednie stanowiska. A my? Nie do domu i na nieznane? Nonsens! Płakałam jak durna (to po lwowsku), nie mogłam pogodzić się z taką perspektywą. W końcu postanowiłam ze wszystkimi wątpliwościami pójść do pani Marysi, wierząc, że pan Janek potrafi przemówić Adasiowi do przekonania. No i napisać do Dzidki, bo przecież ma dzieci, to będzie mnie rozumiała i odpisze, co o tym myśli. I do rodziców Adasia, bo będą wiedzieli, co mu radzić i jak przekonać. I do Wandy, bo napisze, jak tam Polacy zapatrują się na powroty, co wiedzą na te tematy i na co się decydują.

Państwo Wyczółkowsy poparli moje poglądy. Także nie słyszeli, aby ktokolwiek z tych, którzy wrócili do kraju i obiecywali najsolennie, że napiszą, spełnili tę obietnicę, a to daje do myślenia. Krążyła wpraw-

dzie pogłoska, że dotarła jedna depesza, ale nikt nie ręczył, czy to ta cytowana treść była prawdziwa, czy tylko propaganda:

– „Dojechałem szczęśliwie. Nie znalazłem nikogo. Nie zastałem niczego. Jestem zadowolony. Dobrze mi tak”.

Sądziłam, że to mogła być istotnie wysłana stamtąd wiadomość. Adaś uważał, że to tylko kawał.

Nasi przyjaciele z Bonnington i ci z New Heaven przeżywali z nami pomysł Adasia. Nie dał sobie wytłumaczyć, że mają rację. Mówił mi, że patrzą na przyszłość okiem posiadaczy kamienic, co całkowicie zmienia ich punkt widzenia i uniemożliwia im zrozumienie naszej sytuacji. I są po tutejszych studiach, ze szkockimi dyplomami, a nie bez zawodu, tak jak my. W dodatku uznał, że mając tak chorowitą żonę musi mieć oparcie w rodzinie. To już mnie do reszty dobiło. Co ja jestem temu winna? Od dziecka, prawdę mówiąc byłam zdechlakiem. Potem to zesłanie i te miesiące walki o życie w szpitalu w Teheranie nie bardzo wpływały na wzmocnienie organizmu. Ale przecież się nie poddałam! Nie spotkałam drugiej takiej pacjentki ani pacjenta, którzy by to przeżyli! Sami lekarze stwierdzili, że wybitnie przyczyniłam się do tego sukcesu. I przecież staram się jak mogę... I nie mogłam opanować rozżalenia, oczy miałam często w mokrym miejscu. Czekałam na listy, spodziewając się poparcia mojego stanowiska dla odmowy powrotu, poza tym czułam się nieźle fizycznie, lepiej niż w poprzednie miesiące, tylko nerwy miałam roztrajkotane do „niemożliwej niemożliwości”. Kiedyś w tramwaju Adaś wspomniał coś na temat powrotu i rozbeczałam się tak, że musieliśmy wysiąść na najbliższym przystanku. I miał mi to za złe!...

Nadal odwiedzaliśmy państwa Wyczółkowskich, co mnie bardzo podtrzymywało na duchu, a Adasiowi, na szczęście nie przeszkadzało. Wciąż oczekiwałam listów od rodziny.

W końcu nadeszły, tak rozpaczliwie przeze mnie oczekiwane. Treść całych stron można wyrazić kilkoma zdaniami. Dwidka z entuzjazmem zachęca do powrotu, bo się stęskniła, bo wyrwana z lwowskiego

środowiska licznych przyjaciół, wśród których przeżywała całe dotychczasowe życie, czuje się jeszcze obco w tej nowej, nieznannej sobie bliżej rodzinie, o której nie wiem, jak ją przyjęła. I w tym małym miasteczku i w ciężkich warunkach, w których ona nie może swoim dzieciom zapewnić takiego dzieciństwa, jakie było nam dane, w domu z trzema ogrodami. Leon stwierdza obiektywnie, że zawsze uważał, iż miejsce Polaka jest w Polsce i dlatego nie dołączył do tej grupy przyjaciół z drużyny starszoharcerskiej, która w 1939 roku, po napaści bolszewickiej uciekła z kraju, by dołączyć za granicą do Wojska Sikorskiego. Oboje cieszą się, że się spodziewam dziecka. Wanda perswaduje nam ten pomysł wyjazdu do kraju, pisze, że tam, na Środkowym Wschodzie mają dokładne informacje o obecnej polskiej rzeczywistości, sama więc na powrót się nie pisze i nam zdecydowanie odradza. Przy okazji dodaje, że cieszy się moją radością z dziecka. Wiem, że namawiała na ukończenie studiów przed decyzją powiększania rodziny, ale już dowiedziała się o likwidacji naszego Wydziału i konsekwencji z tego wynikłych.

Rodzice Adasia cieszą się z zapowiedzianego wnuka lub wnuczki. Bardzo byli przywiązani do małej Basi, córeczki Zdziszka, chcieli je ze sobą zabrać, gdy opuszczali Zosią Wolę, ale tam została Hela, żona Zdziszka, która czeka na niego, aż zostanie wypuszczony i nie zdecydowała się na rozstanie z dzieckiem. Wobec tego rodzice przepisali swój dom i pole na Zdziszka i jego żonę. Nic więcej nie mogli dla nich uczynić. Co do naszego powrotu, kategorycznie doradzają nam odłożenie go na „po studiach”. To bardzo mi się podobało, chociaż o tych studiach tam nie było mowy. Dawało jednak coś do myślenia i na to liczyłam.

Odradzanie nam powrotu przez całe nasze środowisko znajomych jednak się na coś przydało. Mój mąż przypomniał sobie przyjaciela, polskiego Amerykanina, pana Wnukowskiego, z którym przez rok dzielił pokój w Domu Polskiego Żołnierza, przy Devonia Road, w Londynie. Wyjechał już do Stanów i nie zastaliśmy go tam, będąc w kwietniu na urlopie. Niemniej jednak, na pożegnanie dał Adasiowi swój adres, z zachętą utrzymywania kontaktu i obietnicą dalekosięż-

nej pomocy w razie jakiegokolwiek potrzeby. Obserwował byt Polaków w Brytanii, orientował się w ogólnej naszej sytuacji i zapowiedział nawet gotowość sponsorowania Adasiowi przyjazdu i osiedlenia się w Stanach. Był ważnym delegatem jakiejś charytatywnej instytucji amerykańskiej. Ten adres Adaś zachował, chociaż gdy dostał się na studia, tak początkowo był zajęty nadrabianiem zaległości, a potem odwlekał napisanie listu, że w końcu to zaniedbał. Teraz jednak, patrząc na moje sprzeciwy, zdecydował się na wykorzystanie tego adresu. Pamiętał również, że w Stanach była przyrodnia siostra ojca, poprosił i otrzymał jej adres, na wszelki wypadek, ale do niej nie pisał. Uff! Trochę odetchnęłam, że może już ten miecz Damoklesa nie wisi nad moją skolataną głową. Czekałam z nową nadzieją.

Wizyta u profesora Fahmy'ego, wyznaczona mi przez zwiastuna dobrej wieści, czyli doktora Mc Gregory'ego po miesiącu przyniosła mi prawdziwą ulgę. Oto po stwierdzeniu ciąży, doktor automatycznie zgłosił to do tej prywatnej lecznicy, do której kierowali swoje pacjentki obaj ginekolodzy, co było jednoznaczne z zamówieniem mi miejsca na właściwy termin. Profesor był bardzo zadowolony z mojego stanu, upewniał, że wszystko jest w najlepszym porządku, tak jak przewidywał, gratulował i zaprosił za miesiąc. Uspokojona pod tym względem, dowiedziałam się od pani Marysi, gdzie wydają kupony na wyprawkę i z zachwytem otrzymałam je także dla siebie. Z mężem wybrałam się na zakupy i nabyłam odpowiednią garsonkę, ze spódnicą zaopatrzoną w regulatory na szerokość i na długość, bardzo praktyczną, przewidzianą na cały okres oczekiwania. Kubrak miał fałdy wszyte w karczek – (po lwowsku: w giezkę), też pomyślany na wyrost. Kupiłam też pas do pończoch, także wspaniale dostosowany do zmieniających się potrzeb, z boku sznurowany i tak doskonały, wygodny, bezpieczny, podtrzymujący i regulowany, że nigdy, ani przed, ani po, nie natrafiłam na podobnie użyteczną część garderoby dla odmiennego stanu.

Co do wyprawki dziecięcej, ucieszyłam się, że pani Marysia pochwaliła moje plany dotyczące nakupienia włóczki. O całe niebo tańsza, jako półfabrykat, od gotowych ubranek. Niemowlęce bywały

szczególnie drogie. Możliwe dlatego, że panował tam zwyczaj urządzania przyjęcia przez przyjaciółki przed jej pójściem do szpitala. One z zasady umawiały się ze sobą, jakie która ubranko przyniesie i wspólnie zachwycały się tymi cackami, którymi obdarowywały młodą mamę „in spe”. Oczywiście robiono też wiele na drutach i ja się też postanowiłam do tego zabrać. Z radością! Nazwaliśmy dziecko imieniem Jacuś, bo wyobrażałam sobie, że mój mąż na pewno woli synka, co zwykle przypisywano przyszłym ojcom. Przekonywał mnie, że nie ma nic przeciwko córeczce, skoro dziewczynki są tak miłe, jak Ineczka czy Zosia Michalska.

Pani Marysia wybrała sklep z tak pięknymi włóczkami, że można było dostać oczopląsu z zachwytu. Znalazłyśmy tam ładne wzorki odzieży dziecięcej i włóczkę niemowlęcą, miękką, gładziutką i przygotowaną specjalnie tak, żeby się nie kurczyła i nie rozwlekała w praniu. Na wyprawkę brałam jasne, pastelowe kolory, a przy okazji także i na sweterki dla mnie, skoro taka ładna i taka tania, że za taką cenę żadnej bluzeczki się nie kupi. Już prawie wszystko ułożyłam na ladzie, do podliczenia i zapłacenia, gdy nagle zobaczyłam jeszcze jedną śliczną morelową włóczkę:

– O jeszcze ta dla Jacusia, wie pani, na sukieneczkę, jak już będzie chodziła! – zawołałam, a pani Marysią przyjęła mój zachwyt i okrzyk z jawną wesołością:

– O, tak! Jacusiowi będzie bardzo ładnie w tej sukieneczce! – uśmiełyśmy się i zdecydowały, że nie będziemy się tym odkryciem chwalić. Niech nadal będzie Jacuś!

Staralam się wysyłać w paczkach to, czego szczególnie brakowało we Lwowie za mojej pamięci i później, gdy nam posyłano paczki do Kazachstanu. Dodawałam więc do paczek mydelka pachnące, a Adaś na własne ryzyko dodał do paczki herbatę, która, jako żywność reglamentowana, nie była dozwolona do wysyłki. Paczki na ogół kontrolowano przed wysłaniem. Ta jednak doszła bez szwanku, a więc nie była sprawdzana przez szkocką pocztę, ku naszej radości. Przy okazji

jednak Leon okropnie nas zburczał, że sobie od ust odbieramy, tacy biedni z powodu tych ograniczeń i kartek żywnościowych. Na powtórną prośbę odpisałam, jakie to mamy przydziały: dwa funty, czyli dziewięćdziesiąt deko cukru na miesiąc. Tygodniowo jedno jajko na osobę, siedem deko masła, dwa razy więcej margaryny, siedem deko żółtego sera, wystarczającą ilość mięsa i jeszcze tak zwane punkty do dowolnego wyboru różnych produktów, na przykład konserwy, dżemy, jajka w proszku, herbatniki itp. Bez ograniczeń i w bardzo dużym wyborze są ryby, tanie, lubimy je i często kupujemy. Także bez ograniczeń jest chleb, są owoce i jarzyny. Wszystko nam wystarczało, cukier też, nie raz coś piekłam słodkiego. Poza tym, póki studiowaliśmy, często trzeba było korzystać ze stołówki, bo się nie zdążyło do domu na obiad. Stołówki obie, ta studencka i ta wojskowa, były tanie i zawsze coś tam można było wybrać do jedzenia.

My mieliśmy wszystkiego dość, ale obawiałam się, że oni tam, w tej powojennej Polsce mogą mieć kłopoty z wyżywieniem. Może nie dosłownie głodują, ale dożywieni to chyba raczej nie są. Na to mój szwagier napisał mi, że jako pracownik Spółdzielni Społem, oprócz pensji, którą określił jako przeciętną, otrzymuje deputaty w naturze. Na czteroosobową rodzinę dostaje miesięcznie piętnaście kilogramów mąki, jedenaście – cukru, cztery i pół kilo tłuszczu i półtora kilo mydła do prania. I z tej racji wymyślili sobie, że przyślą nam cukier! Zgłosili to już w urzędzie pocztowym, a ten odesłał ich z podaniem do Marynarki Handlowej! Leon uspokaja, że sprawa się tylko odwlecze, bo dzieci zachorowały na koklusz i lekarz kazał wywieźć je z Kraśnika. Dzidka pojechała z nimi do Janowa, do kuzynostwa Leona. Leonowi zaś w tym czasie trafiły się jakieś lekcje z matematyki, czyli możliwość dodatkowego zarobku, z którego szkoda rezygnować, toteż nie ma czasu. Całe szczęście! Odetchnęłam z ulgą, że ten śmieszny i wprost żenujący pomysł nie zostanie zrealizowany! Co za nonsens! Nie powinien w ogóle wpaść im do głowy! Przecież tłumaczyłam, że mamy dosyć!

Zdarzyło się, że ząb dokuczał mi od pewnego czasu i wybraliśmy się do Szpitala im. Paderewskiego, do stomatologa. Prześwietlony, nadawał się do usunięcia. Trudno, to już w życiu drugi. Jak tylko mogłam, ratowałam to swoje uzębienie po zesłaniu, gdzie wszystkie zęby kiwały się i straszyły ochotą do wypadania. Adaś, który kilka siekaczy stracił podczas przesłuchania na śledztwie w Winnicy, podtrzymywał mnie na duchu i upewniwszy się przy rentgenie, że ekstrakcja mi nie zaszkodzi, obiecał poczekać na mnie w poczekalni. W gabinecie przy wolnym fotelu zastałam naszego kolegę ze starszego roku. Właśnie odbywali tam swoje praktyki. Obejrzał zdjęcie i wziął się do szykowania zatrucia.

– Nie, panie Zbyszku – powiedziałam – musi być bez zatrucia, aby dziecku nie zaszkodziło.

– Ach, tak? Gratuluję... Ale tak bez zatrucia? Na żywo? – miał bardzo niepewną minę.

– Tak, oczywiście! Czego się dla dziecka nie robi? – śmiałam się, że już tak to pojmuję. Mam nadzieję, że to nie jest pański pierwszy ząb? Nie pierwsza ekstrakcja? – dopytywałam się.

– Nie, nie, zapewniam panią. Nie pierwszy, jesteśmy tutaj od kilku dni...

Spojrzałam na zegarek ciekawa, czy to zajmie aż kwadrans i jak długo mąż będzie czekał. No i zaczęło się! Nie wiem, kto był bardziej zmordowany, czy mój wyrwiząb, czy jego pacjentka! Adaś już nie mógł się doczekać i wystraszony wszedł do gabinetu, po godzinie bez pięciu minut. Dowiedział się, że ten złośliwy ząb miał nieprzewidziany i bezprawny trzeci korzeń, co sprawiło tyle kłopotu.

– A ten pierwszy poszedł mi rano tak momentalnie!... – rozżalił się Zbyszek, wymęczony do upadłego. Przeżywał to mocno i pewnie cieszył się, że nie stomatologię wybrał.

Jednak Wydział Lekarski Uniwersytetu Edynburskiego dba i o to, aby lekarze mogli zastąpić dentystę, bo w praktyce i to może się okazać potrzebne.

Zacęła się dla mnie era machania drutami. Już też na dalszych

trasach tramwajowych wyciągałam swoją robotę z torebki, bo to już nie te duże części damskiego swetra, tylko małe, mieszczące się w torebce, razem z krótkimi drutami na żyłce, wygodniejszymi podczas jazdy. Wkrótce odwiedziliśmy Zuzię, doświadczoną matkę prawie rocznej Grażynki. Miałymy dużo wspólnych tematów, naszym mężom też ich nie brakowało. Oni zdecydowali się na pozostanie na Wyspie, licząc na rychłe przybycie Prusów, to znaczy siostry Zuzy, Ewy z mężem, Staszkiem, który był lekarzem. Adaś rozliczał się z Jurkiem z należności za apaszki, a Zuzia wydobyla pierwszą niemowlęcą koszulkę córeczki i sukieneczki, z których pannica już wyrosła. Koszulkę uszyła sama, była malutka i całe plecy miała rozcięte. Sukieneczki kupiła gotowe, angielskie, długie takie, że dziecku, trzymanemu na rękach spory kawał sukienki zwisał poniżej stóp. Pod szyją zachodziły pod samą brodę, miały długie rękawy, a z tyłu sukienka miała długie rozcięcie od góry niemal do połowy długości, bo wkładało się ją dziecku od dołu, nie przez główkę. Takie sukienki widziałam wcześniej na filmach. Grażynka wykazywała kobiecie zainteresowanie naszym przeglądem jej garderoby, stała w łóżeczku i gaworzyła z przejęciem.

– Czy Ewa zna już osobiście waszą córkę? – zapytałam Zuzię.

– Nie i jest bardzo zadowolona, że wkrótce się poznają, a jak Wandzia? Kiedy tu przyjedzie?

– Nie zanosì się na to. Póki może, będzie się starała kończyć te swoją stomatologię tam, w Bejrucie. To jest Uniwersytet Francuski, to chyba nie zlikwidują i dadzą Polakom ukończyć, a nie to, co nas spotkało.

– Tak, tego można się było spodziewać po aliantach. Jak Stasz-kowie przyjadą, to naradzimy się, gdzie wyruszymy w świat, aby się osiedlić. Przecież on nie potrzebuje kursów dokształcających w tym Obozie Przystosobienia... A rodzina razem, to będzie nam wszystkim łatwiej i nie tak całkiem obco w tym nieznanym świecie... Wciąż jeszcze nie wiemy nic co tam się dzieje z mamą i z babcią w tym Kazachstanie Urdżdarze... Żadnych wieści...

– Właściwie nikt nie ma stamtąd wiadomości, chyba, że te naj-

smutniejsze, ostatnie...

– A jak Dzikka w kraju? Co pisze?...

– Cóż, jakoś żyją w tej mieścinie, w Kraśniku. Napisałam jej i ona cieszy się, że będę miała dziecko. Wandzi jeszcze nie napisałam. Ona uważa, że najważniejsze są studia i te powinno się planować w pierwszej kolejności, bo kobieta musi mieć swój zawód w dzisiejszych czasach. Niestety z tych naszych studiów na razie i tak już nic... Najgorzej, że Adaś chce wracać do kraju... Nie wiadomo co nas tam czeka i nie chcę, boję się... W dodatku z dzieckiem!...

– Nie martw się! Z pewnością, jak się dziecko urodzi, on zmieni zamiary... Wciąż się coś klaruje i zmienia. Może się znajdzie jakieś wyjście z tego impasu...

– Taką mam nadzieję...

Nadzieja nadzieją, a tu nagle mój małżonek informuje mnie, że „na wszelki wypadek” zgłosił nas na tą listę kandydatów do powrotu. Rzewnymi łzami oblewałam taką decyzję. Już ja się wcale nie liczę! Przypomina mi się Halusia i jej opinia o mężczyznach: „już jesteśmy my, czyli on decyduje, a ty się stosujesz, bo już nie -ty- i -ja-, lecz my, czyli jedynomyślność!” I co ja mogę? Nic, tylko sięść i płakać!...

– Przecież twoja rodzina wyraźnie zachęca! I ty nie chcesz?

– A twoi rodzice odradzają!

– Nie wiedzą, jak tutaj jest...

– A my nie wiemy, jak tam!

– Tam już są nasi dwaj profesorowie w Krakowie...

– Chyba nam do nich daleko, nie sądzisz?...

– Ale my tam będziemy mogli studiować...

– I tam ma się urodzić nasze dziecko? Zlituj się! Jak ja mam się na to zgodzić? Przynajmniej zaczekaj na odpowiedź od Wnukowskiego!...

– Przecież nie odpisał! Ale jeszcze i tak nie ma naszej kolejki i musimy czekać. A zanim do nas dojdzie, on może się odezwać i wtedy zobaczymy. Najwyżej wycofam... Przecież to tylko rezerwacja, abyśmy

nie zostali pominięci. Coś się musi działać. Na co czekać?...

– Popatrz! Nikt z naszych kolegów z medycyny nie wraca! Moje koleżanki z Nazaretu też nie! Ani twoi koledzy z marynarki! Dlaczego? Bo to nie ma sensu! Pan Mazurkiewicz wraca do rodziny. Tak jak i inni, których tam żona z dziećmi potrzebuje. Ale my mamy już tutaj rodzinę z Jacusiem! Na co chcesz narażać dziecko? Na jaką niepewność? Trzeba przeczekać. Wszyscy to mówią i nikt z tych, którzy poznali komunizm na własnej skórze, nie rwie się tam. Inni, rozważni też nie...

Dyskusje, przekonywania się wzajemne, rozpytywanie znajomych i listy na temat pozostania albo powrotu do kraju szarpały nerwy, zatruwały radość z oczekiwania potomstwa, wzmagaly strach i zdawały się opłatywać każdy dzień i każdą noc jakąś koszmarną siecią. Nasze studenckie towarzystwo gdzieś się rozpierzchno i potraciło kontakty. Pozostaliśmy w kręgu tych przyjaciół około dziesięciu albo i więcej lat starszych od nas. Według mnie myśleli logicznie i praktycznie. Adaś tłumaczył to ich odmienną od naszej sytuacją życiową oraz ukończonymi studiami. Zresztą to byli cywile, nie podlegali tym rygorom, jakie nas obowiązywały i wkrótce miały osiągnąć: Obóz Przystosobienia, dla mojego męża plachta na byka! Do marynarki też nie miał zamiaru wrócić, na co zdecydowali się niektórzy jego koledzy, po ukończeniu podchorążówki, z której wcześniej sam zrezygnował.

Poznałam paru jego kolegów, którzy odwiedzili nas jeszcze na Seton Place. Przyjechał do Edynburga Kazik Jeleński, ten który dostarczył nam prześcieradła, zakupione w messie oficerskiej bez kuponów. Towarzyszył mu Wojtek Masior, kuzyn Jerzyka Masiora, którego znałam „korespondencyjnie”. Pisywał do mnie do Kazachstanu, jako przyjaciel Ali Dawidowicz, koleżanki z gimnazjum Sióstr Nazaretanek we Lwowie. Zakonnicom odebrano szkołę, prawo nauczania i aresztowano je, jeśli nie zdołały się ukryć. Do szkół bolszewicy wprowadzili koedukację, jakiej we Lwowie nie było. I powszechnie i szkoły średnie były osobne żeńskie i męskie. Po tych zmianach Jerzyk przeniósł się do gimnazjum byłych Nazaretanek i z Alą chodził do jednej klasy. Wojtek nie miał o nim wiadomości po wojnie. Obaj z Kazikiem nie wracali

do Polski. Oczywiście walcowało się sytuację wykiwanych przez alian-tów Polaków. Wojtek postanowił jakoś się na Wyspie urządzić, był dość zaradny. Kazik miał oparcie w siostrze, która przez te lata pracowała w Konsulacie Polskim w Londynie. Opowiadali Adasiowi, że paru ich wspólnych kolegów ożeniło się ostatnio z Brytyjkami, co równocze-śnie oznaczało stabilizację ich na Wyspie. Przypuszczaliśmy, że tak-że Janek Kozak, współlokator Adasia na pierwszym roku, który miał narzeczoną Angielkę i często odwiedzał ją w New Castle, pewnie już z nią się ożenił.

Także na Seton Place odwiedził nas jeszcze jeden Adasia kolega, Kazik Dębski. Krakowianin.

Odpowiedział mi, gdy się dowiedział, że jestem lwowianką, że jego ojciec uczestniczył w obronie Lwowa w 1918 roku. Sam Kazik niesamowitymi drogami dotarł do Polskiej Marynarki Wojennej. Uciekł we wrześniu do Francji, aby się dostać do Polskiego Wojska Sikorskie-go. Po inwazji Niemców na Francję usiłował dostać się do Anglii przez Hiszpanię. Tam został złapany i został zamknięty w obozie w Miran-dzie. Uciekł. Dotarł do Polskiego Wojska i walczył pod Narwikiem. Adaś poznał go w podchorążówce, z której zrezygnował. Z północnej Szkocji był właśnie konwojowany od Okehampton, do pakli Nauragał jakimś bosmanowi, który niesprawiedliwie się go czepił i za to ten, jako „władza” wlepił mu karny raport. Jechali przez Edynburg i Kazki powiedział swojemu konwojentowi, że ma w tym mieście przyjaciela, którego chce odwiedzić. Konwojent absolutnie nie miał nic przeciwko temu i umówili się na nocleg w Polskim Domu Żołnierza, na Moray Place, skąd postanowili na drugi dzień wyruszyć razem w dalszą dro-gę. Świetny był ten krakus, który nie dał sobie w kaszę napluć! Pytany przez Adasia o swoje dalsze plany przyznał, że nawiązał już kontakt z rodzicami w Krakowie i wraca do domu.... No, tak: do domu! To cał-kiem co innego – myślałam. Do rodziny, która jest na miejscu. Nie wia-domo wprawdzie, jak przeżyli tę okupację, ale są u siebie. U siebie!

List od Kaczyńskich zawierał zapewnienia, że znajdzie się u nich miejsce dla mnie z dzieckiem, póki Adaś nie ukończy studiów. Teraz

to już sama nie wiedziałam, czy mam płakać czy się śmiać! Przecież nie chciałem wcale wracać! I nie entuzjazmowałam się wcale tym zaproszeniem! Nie spieszyło mi się do tego Kraśnika, mimo że była tam Dzikka, kochana, oddana całym sercem, za którą i ja tęskniłam, tak jak ona za mną. Na jakie warunki chcą mnie tam wziąć sobie na głowę? Dwa pokoje z kuchnią, ich czworo i brat Leona i gdzie tam jeszcze ja z dzieckiem? Gdy prosiłam siostrę, aby mi opisała jak mieszkają, odpisała m.in.: „wodę nosi się aż z getta!”. Czyli nie mają wodociągu ani łazienki, pewnie ustępu też. Jak z kąpielą, z praniem pieluszek, z myciem i przy tym wszystkim z koniecznością oszczędzania wody. Albo z dźwiganiem jej „aż z getta” ! Już nawet nie mówię o moich siłach... Ciężko! Jak Dzikka daje radę? Jak? To okropne warunki. I po tylu wojennych przejściach w dodatku z dziećmi... I z koniecznością oszczędzania...

Wanda już otrzymała mój list o zlikwidowaniu naszego Wydziału i serdecznie nam współczuła. Następnie napisałam jej o ciąży i pomysł powrotu do Polski. Gratulowała mi z tego pierwszego powodu i żartowała tym powrotem. Odradzała bardzo logicznie, ostrzegając po prostu, relacjonując zrozumiałym dla nas szyfrem wiadomości tamtejszego środowiska na ten temat. Miała nadzieję na ukończenie własnych studiów w Bejrucie i bardzo interesowała się naszymi dalszymi planami. Na te wszystkie ostrzeżenia Adaś mówił, że Wanda ulega tamtejszej propagandzie i nie może bezstronnie oceniać sytuacji. Słowem nie dał się przekonać. Tylko on miał rację.

Do rodziców, którzy nie pochwalali pomysłu o przyjeździe naszym do nich, napisał, że wcale nie jest nam lekko, jak im się wydaje, że trudno na odległość listownie wszystko wytłumaczyć, lecz gdy przyjedzie i opowie, niewątpliwie zrozumieją i przyznają mu rację.

W odpowiedzi nadszedł list. Ten niezapomniany list.

Według moich oczekiwań powinien, nawet musiał skłonić Adasia do kompletnej rewizji poglądów! Otóż jego matka napisała tym razem już bez żadnych ogródek.

„Po co chcecie wracać? Jak można być aż tak lekkomyślnym i nie słuchać tych, którzy najlepiej wam życzą i radzą. Będziecie bardzo, bardzo żalowali, chyba, że chcecie grób sobie kopać za młodu!”

– No, teraz już sam widzisz! Rodzona matka pisze ci dokładnie, co o tym myśli! Zostajemy!

– No, skoro taaakie listy dochodzą, to znaczy, że nie jest tak źle! Jedziemy! – zawyrokował.

Nie powstrzymało mnie to od opowiadania przyjaciółkom o tym liście. Napisałam też o tym do Dwidki i Leona. I o reakcji Wandzi, zapewniającej, że tam bardzo łatwo może zachorować, tak jak w lutym i przebywać w rezultacie, tak długo jak wtedy w szpitalu. Rzecz zrozumiała w rodzinie, że chodziło o uwięzienie i Sybir. Leon wyjaśnił, że poglądy Wandy są uzasadnione, nie można tego tak zupełnie wykluczyć, bo i to się może zdarzyć. Mimo wszystko zaproszenie podtrzymują i proszą o przysłanie depeszy z datą przyjazdu, bo postara się wyjechać po nas do Gdyni. Zaczęłam i ja brać pod uwagę ten narzucony mi wyjazd. Jak się mogłam przed nim obronić?

Adaś wyjechał do Okehampton, 9 października. Tam znajdował się jego oddział, któremu podlegał, chociaż tam nie był, pływał na krążowniku, potem był w podchorążówce, następnie w Londynie i na studiach w Edynburgu. Demobilizacja mogła nastąpić właśnie w jego jednostce. Przez pięć dni byłam sama. Tęskniłam za rodziną i myślałam wiele o przeniesieniu się do kraju. Staralam się oswoić z taką możliwością.

Mój mąż zdemobilizowany 13 października 1946 roku otrzymał, jako repatriant wyprawę odzieżową: garnitur tweedowy, dwie koszule, krawat, parę skarpet i kapelusz. To wszystko – bez obuwia. Resztę odzieży kupi po wypłaceniu mu „demobilu”, łącznie z kuponami, co jest realizowane w ostatniej chwili przed odjazdem do Polski. Ja nadal jestem w Pomocniczej Służbie Wojskowej Kobiet, nikt mnie nie wzywa, dekadówki dostaję i czekam, co będą proponować pestkom. Na razie cisza.

Rozważałam w myślach wciąż tę decyzję męża, przekonanego uparcie, że nasz wyjazd do kraju jest jedynym wyjściem z sytuacji. Dodatkowo silne wrażenie wywarł na mnie ten incydent przeżyty w tramwaju. Wieczorem nie było przepelnienia i chociaż mieliśmy przed sobą dłuższą trasę, usiedliśmy na dolnym pokładzie. Właśnie podszedł do nas konduktor i na swojej maszynie wykręcał dla nas zamówione bilety, gdy w tym momencie tramwaj zatrzymał się na przystanku i wsiadła grupa żołnierzy polskich, w mundurach z tymi naszywkami „Poland” na ramieniu i z Orzelkiem na furazerce. Konduktor na ich widok, podając nam bilety, powiedział coś do Adasia zagniewanym głosem. Byliśmy po cywilnemu, więc wziął nas za swoich rodaków.

– Co on ci powiedział? – zapytałam, bo nie rozumiałam.

– Wyraził się bardzo wulgarnie, gorzej niż w słowniku marynarzy. Najdelikatniej tłumacząc, to mniej więcej: „wszędzie ta przeklęta hołota polska!”

– Wstrętny typ!...

– I chcesz tutaj zostać? I tutaj i na całym świecie będziemy już tylko tą przeklętą hołotą polską! Chcesz tego? Wytrzymasz? Myślisz, że ktoś się będzie z nami liczył?... Przecież nie jeden raz zawiedli, wykorzystali, sprzedali i na koniec chcą się nas pozbyć. Nie widzisz? Nie mam racji?

– Boże, jak gorzko!... – myślałam i ta uwaga konduktora pozostała dodatkową drzazgą w sercu.

Jednak Adaś kiedyś napisał do tej nieznannej ciotki w Detroit, przyrodniej, starszej siostry ojca, zamieszkałej na emigracji przed pierwszą wojną światową. Przedstawił się, pytał o jej dzieje i wspominał, że czeka na list od przyjaciela, który obiecał sprowadzić go do Stanów, toteż ma nadzieję, że pozna ciotkę osobiście. Pochwalił się, że jest żonaty i studiuje medycynę, bo to było wówczas aktualne. Po długim czasie nadszedł list od ciotki. Nie zrozumiała jego intencji i odpisała mu, że jest starą kobietą po siedemdziesiątce, żyjącą bardzo skromnie z ciężko zapracowanych oszczędności i nie może sobie po-

zwolić na zaproszenie bratanka z rodziną, bo jej na to nie stać. Adaś czuł się w obowiązku wyjaśnić, że nie o to mu chodziło, nie prosił o zaproszenie, jedynie chciał zawiadomić... i tak dalej. Na tym korespondencja się skończyła.

A od pana Wnukowskiego nadal ani słowa.

Pograżona w listach od Dzidki, uradowana listami Ali, która tak cieszyła się z naszego „Dzidziusia”, że zachęcając nas do osiedlenia się w Krakowie, obiecywała nawet, że mi może pracć pieluszki (!!!) i dodatkowo podbudowani listami Stasia, obiecującego wyjechać nam na powitanie do Gdańska, pomagać w podróży do Krakowa i na miejscu w znalezieniu mieszkania, zaczynałam oswajać się z myślą o pożegnaniu pięknego Edynburga i coraz bardziej widocznie niechętnych nam mieszkańców Albionu. Może faktycznie nadszedł wreszcie ten kres tułaczki po tych obcych krajach?...

Już wyobrażałam sobie nasze powitania i cieszyła mnie serdeczność okazywana w listach i niewątpliwie czekająca nas tam, przeciwstawna brytyjskiej obcości, pobielanej zdawkowym uśmiechem i interesowną grzecznością. Zapisywałam wszystko, co powinniśmy kupić do zabrania ze sobą do kraju, wyniszczonego także i pod względem różnorodnej produkcji niezbędnych towarów, aby wyselekcjonować to, co najważniejsze, spenetrować, gdzie jest najtaniej i być przygotowanym do zakupów, gdy tylko otrzymamy nasze przyznane pieniądze, w ostatniej chwili. Wycerowałam już trzydzieści par męzowskich” posażnych” skarpet, które stanowiły zagadkę przy kompletowaniu, dość wymieszane, podobne, lecz niejednakowe. Marynarskie, więc czarne lub granatowe.

Adaś chodził po urzędach, starał się przyspieszyć nasz wyjazd, zarówno ze względu na nadzieję przyjęcia na studia, mimo spóźnienia na rozpoczęcie roku akademickiego, bo na to się zanosilo, jak i z uwagi na mój stan, póki morska podróż mieści się w granicach bezpieczeństwa. Wreszcie wyznaczono nam termin naszej kolejki na początkowy okres października. Potem przesunięto na koniec miesiąca. Przestaliśmy oczekiwać listów z kraju, bo uprzedziliśmy rodziny, że depeszą zawi-

domimy o dacie przybycia, gdy tylko już zostanie ustalona na pewniaka. Następnie zdobył informacje, że podróż listopadowa przewidziana jest tylko dla mężczyzn (wspólne sale i słabe ogrzewanie). Potem podróż dla rodzin ustalono na dzień dwunastego grudnia. W takim razie nasze Boże Narodzenie już wypadłoby w Polsce. Adaś zastanawiał się już nad tym, ale prof. Fahmy kategorycznie odradził i cieszyłam się bardzo z tego, ponieważ bałam się takiej podróży w moim stanie.

Jakieś upominki naszykowane na świętego Mikołaja, do zawiezienia do kraju pakowaliśmy i wysyłali teraz pocztą. Mała filia pocztowa mieściła się u wylotu naszej ulicy, w niewielkim sklepiku. Paczka do Kaczyńskich przekroczyła dozwoloną wagę i musieliśmy ją zanieść do domu, aby przepakować. Dobrze, że niedaleko. Rozdzieliliśmy na dwie i te ważyły po szesnaście i pół funta. Zawierały bardzo porządną odzież ze sklepów z rzeczami „z drugiej ręki”, głównie dla Dzidki, bo Leon napisał, że bracia go przyodziali. Do tego dołączyliśmy po jednej lalce, najlepsze z tych, jakie dopiero pokazały się w sklepach: szmaciane, ale z głową z masy i z pięknymi włosami. Dodaliśmy trochę podstawowych lekarstw i witaminy. Nie dodaliśmy słodczy, żadnych konserw ani herbaty, bo na wysyłanie tych rzeczy trzeba było mieć specjalne zezwolenie, na co czekało się w bardzo długich kolejkach. Do rodziców i do Krakowa też poszły paczki. Skromniejsze, bo dostawali od nas dużo i od długiego czasu, zanim znalazła się moja rodzina. Chcieliśmy, aby doszło przed świętami.

Nam szykowały się już trzecie święta w Edynburgu, a drugie jako małżeńskie.

Przypuszczam, że każdy zachował jakieś wspomnienie z dzieciństwa o świętym Mikołaju. Mój mąż urodził się 6 grudnia i cieszył się, że go przyniósł św. Mikołaj, dopóki nie pochwalil się tym w szkole, w pierwszej klasie. Uderzył chłopca, który powiedział, że mama go okłamała, bo nie święty Mikołaj go przyniósł, tylko sama go urodziła. Nauczyciel wezwał do szkoły matkę Adasia, aby powiedzieć, że on bije kolegów. Oskarżony nie przyznał się, bo go pytano o przyczynę

karygodnego postępku, a on wstydził się powiedzieć, że chłopak zarzucił kłamstwo jego mamie. Został ukarany. Po raz pierwszy. A potem jeszcze raz, gdy w domu powiedział, że to nie święty Mikołaj przynosi upominki, tylko rodzice, czego dowiedział się od kolegów. Za karę tylko on jeden nie dostał prezentu pod poduszkę, podczas gdy obaj młodszy bracia zostali wyjątkowo hojnie obdarowani, a rodzice także.

Nie wyobrażałam sobie, że ten ulubiony przez dzieci dzień może łączyć się z przykrymi wspomnieniami. Moje różniły się skrajnie. Te pierwsze, które pamiętam, było zdarzeniem w nocy, gdy po ciemku poczułam, że ktoś mi odchyła poduszkę. Rozbudzona przypomniałam sobie, że to noc świętego Mikołaja i złapałam tę rękę, aby ją pocałować w podzięce. Rano i przez następny dzień opowiadałam, że święty Mikołaj pogładził mnie po głowie i że ma obrączkę. To drugie zdarzenie przeżyłam w szkółce, bo tak nazywano przedszkole. Byłam tam z mamą i Wandzią. Ona, wywołana przede mną po swój upominek, wróciła z wiadomością, że to nie święty Mikołaj, tylko nasz tato. Nie uwierzyłam jej. Dostałam wtedy książkę „Sroczka kaszkę warzyła”, z wierszykami, ilustracjami (Zofii Stryjeńskiej) z dedykacją: „Najsłodszej Ali święty Mikołaj, Lwów, 6 XII 1925 r.”. Po raz pierwszy w życiu zainteresowała mnie ta data, ojciec wytłumaczył mi, co to takiego oznacza i bardzo poczułam się dorosła, wiedziałam, że ten dzień zapamiętam. Cieszyłam się i z książki i z daty. A wierszyki pamiętam do dziś.

Byłam już w drugiej klasie, gdy spotkałam na ulicy Mateczkę Michalinę, tę Sercankę, z tej naszej szkółki i porosiła mnie, abym zapytała tata, czy mógłby przyjść zastąpić świętego Mikołaja, bo tak się złożyło, że sam nie będzie. A po chwili dodała, że i ja mogłabym zastąpić aniołka, że dadzą mi długą, białą szatę i będą dwa aniołki, jak w tej piosence o świętym Mikołaju: „...Idzie dobry Święty / z długą siwą brodą / a dwaj aniołkowie / pod ręce go wiodą...”. Wszystko to przyjęłam bezboleśnie i pomagałam przy strojeniu świętego Mikołaja w ornat, kape, infulę, podałam pastorał. Włożyłam też długą szatę i złotą przepaskę z gwiazdą na czoło, potem pomagałam przy umocowaniu skrzydeł

drugiemu aniołkowi i cieszyłam się swoimi skrzydłami. A najbardziej radością małych przedszkolaków.

Opowiadałam to pani Marysi, gdy Ineczka już spała i szykowałyśmy ozdoby choinkowe.

Pytałam, czy w Brytanii urządza się dzieciom wspólnego Mikołaja w szkołach i przedszkolach. I usłyszałam o przygotowaniach, które obserwowała w szkockim przedszkolu. Zaprzyjaźniona tam była z Miss Ann White, ponieważ i stamtąd czerpała materiały do swej dyplomowej pracy o rozwoju mowy dziecka. Przedszkolanka dużo wcześniej opowiadała dzieciom o Santa Claus, przygotowując je do spotkania. Mówiła, że przyjedzie do przedszkola odwiedzić dzieci, bo bardzo je kocha i zechce z nimi razem spędzić czas na wspólnej zabawie. Zapowiedziała, że to będzie bardzo mile i uroczyste spotkanie. Następny etap przygotowań obejmował pilne szycie szaty przy dzieciach, wykonanie brody z waty, śpiewanie piosenek i wybieranie ich oraz ulubionych zabaw, na ten dzień. Podpowiedziała dzieciom, aby poprosiły swoje mamy o wystrojenie dziewczynek w kolorowe kokardki we włosach, a chłopców w kolorowe kokardki przy szyi. W dobie kuponów na odzież dało się to zrealizować bez kłopotu. Zapytana przez dziewczynki, czy też będzie miała kokardkę we włosach, powiedziała, że nie, ale aby wszystkim było wesoło, że każdy ma jakąś ozdobę, ona sobie do swojego przedszkolnego chalatu przyszyje nowe, czerwone guziki. Obiecała też, że przy dzieciach przebierze się za Santa Claus, aby ma-luszki się nie bały. Naszykowała owoce i słodczyce, wszystko było gotowe.

Dzień przed uroczystością pani Marysia spotkała koleżankę Miss Ann White. Dowiedziała się od niej, że właśnie Ann dostała oficjalne zawiadomienie i kondolencje o śmierci jedyne go brata, lotnika, którego zastrzelono... To był jedyny brat. Po tragicznej śmierci rodziców w wypadku, siedemnastoletnia Ann White zajęła się swoim ośmioletnim bratem sama, bo nie mieli żadnych krewnych. Podjęła pracę jako pomocnica przedszkolanki i pracując zdobywała kwalifikacje zawodowe, zapewniające na skromne zapewnienie bytu obojgu. Potem Ann stu-

diowała, pracując i dzięki temu brat mógł pójść do wymarzonej szkoły lotniczej. Nie dowiedział się nigdy, że dla niego zrezygnowała z małżeństwa. Brat, którego tak bardzo kochała, był dla niej wszystkim. Teraz została zupełnie sama i już niemłoda...

Ze smutkiem pani Marysia wybrała się do niej, aby w takim ciężkim dniu zastąpić Ann w tej zabawie z dziećmi, bo domyślała się, ile to ją może kosztować. Gdy przyszła, zastała Ann przyszywającą do służbowego chałata te czerwone guziki. Podniosła głowę znad roboty:

– Musi być dzieciom dzisiaj wesoło... I będę z nimi, tak, jak obiecałam...

Byłam w trzeciej klasie gimnazjum, gdy za przykładem Myszkki Żurowskiej zaczęłam składać na aparat fotograficzny. Ona kupiła sobie Kodaka „Bebe” za dwanaście złotych i do tego futerał za dwa i pół złotego. Postanowiłam oszczędzać na to, a najlepszą okazją było zrezygnowanie z przejazdów tramwajami. Bilet normalny kosztował dwadzieścia pięć groszy, a szkolny, na legitymację, piętnaście. Staralam się w ogóle nie jeździć, skoro można dojść piechotą, chyba już w ostateczności, wtedy przydawała się legitymacja. W ciągu roku szkolnego ubierałam na aparat, a gdy pochwalilam się tym babci, w nagrodę dała mi na ten futerał. Jedna rolka zawierała osiem zdjęć. Uszczęśliwiona wybrałam się z Myszką na Cmentarz Obrońców Lwowa i każda z nas swoim aparatem zrobiła kilka zdjęć. Jedno z nich, z tą piękną kolumnadą i z kapliczką w tle, miałam przy sobie poprzez te wszystkie lata tułaczki. Taka cenna pamiątka. Wizerunek serca mojego miasta...

W listach do Dzikki pytałam, czy wśród tych rzeczy, pozostawionych przez nas w chwili wywiezienia, gdy prawie nic nie dano nam ze sobą zabrać, znalazły się tam jakieś pamiątki, fotografie i tym podobne skarby. Brakowało mi tego. Tak te wszystkie lata młodości przeszły bez śladu pamiątek, jakby ich nie było. A bardzo przywiązywałam do nich dużą wagę...

I oto Dzikka mi odpisała, że ma trochę tych zdjęć, które sama

robiłam, ale ich już nie wysyła, skoro wracamy. Największą jednak pamiątkę, którą na pewno najbardziej się ucieszę, ma dla mnie, ale z przykrością stwierdzili, że gdzieś zaginęła Wandzi. Mianowicie, książkę naszego ojca „Historia drukowań lwowskich i stowarzyszeń drukarskich”, Lwów, Ossolineum 1926 r. Boże! Co za radość! I jaka niepowetowana strata, że przepadł egzemplarz Wandzi! Może ktoś pożyczył i odda? Oby! Każdej z nas trzech ojciec zaopatrzył egzemplarz w imienną dedykację: Najdroższej Dzidce – Najukochańszej Wandzi – i Najśladziej Ali – bo tak nazywał te swoje trzy córki... Jaka to cenna pamiątka! Teraz już tej książki nigdzie się nie znajdzie... Była wysoko ceniona, jako że wiadomości opierały się na źródłach archiwalnych, kronikach stowarzyszeń istniejących przez pięćdziesiąt lat i na notatkach historycznych. Wiem, że poświęcił opracowaniu tej historii kilka lat, po pracy zawodowej. Był zecerem. Pamiętam, że za otrzymane honorarium (a może nagrodę) kupił dla córek fortepian marki Hamburger, wówczas najdroższy. Książkę tę oglądałam wielokrotnie, czasem czytałam jakiś fragment, ale najbardziej interesowały mnie tam fotografie, bo na kilku z nich był mój ojciec, a na jednej dziadek Albin Todschindler, rodzony brat babci, czyli wujek mamy. Był dyrektorem którejś drukarni. Pamiętam, że jako dziecko byłam bardzo zdziwiona; gdy usłyszał, że mamę boli ząb, oznajmił, że teraz ta młodzież (o mojej mamie!) jest do niczego, skoro skarży się na ból zęba, bo on sam stracił wszystkie zęby ze starości, kolejno mu wypadaly, ale w żadnym nie było żadnej dziurki! A opowiadając coś, nieraz dorzucał zwrot: „za nieboszczki Austrii”, co u starsuszków we Lwowie należało do zwyczaju. Jakie to dawne dzieje!...

Cale te wspomnienia i rozważania zaczęły się od pamiątek. Nasza terażniejszość też stwarza okazje do gromadzenia ich. A może to jest cechą babską? Chyba mój mąż tego nie rozumie. Przyznano mu Medal Morski za służbę w Polskiej Marynarce Wojennej oraz odznaczenia brytyjskie: „Atlantic Star” i „1939-1945 Star”, po które miał się zgłosić. Uważałam, że powinien. Przecież to są żołnierskie odznaczenia. I zasłużone.

– Tak uważasz? Chyba ja nie po to walczyłem o Polskę? Nie są-

dzisz?

– Należą ci się...

– Nie zależy mi na tym!

– Wiem, że nie dla medali... Ale mimo wszystko zostałyby pamiątka. Chociażby dla Jacusia.

– Nie o to chodziło! Co to teraz? Takie mydlenie oczu: medale, „Gwiazda Atlantyku”!

– Ale jednak sam widzisz, że Anglicy muszą nam przyznać udział w walkach, dzielność Polaków...

– Daj spokój! To tylko kamuflaż! I to najtańszy! Pomyśl, co z nami robią! Nie ma o czym mówić – zirytował się. Nie zależało mu na takich pamiątkach od fałszywych przyjaciół...

A dla mnie pamiątki są bardzo ważne. I nie tylko dla mnie. Przypomina mi się, że wśród naszej biżuterii w domu był taki dziwny pierścionek, o który zapytałam tata, skąd się taki wziął. To była właśnie jego pamiątka z czasu wojny, tej „Wielkiej światowej Wojny”. Z jakiejś srebrnej monетки ręcznie zrobiony pierścionek w kształcie uścisku dwóch dłoni. Pamiątka od kolegi, który razem z moim tatem służył w „sanitetach” ratując ludzkie życie, dopóki sam nie poległ. Pamiątka...

U państwa Wyczółkowskich bywaliśmy dość często. To kawał drogi od nas, w pobliżu Hay Market do ich dzielnicy w pobliżu Porto Bello. Sama jazda tramwajem zabierała zbyt dużo czasu, którego, jak tłumaczyli, wciąż im brakowało, bo wciąż coś tam w domu mieli do zrobienia. No i o jednej porze kładli Ineczkę do snu, a takie ich odwiedziny u nas już trochę kolidowały ze stałym rytmem dnia. Ineczka była wzorowo grzeczna i miła, rezolutna na swój wiek. Uwielbiała swych rodziców i czuła się przez nich kochana. Tworzyli szczęśliwą rodzinę. Słyszałam, że gdy jedna z bliższych koleżanek pani Marysi odradzała adoptowanie „cudzego dziecka” – bo co zrobisz, jak będziesz miała własne, o czym zapewnia cię lekarz, który nie stwierdza przeszkód?

– Wiesz co, skoro dziesięć po ślubie nie mam jeszcze, to raczej

słaba nadzieja. A to dziecko potrzebuje nas całym sercem.

– A jak mimo wszystko będziecie mieć swoje rodzone dziecko, to co wtedy?

– To powiem, że to właśnie Ineczka przyniosła nam błogosławieństwo do domu. I nie zabraknie nam serca ani dla jednego, ani dla drugiego.

I wyprzedzając chronologię zdradzę, że w dwa lata później pani Marysia urodziła syna, Marka.

Podczas naszych wizyt, zawsze swobodnych Adaś towarzyszył panu Jankowi, stale coś majstrującemu i ulepszającemu w domu, mnie zaś pani Marysia porywała na krótko do kuchni, gdzie szykowała herbatkę i pomagałam przy kanapkach, często z pasztetówką, smaczną i kupowaną bez kuponów w sąsiednim sklepiku, często z pomidorkiem. Po podwieczorku wyciągałyśmy swoje roboty na drutach. Robiłam białe koszulki, jasne sweterki i rajstopki z tej niemowłczej włóczki. Pierwsze w rozmiarach noworodka. Następne już na dziecko półroczne i większe, z tych wzorków kupionych, z których dzięki pani Marysi umiałam bez trudu odtwarzać włóczkowe cacka. Potem napadła mnie ochota do wyszywania i haftowania. Zaczęło się od tych długasných sukieneczek Zuzinej Grażynki. Haftowałam różne wzorki na giezkach, co je znacznie ożywiało. A gdy Adaś poszedł sprawdzić moje zarejestrowanie w lecznicy i przyniósł mi stamtąd listę rzeczy wymaganych od pacjentki, uszyłam i wyszywałam woreczki na kosmetyki, na robotę na drutach, bo sam materiał ściereczkowy, który wykorzystałam na woreczek, nie był efektowny. Czepiałam się tych wymyślonych zajęć, aby o nich myśleć, a nie o tych wszystkich czekających nas niewiadomych, które napawały nas niepokojem.

W okresie przedświątecznym, kiedy Ineczkę położono już do snu, robiliśmy tam ozdoby choinkowe, bo choinka miała być niespodzianką. Ozdoby papierowe i bibułkowe, kolorowe, długie łańcuchy i cukierki stanowiły przewagę nad nielicznymi bańkami, drogimi na Wyspie, gdzie choinka nadal należała do rzadkości. Cukierki, wcześniej składane, zawijałam w domu w białą bibułkę dla nas, w kolorową

dla Ineczki, frędzlowaną, a z braku prawdziwej stanioli (folia aluminiowa), zawijałam po wierzchu w sztywny, ale srebrny i lśniący papier. Prezentowały się całkiem przyzwoicie.

Przestudiowałam z zainteresowaniem wykaz wyprawki dziecięcej potrzebny do lecznicy i dla mnie osobiście i dla dziecka, aby jak najdokładniej przygotować wszystko, co należy. Od razu z kartą na wyprawkę wyruszyliśmy na zakupy brakujących rzeczy: pieluszki tetra i frotte po dwa tuziny, dwa szale włóczkowe wielkości jard na jard (92 cm), sukienki, koszulki, sweterki, rajstopki – po trzy sztuki. Sześć agrafek do pieluszek. Maść cynkowo-tranowa. Puder niemowlęcy, mydło niemowlęce, miękka szczoteczka do włosów, czapeczki, dwa ręczniki duże. Dla matki: trzy koszule nocne, dwie lizeski, szlafrok, pantofle domowe, kilka par majtek, dwa ręczniki, serwetka, ściereczka, komplet sztućców, kubek, przybory toaletowe, kosmetyczka, papier do pisania, pióro, ołówek. To chyba wszystko. Wszystko musiało być podpisane, każdy stroik i każda pieluszka. Okazało się, że z pieluszkami to nie taka prosta sprawa! W kilku sklepach nie dostaliśmy żadnych, w tym ostatnim tylko jeden tuzin tych frotte. Tym razem z niespodziewaną pomocą zgłosiła się pani Dybasiowa. Mąż jej jako major, zakwaterowany był w jakimś niewielkim miasteczku niedaleko Edynburga. Pełnił tam swoją służbową funkcję i nie zawsze mógł odwiedzić rodzinę. Żona odwiedzała go dość często, bo było tam bardzo ładnie i podróż autobusem wygodna. I tam zobaczyła w aptece, że są w sprzedaży bawełniane temblaki. Do nabycia bez kuponów! Zwróciła na nie uwagę i uznała, że mogą zastąpić pieluszki. Zaraz mi o tym powiedziała, że można je zeszyć, bo są cienkie, ale podwójne spełnią swoją rolę. I nakupiła tego aż cztery tuziny i po trochę sama nam je przywiozła. Miałam szczęście do ludzi! Pani Marysia od razu zaprosiła mnie na maszynę, bo ostatnio nabyli na licytacji. Nożną! Jednak zanim zasiadłam do zszywania, gospodarze orzekli, że to mogłoby się nie podobać Jacusiowi i pani Marysia sama się wzięła do tego szycia. Zszywała je po przekątnej i wzdłuż tego strzępiastego brzegu. Następnie ja przewracałam je na prawą stronę

i wtedy pani Marysia zszywała ten trzeci brzeg: fabryczny, który się nie strzepił. A po krótkim czasie pan Janek oświadczył, że też to potrafi i chce zająć miejsce przy maszynie (bo sam ją kupił – za bezcen: za dwa funty!), a za to spodziewa się kolacji! Wobec tego był uroczysta, bo kanapki ozdobiłyśmy sardynkami i jajecznicą z jajka w proszku! Adaś przez ten czas dostał się w ręce Ineczki i razem się świetnie bawili, gdyż podchodziła do niego dosłownie po koleżeńsku. Wzięli chętnie udział w uroczystej kolacji, a po zmontowaniu długiego łańcucha choinkowego, gdy pomagałam przy pieluszkach, Adaś spakował już gotowe i miał co wieźć do domu.

To już trzecią wigilię obchodziliśmy w Edynburgu. Zaproszeni przez przyjaciół spędziliśmy tam uroczy wieczór. Oprócz nas uczestniczył w wieczery lokator gospodarzy, kolega pana Janka ze studiów, pan Franek Dębogórski. Oprócz niego także dwaj inni lokatorzy studiowali razem z nimi Handel. Ci dwaj byli również kolegami Adasia, z marynarki: Krzysiek Madej i Adam Aleksandrowicz. O nim przy jakiejś okazji dowiedziałam się, że pochodzi z Kraśnika Lubelskiego i że znał osobiście Leona Kaczyńskiego, starszego od siebie ucznia w jedynym mieście gimnazjum, pamiętał go jako drużynowego szkolnej drużyny harcerskiej.

Wracając do Franka Dębogórskiego, warto powiedzieć, że on nie został na studia odkomenderowany tak jak ci dwaj z Marynarki Wojennej, lecz zwolniony z wojska z kategorią „E”. Służył w Brygadzie Spadochronowej. Nie pamiętam już, czy został zestrzelony, czy w jakimś wypadku spadochron się nie otworzył, w każdym razie wiem, że spadł i połamał sobie żebra tak niebezpiecznie, iż w szpitalu leczono go przez długi czas, początkowo ze słabą nadzieją. Ocalał. Nie był już jednak okazem zdrowia. Miał jakieś problemy z płucami, po tym połamaniu żeber. I takie bywały losy.

Po uroczystej wieczery wprowadzono nas do salonu. Na choince już świeciły się świeczki. Ineczka z wielkim onieśmianiem pytała, czy to naprawdę jest choinka, o której rodzice opowiadali jej już wcze-

śniej i czy naprawdę jest dla niej. Była ogromnie wzruszona, nie śmiała podejść bliżej. Pani Marysia usiadła pod drzewkiem, wysokim i kolorowo strojnym, czym pan Janek z Adasiem zajmowali się przez pół dnia i rozdawała upominki. Pan Janek dostał kieliszek na jajko, Adaś aż dwa, bo jeden gwiazdkowy, a ten drugi imieninowy. Pan Franek otrzymał kalendarzyk polski, pani Marysia puderniczkę, a ja kołnierzyk do mojej sukienki, do dopinania. Uszczęśliwiona Ineczka rzuciła się pędem do wymarzonego, drewnianego konika na biegunach. Spała przez całe popołudnie i wypoczęta jechała na tym rumaku z jawną i głośną radością. Nie opuściła go nawet podczas śpiewania kolęd, czemu wtórowała ochoczo, bo kilka z nich już знаła. Wkrótce dołączyli do chóru panie Danka i Ziuta wraz z panem Staszkiem, przybyli z naprzeciwka z opłatkami i życzeniami. Pani Marysia, która przygotowała wszystkie dania wigilijne, zapraszała przyjaciół do podłaskowania, co kto wybierze, łącznie z „torcikiem pani Ali”. Potem panowie ustawiali aparaty fotograficzne, debatowali nad magnezją i szykowali się do robienia zdjęć zebranych i choince. Tymczasem Ineczka spadła z konika, ale bezboleśnie, kotek zawierał znajomość z cukierkami choinkowymi, panie doradzały jak objąć na fotkach wszystko, co jest warte utrwalenia, słowem było pełno radości i krzyku. Prawdziwe domowe święta. A że z dzieckiem, to już autentycznie święta rodzinne.

Musiałam opisać nasze święta Dzidce. Sprawozdanie zaczęłam od wyliczania potraw wigilijnych, które pani Marysia, tak jak sobie zastrzegła, przygotowała sama, aby mnie w moim stanie nie przemęczać (!!!) i wobec tego poprzestałam na torciku. Wyliczałam za to siostrze, co my przygotowaliśmy na drugi dzień świąt dla naszych zaproszonych gości. Adaś upiekł kure, bo pan Janek mógł jeść tylko białe mięso. Rosół nam skisł w spiżarce, więc naprędce otworzyliśmy puszkę z zupą selerową. Ziemniaki świeże, z wody, marchewka, kompot domowy z jabłek i suszonych śliwek. Anglicy nie znają kompotu, w puszkach można znaleźć owoce w gęstym syropie. Na deser upiekłam sernik z twarogu własnej produkcji, bo ser bywa tu tylko żółty, słony i jeszcze upiekłam dwa kruche placki. Jeden z jabłkami, posypany po wierzchu cukrem

mączką, drugi z dżemem morelowym, lubianym i polany czekoladą. A ciasto robiłam z mąki samorosnącej, nadającej się tylko na wypieki, bo do gotowania jest inna. Jaja użyłam sproszkowane, margarynę zamiast masła i syrop (klonowy?) zamiast cukru i wszystko się udało. A pod naszą biało-srebrną choineczką leżały skromne, bezkuponowe upominki. Dla Ineczki uszyłam jagniątko z jakiejś resztki kolorowej szmatki. I u nas też było bardzo rodzinnie.

Przez następne dni leżałam przeziębiona, a Jacuś buntował się na kaszel. Adaś osładzał mi życie syropem z apteki, robił zakupy i gotował, a ja się martwiłam, że odłożył swój wyjazd do New Castle, gdzie podobno były jakieś szanse na dostanie się na stomatologię, o co miał zamiar się starać, gdyby nie doszło do wyjazdu do Polski. Brałam lekarstwa, piłam syrop, polykałam tabletki Jacusiowe i robiłam na drutach lizeskę, zgodnie z wymaganiami lecznicy. Dochodziłam do siebie. A w New Castle nie było szans.

Kiedyś Adaś spotkał docenta Czemplika. Znali się ze Stanisławowa i docent pamiętał go jeszcze jako ucznia z czerwoną tarczą. Nie mogę sobie przypomnieć w jaki sposób docent pomógł mi w dostaniu się na studia, bo przecież Adaś aresztowany i więziony przez bolszewików nie posiadał żadnych swoich świadectw szkolnych. Mąż opowiadał mi, że docent studiował medycynę w Oksfordzie, a do wojska polskiego trafił w czasie drugiej wojny w stopniu szeregowca. Znalazł się w obozie żołnierskim w Anglii. Podczas jakiejś wizytacji wojskowych władz polskich i angielskich, członkowie komisji, badając wszelakie urządzenia obozowe nie ominęli latryny. Tam, ku wielkiemu zaskoczeniu, angielski lekarz w stopniu majora spotkał docenta, z którym razem studiowali, szorującego podłogi! Sprawa nabrała rozgłosu. Wyszło na jaw, że to uprzejmy kapral stwierdził, że skoro w kompanii jest lekarz bez żadnego stopnia, to się najlepiej ze wszystkich zna na higienie i przydzielił mu takie zadanie. Docenta odkomenderowano wówczas na Uniwersytet Edynburski, do odpowiedniej pracy. Cóż... zdarzało się w naszym wojsku i tak...

W wojsku angielskim powoływano w czasie wojny też ludzi cy-

wilnych, bez odbytej służby wojskowej. Mianowano ich zgodnie z wykształceniem i pełnioną funkcją oficerem czasowym, w takim stopniu, na jaki dana funkcja była przewidziana, do czasu pełnienia jej. Ze zmianą funkcji następowała zmiana stanowiska i stopnia. Stałe stopnie oficerskie przysługiwały żołnierzom zawodowym. Cywile, powoływani do wojska, zatrudniani byli o ile możliwości zgodnie z wykształceniem, którego nie marnowano tylko z tego powodu, że nie miał stopni wojskowych. A już na pewno osoby z wyższym wykształceniem zaliczano do grupy oficerów. W naszej wojskowej Szkole Młodszych Ochotniczek nie uwzględniano tego i my uczennice ubolewałyśmy nad tym, że nie całe nasze grono było jednakowo potraktowane. Na przykład nasza wspaniała profesorka gimnazjalna, utalentowana i pracowita historyczka, która wobec braku jakichkolwiek w owym czasie podręczników, poświęcała nam swój czas poza lekcjami, pozostawiała w stopniu sierżanta, zamiast przynajmniej być porucznikiem. Pani Hanna Bronceł pracowała za niski żołd, bez najmniejszego wynagrodzenia za jakże liczne godziny nadliczbowe, darowywane nam kosztem własnego wypoczynku. Nie pomyślały i o tym nasze władze wojskowe, nawet te babskie.

Nasze obecnie raczej nieurozmaicone życie ucieszyła wiadomość, że Czołówka Teatralna, czyli po prostu nasza niezapomniana i niezastąpiona Wesola Lwowska Fala, która od wczesnych lat dwudziestych wymiatała z przechodniów ulice kochanego miasta, bo ludzie spieszyli na tę niepowtarzalną audycję, urządziła wieczorek. Program pod tytułem „Trzymaj fason”. To było bardzo lwowskie powiedzonko, stosowane przy wielu okazjach w prywatnych rozmowach. Już zdarzyło mi się uczestniczyć w rewii „Lwowskiej Fali”, gdy przyjechałam do North Berwick w maju 1944 r. Jak ten czas leci! Ówczesny program nosił tytuł: „Piąty front”. Zawierał wiele optymizmu, jak zawsze, okolicznościowe kuplety i piosenki poświęcone marynarzom i lotnikom, śpiewane potem bardzo chętnie przez ochotniczki i lotników, którzy też mieli tam swój obóz.

Na rewię wybraliśmy się z państwem Wyczółkowskimi. Był to już dwunasty program *Wesołej Lwowskiej Fali*, opracowany w 1945 r., już po zakończeniu wojny, o czym śpiewano z gorzkim humorem:

Koniec wojny, koniec wojny!
Jestem bardzo niespokojny!
Wojna była – wojny nie ma
Wielka zgoda między trzema.
Wszędzie demobilizacja
I gdzie spojrzysz – demokracja
Silniejszego lepsza racja
A co słabszy ma – niech da!
Koniec wojny – wojny koniec
Świat się pobił. O co? O nic!
Po co pytasz? O Korytarz?!
Dziś słoneczny pokój ma.

Wśród wykonawców programu witaliśmy ze wzruszeniem aktorów znanych od lat. Brakowało Kazimierza Wajdy, bo pojechał do Polski. „Tońcio” więc wystąpił sam, bez „Szczepcia” już tylko w monologu, a nie tak lubianym, jednym z licznych dialogów. Jego partner znalazł w kraju rodzinę... Nie wiadomo jakie drogi wiodły tych lwowiaków do Warszawy... Program wzbogacono muzyką Chopina i taki mały powiew polskiego ducha, polskiego słowa, piosenki były niejako sygnałem, że przecież, że jednak, że mimo wszystko nie możemy się załamywać, chociaż doprawdy można odczuwać obcą niechęć tutaj i wrogie zamiary gdzie indziej...

Między swoimi pamiątkami stamtąd znalazłam jeszcze jeden program: Teatru Rewiowego I Korpusu, pod tytułem „Została nam piosenka”. Nie ma na nim daty, ale z treści wynika, że program realizowano przed końcem wojny, ale pewnie po Powstaniu Warszawskim:

To nieważne, który korpus, jaki znaczek,
Czy na koncie masz Cassino czy Falaise,

Wszystko jedno Komorowski, Anders, Maczek,
Wszędzie Polak o swą wolność bije się.
Po co klótnie i nienawiść brata z bratem,
Skoro każdy z nas to samo w sercu ma –
I gdzie tylko kawał ziemi zwie się światem,
Każdy czyni bohaterów naszych zna.
Z repertuaru Czołówki Teatralnej „Lwowska Fala”

Gospodyni szkocka wieczorem wręcza lokatorowi „HOT BOT-TLE” – kamionkową butelkę z wrzącą wodą do ogrzania łóżka w nieopalanej sypialni. Rano budzi lokatora wejściem z filiżanką herbaty: „CUP OF TEA” na dzień dobry i zachętę do wstania. Ten zwyczaj poznali nasi bohaterowie zakwaterowani prywatnie, poza obozem. Podo-bało się to naszym żołnierzom, więc śpiewali:

Pocałuj mnie, panie szefie
„Hotla botla” daj do łóżka mi!
Pocałuj mnie, panie szefie
I zaśpiewaj: „lulaj, lulaj!” mi!
Rano, proszę, zbudź mnie delikatnie,
Do łóżeczka przynieś „cup of tea”!
Pocałuj mnie, panie szefie!
Tyś jest mamą mą w wojenne dni!

Smutne refleksje opanowują człowieka po wysłuchaniu takich podsumowań i tej licytacji bohaterstwa. Czyż idziemy pod tym wzglę-dem w ślady naszej Wielkiej Emigracji we Francji, po Powstaniach Na-rodowych? Czy musimy pozostawać takim skłóconym narodem? Czy Polacy są tacy klótniwi? Czy nie powinniśmy czerpać nauk z naszej wła-snej historii? Przecież roila się od przykładów klęsk spowodowanych egoizmem i niezgodą, ale także nie brakło przykładów wspólnego bo-haterstwa. Jaka będzie ta Polska?... Te refleksyjne kuplety wpleciono w repertuar ubarwiony tańcem, muzyką, dowcipami i zwrotką dodaną

do znanej przedwojennej piosenki:

Została nam piosenka, a w niej marzeń i szczęścia jest świat.
Została nam piosenka i wspomnienia minionych lat,
Dziś każdy ma piosenkę, co melodią na dnie serca brzmiał
W niej szczęście jest zakłęte wraz z nadzieją lepszych dni...

Oby!... Na tej rewii byłam z Krysią Kowalską i z Adasiem. Dyskutowaliśmy na temat programu z optymistycznym zakończeniem, podobaly nam się kujawiak i poleczka, ale ten „Znaczek” odczuwałam przykrą zadrą w pamięci, według Adasia – zamiast czerpać optymizm z pozostałych numerów programu.

Ostatnie nasze wyjście na spotkanie z „Lwowską Falą”, z zapowiadaniem programem: „Do trzynastu razy sztuka”, jako że to był właśnie trzynasty program tej Czołówki Teatralnej, celebrowaliśmy z panią Marysią i panem Jankiem, którzy zostawili Inieczkę pod opieką pani Ziuty, zawsze chętnej i wzajemnie lubiącej się z Inieczką. Nie mam programu tej rewii, tylko nuty i tekst upamiętniającej ją piosenki, autorstwa Wiktora Budzyńskiego, twórcy lwowskich programów radiowych i pomysłodawcy „Szczepcia i Tońcia”.

Ja dziś posyłam właśnie serce moje
Daleko – do Lwowa.
Gdzie my z Karolcią mieli szczęście swoje
Gdzie życia połowa.
Na każdej ławce tam wspomnienia ślad
Na każdym kroku własny lwowski świat
Batiarów...
Ja mówię wam – a kto chce niech się klóci
Że wróci
Wróci do nas Lwów!

Tekst niewyszukany, taki trochę pod lwowski „bałak”, bezpretensjonalny i lwowiakom bliski. Z nutką nadziei, na przekór.

Te rzadkie okazje spotkań z polską piosenką, muzyką, tańcem i słowem głoszonym z estrad stawały się dla nas okruchami życia kulturalnego w polskiej wersji, czego brak odczuwało się całkiem dobitnie. Czołówka „Lwowska Fala” miała przez jakiś czas swoją siedzibę w Edynburgu przy Chalmers Crescent nr 6, ale najczęściej starała się docierać do jak największej ilości środowisk czy skupisk Polaków, głównie dojeżdżała do różnych obozów i miejsc postoju naszych żołnierzy. Im przede wszystkim była potrzebna. Oczywiście nasi polscy uchodźcy zawsze spragnieni byli takich kontaktów. Nielatwo żyło się na obcej ziemi, jeszcze trudniej zwalczało się tęsknoty za krajem, często bez względu na to, jakie to tam się wiodło to własne bytowanie i głównie za najbliższymi, wciąż w swej pamięci zachowanymi: rodzina, dom, przyjaciele i środowisko, swojskie, nie tak beznadziejnie obce.

Teatry Żołnierza czy Rewiowe, czy Czołówki spełniały swoją rolę, wносиły zastrzyk nowej siły, pozwoliły i pośmiać się i wzruszać, popatrzeć na tańce ludowe i takie barwne stroje, takie bardzo nasze, posłuchać naszych pieśni i muzyki tej niecodziennej, od święta i pieśni i piosenek swojskich, lubianych i śpiewanych chętnie. To pomagało oderwać się choć na chwilę od tych wszystkich okropności wojny i od tej tułaczki, beznadziejności, od kłopotów codziennych i nabrać świeżego oddechu na dalsze dni. Tę dobroczynność warto wspominać. I pamiętać.

Dzidka miała u siebie na Święta całą rodzinę Leona, razem z nimi było trzynaście osób! Zastanawiałam się, jak ona sama mogła sobie dać radę z taką masą roboty? Przecież mąż jej najwyżej dostarczał potrzebne produkty, a ileż tego musiało być, na tyle osób! Poza tym on pracuje całymi dniami poza domem, trudno liczyć na jakąś jeszcze jego pomoc. Ona zaś ma stale dzieci pod swoją opieką, muszą być dopilnowane, bez względu na te przygotowania przedświąteczne. I to w takich warunkach, gdy pod kuchnią trzeba palić węglem i utrzymywać odpo-

wiedni płomień, ograniczać się z używaniem wody noszonej ze studni i w pokoju mieć temperaturę osiem stopni, czyli do tego pokoju nie pozwalać chodzić dzieciom, aż do samych Świąt, gdy będzie się tam usilnie i bez przerwy palić w piecu, niezbyt sprawnym w ogrzewaniu pokoju. A tam właśnie stoi choinka i dzieci trzeba ubierać w płaszcze, aby mogły cieszyć się choinką i nie przeziębily.

O ileż moje życie jest łatwiejsze, skoro mamy tu łazienkę, nie musimy palić w piecu i pod kuchnią, bo jest elektryczna i życie nie jest tak utrudniane przez te wszystkie braki. Z pewnością w jakimś mieście nie byłoby aż tak prymitywnie, jak w tym miasteczku. Musi być małe i zaniedbane, skoro nie było powiatem. Dopiero Niemcy za okupacji przenieśli powiat z Janowa do Kraśnika, dlatego że Janów nie ma wcale kolei. Kraśnik ma o cztery kilometry odległą od miasteczka. Większość lwowian wywieziono na Dolny Śląsk, aby tamte tereny zaludnić, ale wielu zdołało znaleźć jakąś przystań już na Górnym Śląsku, trochę naszych znajomych także jest w Katowicach, Bytomiu, dość licznie w Poznaniu. To ci energiczni, którzy znaleźli się tam dzięki własnej przedsiębiorczości albo dzięki czyjejś pomocy. Komunistyczny rząd „repatriował” Polaków ze wschodnich ziem południowych naszych województw na Ziemię Odzyskane południowe, zaś z naszych regionów północnych, na ziemie północne. To zawdzięczaliśmy naszym „przyjaciolom”, tym ze Wschodu i tym z Zachodu, zgodnie z żądaniami Stalina...

Kiedyś, jeszcze gdy mieszkaliśmy na Seton Place, wybrałam się do szkockiej Biblioteki Publicznej, bo usłyszałam od pani Marysi, że do czytania książek angielskich w oryginale zachęciła ją „Ania z Zielonego Wzgórza” i najlepiej zacząć od lektury, którą się kiedyś po polsku czytało. W ten sposób łatwiej pozbyć się bariery językowej, przeszkadzającej w czytaniu. Starać się rzadko sięgać po słownik, łapać treść i nie zniechęcać się szczegółami. Zapisalam się do biblioteki na podstawie legitymacji studenckiej i skierowano mnie do sali bibliotecznej, abym się przeszła między regałami i wybrała sobie, co mi się

podoba. Byłam mile zaskoczona, bo nie spotkałam się jeszcze z wolnym dostępem do pólek. Spacerowałam w tym labiryncie i gdy sprawdziłam, że nie ma na półce „Ani...”, znalazłam sobie nowelki Conan Doyle’a i Agaty Christie, aby się nie wystraszyć i nie zniechęcić trudnościami już za pierwszym razem. Wędrując dalej, nieoczekiwanie ujrzałam na jednej półce napis: „Literatura polska”. Stało tam parę książek, więc podeszłam bliżej: „Pan Tadeusz” w trzech egzemplarzach i „Quo vadis”, w dwóch! W oryginałach polskich! A to niespodzianka! Rejestrując u bibliotekarki książki wypożyczone zapytałam o te polskie, czy są wypożyczane.

– Tak, dość często, jak na książki w języku obcym. Od czasu wojny znalazły nieraz czytelników. Szczególnie „Quo vadis”. Przecież autor dostał za nią Nobla. No i mówią, że prozę czyta się łatwiej. Ale ta poezja też znajduje czasem czytelników. Teraz, kiedy są tutaj Polacy...

– A czy są jeszcze jakieś książki polskie? – zapytałam.

– Nie, innych nie ma, ale z tych tytułów parę egzemplarzy jest w czytaniu.

Wracając do domu myślałam o Mickiewiczu, jak to marzył, aby te księgi trafiły kiedyś pod strzechy. Trafiały, a jakże! I nie tylko! I tutaj się znalazły i tam, w tym dalekim stepie, w lepiance, gdzie Mickiewicza w wydaniu Pigoń, przysłanego mi przez szwagra, czytywałam z Ela i pożyczalam kolejno też innym współmieszkancom byleż stajni. Nie zapomnę, jak ktoś jeden stawał najbliżej tego mini okienka, tak skąpo umożliwiającego dojście światła do wnętrza lepianki i czytał głośno, a widząc zasluchanie swoich współmieszkańców, skulonych na lichym posłaniu na polepie nie przestawał czytać, dopóki zupełnie już nie mógł nic widzieć po ciemku. Tak chcieli czerpać siły z tej mowy polskiej, natchnionej poezją. „Pan Tadeusz” teraz aż na tej Wyspie też niewątpliwie koi polskie tęsknoty za ojczyzną... I Sienkiewicz, o którym (o dziwo) ktoś tutaj wie, że laureat Nobla! A swoją drogą, że przeszłość wciąż mi się narzuca rozmaitymi wspomnieniami.

Póki mieszkaliśmy na starym miejscu, nieraz chodziłam do tej biblioteki, zwykle poprzestając na tych nowelkach. Po przeprowadzce

było mi za daleko i nie po drodze.

Idąc ulicą czytałam szyldy, wywieszki, reklamy i ogłoszenia. Podczas działań wojennych wykorzystywano okno tramwajowe. Na umieszczonym na nim plakacie przedstawiano Mrs. Smitha Mrs. Browna (najpopularniejsze nazwiska), prowadzących ze sobą króciutkie dialogi na temat aktualnej sytuacji. Jeden z nich zadawał pytania, drugi odpowiadał zawsze z pełnią optymizmu i humoru, ośmieszającego wrogów. Pasażerowie lubili tych znajomych z tramwaju, własnych przedstawicieli, z przyjemnością dopowiadali coś od siebie, zadowoleni z poczucia bezpieczeństwa. Cóż, Edynburg nie był bombardowany. Nie przypominam sobie, żeby tam był balony zaporowe, które w Londynie niemal zasłaniały niebo. Takie balony zaporowe pierwszy raz widzieliśmy w Kairze, w kwietniu 1944 r. Teraz należą do przeszłości i tu i tam.

Pani Marysia robiła na czterech drutach rękawiczki dla Ineczki, z wrabianym na ozdobę kotkiem. Podziwiałam. Sama kończyłam przody różowej lizeski, dwa równocześnie, jak Wandzia, z dwóch kłębków, aby jednakowo formować ich kształt. To był praktyczny sposób i rękawy też tak robiłam.

– Patrzę i cieszę się, że ta wróżba Elodi tak prędko się pani spełniła – przypomniała mi pani Marysia z uśmiechem.

– Ach tak. Nie wierzę w takie przepowiednie, ale ona tak nalegała... Myślałam, że pani trochę jej odpowiedziała, jak mnie pocieszyć – przyznałam.

– Ależ nie! Znam ją dość długo i zdążyłam się przekonać, że te jej hinduskie wróżby z listków herbaty pozostałych na dnie filiżanki są naprawdę trafne. To już taka hinduska umiejętność. Niejedna z naszych koleżanek na studiach przekonała się o tym w ciągu tych lat. I wywróżyła pani, że będą dzieci. Trójka. I już pani czeka z gotową wyprawką Jacusia. A tyle było smutków całkiem zbędnych.

– Tak, ale to nie całkiem moja wina. Uwierzyłam temu doktorowi w naszym polskim szpitalu. Jak on tak mógł? Właściwie cały

rok chorowałam przez te diagnozę... Cały rok zmarnowany! Przecież nie zrezygnowałabym ze zdawania egzaminów, gdybym się aż tak nie załamała... Pamiętam, że początek w prosektorium był dla mnie bardzo ciężki, ale gdy się oswoiłam, obie z Krysią cieszyłyśmy się ogromnie ze studiowania właśnie medycyny. Dla ratowania życia ludzkiego, bo napatrzyłyśmy się zbyt wiele, bezsilne, na śmierć... Ale przestałam wierzyć we własne siły, całkiem otumaniona tą klęską życiową, jaką był dla mnie taki wyrok. Wiem, że nie powinnam. Myślałam jednak, że zmarnuję życie mężowi, bo myśleliśmy o potomstwie. Nie już, ale tak wcale nie – to był dla mnie szok.

– A przecież to nie jest nieszczęście! Widzi pani Inieczkę! I jak Janek ją kocha! A Jacuś na pewno będzie wspaniały. Przecież profesor jest bardzo z niego zadowolony. I Elodi miała rację!

– Tak. I jeszcze obiecała mi powrót do kraju... A co z nią teraz się dzieje? Czy już wyjechała po uzyskaniu dyplomu? A ten Chińczyk? Czy zdecydowała się?

– Tak. Wyjechała do Trynidadu, tego na północ od Ameryki Południowej, bo stamtąd pochodzi. Chińczyk miał wyjechać parę dni później, do Chin. Bardzo był załamany, że Elodi nie zdecydowała się na małżeństwo z nim. Mówiła, że naprawdę go kocha, lecz nie zdecydowała się na życie w Chinach, w całkiem innym środowisku, w innej kulturze, zwyczajach, umysłowości. Twierdziła, że nie tylko ona sama będzie się czuła obco, ale i ją przyjmą jak obcą i tak już pozostanie. On sam bardzo dobry, kulturalny, chciałby jej wynagrodzić to przeniesienie w odmienny świat, a jednak i jemu mogłoby nie być łatwo z żoną cudzoziemką... Rozstali się z wielkim smutkiem. Może tak lepiej...

– Szkoda mi jej. Polubiłam Elodi, to nic dziwnego, to pani przyjaciółka...

– Tak. I utrzymujemy kontakt listowny. Kto wie, może się kiedyś spotkamy? Ona pochodzi ze starej, szacownej i zamożnej rodziny. Te jej studia musiały kosztować majątek. Przybyła do Szkocji przed wybuchem wojny i nie zdecydowała się na podróż przed jej końcem. Píše, że dotarła szczęśliwie i wraca do swego dawnego środowiska, z tą róż-

nią, że chce pracować zawodowo, gdy już rodzina się oswoi i zaakceptuje ten pomysł.

– Cóż, wróciła do domu... Ja nie wrócę do domu. Ani do dawnego środowiska, ani do dawnego życia. Byłam uczennicą, miałam właśnie ukończonych osiemnaście lat, rodziców, którzy o mnie dbali, dwie siostry, gotowe doradzać i pomagać... A wrócę z mężem, z dzieckiem, po siedmiu latach, nie do domu, bo zabrali, nie do rodziców, bo nie przeżyli, wrócę bez zawodu w ręce, mąż też go nie ma, bez pieniędzy, bez mieszkania, wszystko na zupełnie niepewne... I co dalej?...

– Zajmie się pani dzieckiem i domem, mąż pogodzi studia z pracą zarobkową i po ciężkich latach wyjdziecie na swoje. Uszy do góry! Razem pokonacie przeszkody. Też to przeżywaliśmy. Dacie sobie radę. Jesteście młodzi. A Adaś dobrze wie, czego chce i wytrwale do tego zmierza...

Adaś spotkał swojego kolegę ze Stanisławowa, Mietka Szwarca. Ucieszyli się przede wszystkim z tego, że wojnę przeżyli i to wszystko. Pogadali o tych latach i przeżyciach i Adaś dowiedział się, że Lusia, siostra Mietka straciła małego synka. Na Syberii. Potem odnaleźli się z mężem, ostatnio przybyli do Anglii razem i ona w ciąży wybrała się do lekarza do kontroli. Z dalszej rozmowy wynikało, że trafiła do tego samego ginekologa w Polskim Szpitalu Paderewskiego, przez którego ja rozpaczałam. Pni Lusia jest po prostu zdruzgotana, ponieważ lekarz uznał, że jedynym ratunkiem może być usunięcie, bo inaczej i ona sama nie przeżyje i dziecko będzie „do niczego”! Zapewnił zrozpaczoną pacjentkę, że taki zabieg jest wprawdzie niedozwolony, ale dla ratowania ludzkiego życia powinno się to zrobić. Oczywiście w bezwzględnej tajemnicy i najpóźniej w ciągu dwóch tygodni. Im prędzej, tym bezpieczniej, bo czas nagli. Okropnie się tym zmartwili i ona, i mąż i brat, ona nie mogła zrozumieć co się stało, przecież już urodziła zdrowe dziecko, wciąż przeżywała jego stratę i tego drugiego za nic na świecie się nie pozbędzie. Nie wiedzieli co robić, od niedawna byli w Edynburgu, nikogo nie znali i byli bardzo bezradni.

– Nie wierzcie temu lekarzowi! Moja żona też na niego trafiła i również potraktował ją podobnie. Nie była w ciąży, ale z góry ją nastraszył, że jeśli zajdzie, będzie musiała usunąć! To nie jest uczciwy człowiek ani dobry lekarz. Nie można mu zaufać.

Rada w radę, pani Lusia odwiedziła nas z bratem, bo mąż dostał rozkaz, który temu przeszkodził. Adaś telefonicznie zamówił dla mnie wizytę u profesora. Zaprowadziłam tam panią Lusię, zupełnie nie znającą języka angielskiego i pełniłam funkcję tłumacza. Pani Lusia prosiła o przebadanie i o ratunek, aby koniecznie dziecko utrzymać przy życiu. Profesor poprosił o skierowanie do niego, czyli o prośbę lekarza u którego była o konsultację. Wyjaśniła więc, że nie ma i o taki list go nie poprosi, bo nie przyzna się, że szukała opinii u profesora, na której bardzo jej zależy, bo nie chce się zgodzić z diagnozą ginekologa, który ją badał.

– Nie mogę przyjąć czyjejś pacjentki, bez jego wiedzy. Muszę dostać od niego prośbę o przebadanie pani. Zrobię to, gdy do mnie napisze. Koniecznie proszę przynieść list od nieznanego kolegi.

Pani Lusia poprosiła mnie, abym wyjaśniła profesorowi, o co jej chodzi. Spróbowałam.

– Nie mogę przyjąć pacjentki poza czyimiś plecami. Nie „podbiera” się komuś pacjentów. To nie koleżeńskie, tego się nie robi. Tego nikt nie praktykuje, bo to nieetyczne – tłumaczył.

Przetłumaczyłam pani Lusi to przemówienie, a ona, zdesperowana wzięła torebkę do ręki, hamując łzy i szukała chusteczki do nosa.

– Nie może mnie pani obrażać w ten sposób! Nie chodzi o zapłatę, tylko o etykę!

– Ależ nie! Panie profesorze! Pani szuka chusteczki do nosa! – szybko tłumaczyłam, co ona czynnie udowodniła zdenerwowanemu profesorowi.

Jak tylko mogłam, przeprosiłam profesora za to nieporozumienie, musiałam usprawiedliwić się, że nie wiedziałam o konieczności przyniesienia prośby o konsultację od poprzedniego lekarza. Czulałam się okropnie. Teraz zrozumiałam, że sama zostałam przyjęta tylko dla-

tęgo, że to było z polecenia profesora Rogalskiego. Nie tałam wtedy, że byłam już badana przez polskiego ginekologa i stąd wynikała moja rozpacz i interwencja naszego dziekana, opiekuna roku. To profesor Fahmy ocenił jako powierzenie mu pacjentki, będącej studentką, z omiśnięciem osobistej prośby poprzedniego ginekologa. Widocznie uznał, że to było wszystko w porządku. A z panią Lusią inaczej, bo chodziło o zdecydowanie o podważenie udzielonej diagnozy. A co sobie myślał o polskim ginekologu? Aż wstyd.

Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że jakaś pacjentka zmarła po jego „zabiegu”, mąż jej wniósł skargę do sądu, wyszły na jaw inne przypadki skutecznego namówienia pacjentek do „nieuchronnej aborcji” i temu doktorowi odebrano dyplom oraz prawo przebywania na terenie Królestwa Brytyjskiego. To była bardzo złagodzona kara i nikt nie współczuł doktorowi. Lecz jak bardzo to psuło nam opinie!

A mąż pani Lusi, przeniesiony do Glasgow zabrał ją tam. Urodziła zdrowego synka. Tam polski ginekolog uspokoił ją i przez cały czas opiekował się tak, że mogła spokojnie żyć nadzieją.

Kupowałam czasem babskie czasopisma, pełne najrozmaitszych porad. Pierwsze, które mnie zainteresowało zauważyłam u pasażerki w tramwaju. Rzucił mi się w oczy artykuł na temat demobilizacji kobiet i porady dotyczące kompletowania odzieży cywilnej. Pierwsza rada dotyczyła zakupu jednej bluzki i jednej spódniczki. Zwracano uwagę na konieczność dokonania takiego wyboru, aby w przyszłości każda z tych rzeczy mogła pasować do trzech innych, które się dokupi. Rady dotyczyły też decydowania o wyborze, na przykład: „Nie to wybieraj, co się tobie podoba, ale wybierz to, w czym tobie do twarzy czy w czym ty wyglądasz zgrabnie”. Ilustracje kreskowe uwidoczniły, jakie spódniczki nadają się do jakiej figury, jakie wzory można ze sobą łączyć, a czego unikać. W innych numerach omawiano dobór kolorów do karnacji skóry i do typu urody. Omawiano też gatunek materiałów, z naciskiem na ich przydatność, trwałość itd.

Jeden numer w całości poświęcono włóczkom, co mnie szczególnie zainteresowało. Omawiano gatunki, grubość włóczki i dopaso-

wanych do niej drutów, przydatność ich i cenę. Namawiano do własnoręcznego wykonywania bluzeczek, sweterków i dużych swetrów, pouczając, że najpraktyczniej wypada kupowanie jak najjaśniejszych kolorów, z białym na czele, bo po sezonie łatwo je przerobić na coś zupełnie nowego. Najlepiej po spruciu wyprać i pofarbować w motkach na jakiś jasny kolor, aby zrobiwszy innym wzorem inny fason, uzyskać zupełnie odmienny efekt. Po kolejnym sezonie można znowu powtórzyć przeróbkę, farbując włóczękę na ciemniejszą barwę i tak za każdym razem, aż do czerni włącznie! Oto szkocka oszczędność i pracowitość! Oczywiście dodawano, że z kilku dziecięcych sweterków można coś wyczarować dla siebie i vice versa. Były też numery proponujące szydelkowanie, z uwagą, że pochłaniają więcej włóczki niż druty. Jakies czasopismo babskie lansowało „patchworki” przedstawiając szeroki wachlarz wzorów i zastosowań do własnych potrzeb. W innym znalazłam kilka form do uszycia zwierzątek ze szmatek oraz kolorowe wzorki do wyszywania, a nawet formę na watowane wdzianko na imbryk, aby dłużej utrzymywał ciepło. W wielu z tych czasopism podawano przepis lub dwa na domowe herbatniki, ciastka imbirowe (które koledzy żołnierza nazywali popieprzonymi piernikami lub parzygębami), czasem na budyń łatwy do wykonania. Koleżanki w lotnictwie odrysowywały sobie pilnie wzorki do wyszywania podczas słuchania radia. Odrysowały też sobie formy na uszycie pantofli domowych ze starych kapeluszy, zaplanowane z podeszwą z plecionej liny. Wszystko, co praktyczne, cieszyło się dużym uznaniem.

Szkotki pasjonowały się takimi robótkami nie tylko ze względów oszczędnościowych. Z przyjemnością wypełniały sobie nimi wieczory przy radiu, póki trzeba było pozostawać w domu przy małych dzieciach. To stanowiło ich wypoczynek, przecież telewizorów jeszcze nie było. Mężowie wolne chwile spędzali, nieraz godzinami w pubach, gdzie urozmaicaniem stało się celowanie strzałką do korkowej tarczy, co celebrowali rozważnie i długo. Do zwyczaju należało brać jedną halbę piwa na cały wieczór, choć bar dysponował również innym asortymentem napoi. Nasi koledzy marynarze opowiadali, że w jednej tawernie

barman poskarżył im się na sowieckich marynarzy. Nie mógł się z nimi dogadać, bo wciąż byli niezadowoleni, cokolwiek im proponował. Nie znalazł takiego napoju i prosił Polaków, żeby mu wytłumaczyli, czego ci Rosjanie się domagają, to sprowadzi, bo są częstymi przybyszami. I zacytował zamówienie tych matrosów, że zawsze chcą tylko: „Bolszoje!”.

W niektórych miejscowościach, gdzie nasze oddziały stacjonowały dłużej, nasi pomysłowi żołnierze nauczyli tamtejszych barmanów robienia kanapek na zakąskę, bo żadnej nie podawali, nie było takiego zwyczaju, do pubu przychodziło się na „drinka”, tylko. Wkrótce „Polish kanapki” uzyskały aprobatę konsumentów, ku wielkiemu zadowoleniu właścicieli, doceniających wzrost dochodów i zysku niewielkim kosztem i niekłopotliwym nakładem pracy.

Jeśli chodzi o podejście społeczeństwa brytyjskiego w tamtych czasach, gdy nie zdawaliśmy się być kłopotliwym balastem, to nasi żołnierze cieszyli się sławą uczynnych i zaradnych, takich, którzy potrafią i kran naprawić i furtkę ogrodową osadzić, aby się nie chybotęła i rynne przeczyszczyć, nawet na dachu załatać ubytek po wichurze. O takie roboty normalnie proszono tam fachowca, o których w czasie wojny było trudno, a każdy z nich podejmował się pracy tylko dokładnie w swoim zawodzie. Polak, jako lokator był tą złotą rączką do wszystkiego. Także i dla sąsiedztwa.

Opowiadano mi, że Polak ożeniony ze Szkotką, nie mógł się przyzwyczaić do tego, iż wiatr hula po mieszkaniu przy zamkniętych drzwiach i oknach i stale jest przeciąg. Pouszczelniał więc wszystko, co tylko się dało, a żona zaprosiła przyjaciółki, aby się pochwalić, że ma dom bez przeciągu. Podziwiano, chwalono, ale oczywiście nikt nie naśladował, bo przeciąg jest normalnie w każdym domu. Ostatecznie trochę powietrza nikomu nie szkodzi, więc co się tym przejmować.

Polski pan domu nie uznawał siedzenia przy kominku, co przecież istniało, jako uświęcony tradycją zwyczaj. Nie przy stole, jak u nas. Także z gośćmi, jeśli to tylko herbatka, najczęściej z herbatnikami, właśnie przy kominku. Bo i najcieplej, i ogień tak ładnie płonie na szczapach i taki domowy jest nastrój. Niezależnie od sentymentów

pan domu uznał, że kominek grzeje tylko nogi, plecy marzną, katar i przeziębienie rośnie, a w pokoju po prostu jest zimno. Wobec tego zdecydował, że musi ulepszyć dom żony i za jej zgodą wezwał zduna, w pokojach poprzerabiał kominki na piece, pozostawiając kominek w salonie, oprócz pieca. W zimowym okresie żona zaprosiła przyjaciół i szkockie małżeństwa zwiedzały cały domek. Taki typowy: na parterze kuchnia, jadalnia i salon, na górze trzy sypialnie i łazienka. Wszędzie podziwiano napalone piece i równomierną temperaturę w całym pokoju i ciepło w całym domu. Ze zrozumieniem wysłuchano relacji o niesłychanych perypetiach związanych ze znalezieniem adresu, gdzie można było kupić kafle, gdzie indziej nieosiągalne. Nikt jednak sobie tego adresu nie zapisał. A gdy po śmierci męża, polski zdun, przyjaciel zmarłego odwiedził wdowę, ze zdziwieniem zapytał, co się stało z piecami, ona wyjaśniła:

– Zlikwidowałam. Mąż nie zastrzegł w testamencie, że mają zostać.

W okresie wojny nasi żołnierze ciesząc się wielkim powodzeniem u Brytyjek, niejednokrotnie dziwili się ich niewierności małżeńskiej, z której niektórzy korzystali, zapewniani przez „słomiane wdowy”, że mąż nie ma nic przeciwko temu, a najlepszy dowód, że nieraz zapowiadała mu, aby nie za wcześnie wracał do domu, ponieważ umówiła się z przyjacielem, który ją odwiedzi. Mówiły, że zdarzało się, że mąż wołał, aby to ona odwiedziła swojego przyjaciela, zamiast mężowi proponować późniejszy powrót. Także dość znane były przypadki takiego zaangażowania naszych żołnierzy, że aż otrzymywali list od Królowej Elżbiety, żony Jerzego VI, z prośbą o zawarcie małżeństwa z Miss X Y, która oczekuje ich dziecka. To oczywiście traktowano, jak rozkaz. Nieraz znajomości z córami Koryntu kończyły się ślubem, bardzo cenionym przez takie małżonki. Do naszej kompanii ochotniczek w North Berwick wstąpiły dwie Angielki, żony polskich marynarzy. W wielkiej tajemnicy zwierzyły mi się, gdzie swoich mężów poznały i jakie je wielkie szczęście spotkało, że nie naraziły się na pogardę, ale mogły wyjść

za mąż i odmienić tamto swoje przekłete życie. Tajemnica się nie wydała. Musiałam jednak powiedzieć im, że absolutnie niektóre z polskich słów, którymi chciały się pochwalić, nie nadają się do powtórzenia. Nigdy. I nigdzie. Chciały to zapamiętać, jednak sprostowałam, że mają zapomnieć, na zawsze. Ich mężowie przed wyruszeniem w bojowy rejs poradzili im wstąpienie do Polskiej Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet. Nie wątpię, że było to zapewnieniem im bytu. Nie znam dalszych ich losów.

Takie to bywały kontakty nasze z mieszkańcami na tej gościnnej Wyspie. Na styku innej kultury, odmiennych obyczajów i tradycji, uwarunkowanych zarówno położeniem geograficznym, jaki i historią każdego z tych państw i ich wpływami na usposobienie i charakter ludzi.

Do Dżidki pisywałam czterostronicowe listy drobnym maczkiem, którym też w Szkole w Palestynie wypełniałam zeszyty, bo tak mi najprędzej biegło pióro po papierze. Gdy już wyprodukowałam kilka koszulek niemowlęcych i dwa kompleciki składające się ze sweterka, rajstopek i czapeczki, narysowałam je i mniej więcej zaznaczyłam, gdzie tam są wzorki. Innym razem narysowałam jej, jakie zrobić sobie lizeski do szpitala, bardzo przydatne przy karmieniu, bo na ogół jest tam zimno. Podpierałam swoje samopoczucie tą korespondencją do Dżidki, ma przecież dzieci, rozumie. Wanda zajęta jest bardzo studiami, nie ma wcale czasu. Studiuje w języku obcym, wykłady i podręczniki po francusku, co prawda lepiej zna ten język, niż my obie z Krysią Kowalską, gdy siadałyśmy do tej angielskiej anatomii. Ale Wandzia na bieżąco musi te wykłady rozumieć i zapisywać w obcym języku, zapamiętywać, bo egzaminy też będą wymagały natychmiastowego zrozumienia i odpowiedzi na pytania. Szczęście, że to lubi! A Dżidka, mam nadzieję, że nie ma mi za złe tego mojego monotematycznego wynurzenia. W przeciwieństwie do niej, która z pewnością swój odmienny stan witała lękiem, bo była wojna, pewnie nie dziwi się temu mojemu zauroczeniu macierzyństwem, skoro o tym marzyłam.

Inne moje korespondencje kolejno się rozpełzły. I przez zmia-

ny adresów i z powodu mojej choroby i chyba ze względu na niechęć męża, który nie rozumiał, że utrzymywanie kontaktów uważałam za ważne. Moim zdaniem tylko tyle nam zostało z tej naszej młodości... W tych kolejno zmienianych obcych środowiskach trzeba było znajomości nawiązywać od początku. Już nie miało się oparcia o te wspólne obok siebie przeżyte lata czy miesiące w tak bardzo specyficznych warunkach, że zbliżały ludzi do siebie. Nieczęsto spotykało się takich, jak państwo Wyczółkowscy, pełnych przyjaźni, zrozumienia i bezinteresownych. Życzyła tym swoim koleżankom i kolegom lepszego losu i chciałam wiedzieć, co się z nimi dzieje, jaki jest ten ciąg dalszy ich życia. Mój mąż uważał, że z chwilą pożegnania się z kimś i to na niewiadome, już ta znajomość przechodzi do przeszłości i to jest normalne. A mnie było żal, odczuwałam to jako utratę czegoś cennego i korespondencja latała ten brak. Tyle się w życiu straciło, że nie ma sensu rezygnowania z tego, co jeszcze można zachować, co jest ważne i nie do zastąpienia... Póki jeszcze można, bo nie wiadomo, co potem, co jeszcze będzie, co się stanie, i kiedy dlaczego. Szkoda...

Kiedyś w „Polskiej Gazecie” wyczytaliśmy, że Rada Polonii nr 34 przyjmuje zgłoszenia adresów rodzin w Polsce w celu wysłania paczki. I oto Dzidka dała znać, że taką paczkę od Rady Polonii nr 34 otrzymali, co było prawdziwą niespodzianką i nie wiedzą, komu ją zawdzięczają. Paczka zawierała: kawę, herbatę, mleko, tłuszcz, konserwę mięsną i pomidorową, grysik, cukier, cykorię, trzy paczki zupy, maggi, ołówek, rączkę z piórem i ważyła pięć kilogramów. Dostali w sobotę, 23 lutego 1947 roku. Wartość rynkowa w Polsce, według tamtejszych cen to dwa tysiące złotych. Miałam w kalendarzyku zanotowaną datę wysłania zgłoszenia do Rady Polonii nr 34 z prośbą o wysłanie paczki: to było 29 lipca 1946 roku! Widocznie mieli tam aż tak wiele zgłoszeń, że czekanie w kolejce na realizację trwało, ale jakoś doszło do skutku. Cieszyłam się, nie mniej od obdarowanych, chociaż stale zapewniają nas, że nie głodują (Bogu dzięki! – już!), to przecież lekko im nie jest. Z pewnością nie poprzestałam na podaniu tylko tego jedyne go adresu

do Rady Polonii, lecz podobnie, jak w Palestynie zgłaszałam możliwie jak najwięcej adresów na „pecekowe” paczki do Kazachstanu, tym razem dopisałam adresy rodziny i przyjaciół w kraju. Nie dostałam żadnych sygnałów na ten temat, bo nikogo nie zawiadamiałam o tym i jeśli ktoś dostał taką paczkę, to nie mógł wiedzieć, że mogłam mieć z tym coś wspólnego.

Czas włókł się ślimaczym tempem w tym oczekiwaniu na Jacusia. Zająłam się wyprawką. Na białej, dość szerokiej bawełnianej tasiemce wydrukowałam swoje nazwisko, specjalnym pisakiem, który tutaj służy do znaczenia bielizny oddawanej do pralni. Zgodnie z wymogami lecznicy przyszywałam te nazwiska do każdej pieluszki i do każdej sztuki zabranej ze sobą, wszystkie ręczniki, ubranka, słowem każdą rzecz. A czas i tak bardzo mi się dłużył. Rozmyślałam o Dżidce i jak w porównaniu z nią jest mi dobrze. Ona także jest w ciąży. Urodzi dziecko pół roku później ode mnie. Jak ona sobie może dać radę z dwójką dzieci i w odmiennym stanie? I trzecie dziecko w tych warunkach?! Jak podola swoim jeszcze bardziej zwiększonym obowiązkom? Z tą wodą ze studni i z ustępem w podwórku. To okropne! I w dodatku piszą, że gotowi są przyjąć mnie z dzieckiem! To po prostu trudno sobie wyobrazić! Jak to życie potoczy się dalej? Gdzie szukać pomocy?

List od Wandy, z 5 marca donosi o jej pilnym studiowaniu do egzaminu, po kolejnym, który zdała. Dodaje jednak, że najważniejszy i najtrudniejszy czeka ją na końcu roku, bo to będzie egzamin praktyczny. Nigdy nie wiadomo, na jakiego trafi się pacjenta. Wandzia zgadza się z naszą opinią na temat tego Obozu Przynależenia do życia cywilnego. I sama też nie chciałaby się tam znaleźć. Postanowiła kontynuować swoje studia w Bejrucie, dopóki to będzie możliwe. Na szczęście generał Anders stale popierał wytrwale wyższe studia Polaków, gdzie tylko udało się o nie zaczepić. Niestety był w tym chyba raczej osamotniony, nie mówiąc już o nieprzychylniej postawie komendantki Wysłouchowej. Inne nasze władze nie interesowały się tym specjalnie, czego przykla-

dem jest choćby nasz zlikwidowany Wydział Lekarski i pozostawieni na lodzie studenci z tego naszego roku. Po naszych szczerych aliantach można się było tego spodziewać, ale że tak nikt nas nie obronił? No, właściwie co za problem z taką małą garstką, kilkudziesięcioosobową w porównaniu z całym naszym narodem, tak po „przyjacielsku” traktowanym i tak bezwzględnie skrzywdzonym – na wieki!... Egoizm i interes ponad honor, ponad dotrzymanie zobowiązań, ponad ludzkie poczucie sprawiedliwości.

Zamiast wciąż w koło roztrząsać w sercu te nasze dzieje przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, przypominałam sobie, że kiedyś pani Marysia wspomniała, że zna zbyt mało dziecięcych piosenek, oczywiście polskich, aby je śpiewać Ineczce i ją nauczyć. Kupiłam spory notes i wpisywałam w nim wszystkie „Koła młyńskie”, „Stare niedźwiedzie”, „Krasnoludki” i co tylko mi się przypomniało z bogatego zasobu piosenek i zabaw ze śpiewem, wyniesionego ze szkółek Sióstr Sercanek i Panien Benedyktynek Łacińskich, do których uczęszczałam. Przynajmniej tyle mogłam zostawić pani Marysi...

Mieszkaliśmy nadal na Coates Garden, czyli u państwa Michalskich. Pokój był ogrzewany tylko wstawioną do nas kuchenką elektryczną z piekarnikiem, na której gotowaliśmy i piekli. Zima zdarzyła się nietypowa, ostra, z okresami śnieżnych zawiei i mrozu. Brytyjczycy narzucili społeczeństwu obowiązkowe oszczędności prądu. Załatwili to w sposób nader prosty: wyłączali dostawę prądu przez trzy godziny przed południem i przez dwie po południu. Rzecz jasna, że wtedy marzłam. Wielu kupowało sobie domowe grzejniki gazowe, lecz my nie myśleliśmy o tym, bo liczyliśmy się ze zmianą mieszkania. W pewnym okresie zanosilo się na to, że ktoś na parterze tej kamienicy zwolni mieszkanie i chętnie zajęlibyśmy je my. Kamienica była starego typu, bardzo wysoka na te dwa piętra. Liczyła czternaście schodów na każdym półpiętrze i z trudnością dźwigałam te swoje ciężkie kilogramy (ponad siedemdziesiąt kilka z początkiem ósmego miesiąca!) na to na-

sze drugie piętro. Ciśnienie miałam bardzo wysokie, nie podobało się to mojej pani doktor – położyła mi dwa razy dziennie leżeć z nogami ułożonymi wyżej. Stosowałam się pilnie do tego, właśnie w tych godzinach wyłączonego prądu, dobrze okryta i niezbyt ogrzana. Tapczan nie był najgorszy, ale bardzo niski, siadanie na nim i wstawanie z niego sprawiało mi coraz więcej trudności, ale w te zimne godziny tam było jedyne miejsce.

Pani doktor nie miała zastrzeżeń co do mojego apetytu, w przeciwieństwie do mnie samej. Przestałam normalnie jeść i rzuciłam się na jedzenie. Potrafiłam w kinie zjeść dwa funty jabłek, a gdy w Delikatessach po raz pierwszy ukazała się duńska kielbasa, podobna do polskiej i zdobyliśmy ją w kolejce i na kartki cały funt, poczęstowałam Adasia tym plasterkiem, dołożonym tym do wagi i w kinie musiałam ją skosztować, a potem, sama sobie się dziwiąc zobaczyłam, że nic nie zostało! Normalnie nie uznawałam kielbasy bez chleba! W nocy wstałam dwukrotnie, grzałam sobie kubek mleka, wsypywałam do niego dwie garście cornflaków i pochłaniałam to, trzęsąc się „z głodu”!

Pani Marysia ostrzegła mnie, opowiadając o swojej koleżance Żanci, która w błogosławionym stanie nie panowała nad apetytem. Studiowały w Wilnie i mieszkały w bursie w pięciosobowym pokoju. Kiedyś przyjechał Żanci mąż i gdy koleżanki dowiedziały się, że idą do kina, poprosiły ją, aby im kupiła chałwę w sklepie obok kina, dość od nich daleko. Każda z tych czterech dała jej pieniądze na opakowanie dwudziestodekowe. Żancia kupiła to przed filmem, bo potem sklep był już zamknięty. Tylko, że film był denerwujący, więc uspokajała się chałwą i wykończyła wszystko! A potem musiała zgodzić się na cesarskie cięcie. Rozumiałam, ale tak się trzęsłam do jedzenia, że robiło mi się słabo, gdy nie mogłam natychmiast zaspokoić głodu.

Bardzo chętnie kupowaliśmy ryby. Kiedyś w sklepie rybnym zwróciłam uwagę na homary, o których słyszałam, że w smaku podobne są do raków; te znałam z wakacji w dzieciństwie. Chciałam nabyć porcję homara, a tu nagle mój małżonek gwałtownie mi tłumaczy, że nie będę chciała jeść tego paskudztwa. Trudno... („Roma ukuta,

causa finita”, czyli „Rzym powiedział, sprawa skończona” – pomyślałam). Nic z tego! Wciąż wracałam do tego homara, że ludzie to kupują, to znaczy, że jedzą. Że mnie się ten homar po nocach śni. Że nic innego, tylko to, że niby dlaczego nie i w ten deseń. I że tani i bez punktów żywnościowych.

Wreszcie mój mąż przyniósł mi homara. Ogłaszał to od progę. Nie mogłam się doczekać. A tu on wyciąga konserwę! A konserwy były na punkty! Musiał kosztować więcej punktów od sardynek za dwa punkty, bo ta konserwa była większa! No, ale już otwierał i niecierpliwie czekałam.

– Naprawdę będziesz to jadła? – nie krył obrzydzenia.

– No, właściwie to ja już nie chcę!...

– A, to zabierzemy ze sobą państwa Wyczółkowskich. Mają kota. Może kot zje – zawyrokował.

A pani Marysia zaprosiła rodzinę na luksusowe kanapki z homarem. Adaś je zbojkotował. Nie odważyłam się nawet ich spróbować. Pani Danką orzekła, że zachcianki w ciąży się zdarzają. Wstydziałam się i tak, tym bardziej, że mi na nie wcale ochota nie przeszła, ale nie chciałam się przyznać. A potem mój mąż mi powiedział, że homary jedzą marynarzy, więc marynarze nie jedzą homarów! Byłam przekonana, że to samo można powiedzieć i o rybach. Wolłam przemilczeć. I słusznie!...

Marzec miał się ku końcowi. Mój termin też. Adaś zobaczył gdzieś na wystawie wyprzedaż, między innymi także łóżeczek dziecięcych. Ineczki łóżeczko kosztowało prawie cztery funty, a te były o połowę tańsze. Upewnił się, że zakup może poczekać w sklepie i zostanie przywieziony zgodnie ze zgłoszonym terminem. Byłam cała jednym wielkim oczekiwaniem. Prawie nic nie mogło mnie oderwać od tych myśli. Wiedziałam, że Anglia boryka się z klęską powodzi, że straty obliczają na miliony funtów, ale tyle tylko mnie to obchodziło, o ile się to odbije na Polakach. Nadeszła niedziela 30 marca i trzeba było zacząć myśleć o przygotowaniu się do Wielkanocy.

Poszylałam firanki z gazy opatrunkowej, a ze starej, lecz przyzwyczajonej szmatki zasłonkę na drewnianą paczkę, na której stała elektryczna kuchenka. Zdołałam w ciągu ostatnich kilku dni wyszyć serwetkę wzorem, wyrysowanym z pamięci, jakim kiedyś wyszyła Dżidce poduszkę, gdy byłam u niej na wsi, gdzie uczyła... To był maj w 1939 roku... W innej epoce... Adaś umył okna i wypucował podłogę. Na świąteczny obiad zostaliśmy zaproszeni do państwa Wyczółkowskich, na drugi dzień oni do nas.

W Wielki Piątek wspominałam zwyczaj „chodzenia na Boże Groby”, odwiedzane w licznych lwowskich kościołach, których było ponad trzydzieści w mieście. Tam przy Grobie trzymali straż żołnierze albo strażacy, albo harcerze, w czapce z paskiem zapiętym pod brodą i wyprężeni na baczność. W Edynburgu wcale nie poszłam w ten Wielki Piątek do kościoła, ani nie wiedziałam, kiedy w ten dzień był otwarty. A tego dnia poczułam się już bardzo niewyraźnie. Może to nie były zdecydowane bóle krzyżowe, ale taki jakiś uciążliwy dyskomfort, że zagryzałam wargi.

W Wielką Sobotę Adaś poszedł po ostatnie przedświąteczne sprawunki. Zabrałam się z wielkim zapalem do pieczenia ciast. Właściwie do jednego ciasta, kruchego, ale z tej mąki samorosnącej. Miałam płytkie, aluminiowe blaszki, wielkości dużego talerza, więc ciasto trzeba było do nich dostosować. Z dwóch funtów mąki wyszło mi tyle krążków, że porobiłam z tego torciki: z masą z daktyli, z masą kawową trochę na budyniu, z masą ze sztucznego marcepana i placuszek z jabłkami. Jedne oblane czekoladą, drugie posypane cukrem mączką przez sitko albo posmarowane nałożoną na wierzch masą. Uff!

Od rana czułam niedokuczliwe jeszcze bóle. Położyłam się, po ukończeniu tego pieczenia, lecz o śnie nie było mowy. Adaś po powrocie też się położył i usnął. Wystął się w kolejkach i miał dość. Sprawdziłam godzinę: była trzynasta trzydzieści i zmartwiłam się, bo brak dopływu prądu trwał do pół do czwartej, a byłam przekonana, że mocna herbata bardzo by mi dobrze zrobiła. Ostrożnie wierciłam się na tapczanie, szukając daremnie wygodnej pozycji. Nic z tego.

W końcu doczekałam się tej upragnionej godziny. Adaś już nie spał, zrobił mi porządną herbatę i gdy nie pozwoliłam ruszać tych świątecznych torcików, podsuwał mi ulubione herbatniki. Potem zdecydował, że na żadną rezurekcję mnie nie weźmie i pójdzie sam. Zanim minęły te godziny, dzielące czas od rezurekcji, doszedł do wniosku, że i sam też nie pójdzie, z czego byłam zadowolona. Czułam się jednak coraz gorzej oboląła. O ile przez długie miesiące myślałam ze strachem o samym rozwiązaniu, nagle poczułam się spokojna i dzielna, niczym „Gerój sowieckiego sojuza”! – Zaczynam rodzić – uświadomiłam sobie i momentalnie przestałam się bać. Bóle się nasilały. Wreszcie zdeterminowana huknęłam:

– Leć po taksówkę!

– Co? Już? Czekaj, zapukam do pani Dybasiowej! – i zniknął za drzwiami!

Pni Dybasiowa usiadła przy mnie i poprosiła, abym za każdym razem, gdy poczuję ból, dała znać.

Patrzyła na zegarek i liczyła.

– Panie Adasiu! Że żona ogłupiała w szoku, to nie dziw, ale pan? Na co pan czeka? Bóle co dziesięć minut, to nic? Niech pan natychmiast idzie po taksówkę. To może trwać dłużej, ale musi być w szpitalu! Chce pan, aby tutaj albo w taksówce? Ja posiedzę przy żonie. Niech pan leci!

Poleciał, a jakże. Tylko że taksówek nie znalazł na postoju ani ambulansu na pogotowiu, przejeżdżające taksówki sygnalizowały swój kurs napisem: „zamówiona” i trwało to wszystko z istic angielską flegmą. Pani Dybasiowa mierzyła mi puls, uspokajała, sama omal nie płacząc i potrzebowała bardziej ode mnie zapewnień, że nie ma czego się bać. Wreszcie przyleciał „oczekujący tatuś”, sadził po dwa schody na górę w obawie, że już się spóźnił. Zdażył. Ostrożnie sprowadził mnie na dół, a uczynna sąsiadka nie dała mu nieść walizki z wyprawką i osobiście wpakowała ją do taksówki.

Na świąteczny obiad mój małżonek wybrał się sam, gdyż bardzo

nalegałam na to i sprawił tym niespodziankę, gdyż państwo Wyczółkowsy nie mieli telefonu i nie mógł zawiadomić, że już byłam w lecznicy. Wieczorem mnie odwiedził na krótko, bo położna nie zachęcała do dłuższej wizyty. I ja też nie! Nie miałam cierpliwości ani ochoty do rozmowy.

W Poniedziałek Wielkanocny o piątej rano wezwano Adasia na parter do jedyne go w kamienicy telefonu, aby odebrał wiadomość ze szpitala: od dziesięciu minut ma córeczkę! Miała ciemne włoski tak długie, że położna zaczesala je na przedziałek! Powiedziała mu, że może mnie odwiedzić po śniadaniu, czyli po ósmej, bo na razie odsypiam dwie noce. Zastanawiał się po drodze skąd wziąć kwiaty, skoro sklepy pozamykane w ten dzień święta bankowego. Zobaczył w ogródku przed jakimś domkiem i zrobił użytek z kołatki przy drzwiach. Wyszła zdziwiona lady, więc przepaszając pokornie poprosił ją o odsprzedanie paru kwiatków, gdyż idzie do szpitala witać nowonarodzoną córeczką i żonę, kwiaciarnie są zamknięte i nie ma żadnego sposobu zdobycia choćby najmniejszego kwiatka. Nie chciał, aby żonie było przykro, że nie ma powitalnego kwiatka, a przecież tradycja... itd. Wzruszona lady ofiarowała mu białe tulipany z serdecznymi życzeniami dla całej rodziny.

Tymczasem ja, pokrzepiona bardzo mocną, angielską herbatą, którą położna przyniosła bezpośrednio po porodzie dla mnie, dla pani doktor i dla siebie, jako że: „napracowałyśmy się solidnie razem i wspólna herbata nam się należy” (wypiliśmy po trzy filiżanki, a w życiu nie piłam lepszej herbaty, choć parzyła gębę), usnęłam natychmiast. I przy śniadaniu znowu usnęłam, z widelcem i nożem w rękach, nad talerzem z wędzoną rybą. Kto to widział wymyślać takie śniadania po takich przeżyciach?

Adasiowi pozwolono wejść tylko na pięć minut. Zdążył tylko nachylić się nad dostawionym przy mnie mini łóżeczkiem i szepnąć ze wzruszeniem:

– Witaj, Elżuniu! – wobec tego została już Elżunią, a wybrane przez mnie imię Agnieszka dostała na drugie imię przy chrzcie.

Na tej samej sali leżały cztery matki. Każda z nich miała swojego doktora, który ją odwiedzał dwa razy dziennie. Dzieci przywożono nam o godzinie szóstej rano, gdy już byłyśmy po porannej herbacie, słodkiej z mlekiem. W swoich łóžeczkach spędzały przy nas cały dzień, zabierane tylko do kąpania, a potem o dziesiątej wieczorem, do dziecięcej sypialni, aby matki mogły się wyspać. Karmienie dzieci ogłaszano co cztery godziny i przestrzegano tego. Elżunia buntowała się już po trzech godzinach i pani doktor uznała, że tak powinna być karmiona – w domu: sześć razy dziennie. Moje współtowarzyszki okazały się: dwie Szkotkami, a ta trzecia Kanadyjką, żoną Szkota. Jej pierworodny synek był starszy o dzień od Elżuni. Kiedyś ona pochwaliła się mężowi, że synek był już karmiony po dwadzieścia minut i z jednej i z drugiej strony. Nazajutrz rankiem wpadł do niej małżonek przed pójściem do pracy, prosząc pielęgniarkę o pozwolenia na króciutką chwilkę w bardzo ważnej sprawie. Przyleciał na górę bardzo zaniepokojony, po nieprzespanej ze zmartwienia nocy, aby zapytać żonę, co się stało dziecku, że musiało być karmione i doustnie i doodbytniczo? Nie wiedział, że chodziło o karmienie z obu piersi! Żona wyjaśniła mu pomyłkę z całą powagą. Na szczęście nie widział jak uśmiałyśmy się z tego, co też rozweseliło inne sale. Obie Szkotki miały już po jednym dziecku w domu. Przed wypisaniem pacjentek do domu położna za każdym razem demonstrowała w naszej sali, jak należy kąpać niemowlę, jak stosować puder i maść, jak przewijać, zapinać agrałką pieluszkę, ubierać i jak układać do snu. Doświadczone matki dziękowały i zapewniały, że już to wiedzą (po lwowsku: „my to brali!”), ale ona tłumaczyła im, że to należy do jej obowiązków i nie może swej powinności nie wykonać. I robiła co do niej należało.

Po południowym karmieniu, gdy zdawało mi się, że powinnam była odespać wszystkie swoje zaległości, zawstydziłam się własnego próżniactwa, patrząc na współtowarzyszki, wszystkie trzy machające drutami. Miałam też przygotowaną robotę, więc patrzyłam na dobry przykład, wyciągnęłam i ja swój worek z włóczką i wzorek na lizeskę, którą zaplanowałam na upominek dla Wandzi. Wcześniej w domu

na próbcie ustaliłam ilość oczek i zaczęłam ściągać na cieńszych drutach. Przy nabieraniu trzeba było zacząć na sto dwadzieścia oczek. Byłam wprawdzie bardzo osłabiona i senna, ale postanowiłam nie poddawać się, aby nikt nie myślał, że wszystkie Polki są takie leniwe.

To sformułowanie tej myśli spowodowane zostało pytaniami pozostałych pacjentek:

– Czy wszystkie polskie noworodki rodzą się z takimi długimi i ciemnymi włoskami?

– Czy wszystkie polskie noworodki mają takie długie i gęste rzęsy?

– I ciemne brwi?

– Czy wszystkie polskie niemowlęta tak kichają?

– Nie wiem. To jest pierwszy noworodek, jakiego widzę! Nie widziałam wcześniej żadnego – tłumaczyłam mamom lysych noworodków, ubawiona ich pytaniami, na które nie znalazłam odpowiedzi.

Tak więc musiałam zabrać się do roboty, aby nie psuć opinii wszystkim Polkom. Jakoś się mi jednak to liczenie wciąż myliło. Nie wiem, ile razy zaczynałam od początku i znowu i jeszcze raz, aż wyobraziłam sobie, że musi być dobrze i do wieczora zmordowałam ściągać na wysokość jednego cala. A nazajutrz przekonałam się niezbitcie, że nie umiem liczyć do stu dwudziestu! Nie przyznałam się do tego skandalu, bo panie mogłyby pytać: – Czy wszystkie Polki...? Oglądały mój wzorek, podobał się, bo był bardziej oszczędnościowy. A mnie bardzo na duchu podbudował fakt, że przez czas pobytu w lecznicy ukończyłam robotę na drutach, całość. I do domu zostało już tylko zszywanie poszczególnych części. A Szkotkom podobał się mój sposób robienia dwóch rękawów na jednym drucie, równocześnie, z dwóch kłębków, bo tego nie znały.

Szkotki miały inny sposób wykonywania roboty, tak jakoś zarzucały włóczkę na drut, że cały czas prawa ręka wykonywała półkolisty ruch i namachała się przy tym niezłe. Nasza metoda była prostsza, obie różniły się od siebie. Opowiadała mi kiedyś pani Marysia, że jadąc na górnej platformie tramwaju robiła coś po swojemu na drutach. Ja-

kaś pasażerka obserwowała ją i zapytała, skąd pochodzi, z jakiego kraju, że tak w odmienny sposób robi swoją robotę.

– Z Polski – odpowiedziała, był koniec 1939 roku i zdziwiła się słysząc:

– Ach tak... Słyszałam: to jest gdzieś tam nad Morzem Białym – pochwaliła się rozmówczyni.

A mnie kiedyś w tramwaju zadziwiła siwa lady, która w trasę trwającą około trzech kwadransów wyruszyła z głową ciasno udekorowaną żelaznymi, z pewnością nielekkimi papilotami. Naprawdę miała bardzo dużo na głowie! Przez cały czas czytała. Musiała być Szkotką: nie marnowała czasu!

Wracając jednak do lecznicy i tych nowych doświadczeń życiowych. Pozwalano tam wstać z łóżka po raz pierwszy dopiero piątego dnia. Tylko pod opieką pielęgniarki i przejść się kilka kroków wzdłuż łóżka. Te pierwsze kroki odczuwało się, jak chodzenie po szpilkach i kolejno każda to potwierdzała. Dziećmi opiekowałyśmy się przez dzień same, ale na początku położne przychodziły przewijać je. W nocy nie było słycać płaczu.

Pani Marysia odwiedziła mnie sama, na drugi raz z Ineczką, na zmianę z panem Jankiem.

Czternastego dnia wypisałam się ze szpitala, bo ten przewidywany piętnasty dzień wypadł w niedzielę. W domu już czekało łóżeczko, odświętny obiad i wiadomość, że z braku lepszego mieszkania możemy zająć to zwalniane po Andrzejowskiach, bo Baśka wyjeżdża do Londynu, a Krysia znalazła sobie pokój pojedynczy. Pozostanie u państwa Michalskich było z dzieckiem kłopotliwe, z tą łazienką wspólną dla trzech rodzin, skąd i do gotowania brało się wodę i z tym praniem pieluszek i to wysokie piętro. Przenieśliśmy się więc na Leopold Place nr 4, ku wielkiemu rozczarowaniu Zosi Michalskiej. Usłyszała bowiem, że spodziewam się dziecka i odwiedzała mnie nieraz z pytaniem:

– Pani Michałowska, kiedy wreszcie urodzisz to dziecko? Czy jeszcze długo mamy czekać? Nie może być trochę prędzej? Wiesz, ja ci

pomogę, jak już będzie, mogę karmić. I będziemy się razem bawić, bo już bardzo lubię małe dzieci!

Nowe mieszkanie, z tych nazywanych „półtora pokoju” było na parterze, ze swobodą używalności kuchni w suterenie. Budynek był na rogu ulicy, naprzeciwko dużego skweru, z domkiem ogrodnika. W spokojnej dzielnicy, trochę oddalonej od sklepów. Pobyt tam wspominam jako przeważnie samotny z Elżunią. Adaś dostał zawiadomienie dotyczące naszego zameldowania się w obozie repatriantów. Osobiście przekonał się o tamtejszych warunkach i wobec tego rozpoczął starania, aby nasze zakwaterowanie tam w takim obozie skrócić do minimum. Chodziło o to, abyśmy nie musieli czekać właśnie tam aż do lipca, na te wyznaczoną w tym terminie wyjazdową kolejkę. Wydeptał swoją ścieżkę i do konsula i do szkockiego kuratora polskich repatriantów. Ten Szkot serdecznie odradzał i tłumaczył poufnie mojemu mężowi, że mają swoje meldunki i orientują się w sytuacji i że lepiej pozostać. Łudziłam się, gdy mi powiedział, że może temu obcemu uda się zmienić decyzję mojego męża. Jeszcze twierdziłam, że możemy się wycofać. Widząc jednak determinację męża i licząc się z serdecznością rodziny, przestałam sobie szarpać tym nerwy. Zajmowałam się przede wszystkim Elżunią i przy drobnej domowej krzątaninie nie miałam już czasu ani sił na nic innego.

Trzeciego maja odbył się Chrzest córeczki. Pamiętam, że to nasze narodowe święto zbiegło się w tym 1947 roku ze studenckimi obchodami „Settlement Day” (Rocznica założenia Uniwersytetu Edynburskiego), celebrowany zawsze w pierwszą sobotę maja. Jadąc tramwajem z chrzestnymi Elżuni: panią Marysią i panem Staszkiem Majem i ich rodzinką do kościoła, oglądaliśmy wielki przemarsz studentów poprzebieranych w najrozmaitsze stroje: historyczne, fantastyczne, najbardziej wiekowe i najnowocześniejsze. Najgorętsze brawa uczyły chudego dryblasza, wystrojonego w damski całosciowy strój kąpielowy, maszerującego boso na tych swoich przydługich i czarnoowłosionych piszczelach, środkiem ulicy, po bruku obficie polewanym drobnym i przenikliwym deszczykiem. Studenci w ten dzień paradowali ze skar-

bonkami i za każdy datek przypinali ofiarodawcy czerwony kwiatek, wykonany z usztywnionego płótna. Co roku kwiatek miał inny kształt. Zostawiłam sobie na pamiątkę takie trzy kwiatki – z trzech lat...

Chrzest córeczki, odprawiony bardzo uroczyście widocznie rozweselił pannice: Elżbietę Agnieszkę, bo polizawszy tę odrobinę chrzestnej soli odwdzięczyła się pierwszym zdecydowanym uśmiechem. Wracaliśmy do domu, jak zwykle, tramwajem. Nie pamiętam już, co mądrego przygotował Adaś na obiad dla gości. Gotował smacznie i robił to szybko, w przeciwieństwie do mnie, co do prędkości. Do mnie należał deser. Nie zrobiłam leguminy z przysłanego mi przepisu Adasiowej mamy. Wiem, że wspaniała, grysikowa, tylko że nie na nasze warunki: piana z ośmiu białek! Ba! Poprzestałam na tych swoich kruchych torciakach, kombinowanych masach i oryginalnej dekoracji. Gości mieliśmy niewybrednych i nie tylko chwalili, lecz nawet jedli. Ineczka zachwycała się „Leżunią”, która spała jak grzeczne dziecię. Dostała bogate prezenty: od chrzestnej złote serduszko z perelką, od chrzestnego kasetkę z czterema widelczykami i nożykami deserowymi, z rączką z masy perłowej. Tam cztery sztuki uważa się za komplet. Od pana Janka dostała posrebrzany kieliszek na jajko, od Ineczki grzechotkę, a od pani Danusi i pani Ziuty niemowlęcą włóczkę. Zapomniałam, że do szpitala pani Marysia przyniosła niemowlęcy komplecik: sweterek, rajstopki i czapkę, w rozmiarze na roczne dziecko, bo stwierdziła, że tych małych rzeczy ma dość. Z kupieniem tego pani Marysia czekała na wiadomość, czy to córka, czy syn, bo gdy rozmawialiśmy o kolorach, mówiłam, że we Lwowie dziewczynki ubiera się na niebiesko, bo w błękitach malują Matkę Boską, a chłopcom kupuje się ubranka różowe, bo tak bywa przedstawiany Jezus na obrazach. Wręcz przeciwnie jest w Wilnie i w Warszawie. Komplecik od chrzestnej był niebieski.

Jeszcze nie opisałam brytyjskich tradycji, dotyczących chrzestnej sukienki. Słyszałam już coś na ten temat od koleżanek Angielek w lotnictwie, a teraz zetknęłam się z tym bliżej, na żywo. Sukienka chrzestna, taka długaśna, jak przed pokoleniami, powinna być w użyciu właśnie od wielu pokoleń, bo jest symbolem jedności i wspólnoty danego rodu

czy klanu. Taka czczona pamiątka po iluś tam pra- pra- praprzodkach jest przewożona kolejno na każde chrzty w rodzinie. Albo przesyłana pocztą, tam, gdzie zawita nowy potomek takiej czy innej płci. I tam jest pieczołowicie przechowywana, aż do czasu, gdy ma pełnić następną swoją powinność. Nasza Kanadyjka w lecznicy uzgodniła wcześniej ze swoim mężem Szkotem i napisała po rodową sukienkę chrzestną do rodziców, aby dziecko było mocno związane z rodem, chociaż dzieli je ocean. Nie wiem, czy w dzisiejszych czasach nadal ta tradycja utrzymuje się w takim nowoczesnym społeczeństwie, na tym świecie, który bardzo się zmienił. To był rok 1947, czyli ponad pół wieku temu! (Jak ten czas leci, jak leci!...)

A mojej Elżuni uszyłam koszulkę, a raczej sukienkę chrzestną z nylonu. Adaś podczas penetrowania sklepów, w celu zaopatrywania się w przedmioty zabrania do kraju, natknął się gdzieś w domu towarowym na sprzedaż części spadochronów, bez kuponów i nabył taką część. Nylon był bardzo modny, szyło się z niego bluzki, firany i co tylko się nadawało. Sukienkę uszyłam dość długą, jak te angielskie, z karczkiem. Rekawki i dekolcik ozdobiłam cieniutką koronką. Wkładałam to córeczce dołem przez długie rozcięcie na plecach, a pod nią wkładałam koszulkę, którą zrobiłam z tej niemowlęcej włóczki. Czapeczka uszyta zawczasu okazała się za mała i musiałam włożyć Elżuni włóczkową. A nylony wystarczyło jeszcze na dwie damskie bluzki, w Polsce też modne i sprzedane dobrze.

Przez cały okres ciąży i jeszcze nadal pozostawałam w Pomocniczej Służbie Wojskowej Kobiet i otrzymywałam żołd. Normalnie zwalniano ze służby pestki w odmiennym stanie. Nikt mi tego nie proponował, bo nasza sytuacja w ogóle była nienormalna, więc to tak pozostawało, skoro i ja nie miałam nic przeciwko temu. Adaś otrzymywał wypłatę z racji zgłoszenia się do repatriacji. Odprawę z wojska dostawał częściowo, jako zaliczkę. Przyznano mu też dodatek rodzinny. Wszystko to razem wzięte nie dorównywało naszym stypendiom, czyli żyliśmy za dość znacznie mniejszą kwotę. Mieszkanie oplacaliśmy

aż o dwa funty miesięcznie drożej, czyli teraz osiem funtów. Jednak warunki były lepsze, woda i w kuchni z niekrepującym korzystaniem z niej i w łazience, gdzie pralo się pieluchy bez żadnego problemu i suszyło w ogródku za domem albo na długim, wciągającym pod sufit suszarko-wieszaku w kuchni, jak we wszystkich angielskich domach. Umebrowanie też wygodne: w sypialni wielki tapczan i miejsce na łóżeczko Elżuni, w pokoju pakowna szafa i bielizniarka, już dla nas ważne, bo gromadziliśmy odzież na wyjazd, czyli na przyszłość. Już szafa nie świeciła pustką, jak dawniej. Kanapa w pokoju i duży fotel wygodne były podczas karmienia dziecka. Na środku stół i krzesła i pod ścianami pianino i spiżarka. Znacznie wygodniej, w porównaniu z tym samym pokojem wyposażonym w minimum z licytacji i z tą kuchenką na drewnianej paczce. Wynagradzała to miła atmosfera, ale te wysokie piętra bardzo mnie męczyły. W nowej kwaterze łatwiej wychodziło się na spacer z córą, dobrze opatuloną w kocyki niesioną na rękach, póki nie miałam dla niej wózka. Przechodziłam przez jezdnię i siadałam na najbliższej ławeczce na skwerze, aby trochę pooddychać świeżym powietrzem, gdy tylko nie padało.

W czwartki pod naszym domem zjawiał się zwykle o tej samej porze trębacz i długo grał przepiękną irlandzką balladę, niezależnie od zebranych datków. Jeszcze nie starzec, a już całkiem siwy. W Anglii nie wolno było żebrać. To surowo karano. Wolno było zarabiać na ulicy śpiewem, graniem, żonglerką i magicznymi sztuczkami, to było dozwolone. Gdy w Londynie czekaliśmy w kolejce do kina, spotkaliśmy się z tym, że ktoś zarabiał demonstrowaniem różnych kolorowych wydzieranek z gazety, co zyskało uznanie publiczności i aprobatę przechodzących tamtędy dwóch policjantów.

Mówiąc o policjantach, powszechnie lubianych przez całe społeczeństwo, czego dowodem jest nazywanie ich zdrobniałym imieniem: Bobby, ku chwale założyciela policji, warto wyjaśnić, że wybierani są do tej służby jak najwyżsi z kandydatów, których dodatkowo podwyższa wysoki helm. Koleżanka WAAFka w Stanmore, z którą

dzieliłyśmy pokój pracując w lotnictwie, tłumaczyła nam, że ten helm specjalnie jest po to, aby Bobby był z daleka widoczny, zwłaszcza dla potencjalnych przestępców, którzy dzięki zauważeniu tego stróża porządku publicznego, uprzytomnią sobie, że ich zamierzony czyn jest bezprawiem i to ich powstrzyma przed popełnieniem go.

A ta druga WAAFka, Walijka, opowiadała, że z tych helmów nasmiewał się jej dziadek, zatwardziały nacjonalista Walińczyk. On kategorycznie odmówił uczenia się języka angielskiego, który uważał za narzucony i ubolewał, że rodzimy język walijski w szkołach Walii jest traktowany jako przedmiot nadobowiązkowy. Jego młodsze pokolenia musiały uznawać język walijski za rodzimy i uczyć się go z dziadkiem rozmawiać tylko po walijsku. Angielski musieli znać, jako urzędowy, lecz nie swój własny. O tym, że następca brytyjskiego tronu jest zgodnie z tradycją Księciem Walii wyrażał się, że powinien doceniać to jako zaszczyt.

Żyłam nadal z tym niecierpianym poczuciem tymczasowości, wciąż naszego losu niepewna, niczym mysz pod miotłą. Zrezygnowana obserwowałam wysiłki męża, który na „głowie stawał”, przekonany, że robi wszystko, co dla rodziny najlepsze. Krzątałam się koło naszego ruchomego mienia, do którego mieliśmy nadzieję dołożyć jak najwięcej rzeczy do zabrania ze sobą do kraju. Czekaliśmy z tym zaopatrzeniem na wypłatę reszty Adasiowej odprawy i mojego demobilizacyjnego. Chodziłam do sklepu na zakupy żywnościowe, zamówione mleko czekało zawsze rankiem na ulicy przed bramą domu i rzadko działo się coś ciekawego.

Chyba że te nieszczęsne „dogs nuts” (dosłowne tłumaczenie: psie orzechy). Kolejka sklepowa doszła do mnie i gdy otrzymałam wszystko, o co prosiłam, podano mi w przeźroczystym woreczku, tak jak wszystkim klientkom przede mną, ten jakiś rarytas. Trzy sztuki. Podziękowałam, zapłaciłam, wzięłam i ja, jak inni. Po drodze pomyślałam, że dam to sąsiadce, bo my psa nie mamy. Na szczęście! Nie chciała przyjąć, że tego specjału od lat nie było, że nie mogę zrezygnować

dla niej. Domyśliłam się, że to chyba jednak nie jest psi pokarm i dla świętego spokoju powiedziałam, że lubię. A dopiero od pani Marysi dowiedziałam się, że to galka muszkatołowa, której nie znalazłam.

Inna wpadka, to były „ginger cakes”, też wydawane klientom z uroczystą miną, po jednym opakowaniu. Ciastka zawsze mnie kusily, co dopiero przed wejściem do kina w przedjaciowym stanie. Z miejsca rzuciłam się na nie.

– Niebo w gębie? – zapytał mój mąż.

– Samo piekło i szatani! – odburknęłam i imbirowy pierniczek znalazł się w popielniczce, która się raz przydała i mnie! Ciastko było okropne, bardzo przesłodzone i okropnie piekące. Jak ten obiad, na który kiedyś z Adasiem wstąpiliśmy do hinduskiej restauracji: nie do przelknięcia! Sama ostra papryka i pieprz!

A w stołówce studenckiej kiedyś z Krysią Kowalską zamówiliśmy z napisu na tablicy: „Sweet bread”, co dosłownie zachęcało nazwą, jako słodki chleb. Podano nam coś w formie placka, usmażonego w panierce. Dziwna konsystencja, gumowato gąbczasta, bez smaku, coś nieokreślonego. Nie zjadliśmy, poza tym wmuszonym pierwszym kęsem. Potem pani Brown wytłumaczyła nam, że to było wymię krowie.

Niespodzianką okazał się nam słodki biszkopt, obficie potraktowany kminkiem.

Adaś otrzymał list, poszukujący go od dłuższego czasu, wędrujący przez jego kolejne wojskowe miejsca postojów, potem i cywilne adresy. Nadawcą był Michał Król. A właściwie już ksiądz Michał. Kolega z sowieckiego więzienia, do którego trafił jako kleryk. Mój mąż bardzo wzruszył się tym listem. Michaś donosił, że zakończył swoje kapłańskie studia, do kraju nie wraca, ponieważ jest księdzem i wyrusza na misje do Południowej Ameryki. Oczywiście obiecuje zaraz napisać, z nadzieją, że dostanie od Adasia od razu jakąś odpowiedź, gdzie jest. Opowie jak jest tam, dokąd się wybiera – i – kto wie – może się spotkają właśnie tam. List poszukiwał adresata tak długo, że stracił wiele na aktualności. Adaś odpisał, lecz bez szczególnej nadziei na nawiązanie stałego kon-

taktu z powodu naszego wyjazdu do kraju, ale też w nieznanym...

A od pana Wnukowskiego nadal nic...

Poplątały się nam kontakty z krewnymi w kraju i przez zmianę adresów i głównie z powodu tych terminów, wyznaczanych nam i cofanych. Ostatnio był transport tylko dla mężczyzn.

Niemal równocześnie dwa listy donosiły nam o śmierci żony Stasia, który pisał, że to była gruźlica. Ojciec żony Stasia od niego otrzymał nasz adres. Strapiony śmiercią córki oczekuje miejsca w transporcie do kraju, bo jego rodzina została „repatriowana” na Ziemię Odzyskane. Adaś zalatany i wciąż zalatwiający własne problemy poprzestał na liście kondolencyjnym, niewiele wiedząc o żonie brata, której nie znalazł.

Ja borykałam się z tuszą: 74 kilogramy na metr sześćdziesiąt cztery wzrostu i z garderobą, w którą nie mogłam się wcisnąć. Przeglądając swój niezbyt zasobny stan posiadania odetchnęłam z ulgą na widok jedynej bluzki, budzącej nadzieję. Na próżno! Za ciasne rękawy stanowiły przeszkodę i nie mogłam na nią liczyć. Nosilałam więc w dalszym ciągu ten ciężowy komplecik, który dzięki tym regulatorom długości i szerokości nadrabiał swój sfatygowany wygląd. Wreszcie nadeszło to mężowskie wyrównanie i pani Marysia poświęciła mi swój czas na pomoc w robieniu sprawunków. Zaczęłyśmy od pasa do pończoch i słusznie, bo sprzedawczyni dobrała mi mocno ściągający, toteż łatwiej udało się znaleźć i spódniczkę i bluzkę do niej, a także wymarzoną sukienkę. Ten pas, według zapewnienia sprzedawczyni, typowo angielski, był jej zdaniem błogosławiony przez wszystkie świeżo upieczone mamy. Na przodzie wzdłuż całości miał silne, metalowe zapięcie. Niczego podobnego nie widziałam nigdy, ani przedtem, ani potem. Trzeba jednak przyznać, że spełniał swoją rolę. Na medal. Garderoba została nabyta w kolorach granatowych i niebieskich, również sukienka, ozdobiona przy dekolcie i rękawach plisowaną ryżką. Istne чудо. Szkoda tylko, że karmiąca matka nie pomyślała o tym, że sukienka powinna mieć zapięcie na przodzie, a nie być wciągana przez głowę!

Cóż, pani Marysia takich doświadczeń nie miała, a ja za swoją gapiowatość miałam nikle szanse strojenia się w tę sukienkę. Zakupy poza tym wypadły niezłe i cieszyły nas, bo z własnymi kuponami, otrzymanymi na dziecko i na mnie, zupełnie inaczej chodziło się po sklepach.

Tymczasem mój małżonek zbierał informacje na temat, co warto ze sobą zabierać do Polski. Przywiózł kiedyś dość spory kuferek, drewniany, z obiciami metalowymi, zamykany na klucz. Nabył go za przyzwoitą cenę w sklepie ze starzyzną. Dokładnie w tym samym, w którym ja – po przeprowadzce z Seton Place, gdzie korzystaliśmy z kompletnego wyposażenia kuchennego, tamtejszego, łącznie z łyżeczkami do herbaty – kupiłam właśnie parę łyżeczek, bo tych nie mieliśmy w swoim przyborniku wojskowym. Był tam nóż, widelec i łyżka, tylko to nam można było zatrzymać na własność, nie mieliśmy więcej. Kuferek był jednym z paru. Adaś wybrał właśnie ten, gdyż zauważył na nim monogram: „M. B.” i pomyślał, że to mnie wrzusz jako monogram mojej mamy.

Listy od Leona i miejscowy wywiad utwierdziły nas w przekonaniu, że najbardziej brakuje w kraju obuwia i skóry na nie, tak na wierzch, jak i na podeszwy. Duże skórzane podeszwy znalazły się w domach towarowych bez kuponów, chociaż niezbyt tanie. Zaczął je więc Adaś po trochę kupować, licząc się jednak z wydatkami na bieżące życie.

Wreszcie, jako zgłoszona do repatriacji, dostałam wezwanie do swojej komendy w celu demobilizowania. Miałam prawo zatrzymać jeden komplet mundurowy i dwa koce i otrzymałam finansową odprawę. Odtąd całe nasze bytowanie zostało podporządkowane przygotowaniom do wyjazdu. Przestaliśmy już rodzinę w Polsce informować o zmieniających się wciąż terminach wyjazdu i przyjazdu tam, i obiecaliśmy zawiadomić ich o tym konkretnym telegramem. Zanim Adaś wyjechał do obozu repatriacyjnego po wyznaczenie ostatecznej i pewnej daty wyjazdu, kupiliśmy wózek dla córeczki. Nie był nowy, bo te nowe kosztowały około dwudziestu funtów, chyba że całkiem niziutkie, czyli bardzo niewygodne dla matki. Znaleźliśmy używany, w bardzo do-

brym stanie, wysoki, z materacykiem, umieszczonym na sztywnych, bocznych podpórkach dość wysoko nad pudłem wózka, gdzie można zapakować zapas pieluszek, kocyk, itp. Głęboka ciemna zieleń. Budka opuszczana i ceratka na ochronę przed deszczem. Cena sześć funtów i piętnaście szylingów, ale to był jeden z takich wózków, które jako nowe przekraczały co najmniej piętnaście funtów. Ogromnie się cieszyłam i zabierałam Elżunię na spacer, gdy tylko ulewnie nie padało. Nasza córka pojedzie do Polski ze swoimi meblami! Już tam odpadnie nam kłopot z poszukiwaniem i sprowadzeniem ich i nie grozi sytuacja tymczasowa, zanim by się nam udało tam to zdobyć. Przynajmniej tyle! Dobrze i to. Całe życie uczyło mnie poprzestawania na małym.

Muszę przyznać z prawdziwą satysfakcją, że spotykałam się często z ludzką życzliwością. Na przykład nasza sąsiadka z kamienicy państwa Michalskich, pani Dybasiowa. Nie tylko, wracając z wizyty u męża, przywiozła nam w kilku rzutach te temblaki na pieluszki, które okazały się świetnym jej pomysłem, ale przy najbliższej sposobności zawiadomiła nas o możliwości nabycia włóczki bez kuponów. To była czysta wełna, grubo maszynowo przedziona w poczwórny splot i nieodoliwiona po maszynowej obróbce. Dlatego właśnie sprzedawano ją bez kuponów i to bardzo tanio. Pani Dybasiowa wypraktykowała, że w bardzo gorącym praniu Persilem ten olej całkowicie się spiera i czysta wełna w kolorze „of white”, puszysta i miękka nadaje się na ciepłe, wspaniałe swetry. Bardzo skwapliwie skorzystałam z tej informacji i pojechaliśmy do wskazanego domu towarowego, w którym kupiliśmy ostatek zapasu, wystarczający na sweter z długim rękawem. Zrobiłam i wysłałam Dwidce, bo tam w Kraśniku mieli bardzo zimne mieszkanie, a matce Adasia już wcześniej wysłaliśmy ten gruby, granatowy, przerobiony z marynarskiego. Sama jako zmarzluch wiedziałam, że ciepła odzież jest potrzebna i mile widziana. Potem nieraz wybieraliśmy się do tego sklepu i udało się nam jeszcze raz trafić na nieodoliwioną czystą wełnę i nabyliśmy cały jej funt. Prana tym samym sposobem nie dorównywała tamtej, pierwszej. Była cieńsza, z trzech splotów, ale i twardsza i nie

taka puszysta. Przydała się, rzecz jasna, a potem pofarbowałam ją, już w kraju, na czysty wiśniowy kolor, gdyż wzięłam ze sobą z Edynburga zapas farbek, bo wypróbowałam, że są niezawodne i umiałam z nich korzystać. Ufarbowałam nawet dwie swoje ulubione bluzki. Tę ślubną farbowałam z żalem, bo, biała, pasowała do wszystkiego i tę niebieską. Nie mogłam mieć pretensji do Adasia, który chciał mi zrobić niespodziankę, wyprał te moje dwie bluzki, przy czym czymś je zafarbował i plam nie udało się usunąć. Miał takie najlepsze chęcił Nie pomógł nawet wybielacz, zaś odbarwacza jeszcze nie znałam. Gdy go odkryłam, naszykowałam razem z farbkami i zabrałam do kraju.

To zabieranie wszystkiego ze sobą stało się moją obsesją. Przy najmniej tak uważał mój małżonek. Wciąż nie mogłam pozbyć się pamięci o tych wszystkich brakach, jakie cierpieliśmy na zesłaniu. Tam dosłownie przecież wszystko normalnie było potrzebne, a niczego nie można było nabyć. Za żadną cenę. W dodatku i tak nie byłoby za co! Uważałam więc, że takie rzymskie przysłowie: „*beatus qui tenet*” – („szczęśliwy, kto trzyma”), czyli ma, powinno przemawiać do przekonania. I w tym przypadku do realizacji przede wszystkim. Mężczyźni jednak bywają innego zdania i jak, już doszło do pakowania naszego dobytku, mąż zawyrokował, że balastu nie pozwoli dokładać, że, na przykład, naczynia kuchenne są niepotrzebne, bo będziemy przy rodzinie, o czym myślałam bez entuzjazmu, bo (egoistka!) chciałam być na swoim, że talerze się potłuką, imbryk zajmuje za dużo miejsca i skoro zabieramy ze sobą sześćdziesiąt par zelówek, to będzie nas stać na to, aby dokupić na miejscu, co nam będzie brakowało. To na tym nie koniec! Moje grube zeszyty z tłumaczeniami anatomii Grey’a, praca dwóch lat, też uważał za zbędne, bo w Polsce, jego zdaniem, są polskie podręczniki, jeśli będą mi potrzebne, gdybym wróciła na studia. No i właściwie po co chcę ciągnąć ze sobą tę całą swoją korespondencję, skoro to już należy do przeszłości i tak nie będzie można jej utrzymać, nie da się zachować kontaktów. Nie powiedziałam, że sam pewnie żałuje, że swoich nie utrzymał, na przykład z Michasiem i z panem

Wnukowskim, nie chciałam dolewać oliwy do ognia, ale sama usłyszałam, że to nie ja będę dźwigała te ciężary, bo to już jest na jego głowie! Niestety, racja. Nie zrezygnowałam więc z korespondencji z moimi siostrami i szwagrem, z lat 1942-1947, ale tylko tyle udało mi się uchronić. Chora czułam się, gdy trzeba było się czegoś pozbawić. Prawdę mówiąc chyba się tej wady nie wyzbyłam, nie przychodzi mi to łatwo. Zawsze mi się zdaje, że coś się jeszcze może do czegoś przydać, jeśli nie mnie, to może komuś, bo kiedyś tego potrzebowałam, ale nie miałam. W dodatku miałam pamiętki i nie wszystkie, lecz sporo udało mi się uchronić. Z ubolewaniem uważałam siebie za „mamalygę – niezdare”, żali mi było, że moje argumenty nie miały siły perswazji i zaambarasowana codziennymi obowiązkami nie zdołałam zatrzymać zwłaszcza takiego żywego dokumentu epoki, jakim stały się listy Leonida Kliszewicza. Ten narzeczony mojej gimnazjalnej koleżanki, Stasi Bilińskiej, pisywał do mnie od wiosny 1943 roku, gdy znalazł mój adres w „Orle Białym” wydawanym w Bagdadzie, w rubryce „Poszukiwanie rodzin”. Początkowo cieszył go fakt, że mógł choć korespondencyjnie porozmawiać o Stasi. Przed wojną zaczął studiować prawo. Poznali się i zaręczyli już za sowieckiej okupacji. Jako rocznik dziewiętnasty, został wcielony do czerwonej armii wiosną 1941 roku, z wszystkimi rówieśnikami z naszych wschodnich ziem. Po umowie Sikorski – Majski, w sierpniu 1941 roku, zdołał dotrzeć do Armii Andersa i dostał się do broni pancernej. W jego listach, bezpośrednich, na bieżąco pisane gawędziarskim stylem relacje z ponad rocznego pobytu w Iraku, na wytężonych szkoleniach wojskowych, potem opis całej kampanii włoskiej, bez upiększeń czy tragizowania, realnie i bezpretensjonalnie dzielił się przeżyciami żołnierskiej doli, które miałam w planie przekazać na pamiętkę Stasi... Jak bardzo szkoda, że się nie zachowały... Stasi po wojnie nie spotkałam. Leonid zakotwiczył w Anglii... Wojna niejedne zniweczyła życiowe plany i niejedne poplątała losy... I pochłonęła tyle życia, tyle ofiar...

Wybrał się mój mąż do tego przejściowego obozu dla repatriantów. Zameldował nas z dzieckiem. Zasadniczo na statek dopuszczano niemowlęta w wieku co najmniej dziesięciu tygodni.

Kandydatów do wyjazdu obowiązywał pobyt tam na miejscu, w tym obozie. Przyjechał więc po nas do Edynburga, gdzie znowu wynikły jakieś nowe problemy, wymagające jego interwencji. Wszystko szło jak po grudzie i można było sądzić – że to jest jakimś prognostykiem, dającym znać o konieczności rewizji tego postanowienia powrotu do kraju. Adaś jednak całą swoją energię poświęcił na przyspieszenie wyjazdu. Już zasadniczo wszystko, cośmy zdołali nagromadzić, znalazło swoje miejsce w kuferku, w czterech marynarskich worach i w czterech dodatkowo dokupionych następnych workach, nieco mniejszych. Wszystko według wymagań podpisane wielkimi, drukowanymi literami, po wierzchu, białym lakierem. Tylko tyle, że ja osobiście musiałam się tam z dzieckiem zameldować i zamieszkać, jako już zarejestrowana do najbliższego transportu.

Adaś postanowił załatwić, co tam od niego wymagano. Miał też się spotkać z brytyjskim patronem repatriantów. Zdecydował więc, że ja pojedę do tego obozu, aby się zameldować z córą, aby nie stracić kolejki i nie czekać na następną okazję w nieokreślonym czasie, a on dołączy, jak najprędzej, gdy tylko to będzie możliwe, gdy załatwi resztę formalności. Oczywiście wierzył, że jego dzielna żona da sobie świetnie radę. Zapakowaliśmy zapas pieluch do podręcznej torby, przewiesiłam konduktorę przez ramię, owiniętą w kocyk Elżunię wzięłam na ręce, Adaś torbę z pieluchami i tramwajem odwiózł mnie na Waverly Station do pociągu. Dostałam bilet kolejowy, trochę pieniędzy „na wszelki wypadek” i wyruszyłam z Elżunią w podróż. Znalazłam miejsce w przedziale, w którym było tylko dwoje pasażerów, jakaś niewątpliwie szkocka małżeńska para. Starsi ode mnie pewnie o kilkanaście lat. Elżunia grzecznie spała, pasażerowie czytali, ja też miałam jakieś czasopismo i odpoczywałam po tej wielodniowej, przedwyjazdowej i nerwowej krzątaninie. O normalnej godzinie moja córka upomniała się o swoje prawa. Pasażerowie domyślili się, że dziecko jest głodne i wyszli z przedziału, abym mogła je swobodnie nakarmić. Podziękowałam i przygotowałam się dyskretnie, wykorzystując niemowlecy szal do osłony. Potem przewinięłam pannicę, ułożyłam i gaworzyła sobie

z zadowoleniem.

Pasażerowie, wróciwszy, zaczęli ze mną rozmawiać. Pytali o imię dziecka, wiek i cel mojej podróży. Dowiedziałam się od nich, że ten skład pociągu nie jedzie aż tam, dokąd zamierzałam, bo to jest jakiś miejscowy, a nie dalekobieżny i że muszę wysiąść, aby złapać przesiadkę, na którą trzeba w kasie bilet przepieczętować. Dopilnowali, gdzie będzie najkorzystniej, a gdy już wysiadałam, ta pani ofiarowała Elżuni monetę pół korony (dwa i pół szylinga). Nie chciałam jej przyjąć, lecz zapewniła, że jest to taka tradycja, bo nowe dziecko wita się zawsze upominkiem, a przecież w pociągu nie znajdzie i muszę sama. Wtedy oznajmiłam, że właśnie tę monetę zostawię Elżuni na pamiątkę od milej lady, z którą odbywała swoją pierwszą podróż koleją. Gdy już pociąg stanął, pomogli mi wysiąść. Chyba się im to moje przemówienie podobało, bo jeszcze długo machali mi przez okno na pożegnanie.

Z pieluszkowym workiem, zawieszonym na lewej ręce, z Elżunią w objęciach podeszłam do kasy, w celu podbicia biletu, do pociągu, który wkrótce miał nadjechać. Niestety. Musiałam dopłacić, bo ten był pospieszny! I – straszna rzecz! Zabrakło mi pół szylinga! Wyszłam na peron zdesperowana: co tu robić? I nagle przypomniało mi się, że kiedyś moje koleżanki znalazły się w takiej sytuacji i zobaczywszy polskiego oficera, podeszły do niego, wylegitymowały się, dały mu kartkę z adresem nowego obozu, poprosiły o jego adres i wtedy o pożyczkę... No, świetnie, ale co z tego? Ja nie mogę czekać, pociąg nadjeżdżie, nocować tutaj też nie mogę... I z tym bagażem i z tym dzieckiem... I nagle przez peron przechodził polski porucznik, a mnie oświeciło, że mam przy sobie zapas znaczków pocztowych! Wystarczy! Zdecydowanie podeszłam, krótko wyjaśniając wpakowałam mu te znaczki, podziękowałam i zdążyłam wykupić bilet i w przedostatniej chwili wsiąść do pociągu! Ufff! Jak to trzeba mieć ze sobą trochę więcej pieniędzy, na zapas. Tym bardziej w podróży. Więcej nigny!

Do obozu dotarłam jakoś. Zameldowałam się i przydzielono mi lokum w jednej z licznych „beczek śmiechu”, to znaczy w baraku, który nad betonową podłogą ma ściany i półkolistę z nich utworzo-

ny dach z karbowanej blachy. Te baraki były przedzielone wewnątrz na dwie części, w poprzek – każda z osobnym wejściem, jako osobna kwatery. Deszcz się rozpadał. Przewinęłam i nakarmiłam dziecko i wyruszyłam do kuchni. Dostałam jakiś prowiant i informację, że pieluch w kuchni nie suszą, ale można w baraku, jak się pali w piecyku. W opał zaopatruje się indywidualnie, w składzie, podano mi godziny posiłków, trzech dziennie. Mleko dla dzieci też wtedy można dostać.

Trudne to były dni. Szczęście, że tylko pięć... Aż pięć! Deszcz padał albo i lał, stukając dokuczliwie w beczkę ze wszystkich stron. Zimno paraliżowało najlepsze chęci wykonania. Właściwie nie wiadomo czego! Pieluszki prałam pod studnią, moknąc, potem, wykręcane z całej siły, rozwieszałam w baraku, ale nie wysychały. Kładłam je na swoje posłanie, czyli sam materac (bo nic nie miałam), aby je sobą dosuszyć, lecz to je najwyżej ocieplalo. I w takie zawijałam swoje małeństwo. Nie było pieniędzy na węgiel, nikogo nie znalazłam, miałam doprawdy tego dość, ale bez grosza nawet nie mogłam wrócić do Edynburga, co pewnie nic by mi nie pomogło. Czekalam na przyjazd męża, z dnia na dzień, wyobrażałam sobie, jak się tam niecierpliw, aby wreszcie dołączyć do nas. Dni wlokły się mokre i beznadziejne. Ogrzewałam niedoprane pieluchy, tuliłam dziecko i opowiadałam bajki o słońcu. Razem z córką zaczęłyśmy kaszleć na dwa głosy, a syropu w izbie chorych zabrakło. Za ścianką młodzianka Włoszka, żona polskiego żołnierza wyśpiewywała: „O sole mio...”, owszem, bardzo dźwięcznym sopranem, lecz często zaczynała zbyt nagle i budziła Elżunię tak przestraszona, że płakała. Czasem, gdy z trudem dawałam radę pompie, kiedy biegłam do odległej umywalni, też moknąc po drodze i denerwując się o dziecko, pozostawione bez opieki. Kaszlałyśmy coraz gorzej i czułam się strasznie opuszczona. W końcu sama sobie czyniłam wyrzuty, że zamiast po lwowsku trzymać fason, nawet w najgorszej sytuacji, staję się malkontentką.

Wreszcie przyjechał! Ufff! Gdy nas odnalazł, wpadł z zapowiedzią przywiezienia naszych ruchomości wynajętą bagażówką. Nie byłam pewna w pierwszej chwili, czy rzucę mu się na szyję, że już wreszcie

jest, czy obsypię wymówkami, gorzkimi wymówkami, za te wszystkie tutejsze niedogodności. No, ale już był! Przydzwigał cały nasz dobytek, poustawiał, rozejrział się i rozczulił, że aż tak długo borykałam się tu sama. Przejął się naszym kaszlem, kupił lek, kupił syrop, bo tego nie mieliśmy.

Ustalono wypłynięcie na dzień 9 czerwca 1947 roku. Statek „Easter Prince” („Wschodni Książę”) przewoził polskich żołnierzy jako repatriantów do kraju. Tych żołnierzy, którzy często jako ochotnicy zgłaszali się do Wojska Polskiego, uciekając z kraju do Francji, do Sikorskiego, docierając z olbrzymich przestrzeni azjatyckich do Andersa, oraz do tych, którzy walczyli na różnych obcych ziemiach i nieraz w obronie obcych krajów i obcych interesów, aby odzyskać wolność Polski. Wracają zdesperowani, oszukani, z poczuciem ogromnej krzywdy, zawdzięczanej przyjacielom – aliantom. Wracają do odnalezionych rodzin, albo celem odszukania ich. Wracają na niepewny los. Wielu – nie do swoich domów, bo je odebrano, z większą częścią ojczyzny. Wracają, bo na całym szerokim świecie nie ma dla nich miejsca, w którym czuliby się u siebie. Są tam już zbędni, a niepotrzebni mogą odejść. A może powinni odejść? Albo – muszą?

Mój Boże!... Czy my słusznie robimy, dołączając do nich!? Czy nie będziemy żalować? Za późno?...

W ostatnim dniu deszcz się opamiętał i po raz pierwszy wywiesiłam pieluszki przed „beczką śmiechu”. No, przynajmniej pojedą suche, bo dotychczas tamte podsuszane przez mnie własnym ciałem, wcale suche nie były. Obie z córeczką to odchorowujemy, bo kaszel nie ustępuje, raczej się nasila.

Zostawiliśmy przy sobie walizkę, którą Adaś kupił, dość dużą i porządną, przed opuszczeniem Edynburga, worek z pieluchami, Adaś wziął teczkę ze swymi przyborami podróżnymi, a całą resztę zładujemy na bagaż, z łóżeczką i wózkiem na czele. Załadowaliśmy się, grzecznie stojąc w kolejce. Pannica nasza miała dziewięć tygodni, czyli brakowało jej jednego tygodnia, wymaganego do zaokręgowania zgodnego z regulaminem. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Na statku komenderowano: mężczyźni tędy, na ten pokład. To była wielka wspólna sala. Kobiety z dziećmi w tamtą stronę. Tam są kajuty dla matek z dziećmi.

Znalazłam się w kajucie z pięcioma innymi matkami i z ośmiorgiem dzieci. Oprócz mnie była jedna Polka, reszta to Szkotki, żony Polaków. Najstarsza z dzieci, Susan, była bardzo miłą, pięcioletnią dziewczynką. Jej brat miał dwa latka. Susan bardzo interesowała się Elżunią, najmłodszą pasażerką w naszej kajucie (i nie tylko!). Przyglądała się, jak małą układam w siatkowym malutkim łóżeczku, głębokim chyba na więcej niż pół metra, na przytwierdzonym do siatki materacyku. Łóżeczko było przymocowane do ramy mojej koi, piętrowej. Do kajuty przylegała jedyna umywalka z ustępem. Nie był to z pewnością luksus dla tylu osób.

Mężowie pasażerek odwiedzili nas na krótką chwilę, aby nie przeszkadzać, lecz zorientować się, gdzie ich rodzina ma swoje lokum. Zdażyłam przyznać się Adasiowi, że mam nadzieję na spokojne trzy doby podróży, wbrew swoim snom w tę pierwszą noc po urodzeniu córy, gdy śniła mi się beznadziejna burza na morzu i rozpaczliwe moje biganie z dzieckiem na rękach i bezowocnym nawoływaniu i jego poszukiwaniu. A sen był dość złośliwy, bo po przebudzeniu się i ponownym usypianiu, znowu się powtarzał, z maniackim uporem, wartym lepszej sprawy. Oczywiście zbył to śmiechem, wytłumaczył, że taki sen był po prostu wynikiem nieprzespanych ostatnich nocy i przecież: „sen – mara, Bóg – wiara”. Karmienie niemowląt odbywało się bez zakłóceń, gdyż obok Elżuni był tam jeszcze prawie roczny chłopczyk. Pranie pieluszek – w umywalce, a suszenie na obrzeżach własnej koi. Na posiłki, które trzy razy dziennie oznajmiał nam gong, schodziliśmy do jadalni, na zmianę, zostawiając którąś matkę z maluchami w kajucie. Elżunię jeszcze karmiłam sama. Niestety, obie kaszlałyśmy coraz bardziej, tak że ostrzegłam Susan, aby się za nadto nie zbliżała i nie zaraziła.

Nadeszła pierwsza noc na statku. Morze Północne, z początku tylko wzburzone, w nocy rozszalało się niesamowitym sztormem.

Rzucalo nami niczym bezradną lupiną. Statek zdawał się trzeszczeć we wszystkich spojeniach. Dziecięce łóżeczka huśtały się tak, że groziło to przewróceniem ich do góry dnem. Wzięłam córeczkę do siebie, mocno trzymając w objęciach modliłam się o litość nad niemowlęciem. Była wprawdzie przywiązana do kapoka, jednak mimo to nie mogłaby się uratować z topieli, zalana zimnymi falami, powalona zachłyśnięciem się wodą. Wszystkie kobiety tuliły swe dzieci na kojach, wtulone w poduszki ratunkowe, a dzieci, zbyt przerażone, nawet nie płakały. Polka usiłowała śpiewać „Kto się w opiekę...”, któraś Szkotka wołała: „God save!”, a sztorm jeszcze silniej atakował nasz statek, jak gdyby chciał udowodnić, „kto tu rządził?”. Zdaje mi się, że niewiele w życiu było takich nocy, które bardziej beznadziejnie dłużyłyby się. Na ostatku i dzieciom było już za wiele. Gdy jedno się rozżaliło, pozostałe zawtórowały i trudno już było się rozeznąć, czy to płacz, czy sztorm góruje okropnym hałasem. Brzask, jeszcze skąpy i niepewny, nie zwiastował żadnej ulgi. Senne główki umęczonych dzieci kiwały się, spragnione snu, do którego nie dopuszczała wściekła aura. Tu i ówdzie płacz przerywało ziewanie. Dopiero po wschodzie, który był niewidoczny przez nasz bulaj i zasłonięty chmurami, morze zaczęło poprzestawać na silnym, lecz rytmicznym kołysaniu, jak gdyby wracało do normy. Powoli dzieci zaczęły usypiać. Wreszcie nakarmiłam córeczkę, co przy szalonych podrzuceniach było w ogóle niemożliwe, chociaż to była jej pora. Z wolna i matki usypiały, wykończone taką nocą.

Przez cały czas trwania nocnego sztormu pamiętałam mój sen... Już mi się to w życiu zdarzyło, że przeżyłam sen, który można by uznać za proroczy. Tak było przed wywiezieniem nas do Kazachstanu... Tej ostatniej nocy nie biegłam na jawie po statku, jak we śnie. Chroniłam dziecko, jak tylko zdało mi się to możliwe, a o męża modliłam się tak samo, jak i o nas, o przeżycie tej nocy, tej burzy.

Wiedziałam, że w tej sypialnianej sali wspólnej dla wszystkich mężczyzn, oni też przeżywają koszmar, zamartwiając się o swoje rodziny. Domyślałam się również, że nie pozwalają nikomu stamtąd wychodzić, bo w razie ostatecznego zagrożenia chaos zwiększa trudności

w ratowaniu. I faktycznie tak było. Mężowie zaglądali do nas już przed śniadaniem, dowiadawali się, jak zdołaliśmy przetrwać. Kaszel Elżuni nasilał się i biedulkę bardzo męczył. Mój też, aż czasem niekiedy brakło mi tchu. Morze przestało szaleć i podróż do kraju, mimo tak ograniczonych warunków tego zakwaterowania, odbywała się normalnie. Cóż, podróżowałam już w gorszych warunkach. To była moja trzecia podróż, ale pierwszy sztorm. Pewnie nie byłoby to takie groźne, gdyby nie szło o dzieci...

Kaszel uniemożliwił mi przyjmowanie pokarmów. Klęska. Trzeciego, ostatniego dnia podróży nie miałam czym nakarmić dziecka!... Poszłam do kuchni z prośbą. Dobroduszny szkocki kucharz wysłuchał mnie cierpliwie i zapytał, ile miesięcy ma moje dziecko.

– Dziewięć tygodni – przyznałam niezbyt chętnie, wiedząc, że tydzień brakował pannicy do zezwolenia na rejs, ale chodziło mi o taką żywność, która maleństwu nie zaszkodzi.

– Dziewięć tygodni!? Kto to widział takie małe niemowlę męczyć taką podróżą? I to przez Morze Północne! Żeby chociaż sześć miesięcy! Nie mamy tutaj nic dla takich niemowląt, żadnego mleka w proszku... Tylko grysik gotowany na mleku skondensowanym.

– Proszę! I jeszcze wodę przegotowaną do butelki.

Nalóżyl mi ten grysik na talerzyk, dał łyżeczkę i wodę. Podziękowałam uszczęśliwiona. Córa zjadła z zadowolonym mlaskaniem dość sporo i popiła chętnie swój ostatni na statku posiłek.

Mała Susan przyszła pochwalić się, że umie mówić po polsku. Zachęciłam i usłyszałam:

– „I’m going to my babcia. Babcia is waiting me” („Jadę do mojej babci. Babcia mnie oczekuje”).

– Ślicznie! Powiedz jeszcze: „kochamy babcie”, babcia się bardzo ucieszy. Powtarzała za zapalem, gdy się dowiedziała, co to znaczy i poszła braciszka uczyć słowa „babcia”. Teraz z kolei jej matka ogłosiła, że na powitanie teściowej zna świetny kawał po polsku, mianowicie:

– „Nie taki diabeł straszny, jak go malują” – i zaśmiała się zachwycona piorunującym wrażeniem, jakie na nas wywołała. Obie Polki mu-

sialyśmy długo się tłumaczyć i przekonywać, że broń Boże nie można tak nigdy powitać polskiej matki męża! Ręczyłyśmy, że nie ma takiego poczucia humoru i weźmie jej za złe i nigdy nie zapomni. Pewnie nie wybaczy. Szkoda jej było zrezygnować, aż w końcu pochwaliła się tym swojemu mężowi, dla którego to też miało być niespodzianką! Ufff!

Tymczasem statek, z którego widzieliśmy Syrenkę, mijaną w Kopenhadze, następnie białe domki z czerwonymi dachami, na zielonym brzegu Szwecji, niczym na obrazku, wolno zbliżał się już do Bałtyku... „Morze, nasze morze...” jak w piosence... Ale nie jak w tej innej: „gdzie Bałtyk turkusowy”. Widziałam niejedno morze i przepłynęłam, ale to jest nasze morze... widziane pierwszy raz...

Po przeszło siedmiu latach powrót... Powrót! Powrót to byłby tam! I nie tędy... Do Polski! Do Polski... Nie do takiej, do innej, odmienionej... Wszystko inaczej?... Nie wiem. Nie wiem...

Mężowie pasażerek przyszli pomagać w pakowaniu, ubieraniu dzieci. Żegnamy się. Przeżyłyśmy wspólnie nocny koszmar. Dzielnie. Życzymy sobie wszystkiego najlepszego. Nie wiemy, co nas czeka, co? Jak się potoczy to nasze dalsze życie i czy to przybycie do kraju zrujnowanej wojną i do tych ludzi tak bardzo wymęczonych tymi latami niewoli miało sens? Jeszcze nie wiadomo...

Adaś bierze cały bagaż: walizę, teczkę, worek pieluch, bo Elżunię niosę sama. Taka malutka. Taka kaszląca i w takiej ciężkiej podróży... Bieduleńka...

– Nie martw się, przecież czekają na nas i Leon i Staszek. Z ich pomocą damy radę i z tymi wszystkimi bagażami i z przesiadkami do tego Kraśnika... Żebyście tylko tak nie kaszlały – pocieszał.

Niestety dziecko zanosilo się kaszlem, a i mnie męczył aż do łez. To była cena pobytu w obozie dla repatriantów. A sztorm w tej lupinie też nie pomógł. Na tyle sobie zasłużyli Polacy, za wspólną walkę, za obronę Londynu, za Monte Cassino, lojalność i wierną służbę?... Aż na tyle?...

Oto już port. Pilotują statek do właściwego akwenu. Cumujemy.

Hymn. Jeden i drugi... Raporty, formalności. Czekamy w tłumie. Można schodzić. Gdańsk... Miasto niegdyś nasze, będzie znowu nasze...

Pożegnaliśmy Wyspę w Edynburgu, w porcie Leith. A teraz żegnaj Eastern Prince, jako ostatni skrawek Wielkiej Brytanii. Żegnaj gościnnie Albionie. Bywało mi tam i dobrze i nie zawsze... Kropla goryczy... Wspomnienie nie pozbawione smutku... To już pożegnanie.

Witaj mi, Kraju, gdzie kruszynę chleba...

Kraju przez tyle lat utęskniony, tyle lat!... Siedem lat i dwa miesiące... Całe wieki...

Poprzez Azję, Afrykę i Zachodnią Europę dążyłam do ciebie... Do swoich, spośród obcych, tyłu obcych...

Nigdy nie wyrzekłam się ciebie. Przybyłam z trema, z wątpliwościami, z niepewnością, co nas tu czeka...

Ale przybyłam w końcu. Jesteśmy w Polsce, u siebie.

Witaj, Polsko.

Panie Boże, błogosław: koniec tułaczki.

Epilog

Dwunastego czerwca 1947 roku wróciliśmy do Polski z Wielkiej Brytanii. W lipcu Wanda wróciła z Bejrutu. Stomatologię ukończyła w Poznaniu.

Na początku zakotwiczyliśmy w Krakowie. Mojego męża przyjęto na studia, nawet nie odmówiono fundowanego stypendium na kolei, o które się starał. Jednak jako student nie zgodził się na wstąpienie do komunistycznego Związku Młodzieży Studenckiej, do czego nakłaniali go koledzy. Nie wygłosił również podsuwanych mu, gotowych już odczytów na temat pożałowania godnych warunków pracy i życia klasy robotniczej w ustroju kapitalistycznym, na przykładzie Wielkiej Brytanii, jakoby znanych mu z autopsji. Gdy uniemożliwiono mu studia, pozostał na kolei, zatrudniony w Wojewódzkiej Przychodni Kolejowej,

jako pełniący obowiązki lekarza (różne zastępstwa), z uposażeniem niekwalifikowanej pielęgniarki, bo przecież takich kwalifikacji istotnie nie posiadał.

Moje poszukiwania pracy kończyły się niepowodzeniem. W półtora roku po Elżuni urodziłam Terenię, po dwóch i pół roku po niej, Jurka. Jednak nie to decydowało o moim bezrobociu, bo przecież kobiety miały dzieci, sieć żłobków i przedszkoli przejmowała opiekę nad dziećmi pracujących matek, których urlopy macierzyńskie ograniczały się do trzech miesięcy.

Nie byliśmy „u siebie”. Dość długo tułaliśmy się po rodzinie.

Wreszcie ktoś wyjaśnił nam nasze „status quo”. Po prostu byliśmy tymi niepewnymi elementami z kapitalistycznego Zachodu! Trzeba było zmienić swój wizerunek, całkowicie. Mąż wbrew oporom zdecydował się na zdobycie kwalifikacji felczerskich na kursie, uprawniającym do wykonywania zawodu. Mógł już samodzielnie pracować w wiejskich Ośrodkach Zdrowia.

Mnie pouczono, że mam zrezygnować ze swojego obciążającego życiorysu. Ani słowa o wywiezieniu (nawet w tak dyplomatycznej formie: „o ewakuacji”) do Kazachstanu, zwłaszcza, że ze Lwowa. Na to skazywani zostawali wrogowie komunizmu, czyli wrogowie naszych przyjaciół. Ani słowa o wstąpieniu do Wojska Polskiego, bo przecież nie chodziło o Armię Berlinga, tylko tego Andersa, który zostawił Związek Radziecki w potrzebie i uprowadził ze sobą całą Armię, zamiast rzucić ją razem na Niemca! Ani słowa, broń Boże, o szkole w Palestynie – kolebce chrześcijaństwa! Fakt przybycia z Wielkiej Brytanii także najlepiej ominąć.

Życiorys powinien zawierać pochodzenie robotnicze (świetnie: ojciec był drukarzem!), ewentualnie wzmiankę o małżeństwie i dzieciach, zapewnienie gotowości do solidnej pracy dla Polski Ludowej i „przyznanie się” do braku jakichkolwiek świadectw, utraconych podczas wojennej zawieruchy. Posiadane dokumenty należy pochować i zabezpieczyć, bo nigdy nie wiadomo, które i na ile mogą narobić kłopotów. Przestałam wreszcie wszystkiemu się dziwić. Uczylam się życia.

Niewiele by mi to pomogło, gdyby nie dłoń wyciągnięta z pomocą, a może nawet ratunkiem. Zawdzięczaliśmy ją mojemu szwagrowi, mężowi Dzikki, Leonowi. Wiedział o naszych kolejnych przenosinach do wiejskich Ośrodków Zdrowia, kiedy trzeba było zwolnić dla lekarza ten zajmowany dotychczas. Odwiedził nas któregoś lata na wsi, zobaczył warunki bytowania, lepsze wprawdzie niż gdzie indziej, ale zorientował się przy tym, do jakiej szkoły uczęszczają nasze dzieci, bez żadnych perspektyw na dostanie się do średniej szkoły. Zdobył się na zabranie nas do siebie, co bez żadnej przesady było wielkim poświęceniem o randze bohaterstwa. I to nas uratowało.

Dzięki niemu otrzymaliśmy pracę w Kraśniku. Mąż w swoim zawodzie, ja w Bibliotece Powiatowej, gdzie w ciągu trzynastu lat pracy na stanowisku kierowniczym zdobyłam kolejno wykształcenie bibliotekarskie, potem specjalizację bibliografia, wreszcie, na studiach eksternistycznych Filologii Polskiej Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie, dyplom magisterski. Dopiero wtedy odetchnęłam uspokojona, że już nie grozi mi bezrobocie, które długo było moją udręką.

Po paru latach zostałam służbowo przeniesiona do szkolnictwa, gdy w Kraśnickim Liceum zabrakło nauczyciela języka angielskiego i w żaden sposób Wydział Oświaty nie mógł znaleźć nikogo na to miejsce. Nawet studenta nie udało się zdobyć i nie było kim obsadzić wakat, a język angielski był już tam wprowadzony do programu od kilku lat. Nie chciałam, w bibliotece miałam wysokie kwalifikacje, bałam się zaczynać od początku. Mógł przecież za rok przyjść ktoś z pełnymi kwalifikacjami anglisty, i wysadzona z siodła, zostałabym na lodzie. Wreszcie, gdy zagwarantowano mi umożliwienie ukończenia odpowiedniego kursu, dającego prawo nauczania tego przedmiotu, musiałam się zgodzić. I tak się stało. Z Kraśnickim Liceum byłam związana od 1971 roku do 1991 roku, niemal do siedemdziesiątki. Wspominam te lata, bo zawsze lubiłam dzieci i młodzież i grono koleżeńskie, chociaż przeważnie znacznie młodsze, też było przyjazne. Dzięki pracy mogłam przyczynić się do kształcenia dzieci. A dzieci są najważniejsze.

Nasze kontakty z przyjaciółmi pozostającymi w Edynburgu zo-

stały, zgodnie z radami rodziny, ograniczone do lakonicznych, krótkich życzeń i paru zdań na temat zdrowia, pisywanych w ten ostrożny sposób, żeby nie sprawiały wrażenia jakiegoś umówionego szyfru. Jednak ten pierwszy list od państwa Wyczółkowskich zaszokował nas, szczególnie mnie, widomością. Otóż pan Wnukowski, objeżdżający służbowo południową Azję, wróciwszy po półrocznej nieobecności do domu, zastał tam list, którego matka mu nie wysłała, gdyż stale zmieniał adresy. W odpowiedzi na ten list natychmiast wysłał przyjacielowi formularze do wypełnienia, wymagane przy zaproszeniu rodziny. Ten list dotarł do Edynburga dokładnie w tydzień po naszym wyjeździe. Tak wyglądała relacja, dla nas całkiem jasna.

To był właśnie ten tydzień! O ten tydzień wcześniej, niż zezwalało na zaokrętowanie niemowlęcia, o ten tydzień, na siłę przyspieszony, chodziło! Oczywiście rozważałam różne wersje na temat tego tygodnia. Na co zdecydowałby się mój mąż, gdyby list się nie spóźnił! Albo, gdyby tak uparcie nie przyspieszał naszego wyjazdu, a ten następny nie wypadłby tak szybko po poprzednim? Co by, gdyby... Te moje przelewania z pustego w próżne mąż skwitował uwagą, że widocznie tak miało być... Może?... Górale mówią: „człowiek myśli, Pan Bóg kryśli!”. Koniec. Kropka. Przepadło.

Od państwa Wyczółkowskich parę razy dostaliśmy paczkę z wyrośniętymi sukieneczkami Ineczki, a raz w jednej były dwie paczki daktyli. Zostawiłam córkom (bo wtedy tylko one były) jedną paczkę, drugą sprzedałam w komisie delikatesowym i pieniądze odłożyłam na jabłuszka dla dzieci. Starczyły na dwa tygodnie. Adaś dorabiał zastrzykami po domach pacjentów, ale to było niewiele.

Parę lat jeszcze przebywali państwo Wyczółkowscy w Edynburgu, zanim zachęcenі przez swoich dawnych lokatorów Krzyska Madeja i Adama Aleksandrowicza nie przenieśli się, jak oni do Kanady. Zamieszkali z dziećmi: Ineczką i Markiem w Toronto. Jakoś się tam asymlowali i nie tracili z nami kontaktu. Stale pisali, o planowanej wizycie w Polsce. Nie bardzo miałam nadzieję.

A jednak przyjechali w 1966 roku. Byłam wtedy w Krakowie,

u Wandzi, która z mężem i z Marysią, jedynaczką wyjechała na wakacje. Spotkaliśmy się w Krakowie, po dziewiętnastu latach! Adaś przyjechał z Kraśnika na to spotkanie. Wzruszające. Oni przyjacielscy tacy, zastrzegli sobie od razu, że mamy sobie mówić po imieniu, skoro wypelziliśmy (my) już z tego kokonu młodości i przyjaźnimy się od tylu lat. No, tak. Trochę posunęli się w wieku. Ona starsza ode mnie o piętnaście lat, Janek od niej o osiem. Zmaleli jakoś, ale oczy nadal oboje mieli takie, jak to myślałam: „bezkarnie” niebieskie. I uśmiech ten sam, pełen zrozumienia i dobroci. Opowiadaliśmy sobie nawzajem o swoich losach. My trochę pobieżnie i chaotycznie, oni z zachowaniem chronologii i obiektywizmu. Opowiedzieli też o losach rodziniki z New Haven. Pani Ziuta zmarła na gruźlicę. Pani Danusia wyszła za męża za pana Staszka Maj i nadal mieszkają w Edynburgu. Po sprzedaniu swej kamienicy kupili mały hotel w pobliżu Princess Street, z którego mogą żyć. Opowiedzieliśmy sobie też o naszych rodzinach, z trudem odszukiwanych po wojnie, co tak bardzo nas wszystkich absorbowało. Przez te dwa dni spędzone z nimi mogliśmy oderwać się od swojej niezbyt łatwej codzienności, zanurzyć się w atmosferze przyjaźni – niedzisiejszej.

Nie przewidywałam zaproszenia kuzynki, Marylki Szmigielskiej-Jarosewicz, do odwiedzin jej w Stanach Zjednoczonych, gdzie z mężem i synem wylądowała po wojnie. Mieszkali w stanie Illinois, niedaleko miasta San Louis, po wschodniej stronie Mississippi, w Alton. Odwiedziny wypadły w 1977 roku. Równocześnie zaprosiły mnie też siostry Thielówny, trzy przyjaciółki – harcerki, z czasów przedwojennego Lwowa. Uznały, że skoro będę już tak blisko stanu Michigan, to powinnam odwiedzić je w Ann Arbor. Właśnie tam ich znajoma usłyszawszy, że maturę zdawałam w Palestynie, skontaktowała mnie z absolwentką naszej szkoły, Terenią Dzierzbicką-Głowacką. Ona zawiozła mnie na zjazd koleżeński w Toronto. Spotkałam tam tylko jedną koleżankę z mojej klasy, niezapomnianą Olę Dąbrowską oraz dwie współtowarzyszki z zesłania w Tas Bulaku: Krysię Marchut i Marysię Schmall, młodszą córkę tej pani, która umożliwiła Wandzi otrzyma-

nie skierowania na studia w Bejrucie. (Jaki ten świat mały!). W Toronto skontaktowałam się z Wyczółkowskimi, którzy zaprosili mnie razem z Terenią. Mieli bardzo ładne, czteropokojowe, komfortowe i funkcjonalne mieszkanie w trzydziestopiętrowym bloku, na piętnastym piętrze. Ozdobione pięknymi obrazami, pędzla Marysi. Przyznała, że tę żyłkę odkryła w sobie na starość. Moim zdaniem to raczej talent. Jestem nie-
możliwa, nie powstrzymałam się i policzyłam! Pięćdziesiąt! Przeważnie kwiaty, ale też drzewa i pejzaże, najmniej portretów. Jakie pięknel! A na długim wzdłuż całego apartamentu balkonie, odpowiednio szerokim, cały ogród! Oczko w głowie Janka! Także coś wspaniałego. Jaki azyl na starość... Całym pracowitym życiem zasłużony...

Ineczka, z mężem Kanadyjczykiem i dwójką dzieci, mieszkała w Toronto. Przyjechała na spotkanie ze mną, po trzydziestu latach. Była trzyletnią „Ineczką-panieneczką”, gdyśmy żegnali przyjaciół w Edynburgu, ale twierdziła, że pamiętała „panią Alę z córeczką Leżunią”, na takim jednym spacerze z wózkami, bo dostała też wózek i wiozła w nim swoją Leżunię. Nie pamiętała, że z tego jej wózka, powojennej, dość tandetnej produkcji, odpadło kółko i spacer zakończył się łzami... Marek, syn Wyczółkowskich, tak długo oczekiwany, również mieszkał w Toronto, z rodziną. Nie poznałam go, bo właśnie w tych dniach nie było go w mieście.

A potem jeszcze w Ann Arbor odwiedziły mnie dwie bliźniaczki Dąbrowskie: Ola z Micią Suchowską, które porwały mnie na dwa dni do siebie. W Chicago byłam u Hanki Pstrokońskiej-Barski, spotkałam jej siostrę Baśkę, Irkę Piątek-Zapaśnik, która z mężem pokazała mi Chicago, oraz kilka innych koleżanek z klasy. Irka Świstunowicz-Wojtasiewicz zaprosiła mnie do siebie przed odlotem ze Stanów, poświęciła mi parę dni ze swego krótkiego urlopu, pokazała śliczne okolice Providence i odwiozła na lotnisko w Nowym Jorku. Z koleżankami jestem w kontakcie, listownym, lecz też spotkałyśmy się parę razy na organizowanych przez nie zjazdach, ostatnio – w Polsce, gdzie Irka odwiedziła mnie parę razy w Gdańsku. Tyle miłych spotkań, choć dzielą nas dziesiątki lat! I morza...

Tylko od Wyczółkowskich, od dawna, nie mam wiadomości, a ta ostatnia donosiła o dusznicy bolesnej Marysi, która zapowiadała planowaną zmianę mieszkania na znacznie mniejsze, łatwiejsze do utrzymania. Przeżyli wcześniej tragedię, bo Ineczka zginęła w wypadku, gdy przeprowadzała przez jezdnię staruszkę i osłoniła ją przed pędzącym samochodem. Narkoman spowodował wypadek. Nie wiem nic o ostatnich latach dwudziestego stulecia tej rodziny...

Czas zatarł te przyjazne kontakty.

Ale aż tyle, tyle przyjaźni spotkało mnie w życiu. Aż tyle serdecznych wspomnień zaoszczędzonych na starość. To bardzo wiele...

Gdańsk, 6 marzec 2007 r.

Ballada prawdziwa o Janie i Marii Wyczółkowskich

Niczym ptaki wędrowne
lejące ku gwiazdom
zawiesili
gdzieś
między niebo
a ziemię
swe kolejne gniazdo
na piętnastym
piętrze.

Jesień
jesień życia
się złoci
spokojna
mądra
zadumana nad światem
dobroci
pełna
odmierza dni
treścią bogate
zasobne w pracę

Leć, piosenko nasza
płyń skrzydlata
byłaś z nami
poprzez wszystkie lata
rozśpiewana
rzewna
i stęskniona
zakochana
w naszych stronach...

Pamiętasz, Janku?
Na piętnastym piętrze
szczęście
słucha
wspomnień...

Te widoki moje
drzewa
lasy
to wspomnienia...
– Malujesz je tęczę
A te kwiaty
Maryś
twoje kwiaty
jakże jesień
naszą
czynią
bardzo
piękną.
Każda ściana
spójrz
tyle obrazów
każdy obraz
tyle ma wyrazu
i pulsuje
twego serca biciem
i żyć będzie
dłużej
niż
trwa życie...
– Wszak to wszystko
praca nasza
wspólna

cóż ja?...
tylko
szczęście przенiosłam
na płótna
zaś twe serce
pomoc
zrozumienie
te obrazy
blaskiem
opromienia...
Na piętnastym piętrze
gamą barw
gra szczęście.
Chodź, odpocznij
zrobiłem ci kawę-
– Już, dziękuję
ziółka
ci zaparzę-
– A więc dobrze
usiadźmy
we dwoje
razem-
– W ogródku
na balkonie

W ogródku na balkonie
Słońce zachodzi
Czerwono
A pelargonie
Płoną.
W skrzynce
pomidor
dojrzewa

i pną się
ku górze
dorodne
chińskie róże.
Jan czarownik
ręką ogrodnik
tajne czyny
swym kwiatom
zadaje
aż wpatrzone
w niebo kanadyjskie
przemawiają
wonne
polskim majem
wdzięcznym groszkiem
pachną
i fiołkami
niech się schowa
słynny
ogród Semiramis...
Balkonowy ogródek
pełen cudów
każdy liść
wspomnieniem szeleści
każdy kwiat
pamięć jakąś
pieści
zielen
oczy nasycy
soczyście
i zwierzenia
ciche
szepczą liście...

Na piętnastym piętrze
jasno
kwitnie szczęście.

– Pamiętasz, Janku?...

– Pamiętam
pamiętam
byłaś zawsze
niezawodna
uśmiechnięta
na chorobę dobra
ból, trud
starość...

– Nie przesadzaj, ogrodniku

i nie marudź
to ty byłeś
dzielny dobry
„boski”
że radości z tobą dzielić

z tobą troski

– Ja? Skądżeby?

ot, grymaśnik czasem
trochę zrzęda...

– Czyżby? Jakoś wcale
tego nie pamiętam...

Czy to słowa

grzeją tak

gorące?

Czy promienie ciepła

zachodzące

niesie słońce?

Na piętnastym piętrze

mieszka sobie szczęście.

Oczy jasne:
Ranny Błękit Nieba
patrzą w drugie oczy
Niezapudki.
Mija
jeszcze jeden
dzień dzisiejszy...
– I znów wydał się
ten dzień
za krótki...
W tym tkwi pewnie
szczęścia tajemnica
że czas mija
niczym z bicia trzasnął
Tak...
w niedoli
wiekiem
włoką się godziny
kiedy troski
nie pozwolą
nocą
zasnąć
Szczęście
gdy
dłoń znajdzie
ciepło
bliskiej dłoni
gdy jest przy kim
skołataną
głowę skłonić...
Na piętnastym piętrze

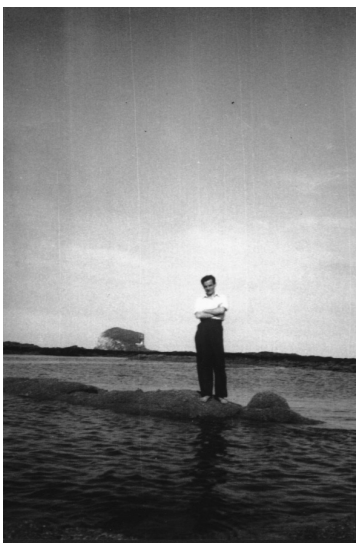
serce tuli szczęście

– Tak się cieszę
że w tym roku
znów spędzimy
miesiąc w Kraju...
Wiesz, Kawowie
nas na weekend
zapraszają.
W środę teatr mamy
w czwartek koncert
– A w Galerii
ta wystawa
jest już w piątek.
– Jutro
dzieci przyjdą
i wnuczeta...
A na narty
wybierają się
po Świętach.
Marzy się
planuje
czasem westchnie
a nad nimi
zmierch gęstnieje
i obłoki płyną
bezszelestnie
a podniebne dusze
są jak w niebie
gdy tak siedzą
zapatrzeni
razem
w siebie

na piętnastym piętrze.

A gdy oblok
tam po nich
podpłynie
bo tak chyba
kiedyś
im się zdarzy
wsiądą razem
o cichej godzinie
pożeglują
w inny świat
wśród wspólnych
marzeń
I tak gwarząc z sobą
zamyśleni
nie spostrzegą
że już
nie są
na tej ziemi
i że już los
co zna dobrze
każde życie
sam zawiesił
dla nich
gniazdo
na błękicie.

Żył sobie szczęście
na piętnastym piętrze.



Adam Michalowski, „Ptasia wyspa” – 1945 r.



Most nad Zatoką Forth – Alicja z Zosią Michalską 26 VIII 1946 r.



Michałowski, Edynburg 1946 r.



Alicja z Krysią Andrzejowską,
Edynburg, 1946 r.



Michałowski, Edynburg 1946 r.



Adam Michałowski 1946 r.



Wigilia 1946 r. u państwa Wyczółkowskich.



Po chrzcie Elżuni 3 V 1947 r.
Od lewej: Jan Wyczółkowski, Ziuta
Zielonka, Maria Wyczółkowska, Alicja
Michałowska z Elżunią, Stanisław Maj.
Na przedzie: Danusia Dubieńska,
Ineczka Wyczółkowska, Adam Micha-
łowski.



Z Elżunią na skwerku Edynburga
V 1947 r.



Toronto IX 1977 r.
Jan Wyczółkowski, Alicja Michałowska,
Maria Wyczółkowska.

1452/Tj.Odm.49/44.

IV/44 927

Zwolniona ze studia w 1944 r.

POLISH INSTITUTE AND SIKORSKI MUSEUM
Archives Ref. No. ZOT.A.V. III/S....
copyright: Polish Institute and
Sikorski Museum

--- PARTICULARS OF APPLICANTS ---

D.A.I./S.F.I.6.
Date 23.05.1944.
SERIAL NO....

1. True Names /in full/ BOBER ALICJA
2. Assumed Names /if any/
3. Date of birth 26. III 1922 Place of birth Lwów
4. Nationality polska
5. Nationality of Parents /Both/ polska
6. Whether alive or Dead żyją
7. If alive, address Kingiskaja S.S.R., Osz 4 maja 50
albo: Kingiskaja S.S.R. Oszka obl. rejon Kamasu miasto Kamasu
ul. III zarodka 14
8. Father's Names Adam Bober
9. Brothers -
10. Occupation of Father drukarz
11. Occupation of applicant before outbreak of war pomocnica telef. postoy.
12. Private address of applicant before outbreak of war
Lwów, ul. Moznia 14
13. Whether married - Names & address of wife -
14. Languages polski, francuski (slabo), rosyjski
15. Qualifications for Air Force /if any/ kurs strzelanek
/ e.g. Pilot, Observer, Mechanic etc. / materia licencj uczniowskiej
90 w S.M.O. Warszawa 19. II. 1944 r.
16. Arrival in U.K. Date 22. V. 1944 Port Liverpool R.V.P.S. 7440 No
17. References
18. Identity Documents held

A.10.710.A.

/Cont. over/

Podanie o przyjęcie do Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet: WAAF,
23 V 1944 r.

R.A.F. FORM 1394.

ROYAL AIR FORCE.

BRIEF STATEMENT OF SERVICE AND CERTIFICATE OF DISCHARGE OF

SURNAME ROBER OFFICIAL No. F.2793198

CHRISTIAN NAMES ALICJA

Date of enlistment 13.7.44. Terms of enlistment D.P.E.

(a) Date reported for regular service 13.7.44.

(b) Branch of Air Force in which enlisted W.A.A.F. R.A.F. trade Clerk General

Date of discharge 9.9.44. Rank Aircraftwoman Class Two. Duties

(c) Cause of discharge Services no longer required - At own Request.

(Para. 652 Clause 11 King's Regulations and Air Council Instructions.)

(d) General character (i) during service Very Good (ii) on discharge Very Good

(e) Degree of trade proficiency :- A Superior. B -

Special qualifications Nil

(f) Medals, Claps, Decorations, Mentions in Despatches, Special Commendations, etc.

Nil

DESCRIPTION OF ABOVE-NAMED AIRMAN/AIRWOMAN ON DISCHARGE.

Date of birth 26.3.1922 Marks or scars -

Height 5 ft. 4 ins.

Complexion Fair

Colour of eyes Green Colour of hair Br. Brown.

Airman's or airwoman's signature Robert Mija

(g) Brief statement of Trade Qualifications and General Conduct :-

This airwoman has always proved herself capable and efficient in her duties. She is a very steady and reliable airwoman.

Unit
Date
Stamp



(Signed) _____ W./Cdr.

Commanding HQ(U)ADGB.
Royal Air Force.

Stanmore, Middx.

Attention is directed to Notes (a) to (g) on reverse.

Zaświadczenie o służbie i zwolnieniu z Pomocniczej Służby Lotniczej Kobiet -WAAF z dn. 12 X 1944 r.

Kapelana Rejonu Edinburg
(Nazwa Urzędu Duszpasterskiego)

METRYKA ZAWARCIA MAŁŻEŃSTWA

Na podstawie księgi zawartych małżeństw *rejonu Edinburg* tom *II*, str. *31-32* stwierdza się urządzenie, że dnia *21.6.* 194 *5.* tj. słownie: dnia *dwudziestego pierwszego czerwca* roku: tysiąc dziewięćset czterdziestego *piątego* zawiązek małżeński między następującymi osobami:

Rodzinek	Małżonka	Świadkowie ślubu, ich zawód i adres:
Nazwisko <i>Michałowski</i> imię: <i>Adam</i> Zawód i przydział: <i>stud. med. Ust. Szp. Wjw.</i> Wyznanie: <i>rym-kat.</i> Stan: <i>ślubny</i> Dzień i rok urodzenia: <i>6. 12. 1919.</i> Miejsce: <i>Szani'sławów</i> Powiat: <i>---</i> Województwo: <i>L W O W</i> Imiona rodziców i nazwisko parafialskie matki: <i>Franisek i Helena KOSCHMAN</i>	<i>BOBER</i> <i>Alicja Karimiera</i> <i>stud. med. ołotn. P.W.S.V.</i> <i>rym-kat.</i> <i>ślubny</i> <i>26. marca 1922</i> <i>L W O W</i> <i>---</i> <i>---</i> <i>Adam i Maria SZMIGIELSKA</i>	<i>Wyczołkowski Jan</i> <i>por. Br. Panc.</i> <i>2. seton 92 Edinburg</i> <i>Wyczołkowska Maria</i> <i>studentka</i> <i>2. seton 92 Edinburg</i> <i>OBERTYŃSKI</i> <i>Zubina</i> <i>Wpł. W.P.</i>

Edinburg dnia *4.3.* 194 *7*
M. P. S. Tawar
Podpis księdza kapelana.

(123) W.0206/1881/1841 1234 56 71 1234 52

Metryka zawarcia małżeństwa 21 VI 1945 r.

No. *2693*
1944-45.

Alicja Bober

NOTE.—This Card, which the Applicant receives after paying the Matriculation Fee of Two Pounds, entitles him to present himself for enrolment in one or more of the University Classes, and thus to obtain all the privileges of Studentship.

EDINBURGENSIS
KALENDIS OCTOBRIBUS
MCMXLIV

Student's Signature
Alicja Bober

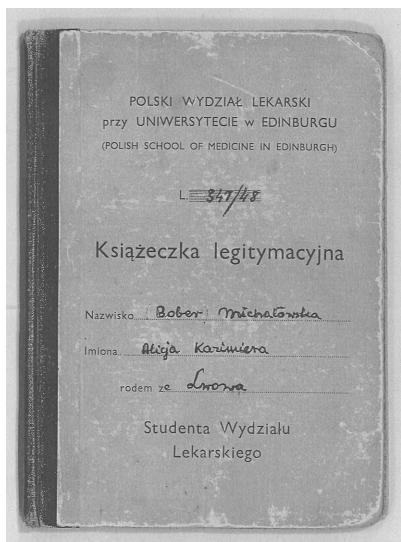
No. *3516*
1945-46

Bober Michalowska (m)

NOTE.—This Card, which the Applicant receives after paying the Matriculation Fee of Two Pounds, entitles him to present himself for enrolment in one or more of the University Classes, and thus to obtain all the privileges of Studentship.

Student's Signature
Alicja Michalowska Bober

Angielskie legitymacje studenckie: 1944-45 r. oraz 1945-46 r.



Książeczka legitymacyjna Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu.

Polski Wydział Lekarski w Edynburgu

Rok akademicki. 1945/46 L. 347/48

Bieżący rok studiów studenta. II

Nazwisko wykładowego	Trymestr I		
	Ilność godzin	Tytuł wykładu lub ćwiczeń	Potwierdzenie zgłoszenia się Potwirdzenie Profesora
Prof. dr. Janusz Szejnert	4	Biologia	[Signature]
"	3	Chemia i Biologia	[Signature]
Doc. dr. M. Karłowicz	4	Historia	[Signature]
"	3	Chemia i Biologia	[Signature]

Trymestr II

Wzrost: 153 cm Waga: 45 kg Data: 1946

ROK II STUDIÓW ZALICZONY

EDUKAN P.W.L.

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia
Gdańsk-Port

Wzór Nr. 3
 (dla mężczyzn w wieku od lat 16 do 50)

Zaświadczenie Nr: 920944

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Michałowska Elżbieta
(nazwisko, imię, imię ojca)
Elżbieta 9.6.3.1922 Swow
(rok i miesiąc urodzenia)
 przybył do Polski z terytorium Anglii
 i dnia 13. VI. 47 1946 r. zarejestrował się na Punkcie
 Przyjęcia w Gdańsk-Port

Obecnie udaje się do Kramnik Sub. ul. Kocimorska 9
(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 5.5.45
 ob. Michałowska Elżbieta ma pierwszeństwo i prawo
 jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do
Kramnik Sub. w Sublin

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej
 idącej pomocy okazielowi niniejszego.

U W A G A:

1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się Milicji Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu – na dowód tożsamości.



Wydano d. 13. VI. 47 46 r. w Gdańsk-Port

Ważne do dnia 13. VI. 47

200 000 - XII. 45. Wydawnictwo Państwowe w Łodzi

Kierownik Punktu Przyjęcia
Gdańsk-Port

[Signature]

Zaświadczenie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego Gdańsk 13 VI 1947 r.

Spis treści

Zbigniew Lenart, Wstęp : obca wśród swoich. Na styku kultur.....	3
Od autorki.....	11
W Palestynie.....	13
W Egipcie.....	15
Podróż.....	18
W Szkocji.....	23
W lotnictwie.....	32
Przydział.....	40
Na Polskim Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Edynburskiego.....	47
Epilog.....	249
Ballada prawdziwa o Janie i Marii Wyczółkowskich.....	256
Fotografie.....	265

Dr hab. Adrian Uljasz, prof. UR:

Wspomnienia Alicji Bober - Michałowskiej, opracowane do druku przez Zbigniewa Lenarta i wydane w serii Varia Kolbuszowskie, redagowanej przez Andrzeja Jagodzińskiego, to wartościowe źródło historyczne. Książka zawiera informacje na temat dziejów Polonii w Wielkiej Brytanii w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu, wzbogacone o relacje z emigracyjnego pobytu autorki na Bliskim Wschodzie, m.in. w Palestynie i Egipcie. Bober -Michałowską cechuje skromność i poczucie odegrania niewielkiej roli w przeżytych wydarzeniach. Dzięki temu jej tekst jest obiektywny, pisany z perspektywy przeciętnego człowieka o losie uwarunkowanym przez dzieje najnowsze. Wielką zasługą redaktorów to brak ingerencji w formę wypowiedzi, za wyjątkiem drobnych poprawek redakcyjnych. Autorka prowadzi narrację z dużym talentem literackim. Czasem pojawiają się nawet dialogi. Zasygnalizowane cechy tekstu sprawiają, że książka stanowi wciągającą lekturę, tak dla historyków, jak i dla miłośników historii amatorów. Literackość języka nie powoduje zmniejszenia się wartości dokumentacyjnej wspomnień.

Publikację przeczytają z pasją kobiety, ponieważ znajdują w niej wiadomości o służbie autorki w Pomocniczej Służbie Wojskowej Kobiet, co nie oznacza, że nie sięgną po nią chętnie także mężczyźni, szczególnie zważywszy fakt, iż książka dotyczy po części dziejów Polskich Sił Zbrojnych na uchodźstwie, czyli historii wojskowości. Alicja Bober -Michałowska pisze także o polonijnym życiu oświatowym, kulturalnym i religijnym oraz warunkach życia Polaków na obczyźnie.

Za bezcenne uzupełnienie edycji wspomnień należy uznać Wstęp Zbigniewa Lenarta poświęcony autorce. W kolejnym tomie Variów Kolbuszowskich nie brak ilustracji. Są to kopie fotografii i dokumentów pozostałych po Bober - Michałowskiej, zwiększające pogłębienie zaprezentowanej relacji.

Rzeszów, 22.02.2013

A. Uljasz

VARIA 38
KOLBUSZOWSKIE